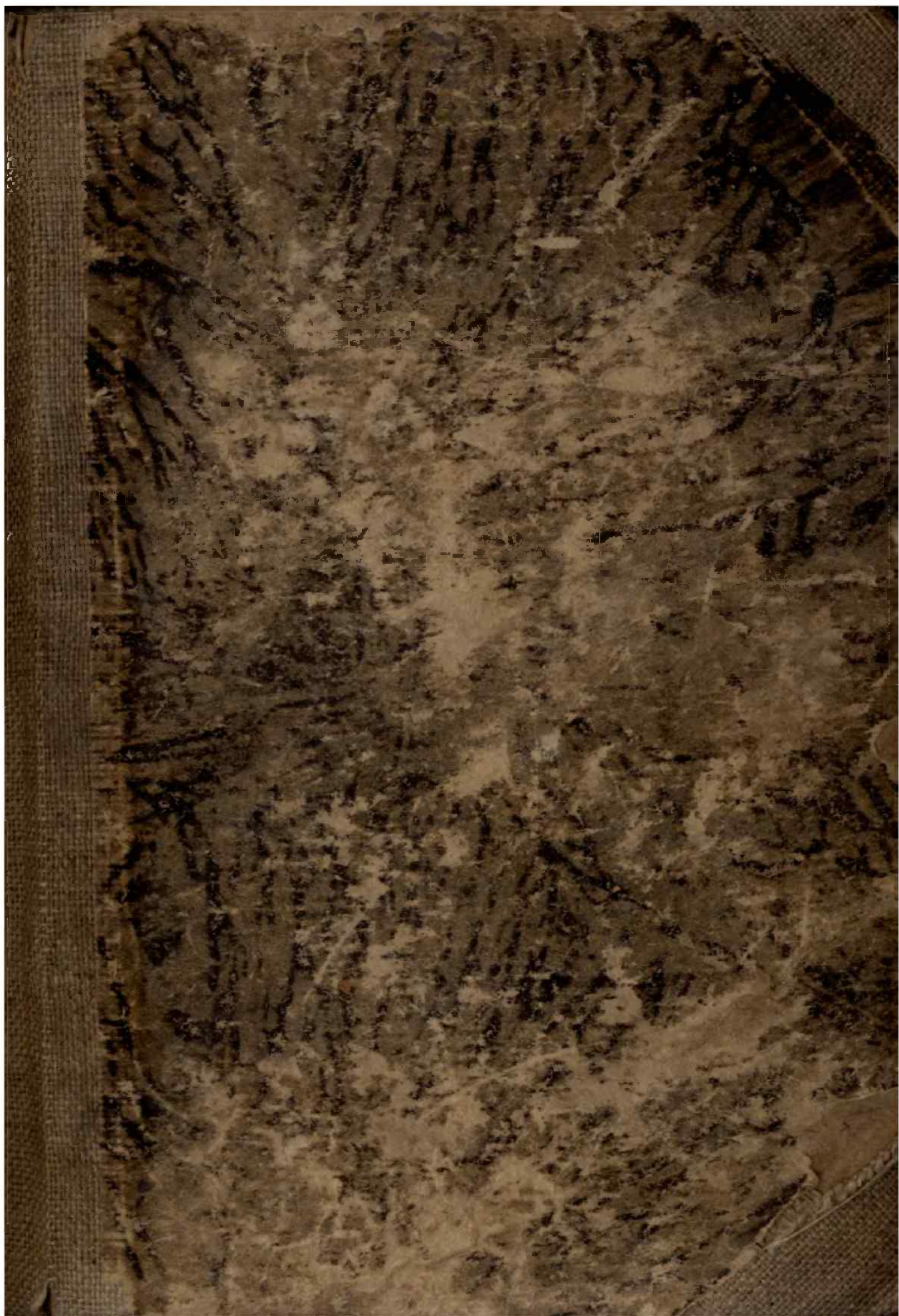
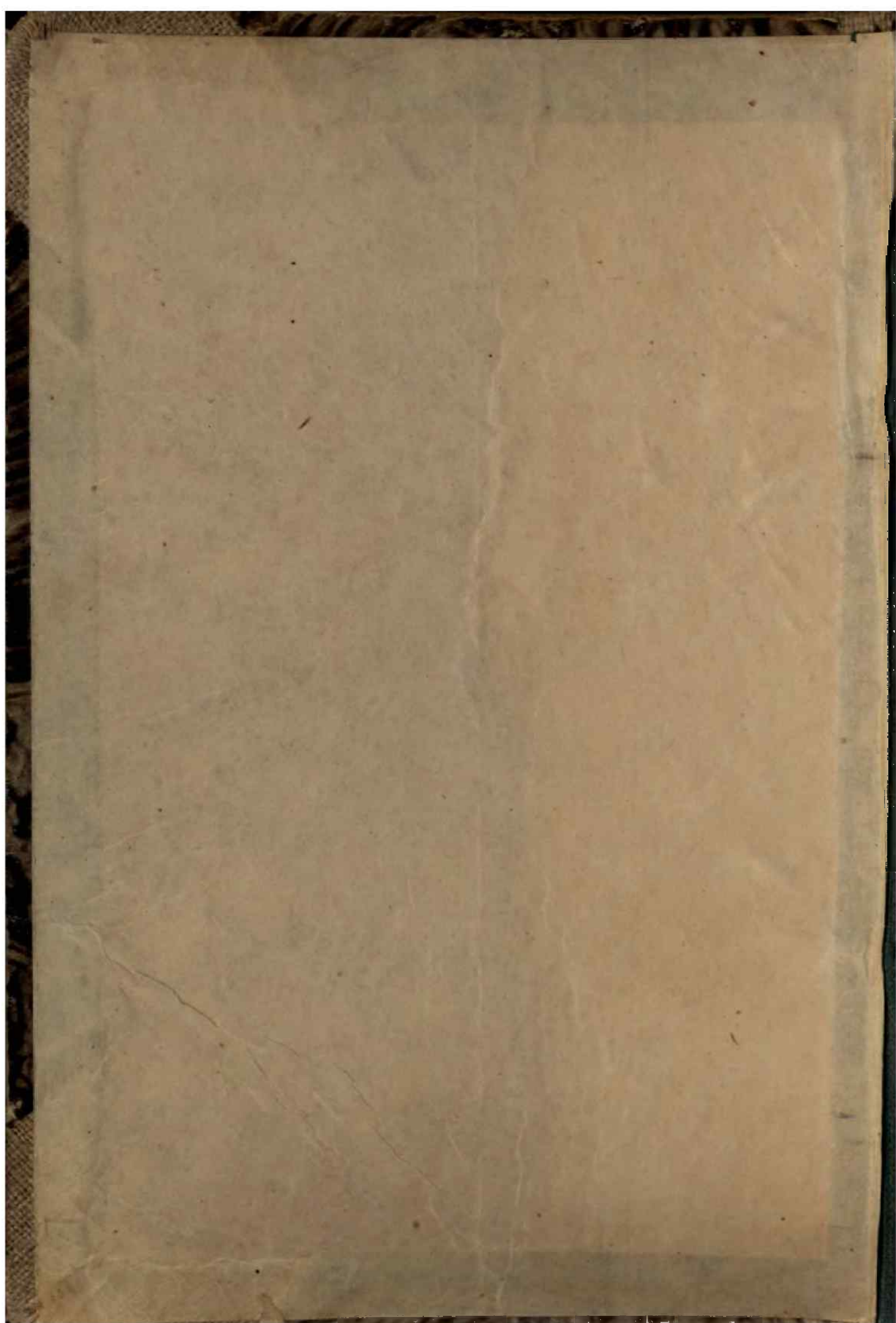
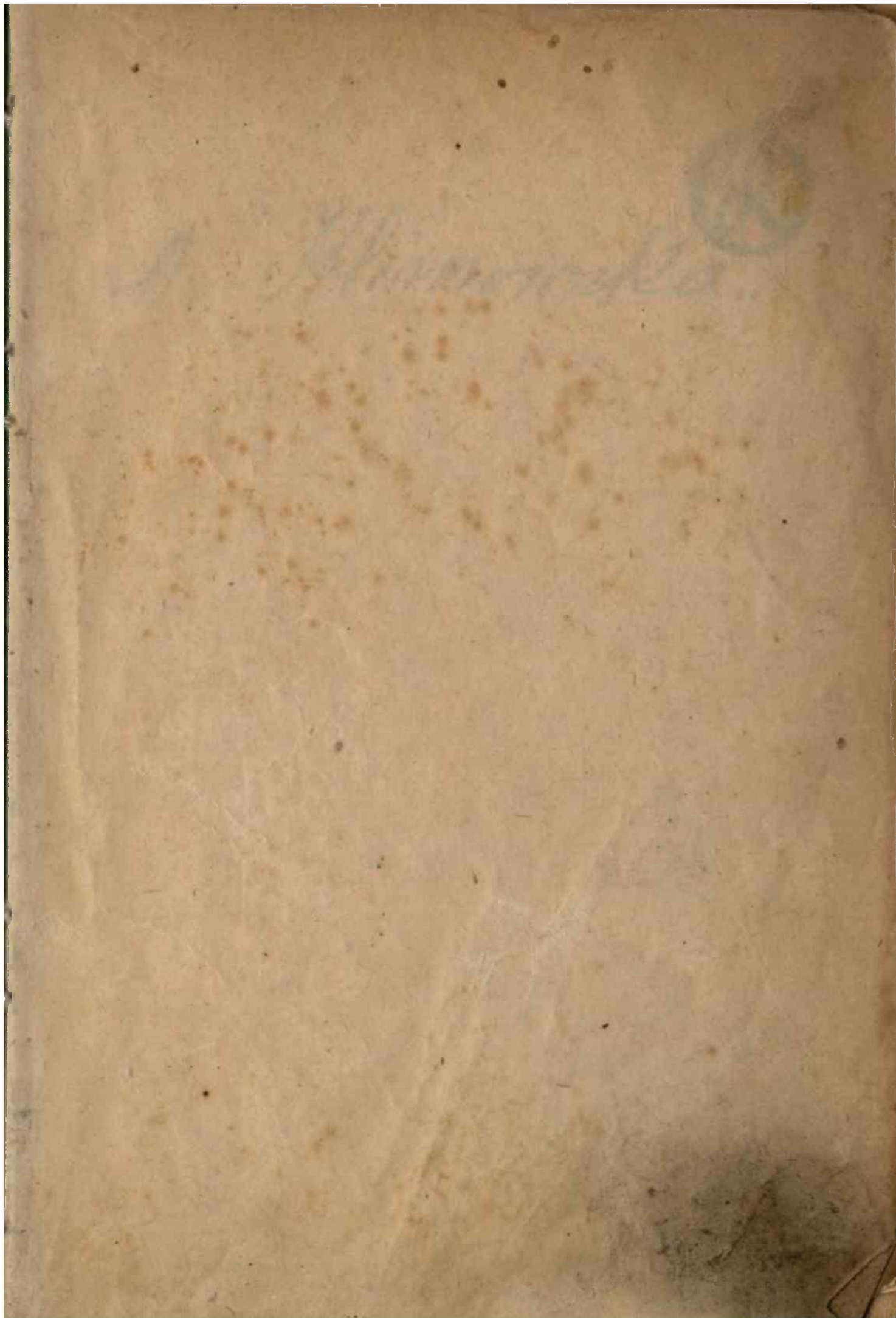
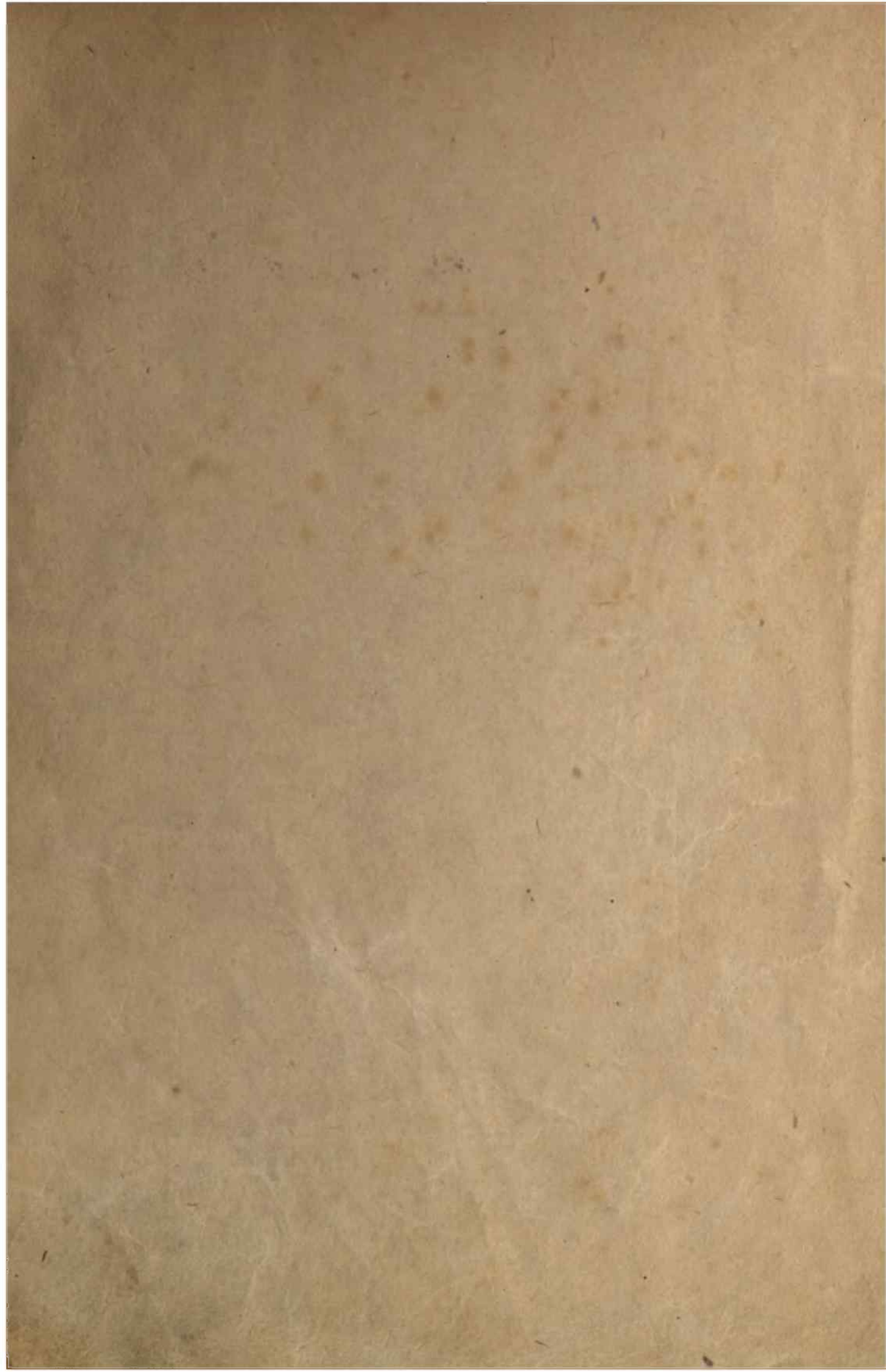






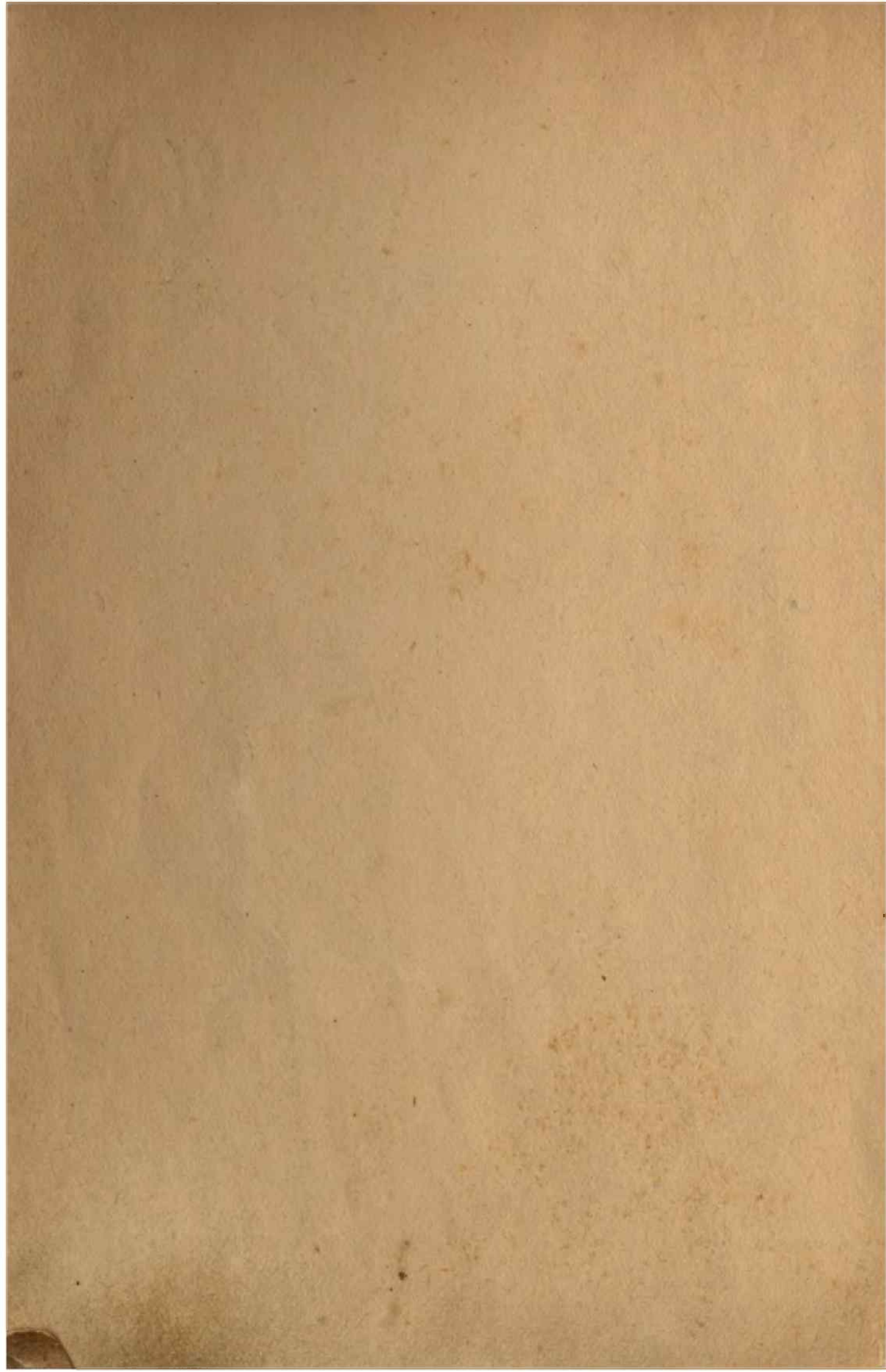




Wł. 3.



M. Glinowska.



PEARL S. BUCK

BŁOGOSŁAWIONA
ZIEMIA

WARSZAWA — 1937

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”

Z upoważnienia autora przełożyła
LUDWIKA CIECHANOWIECKA

Centrala Bibliotek Ruchomych
powiatu Łuckiego

Nr. inw. CBR

Druk. B-ci Wójcikiewicz, Warszawa

Był to dzień wesela Wang Lunga. Rano, gdy się przebudził, w mrocznej alkowie, nie mógł sobie spoczątku uświadomić, dlaczego tym razem świt wydaje mu się jakiś inny, niż zwykle. Dom był pogrążony w ciszy, tylko w przyległej izbie rozlegał się chwilami słaby, przerywany kaszel starego ojca. Ten starczy kaszel był jedynym dźwiękiem, jaki słychać było każdego ranka w domu Wang Lunga. Zazwyczaj Wang leżał spokojnie, przysłuchując się mu; zląził z łóżka dopiero wtedy, gdy dźwięk kaszlu zbliżał się, a drzwi ojcowskiej izby zaczynały skrzypieć na zawiasach.

Owego rana Wang Lung nie wylegiwał się w łóżku, lecz zerwał się bez wahania i rozsunał zasłony. Był ciemny, ponury świt. W czworokątnym otworze okienka, nad którym szeleścił kawałek papieru jaśniała smuga, budzącego się dnia. Podeszedł do otworu i zerwał zmięty strzep.

— Już wiosna. Obejdę się bez tego — mruknął.

Wstydziłby się przyznać, że pragnie, by dom wyglądał porządniej w uroczystym dniu wesela. Wsunął z trudem rękę w ciasny otwór i poczuł musięcie łagodnego wietrzyka, przesyconego wilgocią. Dobry znak. Pola pożądały deszczu. Ale dziś jeszcze nie będzie padać. Dopiero za kilka dni. Tak. Jeżeli wchodni wiatr nie zmieni kierunku, to będziemy mieli wodę. To dobrze. Wczoraj Wang skarżył się ojcu, że jeśli palące słońce będzie w dalszym ciągu płonąć, jak ognista miedziana tarcza, to plony się zmarnują. Cały zbiór ziarna zmieści się w jednym kłosie. Niebo jednak chce widocznie okazać Wang Lungowi swą życzliwość, w dniu wesela.

Uspokojony pobiegł do środkowej izby, wciągając niebieskie spodnie i przewiązując je pasem z bawełnianej, niebieskiej materji. Tors miał nagi, gdyż zamierzał się myć. Wszedł do szopy, która służyła za kuchnię. Z ciemności wyłonił się potężny łeb wolu i skłonił się głęboko przed swoim panem. Kuchenka budowana była z cegieł, podobnie jak i cały dom. Te cegły były wielkimi bryłami ziemi, która pochodziła z ich pola. Dziad Wang Luga za młodych lat ulepił z tejże ziemi piec, który z czasem pokryła patyna sadzy i brudu. Na szczycie glinianej budowli stał okrągły, głęboki kocioł.

Wang napełnił go wodą, którą czerpał skórzanym workiem z glinianej misy, stojącej w pobliżu. Ale czynił to ostrożnie, gdyż woda jest skarbem niezmiernie cennym. Potem, z pewnym wahaniem podniósł nagłym ruchem miskę i wylał całą jej zawartość do kotła. Dzisiaj umyje całe ciało. Od czasu, gdy jako dziecko siadywał na kolanach matki, nikt nie patrzył na jego ciało. Dzisiaj ktoś będzie je oglądać — musi więc być czyste.

Zajrzał za piec, wydobył pęk suszonych traw i łodyg i ułożył je wewnątrz paleniska, poczem wykrzesał ogień z krzemienia i kawałka żelaza. Buchnął wesoły płomień.

Ostatni to raz sam podpalał ognisko. Czynił to codziennie od lat sześciu, to znaczy od chwili zgonu matki.

Gdy się woda zagotowała napełnił nią kubek i zaniósł go ojcu. Stary siedział na łóżku ze spuszczone nogami pokaszlując i stękając i szukał pod łóżkiem pantofli. Codziennie od sześciu lat czekał tak na syna, niosącego kubek z gorącą wodą. Woda uwalniała go od kaszlu, co go gnębił każdego ranka. Teraz i syn i ojciec będą mogli odpoczywać. Do domu wejdzie niewiasta. Nigdy już Wang Lung nie będzie się latem i zimą zrywać o świcie, żeby palić

w piecu. Będzie natomiast wylegiwać się w łóżku i czekać. On także dostanie swój kubek z gorącą wodą, a jeśli ziemia obrodzi, to w ukropie pływać będą herbaciane liście.

Gdy kobieta się znuży, to ją wyręczą dzieci. Bo żona rodzić musi dużo dzieci dla Wang Lunga.

Wang Lung zatrzymał się jak wryty, tak go przejęła myśl o gromadce, biegającej po trzech izbach. Dotychczas zdawało mu się, że trzy izby są nazbyt obszernem pomieszczeniem dla jednej rodziny, gdyż po śmierci matki dom dziwnie opustoszał. Lungowie musieli się bronić przed natręctwem krewnych, którzy tłoczyli się w ciasnych mieszkaniach. Brat ojca, obarczony licznem potomstwem, stale się przymawiał:

— Czyż dwaj samotni mężczyźni potrzebują tyle miejsca?! Czy ojciec nie może spać razem z synem? Gorące młode ciało, to dobre lekarstwo na kaszel.

Ale ojciec odpowiadał:

— Postanowiłem zachować miejsce w domu dla wnuka. On będzie ogrzewać moje stare kości.

A teraz tylko patrzeć, jak się zjawia wnukowie. Coraz to nowi wnukowie. Trzeba będzie ustawiać łóżka pod ścianami i w środkowej izbie. Dom zapełni się łózkami.

Wang Lung myślał tak długo o dzieciennych łózkach, wypełniających pusty dom, aż wygasło ognisko i wyziębła woda w kotle. Na progu kuchni stała widmowa postać starca. Podtrzymywał rękami spadające ubranie, kaszlał przytem i pluł hałaśliwie, wreszcie wykrztusił:

— Co to znaczy, że dotąd nie dostałem wody, dla ogrzania moich starych płuc?

Wang Lung oprzytomniał i zawstydział się.

— Paliwo jest mokre — mruknął, nie wychodząc spoza pieca. — Wieje wilgotny wiatr...

Starzec kaszlał uporczywie, aż do chwili, gdy woda w kotle zaczęła znowu kipieć, Wang Lung napełnił nią teraz kubek, poczem otworzył polerowany dzban, stojący na uboczu, wyjął z niego dwanaście suszonych, skreconych listków i rzucił je na wodę. Stary otworzył chciwie oczy, ale zaraz zaczął postękiwać.

— Czemu jesteś taki rozrzutny? Herbata to srebro.

— Dziś ważny dzień — odparł Wang Lung i zaśmiał się krótko. — Jedz ojcie. Niech ci będzie na zdrowie.

Starzec ujął kubek w kościste, pomarszczone palce mamrocząc i pochrzäkując. Przyglądał się listkom, które rozwijały się pod wpływem wilgoci i pływały na powierzchni wody, nie mógł jednak zdecydować się, by wypić cenny napój.

— Bo wystygnie — zauważył Wang Lung.

— Prawda, święta prawda — odparł stary z przestrachem i zaczął pić herbatę wielkimi łykami. Przywarł ustami do kubka, jak łakome dziecko, ale w głębi duszy nie mógł zapomnieć Wangowi, że tyle zużył wody do mycia. Podniósł tedy głowę i spojrzał na syna z wyrzutem.

— A wody w kadzi jest tyle, że starczyłoby na użyżnienie całego pola, przez całą wiosnę...

Wang Lung w milczeniu czerpał wodę. Nie zostawił w misie, ani jednej kropli.

— No, gadajże! — krzyknął ojciec.

— Nie myłem ciała od Nowego Roku — szepnął Wang Lung.

Wstydził się przyznać ojcu, że chce oczyścić ciało, dla kobiety. Spieszenie wciągnął kadełko do swojej izby. Drzwi wisiały luźno w drewnianej ramie. Starzec podreptał do środkowej izby i, przytknąwszy usta do szpary, wybełkotał:

— To źle tak zaczynać z kobietą... Herbata od samego rana i tyle wody do mycia.

— To tylko jeden dzień! — odkrzyknął mu Wang Lung. I zaraz dodał. — Gdy się umyję, poleję ziemię. Wody nie zmarnuję.

Stary umilkł, a Wang Lung odwiązał pas i zrzucił odzienie. W świetle dnia, płynącem do kwadratowego pomieszczenia przez otwór w ścianie. Wang Lung zanurzył w parującej wodzie krótki ręcznik i wyżał go, poczem zaczął mocno wycierać szczupłe, śniade ciało. Chociaż mu się zdawało, że jest ciepło, poczuł dojmujące zimno, zaczął więc gwałtownie trzeć skórę, aż z całego ciała wzbił się obłok pary. Podszedł później do matczynej skrzyni i wyjął z niej nowe ubranie, z niebieskiej bawełny. Niechtam — będzie dzisiaj trochę ziębnąć bez zimowego odzienia, ale za nic w świecie nie włoży go na czyste ciało. Wierzch był podarty i brudny, a z licznych dziur wyłaziła wata. Nie może pokazać się kobiecie po raz pierwszy w zniszczonem ubraniu. Później będzie musiała je uprać i pocerować, ale przecież nie uczyni tego w pierwszym dniu pożycia. Naciągnął więc na niebieski kaftan i spodnie długą szatę, uszytą z tej samej bawełny. Była to jedyna odświętna szata, którą nosił tylko w dnie uroczyste, a więc dziesięć razy do roku. Zręcznemi palcami rozplótł długi warkocz, wiszący na plecach, wyjął z szuflady małego, kulawego stolika drewniany grzebień i zaczął czesać włosy.

Stary zbliżył się znowu do drzwi i przyłożywszy wargi do szpary w drzwiach wyjąkał:

— Czy ja dzisiaj nie dostanę niczego do jedzenia? W moim wieku kości są rano jak woda, zanim się je karmi.

—Już idę, już idę — rzekł Wang Lung, czesząc włosy szybko i starannie i wplatając w nie czarny jedwabny sznur.

Po chwili zdjął długą suknię, zwinął włosy w węzeł na ciemieniu i wyszedł, dźwigając w rękach drewnianą kadź z wodą. Zapomniał o śniadaniu. To nic. Zaleje wodą papkę z ziarna i poda ojcu, sam zaś obejdzie się bez jedzenia. Stanawszy na progu rozkołysał się i chlusnął pomyjami na ziemię, blisko drzwi. Raptem przypomniał sobie, że zużył wszystką wodę, która była w kotle. Będzie musiał znowu rozpałić ogień. Poczuł złość do ojca.

— Stary łeb myśli tylko o żarciu i o piciu — mruknął w otwór paleniska, ale głośno nie wyrzekł ani słowa. Przecież to ostatni raz tak przygotowuje jadło dla ojca. Zaczerpnął więc trochę wody ze studni i nalał ją do kotła. Zagotowała się niebawem. Zmieszał ją z kaszą i zaniósł starcowi.

— Wieczorem będziemy jeść ryż, mój ojcie — rzekł uprzejmie. — Teraz posilisz się kaszą.

— W koszyku została tylko garść ryżu — odparł starzec, sadowiąc się przy stole i mieszając palczkami gęstą, zielonawą papkę.

— Jeść będziemy nieco mniej, aniżeli podczas wiosennych obchodów — mówił Wang Lung, lecz starzec go nie słuchał. Jadł, mlaskając głośno.

Wang Lung wszedł do swej izdebki i znowu wciągnął na grzbiet długą niebieską szatę, a warokcz spuścił na plecy. Pogładził ręką ogoloną czastkę i policzki. Może wartoby się ogolić. Jest wcześnie. Słońce tylko co wstało. Mógłby pójść na ulicę Golarzy, zanim uda się do domu, w którym czeka na niego kobieta. Czy mu jednak wystarczy pieniędzy?

Wyjął zza pazuchy mały, zatłuszczony woreczek z zielonego sukna i policzył pieniądze. Miał wszystkiego sześć srebrnych dolarów i dwie garście miedziaków. Nie przyznał się ojcu, że zaprosił na wieczerzę kilku przyjaciół. Przez wzgląd na ojca musiał zaprosić młodszego syna wuja, no i wuja, ale

zaprosił również trzech gospodarzy, zamieszkujących tę samą wieś.

Miał zamiar kupić w mieście świniny, małą słodkowodną rybę i garść orzechów. Mógłby też kupić pęk pędów bambusa i trochę wołowiny, która doda smaku kapuście, wyhodowanej w jego własnym ogródku.

Ale na to będzie mógł sobie pozwolić dopiero wtedy, gdy załatwi najważniejsze sprawunki. Przede wszystkim trzeba kupić oleju i soku z soi. Jeżeli ogoli głowę, to mu może zabraknąć pieniędzy na kupno wołowiny. Po chwili namysłu zdecydował się jednak pójść do golarza.

Wyszedł z domu, nie pożegnawszy się z ojcem.

Niebo stało w krwawej łunie świtu. Zza chmur wylaniało się słońce i rzucało jasne błyski, na pokryte rosą pola młodego prosa. Ocknął się Wang Lungu gospodarz wiejski. Zatrzymał się na chwilę i obrzucił wzrokiem kielkujące ziarno. Pole tęskniło do deszczu. Wciągnął nosem powietrze i popatrzał z niepokojem na niebo. Deszcz wisiał w powietrzu, uwięziony w kłębowisku ciemnych chmur.

Trzeba kupić pałeczkę kadzidla i zapalić ją w maleńkiej świątyni boga Ziemi. Trzeba to uczynić w tym uroczystym dniu.

Idąc naskos polem ryżowem dotarł do murów miasta. Za tym murem wznosi się dom, w którym przyszła żona Wanga jest niewolnicą. Dom należy do potężnego rodu Hwangów. Ludzie powiadają „lepiej żyć samotnie, aniżeli zaślubić niewiastę, która była niewolnicą w wielkim domu“. Ale Wang powiedział ojcu: — Jakto? Czy nigdy nie będę miał własnej kobiety? — A ojciec odpowiedział na to: — Biedny człowiek może sobie pozwolić tylko, na niewolnicę. W tych ciężkich czasach wesele kosztuje drogo, a każda kobieta chce mieć złote pierścienie i jedwabne szaty.

Stary ojciec zdobył się na niezwykle wysiłek. Poszedł sam do domu Hwangów i zapytał czy nie mają niewolnicy do odstąpienia.

— Niezbyt młodej i nieładnej — dodał.

Wang Lung martwił się, że żona jego nie może być ładna. Toby było tak przyjemnie mieć piękną żonę, którejby mu każdy winszował. Ojciec widząc chmurną twarz syna zwymyślał go.

— A cóżbyś robił z ładną kobietą? Potrzebujemy takiej, która będzie zajmować się gospodarstwem i rodzić dzieci, nie przerywając pracy w polu. Czyż ładna kobieta zechce to robić? Będzie tylko myśleć o strojach. Nie! nie! — Żadnej ślicznotki w domu. Jesteśmy chłopami. Zresztą, kto kiedy słyszał o urodziwej niewolnicy z bogatego domu, która byłaby dziewicą? Wszyscy młodzi panicze bawili się nią kolejno. Lepiej być pierwszym mężczyzną szpetnej, aniżeli setnym z rzędu — kobiety pięknej. Czy ty wyobrażasz sobie, że ładna kobieta będzie lubiła twoje proste, chłopskie ręce, że się jej będą tak podobać, jak delikatne ręce bogatych paniczów, że twoja twarz szczerzyła na słońcu wyda się jej równie piękna, jak złocista skóra innych, co ją brali dla własnej uciechy?

Wang Lung był zdania, że ojciec mówił rozsądnie, musiał jednak stoczyć walkę z własnem ciałem, zanim dał ojcu odpowiedź. Wreszcie odrzekł z uniesieniem:

— No, ale ani myślę mieć żonę ospowatą, albo z zajęczą wargą.

— Zobaczymy — odparł krótko ojciec.

No i będzie miał żonę, która nie jest ani dzio-bata, ani niema zajęczej wargi. Tyle tylko wie o niej. Nic więcej. Kupił dwa srebrne, pozłacane pierścionki i srebrne kolczyki. Ojciec zaniósł je właścicielowi niewiasty, jako dowód, że umowa doszła do skutku. Pozatem Wang Lung nic nie wie o swej przy-

szłej żonie. Ale dzisiaj będzie mógł ją zabrać do domu.

Zanurzył się w chłodny mrok miejskiej bramy. Nosiwody wędrowali tam i napowrót, dźwigając wielkie kadzie z wodą i rozpryskując ją na kamienie. W tunelu, wydrążonym w potężnym murze, lepionym z gliny i cegieł, panował nawet letnią porą wilgotny mrok, toteż handlarze melonów układali rozcięte owoce na ziemi w przejściu, żeby je oziębic. Było jeszcze zawczasie na melony, ale pod ścianami stały kosze pełne maleńkich, zielonych brzoskwiń.

— Pierwsze wiosenne brzoskwinie! — krzyczeli przekupnie. — Pierwsze brzoskwinie! Kupujcie, jedzcie, oczyszczajcie brzuchy z trucizn zimowych.

Wang Lung mruknął pod nosem.

— Jeżeli lubi owoce, to jej kupię garść brzoskwiń, gdy będziemy iść do domu.

Nie mógł jakoś uwierzyć, że w powrotnej drodze, będzie mu towarzyszyć kobieta.

Skręcił na prawo i skierował się na ulicę Golarzy. Mijał skulone postacie wieśniaków, którzy przyszli tutaj z koszami, pełnymi jarzyn w wilgę targu, żeby móc wyzbyć się ich o świcie i wrócić do pracy w polu. Wang Lung unikał spotkania ze znajomymi. W dniu tak uroczystym nie chciał słuchać grubiańskich przycinków.

Wzdłuż wąskiej ulicy stały szeregi straganów, za którymi czekali na klientów golarze. Wang Lung zatrzymał się przed ostatnim, usiadł na stołku i skłonił na fryzjera, który był zajęty rozmową z sąsiadem. Na widok klienta, golarz przerwał pogawędkę i zbliżył się do stołu. Zaczął pospiesznie przygotowywać naczynia. Z kociołka, stojącego na węglach, nalał trochę wody do miedzianej miedniczki.

— Czy wszystko zgolić? — odezwał się tonem zawodowym.

— Głowę i twarz — odrzekł Wang Lung.

— Czy oczyścić nos i uszy?

— Ile to będzie kosztować? — zapytał podejrzliwie Wang.

— Cztery pensy — odparł golarz, płucząc w ukropie czarną szmatę.

— Dam dwa — odrzekł Wang Lung.

— Oczyszczę tylko jedno nozdrze i jedno ucho — rzekł wesoło golarz. — A którą stronę twarzy mam doprowadzić do porządku? — dodał, mrugając porozumiewawczo na sąsiada, który parsknął śmiechem. Wang Lung zrozumiał, że dostał się w ręce kpiarza. Poczul się bardzo nędznym wobec zuchwałych mieszczuchów, pomimo, że golarze są istotami zasługującymi na pogardę. Dodał szybko:

— Jak chcecie, jak chcecie...

Poczem poddał się torturom namydłania twarzy i golenia. Fryzjer był w gruncie rzeczy niezłym człowiekiem, więc na dodatek dał mu kilka potężnych kuksańców w plecy, żeby rozluźnić mięśnie, zaś goląc czoło Wangowi, zauważył przyjaźnie:

— Pan gospodarz nieźleby wyglądał, gdyby sobie obciął włosy. Warkocze są już niemodne.

Mówiąc to, śmignął brzytwą tak blisko nasady warkocza, że Wang krzyknął przerażony.

— Nie mogę go obciąć bez zezwolenia ojca.

Fryzjer roześmiał się i nakreślił brzytwą okrągłą granicę.

Po skończonej ceremonji Wang Lung położył cztery pensy na pomarszczonej, wilgotnej dłoni golarza. Ogarnęło go przerażenie. Tyle, tyle pieniędzy... Ale skoro udał się w dalszą drogę pomyślał nagle.

— To przecież tylko raz...

Poszedł teraz na targ, kupił dwa funty świni-ny, którą mu zawinięto w suchy liść lotosu. Po chwili wahania dokupił jeszcze sześć uncyj wołowi-

ny i fasoli. Kiedy załatwił wszystkie sprawunki, wstąpił do handlarza świec i nabył dwie pałeczki kadzidła, poczem wielce onieśmielony skierował się do domu Hwangów.

U wrót pałacu ogarnął go lęk. Jakże mógł przyjść tutaj sam jeden. Powinien był uprosić ojca, albo wuja, lub najbliższego sąsiada Czinga, zresztą byle kogo, żeby mu towarzyszył. Nigdy jeszcze nie przestąpił progu wielkiego domu. Czy ma po prostu wejść i powiedzieć: — Przyszedłem po niewiastę?

Przez czas dłuższy stał przed bramą. Drewniana czarna brama, składająca się z dwóch części, zamknięta była sztabą żelazną, na straży stały dwa kamienne lwy. W pobliżu nie było żywego ducha. Nie — to niemożliwe. Zawrócił. Czuł się dziwnie słaby. Trzeba najprzód się pożywić. Nie jadł śniadania. Wstąpił więc do małej jadłodajni i usiadł przy stole, na którym położył dwa pensy. Brudny chłopak w lśniącem czarnym fartuchu zbliżył się do stołu.

— Dwie miski z kluskami.

Kiedy je przed nim postawiono zabrał się do jedzenia. Wpychał je sobie pałeczkami do ust, nie bacząc na chłopca, który mu się przyglądał, kręcąc miedziaki w usmolonych palcach.

— Może jeszcze? — odezwał się obojętnym głosem.

Wang Lung potrząsnął przecząco głową. Wstał i rozejrzał się wokoło. W ciemnym pokoju nie dostrzegł ani jednej znajomej twarzy. Kilku mężczyzn piło herbatę. Była to herbaciarnia dla biedaków. W porównaniu z nimi Wang Lung wyglądał czysto i nawet dostatnio, toteż niebawem podszedł do niego żebrak i zaczął stękać.

— Okaż dobre serce panie, daj mi grosika. Ginę z głodu.

Wang Lung nigdy jeszcze nie miał tak bezpośrednio do czynienia z żebrakiem. Rzucił więc do jego miski dwa miedziaki, stanowiące piątą część jednego pensa, a żebrak chwycił je szybko czarnymi szponami i wsunął je w zanadrze łachmanów.

Wang Lung siedział i patrzył na słońce, które płynęło coraz wyżej i wyżej. Wreszcie zniecierpliwiony odezwał się zuchwałym tonem.

— Jeżeli nie kupujecie niczego więcej, to trzeba będzie zapłacić za wynajęcie stołka.

Byłby Wang Lung zaraz wstał i poszedł, ale na myśl, że będzie musiał iść do wspaniałej siedziby rodu Hwangów i zabrać stamtąd żonę, spociał się jak żniwiarz w polu.

— Przynieś mi filiżankę herbaty — rzekł słabym głosem. Zanim się spostrzegł, już stała na stole, a mały chłopiec pytał ostro.

— Gdzie jest pens?

Wang Lung zrozumiał, że będzie musiał wyjąć z kieszeni nowego miedziaka. Był zrozpaczony.

— Istny rozbój — mruknął gniewnie. Ale nagle do herbaciarni wszedł jeden z jego sąsiadów, więc już bez szemrania rzucił pensa na stół, wypił herbatę jednym łykiem i wybiegł bocznymi drzwiami.

— Muszę to uczynić — rzekł do siebie rozpaczliwym głosem i ociągając się jeszcze zaczął iść w stronę bramy.

Tym razem, jako że słońce było już wysoko,— odrzwia stały otworem a dozorca siedział na progu dłubiąc w zębach bambusową wykałaczką. Był to wysoki drab z dużą brodawką na policzku. Brodawka była uwieńczona trzema długimi czarnymi włosami, nigdy nie obcinanymi. Gdy Wang Lung zbliżył się do bramy, dozorca krzyknął nań gniewnie. Sądził bowiem, że jest to handlarz uliczny.

— Czego chcecie? Gadajcie prędko?

— Jestem Wang Lung, gospodarz.

— I co z tego. Wang Lung, gospodarz i co więcej? — odciął się dozorca, który bywał uprzejmy tylko dla bogatych przyjaciół swojego pana i swojej pani.

— Ja przyszedłem... przyszedłem... — bełkotał Wang.

— Widzę to — odparł dozorca, siląc się na spokój i skubiąc włosy brodawki.

— U was znajduje się kobieta — rzekł Wang Lung zamierającym głosem. Blask słońca padał na jego spotniałą twarz.

Dozorca wybuchnął śmiechem.

— Ach, więc to wy? — zarechotał. — Mówiono mi, że przyjdzie pan młody. Ale was nie poznałem z tym koszem...

— To tylko mięso — rzekł Wang Lung pokornie.

Dozorca nie ruszył się z miejsca. Wreszcie Wang zapytał się trwożnie.

— Czy mam wejść sam do domu?

Dozorca spojrzał nań z udanym przerażeniem.

— Stary pan zabiłby was.

Widząc, że ma do czynienia z prostaczkiem, dodał:

— Srebro bywa niezłym kluczem.

Wang Lung zrozumiał, że dozorca chce pieniędzy.

— Jestem biedny człowiek — wyjąkał żałośnie.

— Pokażcie no, co tam macie w woreczku? — rzekł dozorca.

Patrzył z szyderczym uśmiechem na Wang Lunga, który postawił kosz na ziemi, podniósł szatę i wyciągnął mały woreczek, poczem wysypał jego zawartość na dłoń. Pozostała mu jedna srebrna moneta i czternaście miedzianych pensów.

— Wezmę srebro — rzekł dozorca zimno i zanim Wang Lung zdążył zaprotestować, chwycił srebro i schował je w szeroki rękaw. Ale zaraz udał się na podwórze, krzycząc wniebogłosy: — Nowożeniec! nowożeniec!

Wang Lung tłumiąc złość i przerażenie udał się wśladać za dozorcą. Później nie mógł sobie przypomnieć, jak się odbyła ceremonia wejścia do wnętrza domu bogaczy. Z pochyloną głową i zapłonioną twarzą szedł przez liczne podwórce, a w oczach mu huczał grzmiący głos dozorca i śmiech kobiet. I nagle, gdy mu się zdawało, że już przeszedł sto podwórców, dozorca umilkł i wepchnął go do małej poczekalni. Wang zatrzymał się pośrodku pokoju, a dozorca udał się wgłąb mieszkania, by po chwili wrócić ze słowami.

— Starsza pani powiedziała, że masz się ukazać przed jej obliczem.

Wang Lung ruszył z miejsca, ale dozorca powstrzymał go pogardliwym okrzykiem.

— Nie możesz pokazać się wielkiej damie z koszykiem w ręku, z koszykiem pełnym wieprzowiny i fasoli. Nie mógłbyś się pokłonić.

— Prawda — prawda — przyznał, poruszony do głębi Wang Lung.

Nie miał jednak odwagi zostawić kosza, bo się obawiał, że ktoś mógłby skraść jego zawartość. Nawet mu przez myśl nie przyszło, że nie każdy się złąkomi na dwa funty wieprzowiny, sześć uncyj wołowiny i jedną słodkowodną rybkę.

Dozorca dostrzegł zmieszanie Wanga. Spojrzał nań wzrokiem pełnym pogardy i powiedział.

— W takim domu jak nasz, wieprzowinę rzuca się psom.

Mówiąc to, chwycił koszyk, postawił go za drzwiami i popchnął Wang Lunga.

Szli długą niską werandą, której dach podtrzy-

mywały piękne rzeźbione belki. Wreszcie weszli do przedsionka. Takiego przedsionka nigdy jeszcze Wang Lung nie widział. Zmieściłoby się tutaj kilka domów, większych od jego chaty. Podniósłszy w zadziwieniu głowę ujrzał wysoko nad sobą rzeźbione i malowane belki i tak się na nie zapatrzył, że się potknął na wysokim progu. Byłby się przewrócił, gdyby nie dozorca, który ujął go pod ramię.

— A teraz zachowuj się jak należy. Pamiętaj upaść na twarz przed starszą panią.

Zawstydzony Wang Lung usiłował się opanować. Wytrzeszczył oczy i patrzył tępo przed siebie. Ujrzał wielki baldachim, a pod nim bardzo sędziwą kobietę. Drobne, delikatne jej ciało spowite było w lśniący, popielaty atlas. Na niskiej ławie stała fajka do opjum, z płonącą lampką. Staruszka spojrzała nań małemi, przenikliwemi oczkami, podobnemi do oczów małpy, głęboko osadzonemi w wąskiej pomarszczonej twarzy. Skóra na ręku dzierżącym koniec fajki gładka i żółta, przypominała polacane ręce bóstw chińskich. Wang Lung padł na kolana i stuknął głową o posadzkę.

— Podnieś go — rzekła z powagą dama. — Takie oznaki posłuszeństwa są zbyteczne. Czy ten człowiek przyszedł zabrać kobietę?

— Tak, proszę starszej pani — odparł dozorca.

— Dlaczego nie mówi?

— Bo jest głupcem. proszę starszej pani — rzekł dozorca, podkrecając włosy zwisające z brodawki.

Tego było za wiele Wang Lungowi. Zerknął gniewnie na dozorcę. — Jestem prostaczkiem. O! Starsza Pani, nie wiem jakich słów należy używać w twojej obecności.

Stara kobieta przyjrzała mu się bacznie i srogo. Miało to starczyć za odpowiedź. Ręka jej zacisnęła się na rekojeści cybucha, który podsunęła jej jedna z niewolnic. Pochyliła się i zaczęła go ssać łakomie.

W jednej chwili spojrzenie jej nabrało miękkości, a mańpie oczka przesłoniła mgła niepamięci.

Wang Lung nieraz wspominał później jak to stał i stał przed starą, a ona zdawała się nie widzieć go wcale. Wreszcie dostrzegła go.

— Co ten człowiek tutaj robi? — zapytała gniewnie. Widocznie zapomniała o wszystkim. Oblicze dozorczy było nieruchome, niby maska. Zapadło milczenie.

— Czekam na niewiastę — odpowiedział zdziwiony Wang Lung.

— Na niewiastę? na jaką niewiastę? — pytała staruszka, ale niewolnica stojąca obok niej pochyliła się i szepnęła jej coś do ucha. Staruszka oprzytomniała.

— Ach tak... Zapomniałam... Głupstwo... Drobiazg... Przyszedłeś po niewolnicę, która zwie się O-lan. Przypominam sobie, że obiecaliśmy ją pewnemu wiejskiemu gospodarzowi. To ty nim jesteś?

— Ja nim jestem — odpowiedział Wang.

— Zawołać O-lan!... Szybko!... — odezwała się staruszka. Wyglądało to tak, jakby ją nagle ogarnęło zniecierpliwienie, — chciała prędzej skończyć z tem wszystkim i pozostać sama w ciszy wielkiego pokoju, z fajką, dającą zapomnienie.

Niewolnica wróciła niebawem, ciągnąc za rękę wysoką, barczystą kobietę, odzianą w czysty niebieski kaftan i spodnie. Wang Lung obrzucił ją przełotnem spojrzeniem. Serce mu biło gwałtownie. To była jego kobieta.

— Zbliź się do mnie, niewolnico — rzekła staruszka. — Ten mężczyzna przyszedł po ciebie.

Kobieta stanęła przed starą i, skrzyżowawszy ręce na piersiach, skłoniła się nisko.

— Czy jesteś gotowa? — zapytała dama.

Kobieta odpowiedziała powoli i cicho, echowym głosem:

— Gotowa.

Wang Lung drgnął na dźwięk jej głosu i obrzucił spojrzeniem jej plecy. Głos był dość przyjemny, nie za ostry, nie za cichy, i łagodny. Włosy kobiety były starannie utrzymane i gładkie, a kaftan schludny. Z uczuciem zawodu zauważył, że nogi jej nie były krępowane w dzieciństwie. Nie miał jednak czasu na rozmyślanie, bo staruszka przemówiła znowu. Tym razem do dozorca.

— Wynieś jej skrzynkę za bramę i niechaj sobie stąd idą. — Skinęła na Wanga i rzekła:

— Stań bliżej mnie i słuchaj co ci powiem. Ta niewiasta przybyła do naszego domu, gdy miała dziesięć lat i pozostała u nas do dnia dzisiejszego. Ma lat dwadzieścia. Kupiłam ją podczas suszy. Rodzice jej przywędrowali z południa, bo nie mieli co jeść. Później wrócili w swoje rodzinne strony, do Szantungu. Co się z nimi stało nie wiem. Popatrz na nią. Ma silne ciało i czworokątne policzki. Jest dobrą pracownicą. Będzie chodzić w pole, nosić wodę i czynić wszystko co jej każesz. Nie jest piękna, ale tobie nie potrzeba pięknej kobiety. Tylko ludzie bogaci szukają takich kobiet, bo dla nich są one tylko rozrywką. Nie jest też mądra, ale spełnia dokładnie każde zlecenie. Usposobienie ma łagodne. O ile wiem, jest nienaruszona. Nie była dość urodziwa, by skusić moich synów i wnuków. Jeżeli ktoś mógł nadużyć jej zaufania, to jeden tylko mężczyzna, służący w kuchni. Ale wątpię w to. Niebrak przecież u nas młodych i ładnych niewolnic, które korzystają z zupełnej swobody w obrębie domu. Wez ją tedy i obchodź się z nią po ludzku. Dobrą jest niewolnicą, chociaż nieco powolną i głupią. Gdyby nie to, że pragnę zasłużyć sobie na zapłatę w życiu przyszem, przyczyniając się do powstania nowego życia na tym świecie — zatrzymałabym ją nazawsze. Mamy z niej pociechę w kuchni. Ale zwykłam

wydawać zamaż moje służebne, jeżeli ktoś się po nie zgłosi, a żaden z paniczów jej nie chce.

A zwróciwszy się w stronę O-lan — dodała:

— Bądź mu posłuszną. Masz rodzić synów, wielu synów. Przynieś mi pierwsze dziecko, żebym mogła je własnymi oczami obejrzeć.

— Słucham, dostojna Pani — rzekła pokornie O-lan.

Stali jeszcze chwilę, wahając się co mają czynić, Wang Lung był zakłopotany. Nie wiedział, czy wypada mu przemówić, czy odejść.

— No, więc... Idźcież już, idźcie! — warknęła stara kobieta.

Wang Lung skłonił się i zawrócił. Niewiasta szła za nim. Pochód zamykał dozorca, dźwigający na barkach skrzynkę niewolnicy. Gdy znaleźli się w poczekalni zrzucił skrzynkę gwałtownym ruchem na ziemię i wyszedł bez słowa.

Wang Lung obrócił głowę i zaczął się przyglądać kobiecie. Miała czkorokątne, wzbudzające zaufanie oblicze, krótki szeroki nos z rozdętymi ciemnymi nozdrzami i wielkie usta. Oczy jej były małe i bezbarwne. Czał się w nich wyraz niewypowiedzianego smętku. Patrząc na tę spokojną, niemą twarz odnosiło się wrażenie, że nie przemówi ona nigdy. Tak — nie było śladu piękności w tem brunatnem, pospolitem, tępem obliczu, ale nie było też znaków ospy na śniadej skórze, a górna warga nie była rozcięta.

W uszach kołysały się poślacane kolczyki, które dla niej kupił, a na palcach połyskiwały przysłane przez niego pierścionki. Odwrócił głowę, chcąc ukryć radosne zmieszanie. Nareszcie! Ma własną swoją kobietę.

— Weź skrzynkę i kosz. — rzucił opryskliwie.

Bez słowa schyliła się, dźwignęła skrzynkę i oparła ją sobie na ramieniu. Napróżno jednak usiło-

wała się podnieść. Ciężar był zbyt wielki. Wang przyglądał się jej w milczeniu.

— Ja wezmę skrzynię — odezwał się wreszcie.
— Masz tutaj koszyk.

Wziął skrzynię na plecy, nie bacząc na odświeżony strój, ona zaś ciągle milcząca, jakby oniemiała, ujęła rękojeść koszyka. Przypomniawszy sobie, że będzie musiał znowu odbyć wędrówkę przez sto podwórców, ze skrzynią na ramionach. Wydał się sam sobie śmiesznym i godnym pogardy.

— Gdyby była jaka boczna furтка — mruknął pod nosem. Kobieta dopiero po dłuższej chwili skinęła głową. Jakby nie odrazu pojęła, o co mu chodzi. Wprowadziła go na mały, opuszczony podwórzec, zarośnięty chwastem i trawą, z wyschniętą sadzawką. Pod zgiętą i połamaną sosną znajdowała się stara, okrągła brama. O-lan odsunęła żelazną sztabę. Wyszli na ulicę.

Wang Lung odwracał się chwilami i zerknął na kobietę. Wielkie jej nogi stapały pewnie i wytrwale. Szerokie oblicze było nieruchome jak maska. Gdy się znaleźli w głębi tunelu Wang przytrzymał jedną ręką skrzynkę, a drugą ręką sięgnął po woreczek z miedziakami.

Wyjął dwa pensy i kupił sześć małych, zielonych brzoskwiń.

— Weź je i zjedz sama — rzekł szorstkim tonem.

Bez słowa, chwyciła je chciwymi rękami, jak łakome dziecko, ale zatrzymała je w dłoni. Dopiero kiedy wydobyli się na wolną przestrzeń pól, zauważył, że podniosła ostrożnie jedną z brzoskwiń do ust i próbuje ją ugryźć. Gdy pochwyciła jego wzrok przestała ruszać szczękami i ukryła małeńki owoc w dłoni.

Wreszcie doszli do Świątyni Ziemi. Wznosiła się ona na zachodniej stronie pola. Była to niewielka

budowla z szarych cegieł, pokryta dachówkami, sięgająca ramion dorosłego człowieka. Zbudował ją dziad Wang Lunga, który uprawiał tę samą ziemię, którą teraz uprawia Wang. Cegły sprowadził sam z miasta, wożąc je w taczkach. Zewnętrzne ściany pobielono wapnem, a wioskowy malarz ozdobił je freskami, wyobrażającymi pagórki, pokryte bambusami. Z czasem deszcze zmyły malowidło, pozostawiając jeno nikły ślad, jakby cień bambusowych pni.

W głębi kapliczki pod sufitem siedziały dwie czcigodne figurki, ulepione z ziemi, która pochodziła z pola, otaczającego świątynię. Był to bóg Ziemi i jego małżonka. Obydwoje mieli szaty z czerwonego i poślaczanego papieru. Bożek miał przyprawione wąsy.

Rok rocznie w święto Nowego Roku ojciec Wang Lunga kupował nowy zapas czerwonego papieru i wycinał z niego szaty dla bożków. Do małej świątynki wślizgiwały się promienie słoneczne, wdzierał się deszcz i śnieg i niszczył piękne stroje, dzisiaj jednak wyglądały one jeszcze świeżo. Wang Lung dumny był z tego. Odebrał żonie koszyk i poszukał pod paczką z wieprzowiną pałeczek kadzidła. A nuż się połamały. Byłby to zły znak. Ale nie — były nie naruszone. Ułożył je więc jedną obok drugiej w popiele, piętrzącym się przed bożkami, bowiem wszyscy chłopcy z sąsiednich chat składali tutaj ofiary. Znowu wykrzesał ognia z żelaza i chwyciwszy ze schłym liściem nikły płomyk przeniósł go na kadzidła.

Mężczyzna i kobieta stanęli w obliczu boga Ziemi. Kobieta przyglądała się pałeczkom kadzidła, które jarzyły się, a potem blakły i szarzały. Gdy na ich końcu nazbierało się dużo popiołu pochyliła się nieco i strąciła go palcem, ale zaraz jakby przestraszona własną śmiałością zerknęła na Wang Lunga. Jemu zaś spodobał się jej odruch. Wyglądało to tak, jak-

by odczuła, że kadzidło stanowi ich wspólną własność — jak w małżeństwie. Stali więc ramie przy ramieniu, a kadzidło zamieniało się stopniowo w popiół. Wreszcie, gdy słońce zaczęło zachodzić, Wang dźwignął skrzynię na ramiona i wyszedł ze świątyni. Udali się w kierunku domu.

Na progu stał ojciec. Wygrzewał się w promieniach gasnącego słońca. Na widok Wanga, idącego w towarzystwie kobiety, nie ruszył się z miejsca. Nie chciał się poniżać, udał więc, że jest bardzo zajęty obserwowaniem chmur i zawołał:

— Chmura, która zawisała nad lewym rogiem nowego księżyca, zapowiada deszcz.

Wreszcie widząc, że Wang odbiera koszyk zawołał wielkim głosem:

— Cóż? Wydałeś wszystkie pieniądze?

Wang Lung postawił kosz na stole.

— Będą goście — rzekł krótko, poczem wniósł koszyk do swej izdebki i postawił go obok skrzyni z odzieniem. Spojrzał nań przytem dziwnie, ale starzec zbliżył się do drzwi i zaczął zrzedzić.

— Wydatkom niema końca...

W głębi duszy rad był, że syn zaprosił gości, czuł jednak, że wobec synowej należy się skarżyć, bo w przeciwnym razie przestanie liczyć się z pieniędzmi. Wang Lung nie odrzekł ani słowa, ale wniósł kosz do kuchni. W ślad za nim szła kobieta. Wang wyjął prowianty i ułożył je na brzegu zimnego paleniska.

— Tutaj jest wieprzowina — przemówił do żony — a tam wołowina i ryba. Trzeba nakarmić siedem osób. Czy potrafisz przygotować jadło?

Nie patrzył na nią. Nie wypadało się jej przyglądać.

Kobieta odpowiedziała bezbarwnym głosem:

— Byłam niewolnicą w kuchni od dnia, w któ-

rym przestąpiłam próg domu Hwangów. Podczas każdego posiłku podawano mięso.

Od tej chwili nie widział się już z żoną aż do czasu, gdy dom zaroił się gośćmi. Przybył jowjalny, chytry i zgłodniały stryj i zuchowaty piętnastoletni syn stryja i niezgrabni, onieśmieleni gospodarze. Dwaj chłopci z tej samej wsi. Wang nieraz zamieniał się z nimi ziarnem, a w okresie żniw wspomagali się wzajemnie. Jeden z gospodarzy był najbliższym sąsiadem, zwał się Czing. Był to niski, cichy człowieczek, który odzywał się tylko wtedy, gdy go do tego zmuszano. A kiedy wreszcie po wielu ceremonjach, będących wyrazem uprzejmości — zajęli miejsca pośrodku izby, Wang Lung udał się do kuchni i poprosił żonę, by przyszyła usługiwać gościom. Odpowiedź jej sprawiła mu przyjemność.

— Będę ci podawać naczynia, ale ty zechciej sam stawiać je na stole. Nielubię pokazywać się mężczyznom.

Serce Wang Lunga napełniło się dumą. Oto kobieta nie obawia się ukazywać mu swego oblicza, a nie chce wyjść do innych mężczyzn. Jest tylko jego własnością. Wziął miski z jej rąk i sam ustawił je na stole w środkowej izbie, poczem zawołał głośno:

— Jedzcie, mój stryju, jedzcie bracia. — Stryj lubił żartować, więc odkrzyknął mu:

— Czyż nie zobaczymy własnymi oczami panny młodej?

Wang Lung odparł:

— Nie uchodzi, aby inni mężczyźni oglądali ją, zanim małżeństwo zostanie spełnione.

Rzekłszy to, zaczął ich zachęcać do jedzenia, oni zaś spożywali potrawy z ochotą, a w milczeniu. Jeden zachwalał brunatny sos, w którym podano rybę, drugi — dobrze przyrządzoną wieprzowinę,

zaś Wang Lung odpowiadał za każdym razem nie-
zmiennie.

— Nędzne jedzenie. Podle przyrządzone.

Lecz w duszy dumny był z wieczerzy. Kobieta zaprawiła dostarczone jej mięso cukrem, octem i sosem z soi, oraz winem, Wang Lung nigdy jako żywo nie jadł równie dobrych potraw, ani u siebie ani też w domach przyjaciół.

Owej nocy goście pili w nieskończoność herbatę. A kiedy nareszcie wyczerpawszy zapas żartów i przycinków zabrali się do odejścia, kobieta w dalszym ciągu pełniła wartę za kuchennym piecem. Gdy Wang Lung pożegnał ostatniego gościa, wszedł do kuchni. Żona leżała zmożona snem, na legowisku ze słomy obok wołu. Obudził ją. Na dźwięk jego głosu zasłoniła się ramieniem, jakby chroniąc się przed razami. We włosach jej sterczały żdźbła słomy.

Wreszcie otworzyła oczy i spojrzała nań dziwnym wzrokiem, a jemu zdawało się, że patrzy nań bezbronne dziecko. Ujął ją za rękę i podniósłszy z legowiska zaprowadził do izby, w której tegoż ranka obmywał ciało, myśląc o niej. Zapalił czerwoną świecę. Gdy tak stał w blasku świecy w towarzystwie kobiety, już bez świadków — ogarnęło go onieśmienie.

— Ta kobieta należy do mnie — powtarzał sobie w myśli. — Teraz ma się dopełnić wszystko.

Zaczął gwałtownie zdejmować odzienie. Kobieta tymczasem wsunęła się za zasłony, zwisające nad łóżem i jęła bezszelestnie przygotowywać posłanie.

— Zanim się położysz, zgaś światło — rzekł do niej Wang Lung tonem gburowatym, poczem sam się ułożył na posłaniu i naciągnął gruby koc, na ramiona. Udawał, że śpi. Ale nie spał. Leżał cały drżący, czując ból w każdym nerwie. Minęła długa chwila oczekiwania. Wreszcie światło zgasło, izdebkę za-

legły ciemności. Cicho i bez pośpiechu kobieta wślizgnęła się do łóżka i zajęła miejsce obok Wanga. W tej chwili chwyciła go w szpony taka nieludzka radość, że zdało mu się, iż go zmiażdży. Zaśmiał się ochryple i porwał kobietę w ramiona.

II.

Zaczęło się rozkoszne życie. Następnego ranka Wang Lung wylegiwał się w łóżku, śledząc wzrokiem kobietę, która była już jego niepodzielną własnością. Wstała pierwsza i wciągnęła luźne szaty, poczem zapięła je pod szyją i w pasie. Następnie wsunęła stopy w sukienne pantofle, które umocowała sznurami, wiszącymi stylu. W smudze światła, wślizgującej się przez mały otwór w ścianie widać było wyraźnie nieruchome, obojętne oblicze kobiety. Wang był zdumiony. Miał wrażenie, że ta noc odmieniła go do gruntu, tymczasem kobieta wyszła z jego łóża tak, jakby to czyniła codziennie, przez całe życie.

Nagle ciszę świtu rozdarł przykry dźwięk kaszlu.

— Zanieś najprzód ojcu kubek z gorącą wodą, która mu goi płuca — odezwał się Wang.

— Czy mam wrzucić listki herbaty? — zapytała go spokojnym głosem, który brzmiał tak samo, jak ubiegłego dnia.

Chętnieby odrzekł żonie — „Oczywiście, że trzeba nasypać liści herbacianych. Nie jesteśmy żebrakami“. Chciał dać jej do zrozumienia, że w tym domu mają sobie za nic herbatę. Bo w domu Hwangów każdy kubek pełen był zielonych liści. Tam z pewnością i niewolnice nie zadawałniały się czystą wodą. Wiedział jednak dobrze, że ojciec rozgnie-

wałby się, gdyby zaraz pierwszego dnia synowa poczęstowała go herbata. Zresztą nie stać ich na zbytki. Odrzekł więc niedbałym tonem:

— Herbata? nie. Herbata powiększa mu kaszel.

Kobieta poszła do kuchni i rozpałała ogień. Wang leżał w ciepłym łóżku. Byłby chętnie jeszcze się przespał, ale głupie ciało nawykłe od lat do ранego wstawania nie chciało zasnąć, chociaż miało do tego prawo, spoczywał więc z otwartymi oczami, rozkoszując się błogiem lenistwem.

Jeszcze się trochę wstydził, myśląc o kobiecie, która nagle stała się jego własnością. Przez chwilę medytował o innych sprawach, o polu, o zbożu, o tem, jakie będą zbiory, jeśli spadną deszcze, myślał też o białych nasionach rzepy, którą zamierzał kupić od sąsiada Czinga, jeśli się zgodzą co do ceny. Ale pośród tych codziennych i znajomych myśli, nowa myśl snuła się jak nić z wrzeciona i wplatała się w tamte. Myśl o nowem życiu.

Rozpamiętując ubiegłą noc, zapragnął dowiedzieć się, czy i on podobał się kobiecie. To było nowe, cudowne uczucie. Przedtem zastanawiał się tylko nad tem, czy ona mu się spodoba, czy mu będzie dogadzać, jako gospodyni i jako żona. Miała wprawdzie nieładną twarz i chropowate ręce, ale jej tegie ciało było gładkie i nienaruszone. Znowu się zaśmiał krótko i gardłowo, tym samym śmiechem, którym powitał noc poślubną. Młodzi panicze śnać nie dostrzegali tego, co się kryło w kuchennej niewolnicy. Widzieli tylko jej pospolitą twarz, grube kości, a przecież ciało jej było krągłe i miłe w dotknięciu. Zapragnął nagle, żeby i ona go polubiła tak, jak się lubi męża, ale zawstydził się tej myśli.

Skrzypnęły drzwi. Do izdebki weszła cicho kobieta. W obydwóch dłoniach niosła naczynie, z którego buchała para. Wang usiadł na łóżku i odebrał

kubek. Na powierzchni wody pływały herbaciane liście. Podniósł wzrok na żonę. Przełękła się i szepnęła.

— Nie zaniiosłam herbaty czcigodnemu starcowi. Uczyniłam tak, jak tego żądałeś, ale przyniosłam tobie... ja... przyniosłam...

Wang zauważył z przyjemnością, że kobieta boi się go. Nie pozwolił jej dokończyć zdania i odpowiedział szybko.

— Smakuje mi... smakuje...

Zaczął pić herbatę głośno cmokając. Wstrząsała nim tajemna radość, do którejby się nie przyznał nawet przed samym sobą: — Moja kobieta lubi mnie...

W ciągu następnych miesięcy głównem zajęciem Wanga było przyglądanie się własnej żonie. Napozór nic się nie zmieniło — Wang pracował jak dawniej. Wychodził rankiem z domu z motyką na ramieniu i wędrował w pole. Uprawiał zagony obsiane zbożem, zaprzęgał wołu do pługa oraz ziemię pod czosnek i cebulę, ale praca teraz była rozkoszą, bo skoro tylko słońce zatrzymało się wysoko na niebie, mógł wrócić do domu, gdzie czekali nań z posiłkiem. Na czystym stole stały miski i leżały pałeczki. Dotychczas Wang Lung musiał, wróciwszy z pola, sam gotować jadło, chyba, że stary, przynaglony głodem coś upitrasił, albo upiekł podplomyk, który się naciera czosnkiem. Teraz obiad czekał na niego — mógł więc odrazu zasiąść na ławie i zabrać się do jedzenia. Klepisko było porządnie zamiecione, w palenisku piętrzył się stos chrustu.

Rankiem, gdy Wang szedł w pole kobieta brała bambusowe grabie i kawał sznura i odbywała wędrowkę w poszukiwaniu zeschłych gałęzi, traw i liści. Wraciała w południe z zapasem chrustu, wystarczającym na ugotowanie obiadu. Mąż cieszył się, że nie potrzebuje kupować paliwa.

Popołudniu zabierała motykę i koszyk i zarzucawszy je sobie na ramię szła na gościniec, wiodący do miasta. Mijały ją juczne konie i osły, wędrujące tam i spowrotem. Zbierała łajno zwierzęce, przynosiła je do domu i składała do kupy w kącie podwórka. Był to doskonały nawóz. Wszystko to czyniła w milczeniu, i dobrowolnie. Nawet, gdy dzień się miał ku końcowi, nie zaznawała wytchnienia. Na odpoczynek pozwalała sobie wówczas, gdy wół otrzymał swoją rację jadła i wody.

Następnie zbierała podarte odzienie i naprawiała je bawełnianą nicią, którą sama przędła na bambusowej kądzieli. Wynosiła też pościel na próg domu w słoneczne dnie, odpruwała wierzch kołdry i prała go, a potem suszyła na bambusowych prętach, zaś stwardniałą, brudną watę oczyszczała z robactwa.

Dzień za dniem upływał jej na wypełnianiu domowych czynności, aż wreszcie trzy izdebki nabrały schludnego, nawet dostatniego wyglądu. I stary także czuł się lepiej, mniej kaszlał, i wysiadywał w słońcu pod ścianą domu, drzemiąc słodko.

Kobieta nie odzywała się prawie nigdy, z wyjątkiem ważnych okoliczności. Wang Lung przyglądał się jej, gdy się krzątała w domu, stąpając wolno a pewnie na wielkich stopach, z ukrycia obserwował jej szerokie oblicze, załęknięte, pozbawione wyrazu oczy i myślał sobie, że jej właściwie nie zna. W nocy dotykał jej gładkiego a jędrnego ciała, ale w dzień, to co znał najlepiej, było zakryte odzieniem. W niezdobnym niebieskim kaftanie i spodniach wyglądała jak wierna, małomówna służąca, która jest tylko służącą, niczem więcej. Nie wypadało zapytać „czemu do mnie się nie odzywasz?“. Niech tylko wypełnia sumiennie swe obowiązki. I to wystarcza.

Czasami jednak podczas pracy w polu zastana-

wiał się nad nią. Musiała przecie niejedno widzieć w pałacu, o stu podwórcach. Ciekawiła go jej przeszłość. Chciał wiedzieć, czem było jej życie przed zamążpójściem. Ale napróżno się nad tem zastanawiał. Nie wiedział nic. A gdy przychodziło otrzeźwienie — wstydził się tej swojej ciekawości i tego, że nazbyt wiele poświęca uwagi stworzeniu, które jest tylko kobietą.

*

*

*

Dla niewiasty, która była niewolnicą w wielkim domu i mozoliła się od świtu do północy, dogłądanie mieszkania, złożonego z trzech izb, a także przyrządzanie dwóch posiłków nie jest wystarczającym zajęciem. Pewnego dnia, gdy Wang Lung był zajęty w polu, na zagon, nad którym chylił zboląły grzbiet padł cień kobiety.

— Nie ma nic do roboty w domu — rzekła krótko. Bez słowa zatrzymała się obok męża, po lewej stronie i podniosła motykę.

Słońce siekło ich ognistymi promieniami, bowiem było już wczesne lato. Po chwili na twarz kobiety wystąpiły krople potu. Wang Lung zrzucił kaftan i odsłonił nagie plecy, ona jednak nie uwolniła się od wilgotnego odzienia, które przylegało do jej ramion.

Poruszali się jednocześnie, nie odzywając się do siebie. Mijały godziny. Mężczyzna czuł się teraz bardziej niż kiedykolwiek zespoleony z tą, która osładzała mu pracę. Nie umiałby wyrazić słowami doskonałej jednoczesności ruchów, przyjaznego porozumienia, które polegało na wspólnem odwracaniu do słońca skib ziemi, karmicielki, z której powstał ich dom i ich bogi. Ziemia czarna i tłusta, rozpadała się na skiby, pod ciosami motyk. Niekiedy natrafiali żelazem na cegłę lub kawałek drzewa. Nic

to. Kiedyś tam, przed wielu laty złożono do tej ziemi ciała mężczyzn i kobiet, stały tutaj domy, które zczasem zapadły się w glebę. Ich dom również kiedyś powróci do ziemi, z której go ulepiono, a ciała ich w proch się zamienia, bo każdy ma swój czas. Pracowali tedy w milczeniu, ramię przy ramieniu. Gdy słońce zaszło Wang wyprostował plecy i spojrzał na kobietę. Twarz miała mokrą i czarną, jak ziemia. Ciemne przepocone odzienie przylegało do jej tęgiego ciała. Zajęta była właśnie wygładzaniem ostatniej bruzdy. Po chwili odezwała się swoim bezbarwnym głosem, który wdarł się w ciszę wieczoru.

— Będę miała dziecko.

Wang Lung stanął jak wryty. Cóż miał na to powiedzieć. Ona zaś pochyliła się znowu, podniosła kawałek rozbitej cegły i odrzuciła go daleko od bruzdy. To było tak, jakby oznajmiała mężowi, że mu przyniesie herbaty albo, że już czas na obiad. W jej pojęciu było to czemś zupełnie zwyczajnem, ale on nie pojmował, co się z nim dzieje. Zdawało mu się, że serce jego rozszerzyło się, a potem zatrzymało się nagle, jakby natrafiało na przeszkodę.

Wyjął jej z rąk motykę i rzekł zdławionym głosem.

— Dostyc będzie na dziś. Już wieczór powiemy staremu.

Poszli tedy do domu — on naprzód, ona jak przystało w odległości sześciu kroków za nim. Stary stał w drzwiach. Nie mógł doczekać się wieczornego posiłku. Odkąd w domu była niewiasta, nigdy już sam sobie nie gotował jadła. Niecierpliwił się i wołał zdaleka.

— Jestem za stary, żeby tak długo czekać na jedzenie!

Wang Lung wchodząc w ślad za nim do izby, rzekł:

— Ona spodziewa się dziecka.

Usiłował powiedzieć tych kilka słów swobodnie, tak jak się mówi „obsiałem dzisiaj zachodnie pole“, ale był zanadto wzruszony. Mówił cichym głosem, a zdawało mu się, że krzyczy głośniejszym aniżeli uchodzi.

Stary zamrugał oczkami i zagdakał śmiechem.

— He-he-he — zawołał na synową, gdy stanęła w progu. — Tylko patrzeć będą żniwa...

Nie widział jej twarzy, pogrążonej w mroku, lecz usłyszał jej spokojny głos:

— Przygotuję teraz jedzenie.

— Tak — tak... Jedzenie — rzekł stary, idąc za nią, jak dziecko. Przed chwilą myśl o wnuku odeгнаła odeń myśl o jadle, teraz znów myśl o jedzeniu pozwoliła mu zapomnieć o dziecku.

Wang Lung usiadł ciężko na ławce w ciemnej izbie i oparł głowę, na złożonych na krzyż ramionach.

III.

Kiedy nadeszła godzina rodzenia Wang rzekł do żony:

— Musimy sprowadzić kogoś do pomocy, na ten czas; trzeba wynająć kobietę.

Ale ona potrząsnęła przecząco głową. Zajęta była właśnie zmywaniem misek, po wieczornym posiłku. Stary ułożył się już do snu — byli sami w izbie, tonącej w mrokach, które rozjaśniał migotliwy płomyk lampki napełnionej olejem z fasoli. Pływał w nim bawelniany knot.

— Nie chcesz kobiety do pomocy? — pytał z troskany Wang. Zdażył już przyzwyczaić się do tych dziwnych rozmów, w których udział jej ogra-

niczał się do kilku wymownych ruchów głową, albo ręką. Czasami z szerokich ust padało przypadkowe słowo. Wystarczało mu to.

— Ale to będzie dziwne... Tylko ty i dwóch mężczyzn w domu. Moja matka miała pomocnicę ze wsi. Ja tam się nie rozumiem, na tych babskich sprawach. Może w pałacu Hwangów jest jaka stara niewolnica, z którą byłaś w przyjaźni? Możeby zgodziła się przyjść do nas?

Po raz pierwszy odkąd się poznali mówili o domu, z którego wyszła. Spojrzała nań szeroko rozwartymi oczami, w których czał się gniewny wyraz. Nigdy jej jeszcze takiej nie widział.

— Nikogo niema w tym domu! — krzyknęła gwałtownie.

Wang przestał nabijać fajkę tytoniem i podniósł wzrok na żonę. Zbierała ze stołu pałeczki. Twarz jej odzyskała swój zwykły wyraz.

— A to dopiero — zdziwił się Wang Lung. Ale żona milczała. — My mężczyźni nie znamy się na rodzeniu dzieci — ciągnął dalej. — Nie uchodzi, aby ojciec mój przebywał w twojej izbie, a ja znowuż nie widziałem nawet krowy, gdy zlegnie cielaka. Moje niezdarne łapska mogłyby wyrządzić krzywdę dziecku. Przecież w wielkim domu znajdzie się ktoś, kto się na tem rozumie. Tam przecież niewolnice ciągle rodzą...

Podczas, gdy Wang usiłował przekonać żonę, ona starannie układała pałeczki w niewielki stos, lecz w pewnej chwili spojrzała na męża, wpatrywała się w niego długo, a potem rzekła:

— Jeżeli wrócę do domu Hwangów, to już z synem na rękę. Będzie miał na sobie czerwony kaftan i spodnie w czerwone kwiaty, na główce kapelusze ze złożonym Buddhą, a na nóżkach buciczki z tygrysięgo futra. I ja będę miała nowe pantofle i nowy kaftan z czarnego atlasu. Pójdę do kuchni,

gdzie spędziłam młodość, pójdę też do wielkiej sali, gdzie przesiaduje Starsza Pani ze swoją fajką. Pokażę się im i pokażę naszego syna.

Nigdy jeszcze Wang nie słyszał żony, mówiącej tak wiele. Słowa płynęły z jej ust powoli, lecz bez przerwy. Widocznie już dawniej ułożyła sobie cały plan. Musiała go obmyślać podczas pracy w polu. Wang był zdumiony. Zdawało mu się, że nigdy nie myślała o dziecku, tak się spokojnie krzątała przy gospodarstwie, okazuje się, że już wtedy myślała o swoim nienarodzonem jeszcze dziecku, jak o kimś żywym. Widziała je w nowem ubranku, widziała też siebie strojną w kaftan z atlasu.

Tym razem Wangowi zbrakło słów. Zamilkł i zaczął kręcić tytoń między wielkim palcem, a wskazującym, a potem wepchnął sporą kulkę do cybucha.

— Myślę, że będziesz potrzebowała pieniędzy — odezwał się wreszcie.

— Gdybyś mógł mi dać trzy sztuki srebra — szepnęła lękliwie. — Ja wiem, to bardzo dużo, ale wszystko obliczyłam. Nie zmarnuję ani jednego pensa. Każę kupcowi uczciwie odmierzyć materiały.

Wang Lung sięgnął do kabzy, wiszącej za paskiem. Ubiegłego dnia sprzedał na targu zapas trzciny z nad stawu na zachodnim polu, miał więc w tej chwili aż nadto pieniędzy. Położył trzy srebrne dolary na stole, a po chwili wahania dołożył czwartą sztukę. Odkładał ją na wypadek, gdyby mu przyszła kiedy ochota popróbowania szczęścia w hazardzie. Zazwyczaj zadawałniał się wystawaniem przy stołach w herbaciarni. Przyglądał się gościom, stukającym o deski, ale sam nie grał. Obawiał się, że przegra. Wolne chwile, jakie mu pozostawały po załatwieniu sprawunków w miasteczku, spędzał nieraz w straganie człowieka, który opowiadał

bajki. Rzuca mu się najwyżej jednego pensa do mi-
seczki, a wzamian słyszy się piękne stare baśnie.

— Weź i tę czwartą sztukę — rzekł, zapalając
fajkę — możesz uszyć mu kaftan z resztek jedwa-
bi. Trudno — syn ma przywileje.

Nie wzięła pieniędzy, ale długo stała z oczami
wlepionymi w monety, poczem szepnęła.

— Nigdy w życiu nie miałam srebrnego pienia-
dza w ręku.

Nagłym ruchem chwyciła dolary i, ukrywszy
je w dłoni, pobięła do sypialni.

Wang Lung palił fajkę i myślał o srebrze, któ-
re położył na stole. Pochodziło ono z ziemi. Z tej
ziemi, którą orał i uprawiał, i poświęcał każdą wol-
ną chwilę. Czerpał siły żywotne z ziemi, w pocie czo-
ła wydierał jej pożywienie i zamieniał je na sre-
bro. Ilekroć musiał oddać komuś, zdobyte z takim
trudem srebro, zdawało mu się, że się lekkomyślnie
wyzbywa kilku lat życia. Ale dzisiaj nieprzewidzia-
ny wydatek nie sprawił mu bólu. Srebrne monety
nie znalazły się w nieprzyjaznej dłoni miastowego
kupca, ale przeistoczyły mu się w oczach w coś sto-
kroć cenniejszego, a mianowicie w ubranko, osła-
niające ciało syna. I znowu się zadumał nad dziw-
ną niewiastą, która pracuje od rana do nocy, nie
odzywając się ani słowem, jak niemowa, jak ślepa
a która widzi już swoje nienarodzone dziecko przy-
strojone w odświętne ubranie.

* *

*

Kiedy nadeszła jej pora, nie chciała nikogo dopu-
ścić do siebie. Zdarzyło się to pewnego popołudnia,
zaraz po zachodzie słońca. Zajęta była jak zwykle
pracą w polu, przy boku męża. Pszenicę już zżęto,
na zalanych wodą polach wzeszedł ryż, a po okresie

letnich deszczów kłosy ryżowe napełniły się ziarnem i dojrzewały w blaskach jesiennego słońca. Zgięci w pas żęli całymi dniami wiechy ryżu okrągłemi sierpami, o krótkich rękojeściach. Kobieta pochylała się z trudem, z powodu ciężaru, jaki nosiła w łonie; poruszała się wolniej od męża, więc robota szła niesporo — on ją wyprzedzał, ona zostawała w tyle. Mąż często oglądał się poza siebie i obrzucał żonę gniewnem spojrzeniem. Opieszałość jej niecierpliwiła go. Nagle O-lan zatrzymała się, jak wryta. Na twarz jej wystąpił pot kroplisty, jak się widuje na twarzach konających.

— Już czas — odezwała się cicho. — Pójdę do domu. Nie wchodź do mej izby, dopóki cię nie zawołam, ale przygotuj mi ostruganą i zaostrzoną trzcinę, żebym mogła odciąć dziecko od mego żywota.

Rzekłszy to, powlokła się naprzelaj polem, w kierunku domu. Wang patrzył na nią, poczem zawrócił i wybrał smukłą zieloną trzcinę, rosnącą nad sadzawką. Ostrugał ją starannie i zaostrzył sierpem.

Nad światem zapadał jesienny mrok, przewiesił więc sierp przez ramię i poszedł do chaty.

Na stole czekała na niego gorąca kolacja. Stary siedział nad miską pełną jadła. Więc zdołała jeszcze w przerwach bólu ugotować nam posiłek — pomyślał Wang. — Nie — takiej drugiej kobiety nie ma na świecie. Zbliżył się do drzwi sypialni i zawołał:

— Oto jest trzcina.

Stał chwilę pod drzwiami. Spodziewał się, że go może zawoła, ale ona sama podeszła do drzwi i wsuwając rękę w szparę wzięła trzcinę. Nie rzekła nic, lecz sapiała jak zgonione zwierzę.

Stary podniósł głowę z nad miski i zamamrotał:

— Jedz, bo wystygnie. Nie niepokój się. To potrwa długo, bardzo długo. Pamiętam, gdy się rodził mój pierworodny, cała noc minęła zanim się zjawił. O ja nieszczęsny... Ze wszystkich synów, których spłodziłem, a których twoja matka rodziła — było tego ze dwadzieścioro, może mniej, już nie pomnę — tylko ty jeden zostałeś przy życiu. Oto dlatego niewiasta powinna nieustannie rodzić i rodzić...

Zamilkł na chwilę, a potem znowu przemówił, jakby się teraz dopiero spostrzegł, co się święci.

— Jutro o tej porze będę dziadkiem mężczyzny.

Roześmiał się i przestał jeść. Przez dłuższą chwilę w mrocznej izbie słychać było rechotliwy, starczy chichot.

Wang Lung był niespokojny. Stanął znowu pod drzwiami i nasłuchiwał zwierzęcego sapania. Przez szparę w drzwiach wionął nań mdlący zapach gorącej krwi. Wang przestraszył się. Oddech kobiety stał się głośny i gwałtowny, niby stłumiony krzyk. Wang nie mógł tego dłużej znieść, już chciał wtargnąć do izby, gdy nagle usłyszał cienki, gniewny wrzask. Zapomniał o wszystkim.

— Czy mężczyzna? — zawołał.

Znowu ten sam cieniutki głosik ostry jak drut, przerwał ciszę.

— Czy to mężczyzna? — nalegał Wang. — Powiedz przynajmniej, czy urodziłaś mężczyznę?

Z głębi izby odpowiedział mu, słaby jak echo, głos kobiety.

— Mężczyzna.

Wang podszedł do stołu i usiadł ciężko na ławie. Jakże to prędko poszło. Na stole stała miska z wystygłym jadłem, stary ojciec zdrzemnął się, znużony czekaniem, a przecież trwało to wszystko tak krótko. Szarpnął ojca za ramię.

— Syn! — krzyknął dumnie. — Jesteś dziadkiem, a ja ojcem.

Stary obudził się i zaczął znowu śmiać się tak samo jak przed zaśnięciem.

— Tak, tak — zagdakał. — Jestem dziadkiem, dziadkiem...

Wstał i pokuszywał do łóżka, nie przestając rechotać.

Wang Lung sięgnął po miskę z ryżem. Poczuł nagle głód. Jadł łapczywie i prędko. Słyszał szuranie kroków w izbie żony. Wrzask dziecka nie ustawał ani na chwilę.

— Zdaje się, że już nie zaznamy nigdy spokoju w tym domu — rzekł Wang z dumą.

Kiedy się pożywił, zbliżył się znowu do drzwi. Tym razem żona przywołała go do siebie. Wszedł do izby. Powietrze przesyczone było ciężką, mdłą wonią, ale Wang nie dostrzegł krwawych śladów. Tylko w drewnianej kadzi czerniała krew. Kobieta doiała do niej wody i wsunęła kadełko pod łóżko. Na stole płonęła czerwona świeca. Chora spoczywała na łóżku, starannie pokryta kocem. Obok niej leżał syn owinięty, zgodnie z tradycją w stare ojcowskie spodnie.

Wang stanął przy łóżku. Oniemiał z wrażenia. Serce łomotało mu w piersiach. Nachylił się nad dzieckiem: miało maleńką, pomarszczoną twarzyczkę, dziwnie śniadą, a na główce długie, wilgotne czarne włosy. Przestało już krzyczeć i leżało spokojnie, z zaciśniętymi powiekami.

Wang przeniósł wzrok na żonę. Ona również spojrzała na niego. Włosy jej były jeszcze spotniałe, a wąskie oczy zapadły się. Pozatem nie znać na niej było żadnej zmiany. Ale Wang patrząc na nią odczuwał wzruszenie — serce mu się rwało z piersi do tych dwojga istot, spoczywających na posłaniu.

Przemówił do żony, nie wiedząc właściwie co ma powiedzieć.

— Jutro pójdę do miasta i kupię funt czerwonego cukru. Wsypię go do gorącej wody i dam ci do wypicia.

Raz jeszcze ogranał wzrokiem dziecko i powiedział szybko, jakby mu to w tej chwili przyszło na myśl:

— Trzeba będzie kupić kosz jaj i ubarwić je na czerwono. Niech się wszyscy dowiedzą, że mam syna.

IV.

Następnego dnia kobieta wstała o zwykłej porze i przygotowała jadło, ale nie wyszła w pole z Wangiem. Pracował więc sam do południa, później odział się w niebieską szatę i powędrował do miasta. Kupił na targu pięćdziesiąt nieświeżych jaj, po jednym pensie sztuka i czerwonego papieru, który gotuje się razem z jajami, żeby im nadać piękny, czerwony kolor. Następnie wstąpił do sklepiku ze słodyczami i kupił funt cukru. Kupiec zawinał go starannie w brunatny papier, a pod słomiany sznurek wsunął kawałek czerwonego papieru. Uśmiechnął się przytem.

— To zapewne dla matki nowonarodzonego dziecka?

— Narodził się nam pierworodny syn — odparł dumnie Wang Lung.

— Życzę szczęścia — odpowiedział kupiec obojętnym tonem. Patrzał teraz na innego dostatnio ubranego klienta, który właśnie wszedł do sklepu. Kupiec nieraz składał gratulacje ludziom, niektórym codziennie życzył szczęścia, lecz Wang Lung

był pewny, że zrobił wyjątek tylko dla niego, więc pochlebiony jego uprzejmością, pokłonił mu się głęboko kilka razy. A gdy wyszedł na ulicę, skąpaną w blaskach słońca, pełną kurzu i gwaru, wydało mu się, że niema szczęśliwszego człowieka. Pomyślał o tem naprzód z radością, a potem z lękiem. W życiu nie oplaca się być zbyt szczęśliwym. Niebo i ziemia pełne są złych duchów, które nie mogą strawić szczęścia zwykłych ludzi. Skierował się tedy w stronę sklepu ze świecami, gdzie można też nabyć kadzidło i kupił cztery pałeczki, po jednej dla każdego członka rodziny. Następnie udał się do maleńkiej świątyni boga Ziemi i rzucił kadzidło na wystygły popiół. Popiół ten pochodził z kadzideł, które w dzień ślubu zapalili razem z żoną. Sprawdził czy wszystkie cztery pałeczki palą się i odszedł uspokojony na duchu, bowiem dwie małe opiekuńcze figurki, królujące pod maleńkim daszkiem, posiadają moc wielką.

* *
* *

Zanim ktokolwiek się spostrzegł kobieta powróciła do zajęć w polu. Minał okres żniw, młócili więc teraz ziarno na klepisku w przedsionku domu. Thukli je cepami, a potem czyścili ziarno, rozrzucając je płaskimi bambusowymi koszykami, na wiatr. Dobre ziarno chwytali spowrotem zaś plewy i źdźbła słomy ulatywały białawą chmurą. Trzeba też było obsiać pole na zimę. Wang Lung zaprzągnął wołu do pługa i orał ziemię, a w ślad za pługiem kroczyła kobieta z motyką, wyrównywując bruzdy.

O-lan pracowała od rana do wieczora, a dziecko spało na ziemi, na kawałku podartego koca. Gdy zaczynało płakać kobieta obnażała pierś, napęczniałą pokarmem i zbliżała ją do ust dziecka. Siedziała

wtedy na ziemi w świetle jesiennego słońca, które niechętnie wyzbywa się ciepła. Twarz kobiety i dziecka były czarne, jak gleba. Rzekłbyś, dwie gliniane rzeźby wyrastają z pola. Na włosach kobiety i na miękkiej, czarnej główce dziecka osiadał szary pył. Z wielkiej brunatnej piersi matki lało się mleko, białe jak śnieg. Gdy dziecko ssało jedną pierś, z drugiej płynął strumień, jak z fontanny. O-lan nie powstrzymywała go. Mleka miała aż nadto — starczyłoby dla wielu dzieci.—Pozwalała mu więc płynąć. Piersi jej były niewysychającym źródłem życia. Czasami podnosiła jedną pierś i kierowała strumień mleka na ziemię — występowała wtedy wilgotna, czarna plama na polu.

Nadeszła zima. Nie budziła w nich jednak obawy. Byli przygotowani na jej przyjście. Ziemia wydała trzykrotnie taki plon, jakiego nie pamiętano dawno. Mały domek o trzech izbach pękał z nadmiaru zapasów. Z poprzecznych belek dachu, krytego strzechą, zwieszały się sznury suszonej cebuli i czosnku, w środkowej izbie i w izbie starego oraz w ich sypialni stały kosze plecione z trzciny, mające kształt garnków, pełne zboża i ryżu. Większa część zapasów była przeznaczona na sprzedaż, ale Wang Lung, jako człek oszczędny, nie trwonił pieniędzy, jak to czynili wieśniacy, na hazardowe gry, albo na przysmaki, nie potrzebował więc wyzbywać się zbiorów w okresie żniw, kiedy cena zboża bywa niska. Mógł je sprzedawać w zimie, gdy spadnie pierwszy śnieg, albo na Nowy Rok, kiedy ludzie miastowi płacą bez targu, za jedzenie.

Natomiast stryj Wanga musiał sprzedawać zboże, zanim dojrzało. Czasami, gdy potrzebował zaraz gotówki, oddawał je na pniu, oszczędzając sobie kłopotu żęcia i młócenia. No, ale żona stryja, to szalona kobieta, tłusta i leniwa, wiecznie naprzykrzająca się o słodczy, o rozmaite przysmaki, ba —

nawet o pantofle, szyte przez miejskich szewców. Żona Wang Lunga sama szyje obuwie dla siebie i dla dziecka. Wang nie wiedziałby, co rzec, gdyby żona zażądała od niego kupna pantofli w mieście.

W starym, zmurszałym domu stryja nic nie wisiało u belek, podtrzymujących dach, a w domu Wanga wisiała nawet noga wieprzowa, którą kupił od sąsiada Czinga. Czing zabił świnie, bo tak jakoś wyglądała, jakby miała zdechnąć, ale pospieszono się i zarżnięto ją, zanim schudła. Noga była spora. O-lan posoliła ją dokładnie i zawiesiła w suchym miejscu. Wisiały tam również dwie kury, ich własne kury, zarżnięte, napchane solą i wysuszone razem z pieprzem.

W takich oto dostatkach siedząc, powitali dokuczliwe zimowe wichury, pędzące z pustyni na północno-wschód. Dzieciak nauczył się już siedzieć o własnych siłach. W dzień jego urodzin, to znaczy po upływie miesiąca uraczyli się wszyscy kluskami, które są symbolem długowieczności. Wang Lung sprosił tych samych gości, którzy uczestniczyli w ceremonji weselnej. Każdy z nich otrzymał na pamiątkę dziesięć czerwonych jaj, tym zaś, którzy przychodzili ze wsi z życzeniami, darowało się po dwa jaja. Wszyscy zazdrościli Wangowi syna. Tłuste dziecko, o księżycowem obliczu i wydatnych kościach policzkowych, ładząco podobne było do matki. Zimową porą syn Wanga siadywał na kocu, rozłożonym na klepisku, wewnątrz domu, a rodzice otwierali drzwi od południowej strony. Izba pławiła się w słońcu, a od północnej strony zły wiatr walił bezskutecznie w grubą ścianę, lepioną z ziemi.

Palma daktyłowa, rosnąca u progu, straciła niebawem wszystkie liście, wiatr ogołocił też wierzby i brzoskwiniowe drzewka, rosnące niedaleko pola, tylko na wschodniej stronie zagrody broniły się przed mroźnymi podmuchami smukłe bambusy. Dhu-

gie ich liście przylegały ciasno do pni, chociaż nieraz wiatr rozdzierał je na dwoje. Wang Lung z niepokojem wyglądał deszczu. Ziarna pszenicy nie chciały kielkować. Wiatr wysuszał ziemię. Ale pewnego razu zupełnie niespodziewanie spadł deszcz. Wszyscy przyglądali się strumieniom wody, lejącym się z nieba i wsiąkającym w pole. Ze strzechy ściekała woda nad drzwiami. Dziecko zdziwiło się na widok deszczu. Wyciągnęło rączki, chcąc złowić srebrne smugi i śmiało się radośnie, a rodzice wtórowali mu śmiechem. Stary usiadł w kuczki na ziemi, obok wnuka i rzekł:

— Niema takiego drugiego dziecka w dwunastu wsiach. Pędraki mojego brata niczego nie uważa. Łażą jak ślepe.

Pod wpływem deszczu, brunatna gleba pokryła się jasno zielonemi kielkami pszenicy. W taki czas ludzie odwiedzali się wzajemnie. Gospodarze radują się, że raz przynajmniej niebo wyręczyło ich w polu. Nie potrzebują zginać zbolałych grzbietów, obarczonych ciężarem bukłaków, toteż od rana samego zbierają się w tym lub innym domu i popijają herbatę. Potem wedrują od zagrody do zagrody, boso, pod wielkimi papierowemi parasolami, nasyconemi tłuszczem, idą tak wąskimi ścieżynami, naprzelaj przez pola. Niewiasty przesiadują w domach, zajęte szyciem obuwia i naprawianiem odzieży, medytując o nadchodzącem święcie Nowego Roku, które wymaga niebylejakich przygotowań.

Wang Lung i jego żona niezbyt chętnie odwiedzali sąsiadów. Żadna z wielkich chat nie była tak przytulna i zasobna, jak ich własny domek. Wang Lung przeczuwał, że jeśli nadto spoufali sąsiadów, to zaczną od niego pożyczać. Zbliżał się Nowy Rok, a ktoś z wieśniaków miał dość pieniędzy, aby kupić wszystko, czego zapragnie, aby sprawić nowe ubranie i urządzić świąteczne przyjęcie. Siedział tedy

Wang Lung w domu — żona jego szyła i łątała, on zaś naprawiał bambusowe grabie. Na miejsce przerwane sznurka wplatał nowy, uwity z konopi wyhodowanych w ogródku, a połamane zęby zastępował kawałkami bambusa.

To, co czynił Wang Lung w gospodarstwie męskim, żona jego, O-lan, czyniła dla domu. Gdy dostrzegła rysę na glinianem naczyniu, nie wyrzucała go, jak to robią inne kobiety i nie wspominała o kupnie nowego, lecz mieszała ziemię z gliną i zalepiała szparę, a potem stawiała dzban na wolnym ogniu.

Mieli dość zajęcia w domu i przebywali w nim chętnie, radując się w duchu świadomością, że wzajemnie się oceniają i ufają sobie. Rozmowy ich były niezmiernie lakoniczne. Przeważnie rzucali odezwane zdania — „sprzedamy słomę; trzeba ususzyć łodyg fasoli na podpałkę“, a na to O-lan odpowiadała: „maka w tym roku jest dobra“.

Ze sprzedanych zbiorów uzyskał Wang Lung garść srebrnych dolarów. Chował je w sakwie. O istnieniu tych dodatkowych pieniędzy wiedziała tylko O-lan. Pewnego razu, jeśli się naradzać, gdzieby ukryć srebro. O-lan wpadła na chytry pomysł — wywierciła niewielką dziurę w wewnętrznej ścianie izby, za łóżkiem, i tam schowała srebro. Dziurę zalepiła gliną. Nie było jej widać, ale świadomość, iż posiadają taki schowek napędzała Wanga i O-lan radością. Mieli już własne oszczędności, o których nikt nie wie. Wang Lung wiedział, że ma więcej pieniędzy, aniżeli mu potrzeba — toteż szedł między ludzi pewny siebie i zadowolony ze wszystkiego.

Zbliżało się święto Nowego Roku. We wszystkich chatach krzątano się gorączkowo. Wang Lung udał się do miasta, do handlarza świec i kupił kilka ćwiartek czerwonego papieru. Namalował na nich złotą farbą formułkę, przynoszącą szczęście, na innych wypisał zdanie, zapewniające zyski, i przykleił zaczarowane papierki do domowych naczyń. Teraz napewno będzie mu się wieść w Nowym Roku. Nałepił też czerwone kartki na pługu, na jarmie wołu i na dwóch kubłach, w których dźwigał wodę i nawóz. I na drzwiach domu trzepotały długie czerwone wstęgi papieru, pokryte złotymi znakami, zaś nad siecią szeleścił piękny, papierowy kwiat. Nie zapomniał też o nowych szatach dla bożków. Robotę tę wykonał drżącymi rękami stary ojciec, a Wang Lung zaniósł szaty do świątynki i odział bogów, spaliwszy przed nimi szczyptę kadzidła, na intencję Nowego Roku. Dla domu kupił jeszcze dwie czerwone świece. Zapala się je przed wizerunkiem bożka, przyklejonym do ściany nad stołem w wewnętrznej izbie.

Niebawem Wang Lung znowu powędrował do miasta. Tym razem nabył sadła i białego cukru. O-lan wymieszała sadło z cukrem i mąką ryżową, i ulepiła tłuste noworoczne ciastka, zwane księżycami. Takie same ciastka jada się w domu Hwangów.

Skoro ciastka spoczęły na stole, w równym szeregu, gotowe do pieczenia, Wang Lung poczuł, że duma rozpira mu serce. Nie, takiej drugiej niewiasty nie ma w całej wsi, żadna nie potrafi upiec ciastek, które zjawiają się tylko na stołach bogaczy, podczas uroczystości. O-lan wetknęła w niektóre ciastka kawałki suszonych zielonych śliwek i skórki glogu,, układając je w kwieciste desenie.

— Szkoda jeść takich śliczności — rzekł Wang Lung.

Stary ojciec kręcił się wokoło stołu, nie tając dziecinnego zachwyty.

— Zawołajcie mego brata, a waszego stryja — rzekł z uniesieniem. — Zawołajcie ich dzieci. Niech się napatrzą.

Ale dobrobyt uczynił Wang Lunga ostrożnym. Nie należy pokazywać ciastek głodnym ludziom.

— Lepiej nie patrzeć na nie przed Nowym Rokiem — odparł. — To przynosi nieszczęście. — Zaś O-lan, której ręce były lepkie od tłuszczu i mąki, dodała:

— One nie są przeznaczone dla nas. Tylko dwa najmniej wydarzone pozostaną dla gości, dla pokosztowania. Przygotowałam je dla Starszej Pani w pałacu. W drugie święto zabiorę dziecko i zaniosę ciastka w upominku.

W tej chwili ciasto nabrało w oczach Wang Lunga szczególnego posmaku. Wang cieszył się, że do wielkiego przedsięwzięcia, w którym czekał tak nieśmiało i tak nędznie ubrany, wejdzie teraz jego żona w charakterze gościa, z synem na ręku i z koszem pełnych placuszków, upieczonych z najlepszej mąki.

Wszystko, co dotyczyło Nowego Roku zmalowało nagle, wobec tak doniosłego faktu. Kiedy Wang włożył nowy czarny kaftan, uszyty rękami żony, mruknął do siebie:

— Włożę go, gdy ich będę prowadzić do pałacu.

Toteż pierwszy dzień Nowego Roku nie sprawił na nim silnego wrażenia, pomimo, że w domu zaroilo się od sąsiadów i krewniaków, podnieconych jadłem i piciem. Wang sam czuwał nad tem, by odłożyć kolorowe ciastka do koszyka, chroniąc je przed gośćmi, lecz gdy zaczęto wychwalać zwyczaj-

ne białe placki, pachnące tłuszczem i cukrem, z trudem powstrzymał od krzyku: „Ach! gdybym im pokazał czerwone!” Ale nie uczynił tego, gdyż myślał przede wszystkim o wizycie u Hwangów.

W drugie święto Nowego Roku, czyli w dzień kobiet ((składają sobie w ten dzień wizyty, jako że mężczyźni odpoczywają w domach, po uczcie ubiegłego dnia), Wang Lung i O-lan zerwali się o święcie. Kobieta ubrała dziecko w czerwony kaftan i tygrysie pantofelki, które sama uszyła. Na główkę dziecka, ogoloną przez Wang Lunga w ostatnim dniu Starego Roku, włożyła czerwony kapelusik, bez rondka, z połączanym wizerunkiem Buddhy, przyszytym nad czołem, poczem ułożyła dziecko na posłaniu. Wang Lung ubierał się szybko, podczas gdy żona czesała długie, czarne włosy. Zwinęła je w węzeł i spięła posrebrzaną szpilką, którą dostała od męża. Ubrała się w nowy czarny kaftan, uszyty z tej samej sztuki materji, co kaftan mężowski (24 stopy dobrego sukna na ich dwoje, z dodatkiem dwóch stóp na wyrost). Następnie ojciec wziął dziecko na ręce, a ona koszyk z ciastkami i puścili się w drogę, pełną miedzą, naprzelaj przez nagie rzyska.

Wang Lung został szczerze wynagrodzony, za swe trudy, gdy się znalazł u bram Domu Hwangów, gdyż dozorca zbudzony wołaniem kobiety otworzył szeroko oczy i kręcąc długie włosy brodawki, zawołał:

— Ach, to Wang Lung, tym razem w trzech osobach! — A widząc nowe ubranie i dziecko na rękach ojca, dodał: — Nie potrzeba wam życzyć więcej szczęścia, na ten Nowy Rok. Miejcie tyle, ileście mieli w zeszłym roku.

Wang Lung odpowiedział niedbale, jak ktoś kto widzi prostaka przed sobą: — Dobrze zbiory, niezłe zbiory, — i pewny siebie przekroczył próg bramy.

Dozorca przejęty tem, co ujrzał, rzekł do Wang ga:

— Posiedźcie tutaj i poczekajcie, aż zapowiem przyjdzie niewiasty i syna.

Wang Lung patrzył teraz, jak wgląb podwórców idzie jego żona z synem na rękę i niesie podarki dla głowy wielkiego rodu. Kiedy wreszcie przebyli długą amfiladę podwórców i zniknęli mu z oczu, wszedł do domu dozorca. Bez wahania, jako rzecz zwykłą, przyjął od ospowatej dozorczyni filiżankę herbaty, ale nie wypił jej, jakby nie była dosyć dobra dla niego.

Minęła długa chwila, zanim powrócił dozorca, razem z kobietą. Wang Lung przyjrzał się badawczo żonie — chciał sprawdzić, czy wszystko odbyło się jak należy, nauczył się już bowiem czytać z tej nieruchomej twarzy to, czego nie umiał się dopatrzeć w niej dawniej. Oblicze O-lan wyrażało zadowolenie. Wang Lung nie ukrywał zniecierpliwienia. Chciał natychmiast dowiedzieć się, jak się odbyło wejście do skrzydła przeznaczonego dla niewiast, gdzie nie miał prawa wstępu..

Złożywszy kilka krótkich ukłonów dozorce i jego ospowatej żonie, skinął na O-lan i odebrał od niej dziecko. Małeństwo spało smacznie, skuliwszy się w fałdach ubrania.

— No, więc? — krzyknął, odwracając głowę w kierunku O-lan. Po raz pierwszy drażniła go jej powolność. Podeszła do niego bliżej i szepnęła:

— Gdyby mnie ktoś zapytał, tobym wyznała, że sędzę, iż państwo są w niedostatku.

Rzekła to głosem pełnym przejęcia, jakby mówiła o bogach, które cierpią głód.

— Co masz na myśli? — nalegał Wang Lung.

Ale ona nie uznawała pośpiechu. Musiała łowić każde słowo i wypuszczać je w świat z wysiłkiem:

— Starsza pani miała na sobie ten sam kaftan,

co i przeszłego roku. To się dawniej nie zdarzało. I niewolnice nie miały nowych ubrań. — A po przerwie dodała: — Nie widziałam ani jednej niewolnicy, któraby miała taki kaftan, jak ja. — I znowu po chwili: — A co do naszego syna, to nawet wśród nałożnic Starszego Pana niema dziecka, któreby można równać pięknnością i strojem z naszym synem.

Twarz jej rozjaśnił uśmiech. Wang Lung parsknął głośnym śmiechem i przycisnął czule dziecko. I nagle, gdy tak się radował, smagnął go obłędny strach. To szaleństwo, iść tak pod otwartem niebem z dzieckiem, narażając je na zetknięcie z pierwszym z brzegu złym duchem, który mknie w powietrzu. Rozchylił płaszcz, ukrył za pazuchę główkę dziecka i rzekł głośno:

— Jaka szkoda, że dziecko nasze jest dziewczyną, której nikt nie chce, a w dodatku dziobatą. Módlmy się, aby umarło.

— Tak, tak — rzekła prędko żona, pojmując niejasno, co się dzieje.

Uspokojony Wang Lung znowu zwrócił się do żony, nagląc ją.

— Czy sprawdziłaś, dlaczego tak zubożeli?

— Rozmawiałam tylko przez chwilę, na osobności, z kucharką, której służyłam kiedyś, — odrzekła O-lan — powiedziała mi tak:

— Nie starczy majątku dla pięciu młodych paniczów. Wyrzucają pieniądze jak wodę, w obcych krajach, odsyłają nałożnice, skoro się im znudzą, Starszy Pan bawi się w domu z coraz to nową nałożnicą, a Starsza Pani zjada tyle opjum codziennie, że mogłaby zato napęlić złotem dwa pantofle.

— Czy oni są naprawdę tacy rozrzutni? — zapytał Wang głosem zdławionym.

— Trzecia córka ma wyjść zamaż na wiosnę — ciągnęła dalej O-lan — dostanie książęce wiano. Suknie jej będą z najpiękniejszego atlasu w deseń,

umyślnie tkanego w Szoszow i Hańczow, a z Szanghaju przyjedzie krawiec z pomocnikami, żeby nie było obawy, iż nasza panienska będzie gorzej ubrana, aniżeli damy z obcych stron.

— Kogoż ona ma zaślubić, że się tyle wydaje na wesele? — zapytał Wang Lung.

Wstrząsał nim podziw i przerażenie na myśl, że ktoś może tak trwonić majątek.

— Wyjdzie zamaż za drugiego syna pewnego urzędnika z Szanghaju — odpowiedziała O-lan, i zamilkła. Po dłuższej chwili dodała: — Widocznie zubożeli, bo Starsza Pani sama mi powiedziała, że chcą sprzedać ziemię, kawał gruntu od południowej strony, zaraz za murem miejskim, gdzie zawsze siano ryż, bo to ziemia dobra i łatwo dająca się nawodnić wodą z fosi, otaczającej mury.

— Chcą sprzedać ziemię? — powtórzył Wang Lung. — No, tak. To jasne, że zubożeli. Ziemia to przecież krew i ciało nasze.

Milczał przez chwilę. Nagle trzepnął się w czoło dłonią.

— Gdzie też ja mam głowę! — zawołał, zwracając się do żony. — My kupimy tę ziemię.

Popatrzyli na siebie. Oczy Wanga wyrażały zachwyt, oczy O-lan pełne były zdumienia.

— Ależ ziemia, ziemia... — wybełkotała.

— Kupię ją! — krzyknął dumnie. — Kupię ziemię od wielkiego rodu Hwangów.

— To za daleko — odezwała się zakłopotana O-lan. — Musielibyśmy wędrować prawie przez cały ranek.

— A ja kupię ich ziemię — powtórzył gniewnie, jak dziecko, przekomarzające się z matką.

Kupić ziemię, mądry pomysł — przerwała mu, chcąc go ułagodzić. — Lepsze to, niż chowanie pieniędzy w murze, lepionym z błota. Ale dlaczego byś nie kupił ziemi stryja? Stryj bardzo chce sprzedać

kawał pola, sąsiadującego z naszym, po zachodniej stronie.

— Nie, nie chcę ziemi stryjowskiej — odparł Wang głosem donośnym. — Wymęczył glebę przez tych dwadzieścia lat. Wolę kupić pole Hwangów.

Mówił „pole Hwangów” takim tonem, jakby była mowa o polu sąsiada Czinga. Jest już dzisiaj nie tylko równy Hwangom, ale oni od niego zależą, ci rozrzutni szaleńcy. Pójdzie do nich ze srebrem w garści i powie prosto:

— Mam pieniądze. Ile kosztuje ziemia, którą chcecie sprzedać? — Myśląc o tem, słyszał już siebie mówiącego do Starszego Pana i do jego pośrednika: — Mówcie ze mną, jak z każdym innym. Ile chcecie. Mam pieniądze. Płacę gotówką.

Żona jego, która była pomywaczką w kuchni, niewolnicą dumnego rodu, będzie teraz żoną człowieka, który posiada kawał ziemi, której ród Hwangów zawdzięcza swą wielkość. Zdawało mu się, że samem myśleniem o tych sprawach zmniejszył opór żony.

— Kupimy ją — powtarzał. — Przecie ziemia na polach ryżowych jest dobra, fosa znajduje się blisko pola. możemy co roku zaopatrywać się w wodę, potrzebną do nawodnienia pola.

Na twarzy O-lan pojawił się uśmiech, ten uśmiech, co nigdy nie zapalał błysków w wąskich, tępych oczach.

Zeszłego roku o tej porze byłam niewolnicą w tym domu — szepnęła.

Szli w milczeniu, przepełnieni myślą o dziwnej odmianie.

VI.

Odkąd Wang Lung stał się właścicielem kawałka ziemi, życie jego uległo przeobrażeniu. Tranzakcja miała przebieg następujący:

Najprzód Wang wydobyl ze schowka w ścianie zapas srebra i zaniósł go do pałacu. Miał zamiar rozmówić się ze Starszym Panem, jak równy z równym, lecz gdy minęło podniecenie nawiedziły go czarne myśli. Niemal żałował swego czynu. Ilekroć uprzytomniał sobie, że w schowku nie ma już srebrnych monet, których zresztą nie miał zamiaru wydać, pragnął aby powróciły na swoje miejsce. Będzie też musiał ciężko pracować, na tych nowych gruntach. O-lan miała rację — pole leżało daleko, więcej niż o jedną „li“, czyli o jedną trzecią mili angielskiej. No i ceremonja kupna nie odbyła się w nastroju tak uroczystym, jak się tego spodziewał.

Przyszedł do pałacu zbyt wcześnie. Stary Pan spał jeszcze. Wprawdzie było już południe, ale gdy rzekł do dozrocy: „Proszę powiedzieć Jego Wysokości, że mam ważny interes i że będzie mowa o pieniądzech“, dozorca odparł tonem rzeczowym:

— Za żadne skarby świata nie obudzę starego tygrysa. Śpi z nową nałożnicą, zwaną Kwiatem Brzoskwini. Bawi się nią dopiero od trzech dni. Zabiłby mnie, gdybym go przebudził. Niewarto umierać — i dodał jeszcze, skubiąc owłosioną brodawkę — nie wyobrażaj sobie, że myśl o pieniądzech mogłaby go obudzić. Nasz Pan przywykł do pieniędzy: od dnia urodzenia miał pod ręką tyle srebra, ile chciał.

No i skończyło się na tem, że trzeba było gadać z rządcą Starego Pana, obwiesiem, o tłustej gębie i chciwych łapach, do których przywierały pieniądze, gdzie tylko się ruszył. Toteż chwilami Wang Lung odnosił przykre wrażenie, że srebro więcej

jest warte od całej tej ziemi. Srebro przynajmniej się świeci.

A jednak dzisiaj ziemia należy do niego. Pewnego szarego dnia, w drugim miesiącu po Nowym Roku wybrał się w drogę, by obejrzeć pole.

Nikt jeszcze nie wiedział, że należało do niego. Szedł sam w kierunku czworokątnej czarnej łąki, ciemniejącej, w pobliżu rowu okalającego mury. Odmierzył ziemię krokami. Miała trzysta kroków długości i stodwadzieści szerokości. Granicę ozna-
czały cztery kamienie, zaopatrzone w pieczęcie rodu Hwangów. To się zmieni. Zczasem Wang umieści na kamieniach własne nazwisko, ale nie zaraz jeszcze, bo nie chce, aby ludzie wiedzieli, że jest tak zamożny, iż może sobie pozwolić na kupowanie gruntu od bogaczy. Później, co innego — gdy się jeszcze wzbogaci, nie będzie to ściągać niczyjej uwagi. Gdy się tak przyglądał podłużnemu szmatowi ziemi, szepnął sam do siebie:

— Dla nich, tam w pałacu, to drobiazg, ale dla mnie to nie byle co.

I nagle poczuł pogardę dla samego siebie, iż tak nędzny kawałek gruntu wydaje mu się czemś ważnem. Skoro wysypał na stół srebrne monety, rządca zgarnął je drapieżną ręką i rzekł:

— No, wystarczy na kilka dni dla Starszej Pani na opium. I to dobrze.

W owej chwili Wang Lung zrozumiał, że od mieszkańców pałacu dzieli go przepaść. Przepaść równie niedostępna, jak głęboka fosa z wodą, jak mur piętrzący się przed nim. Poczuł złość. Postanowił, że zdobędzie pracą nowy zapas srebra, zapełni opróżniony schowek w murze i nadal będzie odkładać pieniądze aż się zbierze tyle, by móc nabyć jeszcze więcej ziemi od Hwangów.

Toteż pole, kupione od Hwangów, przeobraziło

się w oczach Wanga w symbol, rozpoczynającego się okresu dobrobytu.

Nadeszła wiosna, ze świtą wyjących wichrów i strzępiastych chmur deszczowych. Owej zimy Wang Lung pracował w dwójnasób. — Dziecka doglądał stary ojciec, a kobieta pracowała z mężem w polu, od świtu do zachodu słońca. Pewnego razu Wang spostrzegł się, że O-lan jest znowu w ciąży. W pierwszej chwili zachnął się, gdyż pomyślał o zbliżającym się okresie żniw, więc krzyknął na nią gniewnie:

— Wybrałaś umyślnie taką porę, żeby rodzić — co?

Odpowiedziała spokojnie:

— Tym razem to głupstwo. Tylko za pierwszym razem rodzi się ciężko.

Od tej pory niemówiło się nigdy o drugim dziecku, które rozpychało łono matki. Wreszcie pewnego jesiennego ranka O-lan odłożyła motykę i powłokła się do chaty. Wang nie wrócił tego dnia nawet na obiad do domu, bowiem zanosiło się na burzę, a dojrzały ryż czekał, żeby go wiązać w snopy. Przed zachodem słońca O-lan powróciła w pole. Nie miała już wzdętego brzucha, ale sprawiała wrażenie złamanej. Twarz jej była blada i stężała. Coś go tknęło, by rzec: — Na dzisiaj dosyć się namęczyłaś, pójdź do domu i połóż się. — Ale zmęczenie uczyniło go okrutnym. Sam się przecież dosyć namozolił tyle samo, co i ona rodząc dziecko, zapytał więc tylko:

— Chłopak, czy dziewczyna?

— Znowu syn — odpowiedziała spokojnie.

Nie mówili już więcej do siebie, ale Wang był zadowolony. Nieustanne schylanie się i podnoszenie nie męczyło go już teraz. Pracowali aż do wieczora. Dopiero, gdy sponad purpurowych obłoków wypłynął księżyc dokończyli roboty i wrócili do domu. Po

spożyciu posiłku Wang obmył spalone żarem słonecznym ciało, popłukał usta herbatą, poczem poszedł do sypialni, żeby obejrzeć syna. O-lan przygotowała posiłek i położyła się do łóżka. Dziecko spoczywało przy jej boku — tłuste, ciche dziecko, trochę mniejsze od pierwszego. Wang Lung przyjrzał mu się i zaraz wrócił do wewnętrznej izby, przejęty radością. Znowu syn i na przyszły rok będzie znowu syn — i tak wkońco. Trudno wydawać pieniądze co roku na czerwone jaja, to dosyć, że kupiono je z okazji urodzin pierworodnego. Co rok nowy syn... Dom pełen dostatku. Niewiasta przynosi mu szczęście. Pomyślał o tem i krzyknął na ojca:

— No, staruszkule! Masz nowego wnuka. Trzeba będzie ułożyć starszego w twoim łóżku.

Stary nie posiadał się z uciechy. Już oddawna czekał chwili, gdy będzie układać się do snu w łóżku, w którem spoczywa dziecko. Młode kości, młoda krew ogrzewać będą wyziębłe, starcze ciało; ale dziecko nie chciało rozstać się z matką. Dzisiaj jednak maleństwo zdawało się zrozumieć, że ktoś inny zajął jego miejsce, bo podeszło na chwiejnych nóżkach do łóża, spojrzało poważnemi oczami na braciszka i bez słowa protestu pozwoliło się przenieść na łóżko dziadka.

I znowu był urodzaj, Wang Lung uciulał trochę srebra i ukrył je w ściennym schowku. Ryż zebrany na polu kupionem od Hwangów przyniósł mu dwa razy tyle, co ryż z jego dawnego pola. Ziemia tam była tłusta i wilgotna, a ryż rósł na niej bujnie, niezem chwasty. Wszyscy już teraz wiedzieli, że Wang jest właścicielem pola, a we wsi zaczęto napomykać, że należałoby go mianować wójtem.

*
* *
*

Spełniły się przewidywania Wang Lunga. Stryj zaczął się wszystkim dawać we znaki. Stryj był młodszym bratem ojca i mógł zawsze liczyć na Wang Lunga, gdyby zbrakło jedla dla niego i dla rodziny. Dopóki Wang Lung i jego ojciec żyli w niedostatku, stryj starał się wydobyć z własnego pola dostateczną ilość pożywienia dla żony i siedmiorga dzieci, ale skoro się najedli żadne z nich nie chciało pracować. Żona nie chciała zamiatać klepiska chaty, dzieci laziły umorusane i niemyte. Przykro było patrzeć na dziewczęta, które podrosły, wałęsały się po wsi, z rozwiechrzonymi włosami i zaczepiały mężczyzn. Wang Lung spotkał pewnego dnia najstarszą kuzynkę. Widok jej tak go rozgniewał, że zdobył się na odwagę, poszedł do żony stryja i przemówił do niej w te słowa:

— Któż zechce zaślubić dziewczynę, której każdy drab może zaglądać w oczy? Od trzech lat jest na wydaniu, a tymczasem włóczy się po wsi. Dzisiaj widziałem na własne oczy, jak jakiś łazik spotkał ją na gościńcu i chwycił ją za ramię, a ona tylko wybuchnęła beczelnym śmiechem.

Ospała i leniwa stryjenka była gadatliwa — rozpuściła tedy język.

— Dobrze, a kto jej da posag, kto zapłaci za wesele, kto opłaci pośrednika? Dobrze gadać takim, co mają tyle ziemi, że nie wiedzą co z nią robić i którzy jeszcze mogą dokupywać ziemię od wielkich rodów, ale twój stryj jest nieszczęśliwy, nie wie mu się, nie wiodło mu się nigdy. Los go gnębi, to nie jego wina, tak chce niebo. Inny obsieje pole, to mu ziarno wzejdzie, jak się patrzy, a twojemu stryjowi ziarno marnieje w ziemi, i wyrastają mu jeno chwasty, choćby się mozolił i zginał grzbiet od rana do nocy.

Mówiąc to, wybuchła płaczem, roniąc łzy rzęsisiste. Zaraz przeistoczyła się w furję. Rozpuściła

węzeł włosów stylu głowy i zakrywwszy twarz włosami, jęła je rwać, wrzeszcząc wniebogłosy:

— Ty tego nie rozumiesz. Ty nie wiesz, co to jest, gdy się zły los na człeka uweźmie. U innych pola rodzą ryż i pszenicę — u nas tylko osty. Domy stoją setki lat, pod naszym domem będzie drzeć ziemia, póki nie popękają ściany. Kobiety rodzą mężczyzn, a ja — choćbym miała w żywocie syna, wydam na świat dziewczynę... O nędzny losie!...

Krzyczała tak głośno, że się z sąsiedztwa zleciały baby, ale Wang Lung nie ruszał się z miejsca. Postanowił wypowiedzieć wszystko, co mu doskwierało.

— Chociaż nie do mnie należy dawanie rad bratu mojego ojca, powiem tylko tyle: lepiej wydać dziewczynę zamaż, póki jest dziewicą. Kto kiedy słyszał, żeby suka co lata po świecie, nie urodziła wreszcie szczeniąt?

Rzekłszy to, zawrócił w stronę domu, pozostawiając rozwrzeszczaną żonę stryja. Nosił się z myślą dokupienia ziemi od rodu Hwangów w tym roku i w roku następnym, marzył o dobudowaniu nowej izby do domu, więc był zły, że podczas, gdy on i jego rodzina stają się coraz zamożniejsi — zgrają lekkomyślnych kuzynów i kuzynek, noszących to samo co on nazwisko — lata samopas.

Następnego dnia przyszedł do Wanga jego Stryj. O-lan nie była obecna, gdyż minęło dziesięć księżyców od dnia urodzin drugiego dziecka i trzeci już było w drodze. Tym razem O-lan nie czuła się dobrze, przez szereg dni nie pokazywała się w polu, więc Wang Lung pracował bez pomocnicy. Stryj kroczył ciężko wzdłuż bruzdy.

Był jak zwykle niechlujnie odziany. Niedopięty kaftan i opadające spodnie ściągnął rzemykiem, zdawało się, że lada silniejszy powiew wiatru ogłoci go z ubrania. Zbliżył się do bratanka i zatrzy-

mał się przy nim, patrząc w milczeniu jak Wang okopuje grządkę fasoli. Wreszcie Wang przemówił ironicznym tonem, nie podnosząc głowy:

— Przepraszam stryja, że nie przerywam pracy. Stryj przecie wie dobrze, że jeśli fasola ma obrodzić, to ją trzeba dwa i trzy razy okopać. U was pewnie roboty skończone. Ja tam jestem powolniejszy... Ot, biedny chłop, który nigdy nie ma czasu spocząć...

Stryj zrozumiał aluzję, ale odrzekł bez namysłu:

— Los mnie prześladowa. W tym roku na dwadzieścia zasianych ziarn fasoli wzeszło tylko jedno i to tak nędznie, że nie warto zużywać motyki. Będziemy musieli kupować fasolę w tym roku — dodał westchnąwszy ciężko.

Wang Lung był niewzruszony. Wiedział dobrze, że stryj ma do niego jakiś interes, nie odrywał się więc od pracy, jeno równym, zamaszystym ruchem wbijał motykę w ziemię i ostrożnie odwracał miękkie skiby. Pędy fasoli stały proste, w równym szeregu, rzucając koronkowy cień w słońcu. W końcu stryj przemówił:

— Osoba przebywająca w moim domu powiedziała mi, że się interesujesz moją bezwartościową osobą. Wszystko, coś powiedział, jest prawdą. Mądry jesteś nad swój wiek. Ona powinna wyjść za mąż. Ma piętnaście lat i mogłaby już od trzech czy czterech lat rodzić dzieci. Dręczy mnie ciągły lęk o nią,—obawiam się, że ją zniewoli jakiś dziki pies i że dziewczyna przyniesie wstyd rodzinie i nazwisku. Pomyśl tylko, jaki to byłby wstyd, gdyby się coś takiego przytrafiło naszej szanownej rodzinie i mnie, bratu twojego ojca.

Wang wbił gwałtownym ruchem motykę w grunt. Miał ochotę przemówić do stryja prosto z mostu. Byłby mu powiedział: „Czemuż w takim razie nie strzeżesz jej. Czemu nie każesz jej siedzieć w do-

mu, zamiatać klepiska, sprzątać, gotować i szyć odzieży dla rodziny?"

Ale takich rzeczy nie wolno mówić ludziom starszym. Zamilkł więc, dłubiąc motyką około mniejszego krzaka i czekał aż stryj się odezwie.

— Gdyby los był mi zezwolił na zaślubienie takiej kobiety, jaką zdobył twój ojciec — ciągnął dalej stryj, ponurym głosem — kobiety pracowitej, która jednocześnie rodzi synów, tak jak to czyni twoja kobieta, a nie takiej jak moja żona, która pielegnuje własne cielsko, a zrodziła kilka samiec i jednego syna próżniaka, nie zasługującego na miano mężczyzny — i ja byłbym w tej chwili takim, jak ty bogaczem. Dzieliłbym się, po dobrej woli, z tobą zyskami. Wydałbym twoje córki za porządných ludzi, syna twojego umieściłbym w sklepie kupca na praktyce i nawet chętniebym zapłacił za niego kaucję. Z radością zabrałbym się do naprawiania twego domu, karmiłbym ciebie najlepszymi przysmakami, ciebie, twego ojca i twoje dzieci, bo przecie jesteśmy krewniacy.

Wang Lung odparł krótko:

— Wiesz dobrze, że nie jestem bogaty. Mam pięć gęb do wyżywienia, ojciec jest stary i niezdolny do pracy, a je ciągle, teraz znowu przybywa nam nowa gęba...

Stryj odpowiedział ostrym, złośliwym głosem:

— Jesteś bogaty... Niema co, jesteś bogaty. Kupiłeś ziemię od wielkich państwa, bogowie wiedzą za jaką cenę. W całej wsi nie ma takiego drugiego bogacza, jak ty.

Słowa stryja wytraciły Wanga z równowagi. Odrzucił z rozmachem motykę i odpowiedział ostro:

— Jeżeli uciulałem garść srebra, to tylko dla tego, że pracuję jak wół, i że moja żona także pracuje. Nie wysiadujemy, jak inni przy stole gry, nie plotkujemy na przyźbie domu, którego nikt nie za-

miata, nie przyglądamy się bezradnie polom, na których plenią się chwasty. A dzieci nasze nie włączają się półnagie i głodne.

Żółta twarz stryja powlekła się ciemnym rumieńcem. Rzucił się na bratanka i wyciął mu silny policzek.

— Masz, łobuzie, zato, że w ten sposób przemawiasz do człowieka, który jest rówieśnikiem twego ojca. Nie masz chyba wiary, ani uczciwości, że tak sobie poczynasz z ludźmi, którym winien jesteś synowski szacunek. Czy nie słyszałeś, że Święte Prawa zakazują młodym ludziom robienia uwag starszym?

Lung stał chmurny i nieporuszony. Czuł się winny, lecz był zbyt rozżalony na stryja.

— Cała wieś dowie się, coś mi powiedział! — wrzasnął rozwścieczony stryj — Wczoraj napadłeś na mnie i gadałeś głośno we wsi, że moja córka nie jest dziewicą, dzisiaj znowuż robisz mnie wymówki, mnie, który w razie śmierci twego ojca będę ci ojcem. Słuchajno! Moje córki mogą nie być dziewicami, ale nie wolno ci o tem gadać. Powtórzę wszystko, powtórzę! — krzyczał ochryplym głosem.

Wang stropił się i rzekł:

— Czego właściwie stryj chce ode mnie?

Nie chciał wywlekać rodzinnych zatargów i rozgłaszać ich we wsi. To go upokarzało. Bądź co bądź w żyłach wuja i jego córek płynęła ta sama krew.

Stryj zmiękł odrazu. Uśmiechnął się przyjaźnie i położył rękę na ramieniu Wanga.

— No, wiedziałem, żeś dobry chłopiec... dobry chłopiec — rzekł miękko. — Twój stary stryj zna ciebie nawskroś. Jesteś moim synem. Synku, dajże stryjkowi trochę srebra, powiedzmy dziesięć sztuk, a choćby i dziewięć. Mógłbym pogadać ze swatem

o tej mojej niewolnicy. Ach, Wangu, masz rację. Już najwyższy czas...

Westchnął ciężko, potrząsnął głową i spojrzał nabożnie w niebo.

Wang podniósł motykę, ale zaraz ją znowu odrzucił.

— Pójdźmy do domu — rzekł oschle. — Nie noszę przy sobie srebra, jak jaki książę.

Szedł naprzód, rozgoryczony i zły, bo wiedział już, że część zacnego srebra, które miało mu wystarczyć na kupno ziemi, przejdzie w ręce stryja, który skolei, zanim noc zapadnie, rzuci je na stół gry, w miejskich spelunkach.

Na progu chaty bawiły się dzieci, dwóch małych nagusów, ozłoconych słońcem. Odepchnął ich brutalnie, zato stryj zawołał maleństwa i wydobywszy z za pazuchy miedziaki wsunął je w drobne rączki. Z dobrodusznym wyrazem twarzy pochylił się nad dziećmi, przytulił do siebie tłuste, błyszczące ciała, a wtuliwszy nos w miękki karczek jednego z malców, upajał się miłą wonią opalonej skóry.

— Jesteście dwaj dzielni mężczyźni — mówił, śmiejąc się i obejmując dzieci, ale Wang nie zatrzymał się. Wszedł do izby, w której sypiał razem z żoną i najmłodszym dzieckiem. Izba pogrążona była w mroku, tylko przez maleńki otwór w murze sączyła się smuga światła. Oślepiiony blaskiem dnia, Wang w pierwszej chwili nie rozróżniał niczego, ale buchnęła mu w nozdrza znajoma woń gorącej krwi.

Co to się dzieje? Czy to już twój czas nadszedł? — zapytał ostro.

Z głębi izby odpowiedział słaby głos.

— Już po wszystkim. Tym razem urodziła się nam niewolnica. Nie warto o tem mówić.

Wang Lung zamarł w bezruchu. Dziewczyna... Dziewczyna przyniosła nieszczęście stryjowi, a te-

raz i w domu Wanga panoszyć się będzie dziewczyna...

Podszedł bez słowa do ściany, pomacał ją ręką i odszukawszy chropowaty ślad schówka wyjął bryłę ziemi, poczem zaczął liczyć srebrne sztuki.

— Dlaczego wyjmujesz srebro? — spytała nagle żona.

— Muszę pożyczyć dziewięć sztuk stryjowi — odrzekł krótko.

O-lan nie odzywała się. Po chwili zabrzmiał jej bezdźwięczny głos:

— Lepiej nie mówić „pożyczam“. W tym domu nie pożyczają się, tylko się daje.

— Wiem o tem — odrzekł z goryczą w głosie. — Zdaje mi się, że sobie wrywam kawał ciała, gdy pomyślę, że muszę mu oddać pieniądze. I dlaczego?... Tylko dlatego, że jesteśmy krewniacy.

Szybkim krokiem wyszedł do sieni, rzucił pieniądze stryjowi i zaraz zawrócił w pole. Zamierzał się motyką z taką pasją, jakby chciał przebić ziemię, aż do dna. Myśli jego krążyły wokół srebra. Widział jak stryj niedbale rzuca je na stół gry, jak je zagarnia czyjaś leniwa dłoń... Przecież to było jego srebro, srebro, które z takim trudem wydobył z ziemi po to, by je kiedyś zamienić znowu na ziemię.

Dopiero pod wieczór opuściło go uczucie gniewu. Wyprostował się i pomyślał o domu i o posiłku. Przypomniak mu się, że dzisiaj właśnie przybyła nowa gęba do karmienia. Gnębiła go świadomość, że się zaczyną teraz rodzić same córki, córki, które nie należą do rodziców, ale są przeznaczone zgóry dla innych rodzin. Był tak zawiedziony i zły na stryja, że nie przyszło mu na myśl przyjrzeć się nowej istocie, która zjawiała się w domu.

Oparłszy się całym ciężarem na rękojeści motyki zaczął medytować. Ogarnął go smutek. Minie

jeszcze jedno lato, zanim będzie mógł wykupić ziemię, sąsiadującą z jego polem, w dodatku trzeba będzie żywić nowego człowieka.

Po bladem, srebrzystem jak wnętrze muszli niebie przeleciało stado czarnych kawek. Zatoczyły koło nad jego głową, kracząc głośno. Patrzył jak nikną, niby ciemna chmura w gęstwinie drzew, otaczających chatę. Pobiegł za niemi, krzycząc i wymachując motyką. Spłoszone kawki zerwały się znowu i jęły zataczać koła nad głową Wanga, krzycząc szysderczo. Wreszcie popłynęły w dal i zginęły w mrokach ciemniejącego nieba.

Wang zachnął się — kawki to zły znak...

VIII.

Wyglądało to tak, jakby bogowie odwrócili się od człowieka i nie chcieli już się nim opiekować. Deszcze, które powinny były zawitać na początku lata ociągały się jakoś. Mijał dzień za dniem, a niebo było coraz jaśniejsze i pogodniejsze. Ziemia umierała z pragnienia. Od świtu do zmroku ogładało się bezchmurny błękit, a nocami w pogodnem niebie błyszczały złote, okrutne gwiazdy.

Wang Lung czynił rozpaczliwe wysiłki, by uratować pole, które pomimo to powlekło się suchą, spękaną skorupą. Młodziutkie pędy pszenicy, które odważnie wyszły na świat boży na wiosnę i czekały, aż się im główki napęmią ziarnem, zrozumiały, że ani w ziemi, ani w niebie nie znajdą pożywienia, przestały więc rosnać i stały przez czas jakiś nieruchome, w upalnym słońcu, a później zwiędły i pożółkły. Młode grzędy ryżu wyglądały jak czworokąty z jaspisu, ułożone na brunatnej ziemi. Wang nosił w pole ciężkie drewniane kubły z wodą, umocowane do bambusowego kija, opartego na ramio-

nach. Na karku zrobił mu się odcisk wielkości mi-
ski, a deszczu nie było widać.

Woda w sadzawce wyschła i zamieniła się
w ciasto z gliny, nawet w studni woda opadła tak
nisko, że O-lan rzekła kiedyś do męża:

— Jeśli dzieci będą pić, a stary będzie codziennie
dostawać kubek z gorącą wodą, to wszystkie rośliny
wyschną.

Wang Lung odparł gniewnym głosem, który
brzmiał jak łkanie:

— Trudno; gdy rośliny zdechną z głodu, to i my
pomrzemy z głodu.

Miał rację, byt ich zależał przecież wyłącznie
od ziemi.

Tylko kawał gruntu nabytego od Hwangów
przyniósł plony, a to dlatego, że Wang porzucił inne
pola na pastwę losu i zajął się jednym kawałkiem
gruntu. Codziennie o świcie nawadniał go wodą z fo-
sy. W tym roku po raz pierwszy sprzedał ziarno
zaraz po żniwach, a gdy dostał srebro ścisnął je
w garści i przysiągł sobie w duchu, że naprzekór bo-
gom i suszy uczyni to, co zamierzał uczynić. Dosyć
się namozolił, dosyć wytoczył potu dla zdobycia tej
garści srebra — teraz robi z niem co chce. Pobiegł
w te pędy do domu Hwangów, i napotkawszy rząd-
cę rzekł mu bezceremonjalnie:

— Mam dosyć pieniędzy, żeby kupić kawał są-
siedniego pola.

Słyszał bowiem Wang Lung, że ten rok był złym
rokiem dla Hwangów. Starsza pani nie dostała już
od wielu dni swojej porcji opium, zła była jak tygry-
sica i codziennie wzywała do siebie rządcę, przekli-
nała go i biła go po twarzy wachlarzem, krzycząc
na całe gardło:

— Cóżto, czy nie mamy już ziemi?

Rządca tracił głowę. Zazwyczaj chował dla sie-
bie część pieniędzy, jakie wpływały z rozmaitych

transakcyj, ale tym razem oddał wszystko, bo już sobą nie władał. Na dobitek, Starszy Pan sprowadził nową nałożnicę. Była to córka niewolnicy, która za młodych lat należała do Starszego Pana. Wydano ją zamaż za jednego z pałacowych służących. Córka jej nie miała szesnastu lat. Starszy pan spoglądał na nią coraz lubieźniejszym wzrokiem, jako, że im bardziej był stary i niedołężny, tem bardziej pożywał młodych kobiet, prawie dzieci. Żądza jego była nienasycona. Starsza Pani była niewolnicą opjum, on zaś ulegał swoim chuciom. Niktby go nie przekonał, że nie starczy pieniędzy na kolczyki z malachitu dla faworyt, ani na złote pierścienie. Nie mógł pojąć, że pieniędzy może zbraknąć, bo przez całe życie miał je pod ręką.

Młodzi panicze, patrząc na takie postępowanie rodziców wzruszali ramionami i mówili, że musi złota starczyć na całe życie. Tylko pod jednym względem działali solidarnie, a mianowicie, gdy chodziło o wymyślanie rządcy za nieudolną gospodarkę. To też rządca, który był kiedyś zadufanym w sobie tłuszciochem, stał się niespokojny i pełen troski, a tak opadł z ciała, że skóra wisiała na nim, jak stare odzienie.

Niebo poskapiała deszczu także i Hwangom, i u nich nie było żniw, toteż gdy Wang spotkawszy rządce, krzyknął dumnie: mam srebro! — brzmiało to tak, jakby ktoś powiedział głodnemu: „mam pożywienie“.

Rządca skorzystał z okazji. Dawniej naradzalnoby się bez końca, popijając herbatę, dzisiaj jednak obydwaj mężczyźni rozprawiali szybko, namiętnym szeptem. Pieniądze przeszły z rąk do rąk, papiery zostały podpisane i przypieczętowane, a ziemia Hwangów stała się własnością Wang Lunga.

I znowu Wang Lung wyzbył się z lekkim sercem srebra, które jest ciałem i krwią człowieka. Kupił

przecież za nie to, czego pragnęło serce. Posiadał teraz spory szmat dobrej ziemi, dwa razy większy od całej jego posiadłości. Świadomość, że nabył kawał urodzajnego czarnoziemiu mniej go radowała, aniżeli myśl, że pole należało do niedawna do książęcego rodu. Tym razem nie zwierzył się nikomu, nawet własnej żonie.

Mijały miesiące, a susza trwała w dalszym ciągu. Z nadejściem jesieni jęły się gromadzić na niebie małe, jasne chmurki. Ludziska wystawiali na gościach i drożkach i niespokojnym wzrokiem śledzili deszcz. Lecz zanim się nagromadziło dość chmur, zerwał się ostry północno-zachodni wiatr, wiatr z dalekiej pustyni i zmiotł obłoki, jak się zmiata kurz z klepiska chaty. Niebo było znowu nagie i puste, dostojne słońce wstawało każdego ranka i wędrowało po niem, a pod wieczór zachodziło samotne, pozbawione świty obłoków. Księżyc świecił tak jasno, jak małe słońce.

Wang Lung zebrał z pola nędzny plon twardej fasoli i krótkich, na poły pustych kłosów pszenicy, którą zasadził na miejscu ryżu, gdyż zanim zdążył nawodnić pole — grzędy ryżu pożółkły i zmarniały.. Podczas młocki nie przepuścił jednego ziarna. Kazał synkom zbierać pył, który osiadał na klepisku i szukać fasoli, sam zaś uważnie wyluskiwał ziarna pszeniczne, na podłodze największej izby. Plevy odkładał na opał, lecz O-lan odezwiała się nagle:

— Nie marnuj plew. Pamiętam, gdy byłem dzieckiem, mieliśmy taki ciężki rok w Szantungu. Jadało się wtedy i plewy; to lepsze niż trawa.

Wszyscy zamilkli przerażeni. Nawet dzieci. Tylko dziewczynka nie bała się jutra. Miała przecież na swoje potrzeby dwie matczyne piersi. O-lan chwyciła ją na ręce i przysunęła pierś do usteczek dziecka.

— Jedz mały głuptasku — mruknęła czule — dopóki mam pokarm.

Po jakimś czasie, jak gdyby nie dość zważyło się nieszczęście na Wanga, O-lan zaszła w ciążę, piersi jej wyschły, a dom drżał od krzyku głodnego dziecka, domagającego się pożywienia.

Gdyby ktoś zapytał Wang Lunga — coście jedli w jesieni? — odpowiedziałby zapewne: — „sam nie wiem, — ot, jadło się to i owo“.

Nikt go jednak o takie sprawy nie pytał. Każdy zadawał sam sobie dręczące pytanie: — co będę jeść dzisiaj. A rodzice stękali: — czem wyżywimy siebie i dzieci?....

Wang Lung troszczył się także o swego wołu. Dawał mu żdźbła słomy i wiązki łądyg, a gdy tego zbrakło, zaczął obrywać liście z drzew. Z nadejściem zimy zabrakło i liści. Praca w polu skończyła się, nie było orki, nie można było siać ziarna, boby zmarniało w ziemi, zjedzono już wszystkie zapasy, postanowił więc wysyłać wołu na pastwisko. Najstarszy syn siadał na jego grzbiet i trzymał w drobnych piastkach sznur, przeciągnięty przez nozdrza bydłęcia. Zczasem jednak Wang przestał wysyłać ich w pole, gdyż obawiał się, że wieśniacy, albo i sąsiedzi poturbują malca, zabiją wołu i zjedzą mięso. Stało tedy biedne bydle w sionce i chudło coraz bardziej, aż się upodobniło do szkieletu.

Pewnego dnia nie znaleziono w domu ani ziarnka ryżu, ani pszenicy, a w spiżarni zostało tylko kilka ziarn fasoli i kupka owsa. Stary spojrzał na wynędzniałe zwierzę i szepnął:

— Ostatecznie możnaby zjeść wołu.

Wang Lung oburzył się. Zdawało mu się, że ojciec mówi: — zjedźmy człowieka. Przecież wół był jego wiernym towarzyszem, pracował razem z nim w polu, Wang szedł w ślad za nim i chwalił go lub

przeklinał, zależnie od humoru. Znał go od lat. Rodzice kupili go, gdy był jeszcze cielęciem.

— Jakże moglibyśmy zjeść wołu— przemówił.— Któż nam będzie orał pole?

Ale stary odpowiedział spokojnym tonem:

— Jak chcesz. Co wolisz: poświęcić własne życie, czy życie wołu? Życie synów, czy życie zwierzęcia? Człowiek może przecież kupić nowego wołu łatwiej, aniżeli życie?

Wang nie chciał jednak zabić wołu tego dnia. Minał jeszcze dzień następny i trzeci dzień. Dzieci krzyczały coraz żałośniej. O-lan spoglądała na Wang Lunga błagalnym wzrokiem. Zrozumiał wreszcie, że się „to“ musi stać.

— Niechże będzie, ale ja go nie zabiję — rzekł gwałtownie.

Wszedł zaraz do izby i rzucił się na łóżko, zasłaniając głowę kocem, żeby nie słyszeć ryku zarzynanego zwierzęcia.

O-lan wysunęła się bezszelestnie z izby, wzięła wielki kuchenny, żelazny nóż i wbiła go z całej siły w kark wołu. Życie zwierzęcia wyciekło razem z krwią. O-lan nabrała krwi do garnka, żeby ją potem wymieszać z ciastem i zabrała się do opracowania wychudzonego kadłuba. Zdjęła z niego skórę i porąbała kadłub na kilka kawałów. Wang przyszedł dopiero wtedy, gdy robota była całkowicie skończona, a na stole stała miska z ugotowaną wołowiną. Skoro jednak wziął do ust kawałek mięsa, nie mógł go przełknąć. Zatrzymało mu się w gardle. Łyknął więc tylko trochę zupy.

— Wół jest jeno wołem — odezwiała się O-lan. — Przytem nasz wół był bardzo stary. Jedzcie go bez wahania. Kiedyś będziemy mieli nowe bydło, o wiele większe i tłusciejsze.

Słowa O-lan podziały kojąco na Wanga. Zaczął znowu jeść mięso, przełknął jeden, potem drugi

kawałek. Wół był chudy i starczył na krótki okres czasu. Niebawem, nazbyt prędko — pozostała po nim tylko skóra, sucha i stwardniała, którą O-lan rozwiesiła na krzyżakach z bambusowych prętów.

Mieszkańcy wsi byli z początku źle usposobieni dla Wanga. Rozeszły się bowiem plotki, że Wang ma moc srebra i zapasy żywności, które chowa zazdrośnie przed sąsiadami. Stryj Wanga był jednym z pierwszych ludzi, którym głód dał się we znaki. Pewnego razu zakłatał do drzwi chaty i poprosił o pożywienie. Byli naprawdę głodni: i on, i żona, i siedmioro dzieci.

Wang odmierzył stryjowi niewielką kupkę fasoli i garść cennego ziarna.

— Więcej dać ci nie mogę. Muszę przedewszystkiem myśleć o ojcu. On jest ważniejszy nawet od dzieci — rzekł stanowczo.

Po jakimś czasie stryj zjawił się znowu. Wang zniecierpliwiony odesłał go z kwitkiem. Od tej pory stryj zachowywał się w stosunku do Wanga, jak kopnięty pies.

Wędrował od chaty do chaty pełen złości i mruczał gniwnie:

— Mój bratanek ma i srebro i żywność, ale nie chce się z nikim dzielić dobytkiem. Nawet mnie odmawia wsparcia i moim dzieciom, które są przecież krwią jego krwi. Trzeba będzie zdechnąć z głodu...

A kiedy wszyscy wieśniacy wyczerpali zapasy i wydali ostatni grosz na zakupy w miasteczku, a zimowe wichry ostre jak stal jeły się nad nimi pastwić — ludziska potracili głowy. Głód doprowadzał ich do szaleństwa. Nie mogli dłużej znieść płaczu dzieci i widoku wynędzniałych kobiet. Toteż, gdy stryj Wanga znowu ukazał się na drodze, podobny do wychudłego psa i powtarzał głodnymi ustami — „jest tu ktoś, kto ma dosyć jadła, ktoś, kto ma od-

karmione tłuste dzieci!“ — ludzie chwycili pałki i ruszyli pod osłoną nocy do chaty Wanga.

Usłyszawszy łoskot i gwar głosów Wang otworzył drzwi. Tłum wtargnął do wnętrza domu. Odepchnięto Wanga, przestraszone dzieci wyrzucono na dwór, poczem zabrano się do plądrowania domu, przeszukując każdy zakamarek. Ale znaleziono tylko nędzny zapas suszonej fasoli i naczynie z ziarnem. Z okrzykami wyrażającemi zawód i rozpacz wieśniacy zaczęli wynosić nędzne sprzęty: stół, ławy i łóżko, na którem leżał stary ojciec, łkający z przerażenia.

Wtedy dopiero wyszła ku nim O-lan i przemówiła swoim spokojnym, bezbarwnym głosem.

— Jeszcze nie teraz, nie teraz. Nie czas zabierać nam stołu, ław i łóżka. Bierzcie sobie nasze zapasy jadła. Sami nie sprzedaliście jeszcze własnych stołów i ławek, więc i nasze sprzęty pozostawcie w spokoju. Jesteśmy wszyscy sobie równi. Nie mamy więcej od was, ani o jedno ziarno fasoli i pszenicy. Jesteście teraz bogatsi od nas, ba zabraliście nasze zapasy. Niebo was ciężko ukarze, jeżeli odbierzecie nam sprzęty. A teraz idźmy razem szukać trawy do jedzenia i kory z drzew, wy dla waszych, my dla naszych dzieci i tego czwartego, które ma przyjść na świat, w takich ciężkich czasach.

Mówiąc to przycisnęła dłoń do wielkiego brzucha. Mężczyźni zawstydzili się. Zaczęli wychodzić z izby, chyłkiem, jeden za drugim. Nie byli to źli ludzie — tylko głód uczynił ich okrutnymi.

Jeden z nich ociągał się z wyjściem: sąsiad Czing, mały, milczący człowiek o małej twarzy, zapadniętej i pełnej lęku. Miał ochotę powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie, był to bowiem człek uczciwy, a do złego doprowadził go widok płaczącego dziecka, ale przyciskał właśnie do podołka garść fasoli, którą ukradł ze schowka i obawiał się, że je-

żeli przemówi, będzie musiał ją oddać. Popatrzał więc na Wanga, błędnym wzrokiem i wyszedł z chaty.

Wang Lung stał na podwórku, na którym od lat młócił bogate plony, a które teraz, od szeregu miesięcy było bezużyteczne i puste. W domu nie pozostało ani krzty pożywienia dla ojca i dla dzieci. Nie miała też co jeść jego kobieta, która powinnażywić nie tylko siebie, ale i dziecko spoczywające w jej łonie, a które z bezwzględnością budzącego się życia okrada ją z ciała i krwi. Gdy tak się troskał, spłynęła nań myśl, kojąca jak słodkie wino.

— Ziemi mi nie odbiorą. Włożyłem pracę w coś, czego odebrać nie można. Gdybym miał srebro — wzięliby je. Ale ja mam ziemię — która należy tylko do mnie.

IX.

Pewnego dnia siedział Wang Lung na progu chaty i powtarzał sobie, że trzeba koniecznie zaradzić biedzie. Nie można przecież siedzieć w pustym domu i czekać śmierci. Wang coraz ciaśniej wiązał pas, na ubraniu zwisającym z wychudłego ciała, ale w tem wynędzniałem ciele płonęła żądza życia. Teraz, gdy już był bliski osiągnięcia niezależności materialnej, nie dał jej sobie wydrzeć bezmyślnemu losowi. Na myśl o tem ogarniała go taka złość, że nie znajdował słów na jej wypowiedzenie. Chwilami wpadał w gniew, biegał wkoło po nagim klepisku i wygrażał pięściami szalonemu niebu, które lśniło nad jego głową, urażając jasnym, zimnym, bezchmurnym błękitem.

— Och, ty! Starcze, mieszkający w Niebiosach, nazbyt jesteś przewrotny! — krzyczał nieprzytomnie. A uląkszy się własnych słów, dodawał

ponuro. — Cóż może mi się stać gorszego, niż to, co się stało.

Powlókł się raz do świątyni Ziemi. Z trudem podnosił osłabłe nogi, gdyż głód wyssał z niego wszelką siłę. Przyszedłszy do świątyni, plunął w oblicze małego, niewzruszonego bożka, siedzącego na ołtarzyku, w towarzystwie bogini. Już oddawna nie zapalał pałeczek kadzidła przed dostojną parą. Papierowe szaty podarte w strzępy ukazywały nagość glinianych ciał. Obydwa bożki siedziały nieruchome i nieczułe, a Wang Lung patrzył na nie, zgrzytając zębami.

Wrócił do domu mamrocząc przekleństwa i rzucał się jak kłoda na łóżko.

W owych czasach nikt się nie kwapił rano ze wstawaniem. Nie było z czego gotować posiłku, więc głód oszukiwano snem. Zjedzono już suszone plewy i korę z drzew, rosnących przy domu. Ludzie we wsi żywili się trawą, jeśli ją znaleźli na огоłoconych przez zimę pagórkach. Mógłbyś wędrować przez kilka dni nie spotkawszy na drodze ani wołu, ani osła, ani też ptactwa domowego.

Na wiejskich gościńcach nie było widać bawiących się dzieci. Siedziały w chatach, opuchnięte z głodu, ze wzdętymi brzuchami. Tylko dwaj synkowie Wanga wylazili chyłkiem na próg chaty i grzali się w promieniach bezlitosnego słońca. Okrągłe ich ciała stały się kanciaste. Można na nich było policzyć drobne, niemal ptasie kosteczki, tylko brzuchy wzdęły się, jak balony. Dziewczynka leżała zawinięta w starą kołdrę. Nie skarżyła się nigdy. Spoczątku dom był pełen jej płaczu, ale z czasem przestała się odzywać, tylkossała wszystko, co jej włożono w bezzębne, zsiniałe usteczka, przypominające usta starej kobiety. W drobnej, mizernej twarzyczce czerniały małe oczka. Wodziła niemi za ludźmi, poruszającymi się w izbie. Ten upór rwącej się do

życia istotki, wzruszył serce Wanga i obudził w niem czułość dla córki. Gdyby była tłusta i wesola, jak inne dzieci w jej wieku — nie dbałby o nią. Była przecież dziewczyną. Przyglądał się jej czasami i szeptał łagodnie: — biedny głuptasek... A raz, gdy zdobyła się na słaby uśmiech, który odsłonił jej bezzębne dziąsła — wybuchnął płaczem. Szczupłą, twardą ręką ujął maleńką piastkę i pozwolił jej objąć paluszkami swój wskazujący palec. Nieraz brał dziewczynkę na ręce, ukrywał nagie, kościste ciało pod połą kaftana i ogrzewał je własnem ciałem. Czasami siadał z dzieckiem na progu chaty i wpatrywał się tępym wzrokiem, w bezmiar płaskich, wyschniętych pól.

Najlepiej się wiodło staremu, bo jeśli trafiło się coś do jedzenia, to przedewszystkiem częstowano ojca, nieraz z uszczerbkiem dla dzieci. Wang szczycił się z tego, że nikt nie mógłby mu zarzucić, iż w godzinę śmierci zapomniał o własnym ojcu. Stary sypiał dniem i nocą, a budził się tylko wtedy, gdy mu dawano jeść, miał więc jeszcze dość siły, aby wysiadywać w przedsionku w południe, gdy słońce najmocniej grzeje. On jeden zachował dobry humor, a raz przez cały dzień powtarzał wkółko starczym głosem, przypominającym szelest wiatru w bambusach:

— Bywało gorzej, bywało gorzej... Pamiętam taki rok, kiedy mężczyźni i niewiasty zjadali własne dzieci...

— Nic podobnego nie zdarzy się w moim domu — odparł przerażony Wang.

Pewnego razu podszedł do drzwi chaty sąsiad Czing. Podobny był raczej do cienia, aniżeli do żywej istoty.

— W mieście ludzie zjadają psy, konie i ptaki — wyjąkał szczerniałemi, spierzchniętymi ustami — my tutaj na wsi zjedliśmy już nasze bydła i wszy-

stką trawę i korę z drzew. Powiedz, coby jeszcze można jeść...

Wang potrząsnął bezradnie głową. Tulił do piersi lekkie, chudziutkie ciało córki. Nachylił się nad delikatną twarzyczką, w której płonęły smutne, czarne oczy. Dziecko wpatrywało się w ojca bezustanku. Ilekroć oczy Wanga spotykały wzrok córeczki, na jej mizernej twarzyczce jawił się blady uśmiech, a Wangowi wydawało się, że mu serce pęknie z bólu.

— We wsi jedzą ludzkie mięso — szeptał Czing, w samą twarz Wanga. — Powiadają, że twój stryj i twoja stryjenka to robią. Musi być prawda, bo skądby mieli siły. Wiadomo przecie, że zawsze cierpieli biedę...

Wang Lung odsunął się od upiornej głowy Czinga, która mu przypominała trupią czaszkę. Ogarnął go nagle niepojęty lęk. Zerwał się z progu, jakby chcąc się wyswobodzić z, oplatającej go, sieci nieszczęścia.

— Pójdziemy w świat — rzekł głośno — pójdziemy na południe. Wszędzie w naszym wielkim kraju są ludzie, którzy głodują, a chociaż Niebo jest pełne złości, nie wierzę, aby zechciało zmieścić wszystkich synów Ha-na.

— Młody jesteś — rzekł smutnym głosem Czing. — Ja jestem starszy od ciebie, a moja żona jest starsza ode mnie. Mamy tylko jedną córkę. Możemy umrzeć.

— Szczęśliwszy jesteś ode mnie — odparł Wang Lung. — Mam starego ojca i troje drobiazgu, do wyżywienia, a tylko patrzeć jak się urodzi nowe dziecko. Trzeba nam stąd odejść, bo inaczej zapomnimy, żeśmy ludzie i pożremy się wzajemnie, jak dzikie psy.

Mówiąc to, uświadomił sobie nagle, że tak się naprawdę stanie, jeżeli nie uciekną, póki czas. Za-

wołał więc O-lan, która dniami całymi leżała na łóżku, skazana na przymusowe bezrobocie. Nie było pogo wstawać.

— Chodźno tutaj, — coś ci powiem. Idziemy na południe.

W głosie Wanga drżała radosna nuta.

Zdziwione dzieci podniosły główki, i spojrzwały na ojca. Z przyległej izby przykusztował stary ojciec, a O-lan zwlokła się z posłania i podeszła do drzwi.

— Tobo dobrze było — szepnęła, opierając się o drewnianą ramę. — Człowiek przynajmniej umrze, idąc...

Wzdęty brzuch, w którym dźwigała dziecko, obwisł, jak sparciały owoc, a szeroka twarz tak się zapadła i schudła, że sterczały na niej wielkie kości policzkowe. — Poczekaj jednak do jutra — dodała. — Niech urodzę dziecko. Czuje, jak się rusza w mem wnętrzu.

— Dobrze, wyruszymy jutro — odpowiedział Wang, patrząc na żonę. Widok udręczonego oblicza wzruszył go do głębi. Litość, jaką odczuwał dla samego siebie była niczem wobec współczucia, jakie miał dla kobiety, która w takich czasach dźwigała jeszcze ciężar cudzego życia.

— Jakżesz ty będziesz mogła wędrować, biedaczko — szepnął, a zwracając się do sąsiada Czinga, który stał na progu wsparty o drzwi, dodał z pewną niechęcią — jeżeli masz trochę zapasów, to ulituj się na nami i wspomóż nas. Muszę przecież ratować życie matki moich synów. Zapomnę ci, żeś się kiedyś zjawił w moim domu, jako rabuś.

Czing zerknął nań spoďelba i szepnął pokornie:

— Od tej pory nie zaznałem już ani chwili spokoju. To ten pies, twój stryj, namówił mnie. On to rozpowiadał we wsi, że przechowujecie moc ziarna i ryżu.. Niech mi będzie świadkiem to okrutne

niebo, że mam w domu tylko garść czerwonej fasoli, którą zakopałem pod kamieniem w sieni. Schowaliśmy ją na czarną godzinę, dla naszego dziecka i dla nas, żeby w chwili śmierci mieć choć trochę jada w brzuchach. Ale podzielę się z tobą. Jeżeli masz siły, to idź na południe. Ja pozostanę tutaj. Starszy jestem od ciebie i nie mam syna. Czy będę żyć, czy umrę — to przecież wszystko jedno.

Rzekłszy to, oddalił się, a wrócił po chwili, niosąc w zawiniątku bawełnianej chustki dwie garście drobnych, czerwonych fasoli, powalanych ziemią. Na widok jedzenia dzieci przyczołgały się do Czinga. Stary łysnął pożądliwie oczami, ale Wang po raz pierwszy odepchnął dzieci i wszedł do izby, gdzie leżała chora żona. Podał jej fasolę. Wzięła niechętnie kilka ziarn, ale zjadła je, gdyż czuła, że jeżeli się nie wzmocni, to ją tym razem zmogą bóle porodowe. Wang zatrzymał w garści kilka ziarn, poczemłożył je do ust i zmiażdżył zębami na papkę, a zbliżywszy się do córeczki wcisnął jej w usta trochę pożywienia. Patrzył teraz, jak się poruszają maleńkie wargi i zdawało mu się, że sam najadł się do syta.

Noc spędził w wewnętrznej izbie. Dwaj chłopcy nocowali u starego ojca, a w trzeciej izbie O-lan rodziła dziecko. Wang usiadł na ławie i czekał, tak samo, jak w dniu urodzin pierworodnego syna. I tym razem O-lan nie chciała dopuścić męża do siebie, chciała przebyć męki porodowe bez świadków. Przykucała za starą, drewnianą kadzią, stojącą przy łóżku, potem zaś czołgając się na czworakach, ścierała plamy krwi z klepiska, na podobieństwo zwierząt, które, gdy zlegną — usuwają wszelkie ślady.

Z nateżeniem nasłuchiwał, kiedy wreszcie usłyszysz znajomy, przenikliwy płacz dziecka, ale w izbie panowała śmiertelna cisza. Ogarnęła go rozpacz.

W tej chwili było mu obojętne, czy urodzi się syn, czy córka — myślał tylko o tem, przybędzie nowa gęba do wyżywienia.

— Niebo okazałoby litość, gdyby nie dało mu żyć — mruknał, lecz w tejże chwili posłyszał słaby, dziwnie słaby płacz, wdzierający się w ciszę. — Niema litości, niema litości, — dokończył zdania, z goryczą. Głosik zamilkł, a nad domem rozpostarła się znowu nieprzenikniona cisza. Przywykł do niej. Od wielu dni i nocy panowała wszędzie w kraju głucha cisza, bo ludzie przebywali w klatkach chat, czekając śmierci, lecz teraz wydała mu się nie do zniesienia przykra. Budziła w nim lęk. Zerwał się z ławy i zbliżył się do drzwi izby, a przytknąwszy usta do szpary w papierze, zawołał:

— Czy nie stało się co złego? — Dźwięk własnego głosu dodał mu nieco otuchy. Zaczął nasłuchiwać. A jeżeli O-lan umarła, podczas, gdy on siedział spokojnie w drugiej izbie... Nagle, usłyszał lekki szmer. Kobieta poruszała się cicho..

Wreszcie odezwała się głosem słabym, jak westchnienie:

— Chodź...

Wszedł do izby i ujrzał ją leżącą na łóżku.

— Gdzie dziecko? — zapytał, rozglądając się wkoło.

Zrobiła lekki ruch ręką. Na ziemi leżało nagie ciało dziecka.

— Nie żyje? — wykrzyknął.

— Nie żyje — szepnęła.

Pochylił się i ogarnął wzrokiem drobne, wychudłe zwłoki dziewczynki. Już miał powiedzieć: — „przecież słyszałem jej płacz” — gdy nagle spojrzał na żonę. Miała oczy zamknięte, a skóra jej była szara, jak popiół. Patrząc na tę umęczoną, milczącą twarz, o wystających kościach policzkowych, nie był w stanie zadawać pytań. Przecież w ciągu tych

ostatnich miesięcy troszczył się tylko o własne ciało. Jakież męki cierpieć musiała niewiasta, którą od wewnątrz pożerało umierające z głodu stworzenie, rwące się pomimo wszystko do życia...

Nie rzekł nic, ale podniósł trupka i wyszedł do drugiej izby. Położył go potem na ziemię i zaczął szukać kawałka maty. Gdy je zawijał w słomiankę, główka dziecka opadła bezwładnie, kołysała się w prawo i lewo. W pewnej chwili dostrzegł na wątlym karczku dwa sińce. Nie przerwał jednak roboty. Potem zaniósł dziecko w pole i pochował je w opuszczonym grobie, zapomnianym przez wszystkich. Ów grób nieznanego nieboszczyka znajdował się wśród innych grobowców, na stoku wzgórza, wznoszącego się tuż obok pola Wang Langa. Zaledwie jednak zdążył ułożyć dziecko w szczelinie, spod ziemi wyrósł zgłodniały pies, podobny do wilka. Zwierzę było tak wynędzniałe, że nie ruszyło się z miejsca, nawet wówczas, gdy Wang rzucił w nie kamieniem i uderzył je w zapadnięte udo. Nogi ugięły się pod Wang Lungiem. Ukrywszy twarz w rękach odszedł od grobu.

— Tak będzie lepiej — zamamrotał sam do siebie, ale po raz pierwszy w życiu ogarnęła go rozpacz.

Następnego dnia słońce wypłynęła na lśniący, lazuruowy strop nieba. Wangowi zdało się snem, iż postanowił odejść z domu, razem z gromadką bezradnych dzieci z kobietą, którą choroba zwała z nóg i ze starym ojcem. Nie zdołają przecież wlec się tysiące mil w nieznaną dal. Zresztą kto wie, czy na południu znajdą pożywienie. Widocznie niebo będzie już tak w nieskończoność zionąć piekielnym ogniem. Jeżeli pójdą w świat, to któż zaręczy czy nie trafią do miejscowości nawiedzonych jeszcze cięższą klęską głodu, a zamieszkałych przez obcych

ludzi. Sto razy lepiej zostać w chacie, gdzie można czekać śmierci we własnych łózkach.

Medytował tak Wang Lung, siedząc na przyźbie i patrząc posepnym wzrokiem, na wyschniętą piaszczystą pól, pokrytą stwardniałą skorupą, z której wyrwano wszystko, co tylko mogło służyć do jedzenia, lub na opał.

Pieniądzy nie miał. Dawno wyzbył się ostatniego miedziaka. Na coby mu się zresztą przydały pieniądze, skoro nie było można kupić żywności. Słyszał dawniej, że w miastach żyją bogacze, którzy gromadzą żywność dla siebie i na sprzedaż, ale od nich kupują tylko ludzie bogaci. Dzisiaj myśl o tem przestała go drażnić, zdawało mu się, że choćby chciał, nie dowlecze się do miasta, nawet gdyby miał tam dość jada za darmo. Nie odczuwał już głodu.

Spoczątku czuł nieznośne gniesienie w żołądku, później to przeszło. Wygrzebywał ziemię z jednego miejsca w polu i dawał ją do jedzenia dzieciom. Rozpuszczało się ją w wodzie i zwało się ją „miłosierną boginią ziemi“ ponieważ zawierała pewne odżywcze właściwości. Mogła jednak podtrzymać człowieka tylko przez pewien czas. Przygotowana w postaci kaszy oszukiwała głód dzieci i zapelniała ich puste wzdęte brzuchy. Nigdy też nie tknęła ziarn fasoli, które O-lan zaciskała kurczowo w dłoniach. Od czasu do czasu brała jedno ziarno do ust i miażdżyła je zębami, a Wang słysząc charakterystyczny óźwięk, czuł się nieco pocieszony.

Opuściła go wszelka nadzieja. Usiadł na przyźbie i zaczął marzyć. Zdawało mu się, że leży na łóżku i że zasypia lekko i na zawsze. Nagle dostrzegł ludzi, wędrujących naprzelaj polem, w kierunku jego chaty. Nie podniósł się na ich widok. Gdy się zbliżyli, rozpoznał stryja. Towarzyszyli mu trzech nieznajomi mężczyźni.

— Gdzież ty się podziewasz? Nie widać ciebie od tylu dni! — krzyczał stryj, udając wesołość. — Jakże się miewa twój ojciec, a mój starszy brat?

Wang podniósł wzrok na stryja. Chudy był, ale nie tak wynędzniały jak inni. Poczuł w głębi swego wyniszczonego ciała straszliwą złość do stryja.

— Aleś ty jadł... Aleś ty się odżywia! — wybełkotał. Nic sobie nie robił z obecności nieznajomych ludzi. Widział tylko stryja, który wyglądał zażywnie. Stryj otworzył szeroko oczy i podniósł ręce do nieba.

— Ja? Odżywiałem się? — wrzasnął. — Co ty pleciesz. Zajrzyj do naszej chaty. Wróbel nie znalazłby jednej okruszyny. Pamiętasz moją żonę? Była tłusta, miała oleistą białą skórę, a teraz wisi na niej wszystko jak na kołku. Słysząc jak jej kości kłeczą pod skórą. Dzieci nam pomarły — zostało tylko czworo. Troje najmniejszych poszło sobie, na zawsze, na zawsze. A ja... Popatrz na mnie...

Podniósł brzeg szerokiego rękawa i otarł każde oko z osobna.

— Nie gadaj. Jedliście cały czas — powtórzył Wang uparcie.

— Myślałem ciągle o tobie i o twoim ojcu, który jest moim bratem — odparł porywczo — a teraz dam ci tego dowód. Pożyczyłem od tych dobrych ludzi trochę żywności w mieście. Obiecałem im, że gdy nabiorę sił, to im pomogę nabyć trochę ziemi we wsi. I zaraz pomyślałem o twojej ziemi, o twojej dobrej ziemi, synu mojego brata. Oni przyszli kupić twoją ziemię. Chcą ci dać pieniędzy. Pieniądze to jedzenie, to życie...

Stryj cofnął się teraz o parę kroków i rozłożył ramiona trzepocząc fałdami brudnej, podartej szaty.

Wang Lung podniósł głowę i przyjrzał się obcym ludziom. Byli to istotnie ludzie miastowi, świadczyły o tem solidne jedwabne szaty i miękkie ręce,

o długich paznokciach. Byli dobrze odżywieni, w żyłach ich napewno płynęła żywa krew. Ludzie miastowi, objedzeni i opici, ośmielają się stanąć w obliczu umierających z głodu dzieci, które zjadają ziemię z ojcowskiego pola. Przyszli poto, by mu wydrzeć ze słabnących rąk ojcowiznę. W kościstym obliczu Wanga, podobnem do trupiej czaszki, płonęły wielkie, głęboko osadzone oczy. Popatrzał na nich wzrokiem ponurym.

— Nie sprzedam ziemi — odparł.

Stryj podbiegł do niego, ale w tejże chwili na próg wgramolili się dwaj synkowie Wanga. Od pewnego czasu poruszali się już tylko na czworakach. Nie mieli siły wyprostować grzbietów.

— To twój chłopak? — krzyknął stryj. — Ten tłusty chłopak, któremu w lecie dałem miedziaka?

Goście patrzyli na dziecko. I nagle Wang zaczął cicho płakać. Wang już dawno nie płakał, ale teraz łzy dławiły go i zalewały mu wychudłe policzki.

— Ile mi zapłacicie? — wyszeptał wreszcie. Ma przecież troje dzieci do wyżywienia, troje dzieci i starego ojca. On i żona mogliby wykopać sobie dwie mogiły w polu i spocząć w nich na wieki, ale nie są sami — mają ojca i dzieci.

Jeden z mężczyzn odezwał się tonem, pełnym namaszczenia. Miał tylko jedno oko i wpadniętą twarz.

— Mój biedny człowieku, litujemy się nad twoim chłopcem, który ginie z głodu, toteż zapłacimy ci więcej aniżeli się płaci w tych czasach. Damy ci — tu urwał i dodał szorstko — damy ci sto pensów za morgę.

Wang Lung zaśmiał się gorzko. — Chcecie mi odebrać ziemię za darmo — krzyknął. — Mam wam zrobić upominek. Przecież zapłaciłem za nią dwadzieścia razy tyle...

— No tak, ale kupując od kogoś, kto umiera

z głodu, płaci się cokolwiek inaczej — wtrącił się drugi miastowy człowiek.

Był to drobny, niepozorny człowieczek, który przemawiał nadspodziewanie grubym głosem. Wang Lung przyjrzał się im badawczo. Jacy to oni są pewni swego — pomyślał. Człowiek gotów wyzbyć się wszystkiego, gdy chodzi o dzieci i starego ojca. Świadomość, że skapitulował wobec przemocy, nappełniła go gniewem. Zerwał się i rzucił się na przybyszów z miasta, niby wściekły pies.

— Za nic w świecie nie sprzedam ziemi! — krzyknął na całe gardło. — Będę karmić dzieci ziemią z mego pola, a jeśli pomrą, to je w tej ziemi pochowam. I ja i moja kobieta i mój stary ojciec, wszyscy umrzemy na ziemi, co nas zrodziła.

Krzyczał i płakał głośno, aż mu złość się roztopiła we łzach, uciszyła się, jak powiew wiatru. Stał teraz cały drżący i zapłakany. A tamci trzej przyglądali mu się z uśmiechem, czekając, aż się biedny warjat uspokoi...

Wtem na progu stanęła O-lan i przemówiła do nich, swoim spokojnym, równym głosem:

— Ziemi nie sprzedamy, — rzekła — bo inaczej nie mielibyśmy do czego wracać z południa. Ale możemy sprzedać stół, dwa łóżka z pościelą, cztery ławy, nawet i kocioł, co stoi przy palenisku. Zachowamy tylko grabie, motykę i pług, no, i ziemię.

W spokojnym głosie O-lan była moc tajemna, która działała sugestywniej, aniżeli gniew Wang Lunga. Stryj Wanga odezwał się trochę niepewnie:

— Czy rzeczywiście zamierzasz iść na południe?

Jednocześnie zwrócił się do swoich towarzyszków. Zaczęli się naradzać szeptem, a po chwili jednooki rzekł do O-lan:

— Wasze sprzęty są nic nie warte. Nadają się

jeno na opał. Dam dwie sztuki srebra za wszystko. Ani grosza więcej.

Rzekłszy to, odwrócił się pogardliwie, ale O-lan odpowiedziała bez uniesienia:

— Jedno łóżko warte jest dwie sztuki srebra, ale jeśli możecie zapłacić gotówką, to dawajcie zaraz pieniądze i zabierzcie sobie wszystko.

Jednooki wyciągnął zza pasa garść monet i wysypał je na wyciągniętą dłoń Wanga, poczem wszyscy trzej weszli do domu i zaczęli wynosić sprzęty: stół, ławy łóżka z pościelą i kocioł. Skoro jednak przekroczyli próg izby starego ojca, stryj Wanga pozostał w kuchni. Nie chciał się pokazać starszemu bratu, nie chciał też patrzeć, jak tamci ściągali starego z łóżka i układali go na klepisku. W ogołoconym domu pozostały tylko dwie motyki, pług oparty o boczną ścianę i grabie. O-lan zwróciła się do męża:

— Idźmy zaraz, póki mamy dwie sztuki srebra i zanim będziemy musieli sprzedać dom. Po powrocie nie mielibyśmy gdzie się schronić.

Wang Lung odpowiedział z trudem: A więc idźmy...

Ale gdy posłał wzrok wślad za drobnymi postaciami oddalających się kupców, jał powtarzać wkołko: — mam przynajmniej ziemię, mam ziemię...

Nie pozostawało im nic innego, jak zamknąć drzwi na żelazną kłódkę i wyruszyć w świat. Wszystkie odzież włożyli na siebie, O-lan wetknęła każdemu dziecku w rękę miseczkę na ryż i parę paleczek. Dwaj mali chłopcy ściskali je kurczowo w nadziei, że niebawem dostaną jeść. Wędrowano na przełaj przez pola. Smutna procesja wlokła się tak żółwym krokiem, że się zdawało, że nigdy nie dotrze do murów miasta.

Wang niósł córeczkę, ale spostrzegł, że stary ojciec ledwie włóczy nogami, więc oddał dziecko

O-lan, sam zaś dźwignął starego na plecy i niósł go, potykając się na wyboistej drodze. W zupełnem milczeniu minęli świątynię z królującymi w niej bożkami, które nie dostrzegały, co się wokoło nich dzieje. Pomimo, że wiał zimny, ostry wiatr, Wang był zlany potem. Zły wiatr wiał im w twarz, i w plecy, aż dzieciaki zaczęły płakać z zimna. Wang starał się je ulagodzić.

— Jesteście dwaj dzielni mężczyźni, podróżujecie na południe, do ciepłego kraju, gdzie jest moc jedzenia. Będziemy codziennie jeść biały ryż. Tak, tak... Będziecie codziennie jeść, codziennie jeść...

Zatrzymując się co krok, doszli wreszcie do murów miasta. Ogiś Wang rozkoszował się chłodem panującym w tunelu, dzisiaj jednak zaciskał zęby, żeby nie pomstować na mroźny wiatr, który pędził przez tunel z wściekłością wezbranego potoku, walczącego między skałami. Człapali w gęstem błocie, toteż chłopcy ustawiali a O-lan z córką na ręku ugiwała się pod ciężarem własnego ciała. Wang Lung widząc to, postawił starego ojca pod murem, sam zaś wziął chłopców na ręce i niósł ich przez czas jakiś, poczem powrócił do ojca. Pot lał się z niego strumieniami. Musiał tedy oprzeć się o wilgotny mur, gdyż nie miał już siły. Stał z zamkniętymi oczami i oddychał szybko, a rodzina jego stała obok, dygocząca z zimna i niepokoju.

Znajdowali się teraz o parę kroków od bram pałacu Hwangów, ale wysokie żelazne drzwi były zamknięte, a na ich straży stały dwa szare kamienne lwy. Na stopniach kulily się nędzne postacie mężczyzn i niewiast, spozierających głodnymi oczami wgląd podwórka. Gdy Wang Lung mijał ich ze swoim żalosnym orszakiem, ktoś krzyknął jazgotliwym głosem:

— Serca bogaczy są twarde, jak serca bo-

gów. Mają oni jeszcze dość ryżu do jedzenia, pędzą nawet wódkę z ryżu, a my tutaj giniemy z głodu.

Inny wtórował mu jęklwym głosem:

— O, gdybym miał dość siły w rękach, tobym podpalił te ich bramy i pałace, choćbym miał sam zginąć w ogniu. Niech będą przekłeci rodzice, którzy wydali na świat Hwangów.

Wang Lung nie odezwał się ani słowem. W milczeniu udali się w dalszą drogę, na południe.

Dopiero pod wieczór dowlekli się na południowy kraniec miasta, gdzie już się zgromadziło mnóstwo ludzi, dążących na południe. Wang Lung właśnie zastanawiał się, gdzieby tu spędzić noc pod murem, gdy nagle dostał się razem ze swoimi w środek tłumu. Spytał kogoś, kto napierał nań z całej siły:

— Dokąd ci ludzie idą?

— Jesteśmy głodni — odrzekł nieznajomy. — Chcemy złapać ognisty wagon, który nas zawiezie na południe. Dla takich biedaków, jak my, są wagony, w których płaci się za drogę niecałą sztukę srebra.

Ognisty wagon... Słyszało się o tem coś nie coś. Wang Lung przysłuchiwał się nieraz w herbaciarni rozmowom o wagonach, powiązanych ze sobą i wleczonych przez maszynę, ziejącą ogniem i wodą, jak smok. Obiecywał sobie wtedy, że w któreś święto pójdzie się przyjrzeć temu dziwu, ale nigdy nie miał czasu, a smok popasał na drugim krańcu miasta. Zresztą nie ufa się temu, czego się nie zna i nie rozumie. Człowiek nie powinien wiedzieć więcej, aniżeli mu to jest potrzebne do życia.

Teraz jednak zwrócił się do żony i rzekł:

— Czy my także wsiądziemy do ognistego wagonu?

Odciągnęli na stronę starego ojca i dzieci i popatrzyli na siebie z niepokojem. Staruszek osu-

nał się na ziemię, a jeden z chłopców położył się na wznak, nie zwracając uwagi na potracające go nogi przechodniów. O-lan dźwigała córeczkę. Główka jej zwisała bezwładnie. Wang spojrział na zamknięte oczy dziecka i zapominając o wszystkim, krzyknął:

— Czy mała niewolnica już umarła?

O-lan potrząsnęła głową.

— Nie jeszcze... Słyszysz jej oddech. Ale nie przeżyje nocy, i my również nie przeżyjemy nocy, jeżeli...

Nie rzekła już ani słowa, jeno spojrzała nań wymownie.

Wang milczał, pomyślał jednak, że jeszcze jeden taki dzień jak dzisiejszy, a wszyscy pomrą.

— No, wstawajcie chłopcy! — zawołał, siląc się na weselość — pomóżcie dziadkowi. Pójdziemy szukać ognistego wagonu. Ognisty wagon zawiezie nas na południe.

Pewnie by im nie starczyło siły do dalszej wędrówki, gdyby nie to, że w ciemnościach zagrzemiał straszliwy głos smoka i zabłysły wielkie oczy, miotające ogień. Na ten widok, kto żyw zaczął wrzeszczeć i biec na oślep. Popychani w tłumie Wang i jego żona czynili rozpaczliwe wysiłki, by się nie zgubić. Sami nie wiedząc, kiedy zostali wtłoczeni w ciemność, pełną wrzaskliwych i płaczliwych głosów, a potem wpadli przez ciasne drzwiczki do jakiejś izby, podobnej do wnętrza skrzyni. Zanim się spostrzegli, to coś, w czym się znajdowali, ruszyło z miejsca, do wtóru nieustannego ryku, unosząc ich w dal w swoim wnętrzu.

XI

Wang Lung zapłacił dwoma sztukami srebra, za pozwolenie przebycia stu mil. Urzędnik, który odebrał od niego srebro, zwrócił mu garść miedzianych pensów. Za parę pensów kupił Wang od przekupnia, który podczas pierwszego postoju wetknął do wagonu tacę z towarem — cztery bochenki chleba i miskę z gotowanym ryżem, dla córeczki. Od wielu dni nie widzieli tyle naraz jadła, a chociaż byli śmiertelnie wygłodzeni, to jednak odeszła ich odrazu ochota do jedzenia. Chłopców trzeba było pochlebstwami zmuszać do przełykania kęsów chleba. Zato staruszek wytrwale ssał chleb bezzębnymi szczękami.

— Człowiek musi jeść — gdał starczym głosem, zwracając się przyjaźnie do ludzi, którzy przy każdym wstrząsie i silniejszym kołysaniu pchali się na niego całym ciężarem.

— Mój głupi brzuch rozleniwiał się przez tyle dni bezrobocia. Trzeba go nakarmić. Nie mam zamiaru umierać tylko dlatego, że brzuch łajdak nie chce pracować.

Ludziska śmiali się, patrząc na uśmiechniętego pomarszczonego staruszka, o rzadkiej, sterczącej siwej brodzie.

Lecz Wang Lung nie wydał wszystkich miedzaków. Co mógł to schował, na kupno trzcinowych mat, potrzebnych do zbudowania szałas, tam na południu. W wagonie jechali mężczyźni i kobiety, którzy już bywali na południu Chin. Niektórzy z nich dążyli do miast po robotę, inni na żebry. Wang Lung przywykał zwolna do dziwów, które go otaczały i do widoku wirującej ziemi, jął więc przysłuchiwać się gawędom. Ludzie mówili głośno, z pewnością siebie, jak mędrcy, którzy znaleźli się w towarzystwie głupich ludzi.

— Najprzód musicie kupić sześć mat — odezwał się jeden człowiek o obwisłej wielbłądziej wardze. — Za dwa pensy dadzą wam sporą matę, jeżeli nie dacie się okpić, jak wiejskie głuptaki. Inaczej każą wam zapłacić całe trzy pensy. Mnie tam nie oszukają ludzie z południa, nawet najbogatsi...

Mówiąc to, pokiwał głową i spojrzał po obecnych, czekając na objawy podziwu. Wang Lung słuchał go z niepokojem.

— No, a potem? — zapytał. Siedział na ziemi w kącie wagonu, który ostatecznie nie był niczem innem, jak tylko drewnianą izbą, pozbawioną sprzętów. Wiatr i kurz przenikały do niej przez szpary w podłodze.

— A potem — odrzekł tamten głośno, starając się przekrzyczeć turkot żelaznych kół — powiążecie maty, zrobicie z nich szalas i pójdziecie na żebrzy, ale trzeba się porządnie umazać błotem, żeby obudzić litość w przechodniach.

Nie podobala się Wangowi rada współtowarzysza podróży. Nigdy w życiu nie żebrał i wzdrygał się na myśl, że ma prosić o wsparcie obcych ludzi w południowych prowincjach.

— Czy koniecznie trzeba żebrać? — zapytał.

— Koniecznie — odparł człowiek o grubych wargach — najprzód jednak trzeba się najeść. Ci ludzie w południowych prowincjach mają tyle ryżu, że można każdego ranka najeść się za jednego pensa, w ulicznej garkuchni, tyle białego ryżu, ile tylko brzuch pomieści. Potem, gdyś najedzony, możesz spokojnie żebrać, a za uzbierane miedziaki kupujesz sobie tartej fasoli, kapusty i czosnku.

Wang Lung odsunął się nieco od swoich sąsiadów i odwróciwszy się do ściany wsunął rękę za pas i policzył pensy, które zostały w sakwie. Miał wystarczającą ilość miedziaków, na kupno sześciu

mat i na ryż dla całej rodziny, jeszcze mu zostaną trzy pensy. Pomyślał z ulgą, że będą mogli zacząć nowe życie, ale świadomość, że trzeba będzie żebrać na ulicy, drażniła go. Był w rozterce. Mógł to robić stary ojciec, mogły to robić dzieci i kobieta, lecz on ma przecież dwoje rąk, zdolnych do roboty.

— Czy tam trudno o robotę? — zapytał nagle, zwracając się do sąsiada.

— Co? Roboty szukasz? — rzekł pogardliwie i splunął na podłogę. — Ano cóż, możesz znaleźć pracę, jeśli chcesz. Możesz na przykład ciągnąć riksę, w której siedzi bogaty człowiek, możesz biegać cały dzień w pocie czoła... Gorąco wyciska ci krwawy pot, gdy tak biegniesz na upale, a gdy czekasz na nowego gościa, to ci się zdaje, że masz na ciele skorupę z lodu. Co innego zawód żebraczy.

Na zakończenie zaklął soczyście, a Wang Lungowi odechciało się prowadzić z nim rozmowę.

Był jednak zadowolony, że się nasłuchał, co mówią ludzie, bo gdy ognisty wagon dowiózł ich na miejsce przeznaczenia i wyrzucił ich na dwór, Wang Lung miał już gotowy plan. Poleciał ojcu i dzieciom czekać pod długim, szarym murem pobliskiego domu, żonie kazał ich pilnować, sam zaś udał się po zakup mat, dopytując po drodze przechodniów, gdzie się znajduje targowa dzielnica. Z początku nie rozumiał, co do niego mówią. Ci ludzie z południa mają dziwną, ostrą i łamliwą wymowę. Gdy nie rozumiał ich odpowiedzi, niecierpliwił się. Zaczął więc uważnie się przyglądać przechodniom i zaczepiał tylko ludzi o łagodnych twarzach, bo się przekonał, że południowcy są niezmiernie obrażliwi i wybuchowi.

Znalazł wreszcie sklepik z matami, na skraju tego miasta. Położył na ladzie pensy, z miną człowieka, który zna wartość towaru i zabrał zwój mat, poczem wrócił na miejsce, gdzie zostawił rodzinę.

Czekali na niego w milczeniu. Na widok ojca chłopcy krzyknęli z ulgą, gdyż pobyt w niesamowitem miejscu napełnił ich lękiem. Tylko stary ojciec przyglądał się wszystkiemu z zadowoleniem i podziwem.

— Patrz-no — szepnął do Wanga — jakie to tłuszciochy, ci ludzie z południa. Skórę mają białą i oleistą, muszą codziennie obżerać się wieprzowiną.

Żaden z przechodniów nie zwracał uwagi na Wanga i jego rodzinę. Brukowanym gościńcem, wiodącym do miasta ciągnęli mężczyźni, zajęci swojemi sprawami, nie oglądający się na żebraków. Co chwila mijały ich karawany jucznych osłów, dźwigających kosze z ceglami i worami, pełnemi ziarna. Małeńkie ich kopytka stąpały ostrożnie, po wypukłych kamieniach, do których były dopasowane rozmiarami.

Zazwyczaj na końcu karawany jechał na ostatnim osiołku człowiek z wielkim batem. Strzelał nim nad grzbietem zwierząt, krzycząc na całe gardło. Mijając Wanga, każdy taki poganiacz obrzucał go wyniosłem i gniewnem spojrzeniem. Żaden księżę nie patrzy równie wyniośle, jak ci poganiacze odziani w proste, robocze, szaty. Na widok gromadki, stojącej przy drodze, każdy z nich z satysfakcją strzelał z bata. Ogluszający trzask przeszywał powietrze, a oni podskakiwali z wrażenia, co wywoływało śmiech poganiaczy. Wang rozzłościł się wreszcie i zeszedł z drogi w poszukiwaniu miejsca na chatę.

Stały już tutaj inne szałas. Przywarły do muru, za którym nie wiadomo, co się znajdowało. Mur ciągnął się nieskończenie długi, szary i wysoki, a małeńkie szałas przylgnęły doń jak pchły do grzbietu psa. Wang Lung przyjrzał się im, a potem zaczął budować własne mieszkanie, ale maty plecio-

ne z trzciny były sztywne i nieporęczne. Był już bliski rozpaczy, gdy nagle usłyszał głos O-lan.

— Ja to potrafię zrobić. Przypominam sobie, jak stawialiśmy chatę za czasów mego dzieciństwa.

Posadziła córeczkę na ziemi i zaczęła ustawiać maty, nadając im kształt schronienia. Można w niem było wygodnie usiąść, nie stuknąwszy się głową o sufit. Kilku ceglami przycisnęła brzegi mat, dotykając ziemi i posłała dzieci po nowy zapas cegieł. Kiedy robota dobiegła końca, cała rodzina schroniła się do małego szałas. Ostatnią matą nakryto ziemię.

Popatrzyli po sobie. Wierzyć się im nie chciało, że zaledwie wczoraj odeszli ze swojego kraju, porzucili dom i ziemię i że dzisiaj oddaleni są o setki mil, od ojcowizny. Gdyby szli piechotą — zabraloby to im wiele tygodni czasu i zapewne niejedno z nich zmarłoby po drodze, nie doszedłszy do celu.

Dusze ich napełniła radosna świadomość dostatku, panującego w bogatym kraju, gdzie nie widać ludzi głodnych, toteż, gdy Wang Lung rzekł — „Idziemy szukać ulicznej garkuchni“ — zerwali się prawie wesoło i wyruszyli w drogę. Chłopcy bębni-li pałeczkami, o dno miseczek, które miały napełnić się jedzeniem. Niebawem przekonali się z jakiego powodu szałas łazików przywarły do stóp wysokiego muru. Na północnym jego krańcu rozpoczynała się ulica, którą dążyło wielu ludzi dźwigających puste wiadra, blaszanki i miski. Wszyscy ci ludzie spieszyli do pobliskiej kuchni dla biedaków. Wang Lung i jego rodzina wmieszali się w tłum i przybyli razem z innymi, do dwóch wielkich szałasów, otwartych na oścież.

W ich wnętrzu wznosiły się gliniane piece. Wang nigdy nie widział równie wielkich pieców. Stały na nich kotły, głębokie jak sadzawki. Pod drewnianymi pokrywami gotował się i bulgotał w

kłębach pary smakowity biały ryż. Woń gotującego się ryżu upajała ludzi, jak najśłodsze pachnidła. Tłoczono się więc wkoło pieców, matki hałaśliwie broniły dzieci przed stratowaniem, rozlegał się płacz niemowląt, a mężczyźni krzając się przy kotłach krzyczeli tubalnymi głosami:

— Starczy dla każdego! Trzymać się kolejki!..

Nie jednak nie było w stanie powstrzymać nacierającego tłumu głodomorów, którzy staczali formalne walki o jedzenie. Wang Lung nie miał możliwości poruszyć się w zbitej masie, trzymał się więc ojca i synów, a gdy wreszcie fala tłumu runęła razem z nimi w kierunku pieca, wyciągnął miskę. Napelniono ją ryżem, on zaś rzucił trzy pensy, przy czem starał się nie dać się zepchnąć przez napierającą na niego gawiedź.

Dopiero gdy się wydostali na ulicę, zabrali się do jedzenia. Wang najadł się do syta i jeszcze zostawił na dnie miski trochę ryżu, mówiąc:

— „Zabiorę to do domu, na wieczór“, lecz stojący obok nich mężczyzna, odziany w niebieski i czerwony strój dozorczy, rzekł ostro:

— Nie ma mowy. Trzeba jeść tutaj. Zabierać niczego nie wolno. Chyba tylko to, co macie w brzuchach.

Wang Lung zdziwił się bardzo.

— A jeżeli ja zapłaciłem, to co cię to obchodzi, czy zabieram jedzenie w brzuchu, czy też w misce?

Dozorca na to:

— Trudno, wyszło takie prawo, bo niektórzy ludzie mają twarde serca: przychodzą tutaj, kupują ryż, rozdawany biednym — przecież jeden pens nie wyżywi dzisiaj człowieka — a potem odnoszą ryż do domu i karmią swoje wieprze. Ryż jest dla ludzi, a nie dla świń.

Wang Lung przysłuchiwał mu się z zaciekawieniem, poczem wykrzyknął:

— Czy to możliwe, żeby ludzie byli tacy bezlitośni! — I zaraz dodał: — A któż to tak obdaruje biedaków?

— Bogacze i wielcy panowie z miasta — odparł dozorca. — Jedni czyniąc to, chcą mieć zasługę w niebie, a inni, żeby o nich dobrze mówiono.

— Tak czy owak — dobry to uczynek — zauważył Wang Lung. — Sądzę, że są i tacy, co czynią to z potrzeby serca.

Nie otrzymał jednak odpowiedzi, więc dodał, jakby się tłumacząc:

— Są chyba i tacy?...

Dozorca znudzony rozmową, odwrócił się do Wanga plecami, pogwizdując zcicha. Dzieci tuliły się do ojca, więc odprowadził je do szafasu i ułożył do snu. Spały smacznie do samego rana. Pierwszy to raz na przestrzeni całego lata poszły spać, najeżone dosyta.

Następnego dnia trzeba było myśleć o zdobyciu pieniędzy, gdyż ostatni miedziak poszedł rano na kupno ryżu. Wang Lung spojrzał na O-lan pytająco. Nie było to jednak tępe i beznadziejne spojrzenie, jakim obrzucał ją dawniej, stojąc w polu zniszczonem przez suszę. W mieście, gdzie się kręciły tylu odkarmionych ludzi, gdzie na targu piętrzą się kosze z mięsem i jarzynami, a w kadziach pływają żywe ryby — ojcu rodziny nie może grozić śmierć głodowa. Inaczej tutaj się żyje, aniżeli w ich stronach, gdzie nawet za srebro nie dostałbyś jedzenia.

— O-lan przemówiła z pewnością siebie kobiecie, która całe życie spędziła w mieście.

— Ja z dziećmi mogę iść zebrać. Stary ojciec również. Jego siwa głowa wzruszy takich, którzy mnie odmówiliby wsparcia.

Zawołała chłopców. Dzieci zapomniały już o

wszystkiem, wiedziały tylko, że mają co jeść i że się znajdują w osobliwym mieście. Wybiegały więc co chwilę na drogę i przyglądały się przechodniom i zwierzętom.

— Weźcie miski — pouczała ich O-lan — trzymajcie je w rękach, o, tak i krzyczcie: „Litości, dobry panie! Litości, dobra pani! Zlitujcie się. Niebo zapłaci wam za dobry uczynek. Jednym miedziakiem nakarmicie głodne dziecko...”

Tak wołała O-lan — wyciągając pustą miskę, a chłopcy wpatrywali się w nią, jak urzeczeni. Wang Lung również nie odrywał oczów od żony. Gdzież to się ona nauczyła żebrać? Ileż zagadek kryje się w tej kobiecie... O-lan pochwyciła wzrok męża i dodała:

— Gdy byłam dzieckiem, musiałam tak krzyczeć na ulicy. Ciężki to był rok. Rodzice mnie sprzedali. Wówczas to zostałam niewolnicą.

Staruszek, który drzemał w kącie, otworzył oczy. Bez słowa wziął podaną miskę i wszyscy czworo wyszli niebawem na drogę. Pierwsza zaczęła wykrzykiwać O-lan, potrząsając pustym naczyniem przed nosem przechodniów. Przytuliła rozespaną córeczkę do obnażonej piersi. Główka dziecka chwiała się bezwładnie, przy każdym gwałtowniejszym ruchu matki.

O-lan krzyczała coraz głośniej:

— Jeżeli mnie nie poratujecie, dobry panie, szlachetna pani, dziecko moje umrze z głodu... My wszyscy umrzemy z głodu... z głodu...

Dziecko istotnie sprawiało wrażenie trupka, toteż niektórzy przechodnie zatrzymywali się i rzucali miedziaki do miski.

Po jakimś czasie chłopcy zaczęli naśladować matkę. Była to dla nich nowa zabawa. Starszy chłopiec mniej śmiały od młodszego — wyszczerzał zęby w głupkowskim uśmiechu, co nie uszło uwagi mat-

ki. Wepchnęła ich do szalasu i dała każdemu pokolei mocnego kuksańca pod brodę, krzycząc gniewnie:

— Skarżycie się, że zdychacie z głodu, a śmiejecie się przytem. Jeśli z was takie głuptaki, to zdychajcie sobie! — i znowu zaczęła ich bić, aż ją dłoń rozboleła, a dzieci rozbeczały się żałośnie.

— Idźcie teraz żebrać. A jeśli mi znowu będziecie stroić wesołe miny, to dostaniecie nową porcję.

Wang Lung wyruszył na miasto, w poszukiwaniu pracy. Nagabując po drodze przechodniów, dotarł do postoju rikszy. Wynajął jedną z nich, na cały dzień, za pół sztuki srebra, którą miał wpłacić wieczorem.

Ciągnąc drewniany dwukołowy wózek odnosił wrażenie, że zwraca powszechną uwagę. Ludzie patrzyli na niego, jak na warjata. Czuł się tak nieswojo między dwoma drażkami, jak wół zaprzężony po raz pierwszy do pługa. Z początku poruszał się z wielkim trudem, ledwie włókł nogami, a zdawał sobie sprawę, że jeśli ma zarobić, to musi nauczyć się biec klusa. Mijały go inne riksy, toczące się szybko, po jezdni. Skręcił w boczną uliczkę, gdzie nie było sklepów, tylko szeregi prywatnych domów. Zaczął więc wprawiać się, biegnąc coraz prędzej, tam i napowrót, a kiedy doszedł do wniosku, że się nigdy nie nauczy sztuki ciągnięcia rikszy i że trzeba będzie pójść na żeby, otworzyły się drzwi jednego z domów. Na progu stanął stary człowiek w okularach i w stroju nauczyciela i skinął na niego.

Wang Lung zaczął się tłumaczyć, że jeszcze nie umie obchodzić się z rikszą, ale staruszek widocznie był głuchy, bo nie zwracał uwagi, na słowa Wanga, tylko kazał mu opuścić drażki i zajął miejsce w rikszy. Wang nie śmiał oponować bogato ubranemu starcowi, o tak dostojnem i mądrem obliczu. Zre-

szta, jak tu z nim się dogadać, kiedy jest głuchy jak pień.

— Zawieź mnie do świątyni Konfucjusza — rzekł starzec, siedząc sztywno i spokojnie na wąskiej ławeczce. Właśnie ten jego spokój budził szacunek i posłuch, toteż Wang bez słowa ruszył z miejsca, chociaż nie miał pojęcia, gdzie się znajduje świątynia Konfucjusza.

Pytał o drogę mijanych ludzi. Ciągnął riksę, przepychając się z trudem środkiem zatłoczonych ulic, po których wędrowali kupcy z koszami, kobiety spieszące na targ, wozy zaprzężone w konie i dwukołowe wózki. Nie mógł biec, więc szedł jak mógł najprędzej, czując bezpośrednio za plecami dziwny podskakujący ciężar. Pracując w polu, przywykł do dźwigania ciężarów, ale nigdy nie ciągnął wózków, więc zanim dotarł do murów świątyni, ramiona rozboleły go okrutnie, a na dłoniach wystąpiły mu bąble.

Skoro stanęli na miejscu, Wang Lung oparł drążki na ziemi. Staruszek wysiadł z rikszy i, sięgając w zanadrze, wyjął srebrny pieniążek i wręczył go Wang Lungowi, ze słowami:

— Nigdy więcej nie płacę. Nie próbuj się skarżyć.

Rzekłszy to, odwrócił się i wszedł do świątyni.

Wang Lungowi przez myśl nie przeszło targować się z pasażerem, nigdy bowiem nie widział podobnej monety i nie miał pojęcia, ile pensów za nią dostanie. Poszedł zaraz do składu ryżu i zmienił srebro. Kupiec wypłacił mu dwadzieścia sześć pensów, a Wang Lung zdumiał się, że na Południu tak łatwo zdobywa się pieniądze. Stojący obok kulis spojrzał na dłoń Wanga i zawołał:

— Tylko dwadzieścia sześć? Dokąd zawiozłeś starego lba?

Gdy mu Wang odpowiedział, że zawiózł pasażera do świątyni Konfucjusza, tamten krzyknął z oburzeniem: A to skąpiec! Dał ci połowę tego, co się należało. A za ile się z nim umówiłeś?

— Wcale się nie umawiałem — odparł Wang.

— Powiedział mi: Chodź, to i poszedłem.

Człowiek spojrzał na Wanga z politowaniem.

— Słuchajcie no! — wołał na stojących obok gapiów. — Chcecie się przyjrzeć, jak wygląda wiejski przygłupek. Macie go, razem z warkoczem. Ktoś zawoła „chodźno tutaj”, a ten lezie, jak osioł i nie pyta, a ile mi dasz? Zapamiętajże sobie, że tylko z białym cudzoziemcem można iść bez targu. Zapalne to jak wapno, ale gdy powie — „chodź”, możesz iść bez gadania. Biali cudzoziemcy to warjaty, nie rozumieją się na pieniądzach, nie wiedzą ile co kosztuje, srebro wylewa się im z kieszeni jak woda.

Ludziska słuchali gadatliwego rikszy, śmiejąc się głośno. Tylko Wang Lung milczał. Czuł się małym i głupim w porównaniu z miastowymi ludźmi, bez słowa więc oddalił się ze swą rikszą.

Przynajmniej starczy na jedzenie dla dzieci — powtarzał sobie z uporem, ale nagle przypomniał sobie, że będzie musiał zapłacić za wynajęcie wózka i że nie zarobił nawet połowy.

Tegoż ranka trafił mu się jeszcze jeden pasażer. Tym razem umówił się z nim, zanim ruszył z miejsca. a po południu dwóch nowych pasażerów skinęło na Wanga. Jednakże, gdy pod wieczór przeliczył pieniądze został mu po zapłaceniu rikszy, tylko jeden pens. Wrócił więc do szałasu wielce rozgoryczony. Napracował się więcej, aniżeli w polu podczas żniw, a zarobił tylko jednego miedziaka. W ciągu tego znojnego dnia ani razu nie pomyślał o swej ziemi, ale nagle nawiedziło go wspomnienie pól czekających nań cierpliwie, daleko stąd, w znajomym kraju, i spłynął nań wielki spokój.

Gdy wszedł do szalasu, dowiedział się, że O-lan użebrała przez cały dzień czterdzieści miedziaków, czyli nie całych pięć pensów. Starszy chłopiec zarobił osiem miedziaków, młodszy trzynaście — wszystkiego razem starczyć mogło na kupno ryżu, następnego dnia. Kiedy chcieli odebrać miedziaki małemu, rozwrzeszczał się i nie chciał wypuścić pieniędzy z garści. Pokochał je. Zasnął, ściskając w drobnej piastce użebране pieniądze, a nazajutrz sam zapłacił za swój ranny posiłek.

Stary nie użebrał ani grosza. Posłusznie siedział na skraju drogi, lecz nie wyciągał dłoni. Chwilami pograżał się w półsen, to znów budził się i przyglądał się życiu ulicznemu, i znów zasypiał znużony gwarem. O-lan nie mogła mu robić wymówek — jest przecież człowiekiem sędziwym. Pod wieczór popatrzał na swoje ręce i rzekł z prostotą:

— Orałem pole, siałem ziarno, zbierałem plony i jeszcze spłodziłem syna i synów syna...

Mówiąc to spoglądał ufnie i pogodnie, jak dziecko, w przeświadczeniu, że zarobił sobie na żywienie. Ma przecież syna i wnuków...

XII.

Kiedy minął okres zaspakajania pierwszego głodu i Wang Lung zrozumiał, że dzieci jego otrzymają codziennie porcję jadła, że każdego ranka wszyscy mogą się pożywić ryżem za pieniądze zarobione przez niego i użebране przez O-lan, kiedy oswoił się z przedziwnem otoczeniem — zaczął pojmować, czym jest owe miasto, z którym zespolił swój byt. Przebiegając tam i napowrót ulicę, od rana do późnej nocy poznał najtajniejsze zakamarki starego grodu i jego obyczaje. Wiedział już teraz, że kobiety, które wynajmują rano riksze, spieszą na targ, a mężczy-

źni dążą do szkół i domów handlowych. Nie miał jednak możliwości sprawdzenia, co to są za szkoły, wiedział tylko, że mają osobliwe nazwy: Wielka Szkoła Zachodnia, albo Wielka Szkoła Chińska. Nie przekroczył progu ani jednej z nich, a gdyby dostał się za bramę, spewnościaby go zapytano, co tam robi. Nie wiedział również, jak wyglądają wewnątrz handlowe domy i biura, do których wioził mężczyzn.

Wieczorami wioził pasażerów do teatrów i herbaciarni, i do miejsc rozrywkowych, skąd płyną na ulicę fale melodyj muzycznych, słysząc stukot kości do gry i bambusowych lasek. To są rozkosze jawne, dostępne dla wszystkich, ale są także rozkosze tajemne, ukryte w głębi domów, za murami... Nie znał ich jednak Wang Lung, gdyż stopy jego nie przekraczały żadnego progu, oprócz progu swej chaty, a każda jego wędrówka kończyła się niezmiennie u wrót zamkniętej bramy. Żył w bogatym mieście jak szczur w domu bogacza, żywiący się odpadkami, wślizgujący się w szczeliny i nie biorący udziału w życiu mieszkańców.

Oto dlaczego, chociaż dzieliło ich zaledwie sto mil od rodzinnej wsi, czuli się Lungowie na Południu jak cudzoziemcy. Wprawdzie mieszkańcy miasta mieli tak samo jak Wang Lung i jego bliscy czarne włosy i czarne wąskie oczy, a przysłuchując się uważnie ich mowie można było ich zrozumieć, to jednak Anhwei nie jest podobny do Kiangsu. W Anhwei — gdzie się urodził Wang Lung, ludzie mówią powoli i chrapliwie. W Kiangsu ludzie wypływają słowa gwałtownie.

Ziemia, porzucona przez Wanga, była leniwą, tylko dwa razy do roku rodziła pszenicę, ryż, fasolę i czosnek, tutaj zaś w gospodarstwach rolnych otaczających miasto, ludzie zmuszają ziemię do nieustannego wysiłku, karmiąc ją cuchnącym ludzkim nawozem i przyspieszając dojrzewanie jarzyn i ryżu.

W rodzinnych stronach Wanga ludziom wystarczał bochenek z pszennej mąki i czosnek. A tutaj ludzie obżerają się wieprzowiną, korzeniami młodych bambusów, gęsina, kurczętami, które nadziewa się kasztanami, mają też moc różnych jarzyn... Gdy taki pocziwina wionie na nich czosnkiem — kręcąc nosami i wrzeszczą: — „Przybył z północy, z tym czarnym chwostem i psuje powietrze!...” Nawet sklepikarze, gdy poczują czosnek, zaraz podnoszą ceny, jak dla cudzoziemca.

Nędzne osiedle złożone z samych szałasów, co przylgnęły do zewnętrznej ściany muru, tworzyło odrębną jednostkę, nie mającą żadnego związku z miastem i ze wsią — toteż, gdy pewnego razu Wang Lung ujrzał u wrót świątyni Konfucjusza jakiegoś młodzieńca, który przemawiał do tłumu, nawołując do zbrojnego powstania przeciwko obcym — przestraszył się wielce, gdyż zdawało mu się, że to o nim mowa. Innego dnia ujrzał znowu jakiegoś młodzieńca, przemawiającego do gawiedzi (miasto było pełne takich młodocianych mówców), na temat konieczności zjednoczenia Chin. Młodzieniec dowodził, że Chińczycy powinni się połączyć, ale Wang Lungowi tym razem nie przyszło na myśl, że słowa te skierowane są pod jego adresem.

Czegoś nowego nauczył się innym razem, gdy podczas postoju na targu jedwabi przekonał się, że inni ludzie, czują się bardziej obco od niego. Mijał właśnie duży sklep, z którego nieraz wychodziły panie, dokonawszy zakupu jedwabiu, a niejedna z nich dawała zarobić biednemu rikszy. Tego dnia ze sklepu wybiegła istota bardzo dziwna. Nie widział nigdy nic podobnego. Nie mógłby określić, czy jest mężczyzną, czy kobietą, widział tylko, że jest wysoka, że ma na sobie szatę z szorstkiego materiału, a na szyi skórę z dzikiego zwierza. Osoba, która mogła być równie dobrze mężczyzną, jak i kobietą, rozka-

zała obniżyć drażki, co też uczynił, a gdy czekał wyprostowany, oniemiały z wrażenia, przemówiła łamanym akcentem, rozkazując mu jechać na ulicę Mostów. Ruszył z miejsca i zaczął biec pędem, ogarnięty dziwnem wzruszeniem. Mijając znajomego riksę zapytał go:

— Spójrzno — kogo to ja ciągnę?

Człowiek odkrzyknął mu wesoło:

— Cudzoziemkę... Kobietę z Ameryki... Bogaty jesteś!

Wang Lung pędził co tchu, gdyż osoba siedząca za jego plecami budziła w nim niewy tłumaczony lęk. Przybył na ulicę Mostów zlany potem i zdyszany.

Kobieta wysiadła z rikszy i odezwała się znowu łamaną chińszczyzną:

— Niepotrzebnie tak pędziłeś! poczem położyła mu na dłoni dwie sztuki srebra, co stanowiło podwójną zapłatę za kurs. Teraz dopiero Wang Lung zrozumiał, że spotkał prawdziwego cudzoziemca, który czuje się bardziej obco od niego w mieście, zrozumiał także, iż ludzie o czarnych włosach i czarnych oczach tworzą odrębny rodzaj ludzi, a jasnowłosi i jasnoocy należą do innego gatunku. Po raz pierwszy poczuł się mniej obcym w mieście.

Powróciwszy do szalasu, opowiedział O-lan o swej przygodzie i pokazał jej dwie sztuki srebra.

— Widziałam już tych ludzi — odrzekła. — Zawsze ich proszę o wsparcie, bo tylko oni rzucają do miski srebrne monety, zamiast miedziaków.

Jednakże ani Wang, ani O-lan nie odnieśli wrażenia, że cudzoziemcy nie czynią tego z dobroci serca, raczej z głupoty, nie wiedzą bowiem, że żebrakom daje się miedziaki, a nie srebro.

Doświadczenie nauczyło Wanga tego, czego niezdolał go nauczyć młody mówca — pojął dopiero

teraz, że należy do jednej rodziny czarnowłosych i czarnookich ludzi.

Wang Lung przybył z kraju, gdzie ludzie umierają z głodu, gdyż ziemia nie jest w stanie wydawać plonów w bezlitosnym skwarze. Tutaj, w mieście pożywienia jest aż nadto. Na rybnym targu stoją rzędami kosze, pełne wielkich, srebrzystych ryb, łowionych nocą w rzekach, drewniane kadzie z drobnymi, połyskliwymi rybkami, które łowi się w sieci zastawiane, na sadzawkach, piętrzą się kosze napełnione po brzegi żółtymi krabami, które ruszają się i wyciągają szczypce, wyrażając tem gniew i zdziwienie. Są tam i węgorze przeznaczone dla smakoszków, a na rynku zbożowym stoją tak wielkie kosze z ziarnem, że dorosły człowiek mógłby wleźć do środka, i ukryć się nie zauważony przez nikogo. Tu i ówdzie widać kopce białego i brunatnego ryżu, żółtej fasoli, soi i fasoli czerwonej, dużej zielonej fasoli i kanarkowo żółtego prosa i szarego siemienia. Zaś na rynku mięsnym wiszą całe wieprze, rozplatanie od góry do dołu, ukazując czerwone mięso, biały pokład tłuszczu, i miękką, grubą skórę, zaś w składach drobiu zwieszają się z powały rzędy kaczek, pieczonych na rożnie, lub moczonych w soli i białe solone kaczki, oraz sznury podróbek. Ten sam widok przedstawiają sklepy z gęsiami, każantami, i innemi gatunkami drobiu.

Jeśli chodzi o jarzyny, to możesz tu dostać wszystkiego, co tylko da się wydobyć z ziemi — więc błyszczących czerwonych rzodkiewek, korzeni lotosu i zielonych głów kapusty, selerów, fasoli i brunatnych kasztanów i ozdobnej, wonnej rzerzuchy. Nie brak tu niczego, co może pobudzić apetyt człowieka. Wędrując dalej, spotyka się sprzedawców słodczy, owoców, orzechów, gorących kartoflanych placków, smażonych w słodkiej oliwie, małych pierożków z wieprzowem mięsem, zaprawianem korze-

niami gotowanych na parze i ryżowych ciastek. Dzieci przybiegają do sprzedawców, wyciągają ręczyny pełne miedziaków, i objadają się łakociami, mają potem umorusane twarzyczki, lśniące od tłuszczu i syropu.

W takim mieście nikt nie może umrzeć z głodu.

A jednak codziennie wczesnym rankiem Wang Lung wychodził z szałasu razem z rodziną i przyłączał się do procesji nędzarzy, wędrujących do publicznej kuchni.

Wychodzili oni kolejno ze swych chatek, dygocząc z zimna, gdyż wilgotna mgła płynąca od rzeki przenikała ich cienkie odzienie. W ulicznej garkuchni każdy miał prawo dostać za jednego pensa miskę z rzadką, ryżową polewką. Ani Wang Lung ciągnąc całymi dniami riksę, ani O-lan, żebrząc o wsparcie, nie mogli zarobić tyle, by móc przygotować posiłek we własnym szałasie. Gdy im został jeden pens nadto, kupowali trochę kapusty, ale kapusta wypadła zbyt drogo, gdyż chłopcy musieli zdobywać opał. Gotowało się ją między dwoma ceglami, trzeba więc było cichaczem wyrywać wiązki trzciny i suchych traw z pęków, niesionych przez chłopów na targ. Czasami ktoś przychwycił chłopców na gorącym uczynku i dał im kilka mocnych klapsów, a pewnego wieczora starszy chłopiec, który był bardziej od młodszego nieśmiały i wstydził się kraść — wrócił do chaty z podbitem i opuchniętem okiem. Zato mały okazał się bardziej uzdolniony do kradzieży, aniżeli do żebrania.

Na O-lan nie wywierało to żadnego wrażenia. Jeżeli chłopcy nie potrafią żebrać, nie śmiejąc się przy tem i nie zbytkując, to niechże przynajmniej kradną, żeby napęłnić brzuchy jedzeniem. Lecz Wangowi kością w gardle stawała nieuczciwość dzieci, nie czuł się na siłach, by karcić starszego za to, że

się ociągał z popełnianiem kradzieży. Nie podobało się Wang Lungowi życie, jakie wiedli w cieniu wysokiego, miejskiego muru. Czekala przecież na niego jego ukochana ziemia.

Powróciwszy pewnego wieczora do szalasu ujrzał gotującą się w kociołku potrawkę z wieprzowiny i kapusty. Pierwszy to raz od czasu, gdy zabili własnego wołu, mieli jeść mięso. Oczy Wang Lunga rozszerzyły się, na ten widok.

Chyba ci jakiś cudzoziemiec dał jałmużnę — zwrócił się do O-lan, ale ona jak zwykle nie odezwała się wcale, dopiero młodszy chłopiec, wiedziony głupotą wyznał z dumą: — To ja wziąłem sobie to mięso, ono do mnie należy; rzeźnik patrzył w inną stronę, a na stole leżał kawał mięsa, więc skryłem się za jakąś starą babą i ściągnąłem je, a potem uciekłem na drogę, schowałem mięso w kadzi, co stoi przy furtce i zaczekałem na Starszego Brata.

— Nie będę jadł tego mięsa! — wykrzyknął Wang Lung. — Możemy jeść takie mięso, które sami kupimy, albo wyżebrzemy, ale kradzionego tknąć nie wolno. Jesteśmy żebrakami, nie złodziejami.

Mówiąc to wydobyl palcami mięso z garnka i rzucił je na ziemię, nie zwracając uwagi na wrzask młodszego syna.

O-lan bez słów podeszła do Wanga, podniosła z ziemi mięso, obmyła je wodą i wrzuciła spowrotem do garnka z gotującą się wodą.

— Mięso jest mięsem — rzekła spokojnym głosem.

Wang Lung zamilkł, ale był zły i przerażony. Uświadomił sobie z lękiem, że synowie jego wyrosną na złodziei, jeżeli dłużej pozostanie się w mieście. Milczał jak zaklęty, gdy O-lan dzieliła miękkie mięso pałeczkami i rozdawała spore kawałki ojcu, chłopcom i córeczce, ale sam nie chciał jeść mięsa. Zado-

wolił się kapustą, którą kupił na targu. Po skończonym posiłku wyprowadził młodszego syna na ulicę, zdala od chaty poczem wsunawszy głowę chłopca pod ramię, zaczął go bić na odlew, nie zwracając uwagi na rozpaczliwe wrzaski dziecka.

— Masz, masz i jeszcze masz- — krzyczał Wang — masz złodzieju!

A gdy puścił chłopca i pozwolił mu wrócić do chaty szepnął do siebie: — Trzeba wracać w swoje strony.

XIII.

Wang żył w nizinach, stanowiących fundament, na którym rozsiadło się bogate miasto. Wprawdzie na targach piętrzyły się góry jada, na ulicach handlarzy jedwabiu powiewały lśniące chorągwie z czarnego, czerwonego i pomarańczowego jedwabiu z haftowanymi nazwami firm, wprawdzie pełno tu było bogatych, strojnych w atlas i aksamit, ludzi, o delikatnych ciałach, o rękach miękkich i pachnących jak kwiaty, — to jednak w dzielnicy, którą zamieszkiwał Wang Lung nie starczyło jada dla zaspokojenia głodu, ani odzieży na przykrycie kości...

Ludzie trawili całe dni przygotowując i piekąc bułki i ciastka dla bogaczy, nawet dzieci pracowały od świtu do północy, układały się do snu brudne i otłuszczone, na nagiej, chropowatej ziemi, poto, by następnego ranka wlec się znowu do pieców, same zaś nie miały pieniędzy na kupno pożywczego chleba, który piekły dla innych. Mężczyźni i kobiety mozolili się krając futra na zimę, i lekkie skóry odpowiednie na wiosnę i ciężkie, tkane złotem, jedwabie, którym się nadaje kształt wspaniałych strojnych szat. Przeznaczone one były dla ludzi, którzy jedzą to, co jest wystawione na targu, zaś robotnicy

okrywali nagość szmatami z ordynarnej, niebieskiej bawełny.

Wang Lung żyjąc teraz wśród ludzi, którzy w pocie czoła zaspakajali potrzeby bogaczy — słyszał nieraz dziwne rzeczy, które spoczątku puszczał mimo uszów. Słowa te nigdy nie padały z ust starych mężczyzn i kobiet. Siwobrodzi ludzie ciągnęli riksze, popychali taczki z węglem i drzewem, wędrując do piekarni i pałaców gięli grzbiety w wysiłku nie-ludzkim, aż im mięśnie prężyły się niby powrozy, od tego ciągłego taszczenia ciężarów po wyboistym bruku. Jedli mało, spali krótko i — milczeli. Twarze ich były, podobnie jak oblicze O-lan, nieme i niezbadane. Nikt nie znał ich myśli. Jeśli się odzywali, to tylko na temat jedzenia, albo pensów. Rzadko bardzo wybiegało z ust ich słowo „srebro”, jako że srebro rzadko bardzo wpadało do ich rąk.

Gdy odpoczywali, twarze ich wykrzywiały gniew — nie był to jednak gniew, tylko śmiertelne znużenie. Od lat dźwigali zbyt wielkie ciężary, wysiłek zmuszał ich do podnoszenia górnej wargi, jakby w szyderczym śmiechu, a mózół wyrył głębokie zmarszczki naokoło oczu i ust. Sami zresztą nie zdawali sobie sprawy, jak wyglądają. Jeden z nich, ujrzawszy swoje odbicie w lustrze, przewożonem razem z innemi sprzętami na wozie meblowym, wykrzyknął: — „cóż to za szpetny chłop!” A gdy inni śmiali się z niego głośno, on uśmiechnął się boleśnie, nie rozumiejąc, co ich tak ubawiło, i rozglądając się wkoło z obawy, czy nie uraził kogoś.

W ciasnych chatkach, sąsiadujących z chatą Wang Lunga, kobiety zszywały łachmany, robiąc z nich kołdry dla nowonarodzonych dzieci, to znów ściągwały ukradkiem liście kapusty z cudzych pól i garście ryżu ze straganów na targu. Zbierały też jak rok długi trawę, rosnącą na stokach wzgórz, a podczas żniw szły trop w trop za żniwiarzami, jak

kury, wypatrując bystreimi oczami, czy gdzie nie padnie ziarno, albo źdźbło słomy. Pod szalasami przeciągał korowód dzieci. Tyle się tego rodziło i umierało, że rodzice tracili rachubę. W ich pojęciu dzieci były tylko gębami, które trzeba nakarmić.

Wszędzie roilo się od nędzarzy. Wędrowali tam i spowrotem na targ, wchodzili do składów sukna, snuli się na gościńcach wiejskich, otaczających miasto. Mężczyźni zarabiali po kilka pensów, kobiety i dzieci trudniły się kradzieżą i żebractwem. Wreszcie Wang Lung z żoną i dziećmi znalazł się w ich gromadzie.

Starzy ludzie z pokorą przyjmowali zrządzienia losu. Nadszedł jednak czas, gdy dzieci podrosły i przestały być dziećmi. Młodzi szemrali, a gdy skończyli osiągnęli wiek dojrzały i pożenili się, zaczęli z przerażeniem spoglądać, na coraz liczniejsze gromady dzieci. Złość, co ich nurtowała w młodości, przerodziła się w rozpacz i bunt, któremu nie wystarczały już słowa. Uświadomili sobie bowiem, że przez całe życie za garść nędznego jadła harowali gorzej od zwierząt. Pewnego wieczora Wang nasłuchiwał się tyłu skarg i utyskiwań, że teraz dopiero zrozumiał, co się dzieje po drugiej stronie wysokiego muru, do którego przylgnęły rzędy szalasów.

Była późna zima. Pachniało wiosną. Ziemia wokoło szalasów była błotnista i pokryta śniegiem. Woda wciekała do wnętrza chat, toteż wyszukiwano cegieł, żeby z nich ustawiać prymitywne łoża. Ale owej nocy, przykrość spania na wilgotnej ziemi już się mniej dawała we znaki, gdyż powietrze było łagodne i pełne słodyczy. Wang Lung nie mógł zasnąć. Cnał go dziwny niepokój. Wyszedł więc na skraj drogi i zatrzymał się na miejscu, na którym zwykle wysiadywał ojciec, pod murem. I teraz siedział on tutaj w kuczki z miską jadła, gdyż nie mógł wytrzymać w chacie pełnej wrzasku. Staru-

szek trzymał jedną ręką koniec szmaty, którą O-lan oddarła od włanego pasa i zmajustrowała z niej mały hamak dla córeczki. Stary spędzał całe dnie doglądając dziewczynki, która buntowała się, gdy ją matka tuliła do łona, zebrząc na ulicy. Zresztą O-lan zaszła znowu w ciążę i nie była w stanie dźwigać zbyt wielkiego ciężaru.

Wang Lung patrzył przez chwilę, na gramolącą się w zawiniątku córeczkę. Stary pociągał za koniec szmaty i puszczał w ruch osobliwą kołyskę. Wang stojąc tak, poczuł na twarzy łagodną pieszczotę wieczornego wiatru i nagle obudziła się w nim przemożna tęsknota do własnej ziemi.

— W taki dzień, jak dzisiejszy — przemówił do ojca — orze się i sieje pszenicę.

— O, ja wiem, co masz na myśli — odparł stary spokojnie.

— Dwa razy, i znowu potem dwa razy musiałem tak postąpić jak my, w tym roku. Porzuciłem pola i wiedziałem, że nikt go w mej nieobecności nie obsieje na przyszłe żniwa.

— Aleś zawsze wracał, ojcze.

— A tak, mój synu. To przecież nasza ziemia — rzekł stary z prostotą.

I my powrócimy, jeżeli nie teraz, to na rok przyszły, pomyślał Wang. Jak długo istnieje ziemia, wiadomo, że do niej wrócą. Na myśl, że ziemia czeka na niego, napęczniała wiosennym deszczem — poczuł napływ tęsknoty. Wrócił do szalasu i przemówił szorstkim tonem do swej żony:

— Gdybym coś miał na zbycie, tobym sprzedał i powrócił w nasze strony. Gdyby nie stary ojciec, moglibyśmy iść piechotą, ale czyż on i dzieci potrafią wędrować setki mil. No i ty ze swoim ciężarem...

O-lan zajęta była płukaniem misek od ryżu, a teraz ustawiała je w kacie, a że siedziała w kuczki, więc podniosła głowę i spojrzała na Wanga.

— Niema nic do sprzedania, oprócz dziewczyny — odpowiedziała powoli.

Wanga zatknęło.

— Dziecka nie sprzedam — odrzekł głośno.

— Mnie sprzedano — odezwała się znowu O-lan. — Sprzedano mnie do pałacu i dzięki temu rodzice mogli powrócić do swoich stron.

— I dlatego sprzedalabyś dziecko?

— Wolałbym ją zabić. Przecież byłam niewolnicą niewolnic. Ale umarła dziewczyna nie przyniesie nam żadnego zysku. Sprzedałabym ją tylko dla tego, żebyś mógł wrócić na swoją ziemię.

— Ja nigdy bym tego nie uczynił — odrzekł stanowczym tonem Wang Lung — nawet gdybym miał dokonać żywota w tym dzikim kraju.

Skoro jednak znowu wyszedł z chaty, myśli, któraby mu nigdy dawniej nie przyszła do głowy — zaczęła go kusić i dręczyć. Popatrzał na małą dziewczynkę, kołyszącą się w wężle ze szmaty, której koniec trzymał w ręku dziadek. Teraz, gdy otrzymywała podostatkiem jedzenia, utyla, zmężniała i zaokrągliła się, lecz pozostała niemową. Usteczka jej, które dawniej przypominały bezzębne usta starej kobiety, były czerwone i uśmiechnięte. Ilekroć ojciec spojrzał na nią śmiała się radośnie.

— Możeby to i uczynił — mruknął — gdyby nie to, że ją trzymałem tyle razy w objęciach i że się do mnie tak uśmiecha...

I znowu pomyślał o ziemi.

— Czyż nigdy jej już nie ujrzę! — zawołał porywczo. — Pracą i żebraniną zarabiamy tylko tyle, że nam starczy zaledwie, na codzienny posiłek.

W wieczornym mroku zadźwięczał głęboki, donośny głos.

— Nie jesteś jedyny. Takich jak ty, wielu jest w mieście.

Z ciemności wyłonił się mężczyzna, kurzący krótką bambusową fajkę. Był to ojciec rodziny, zamieszkującej sąsiedni szałas. Rzadko się go widywało za dnia, gdyż sypiał do wieczora, a dopiero nocą ciągnął ciężki wóz, naładowany towarem, który był za szeroki, by mógł się pomieścić na ruchliwej ulicy. Czasami widywał go Wang Lung o świcie, jak włókł się do domu, dysząc ciężko, z opuszczonemi bezwolnie ramionami. Mijał go niekiedy, gdy sam szedł do swojej roboty, spotykał go też o mroku, kiedy człowiek ów wychodził z szałasu i wystawał wśród mężczyzn, co się już wybierali na spoczynek.

— Czy to zawsze tak będzie? — zapytał Wang Lung z goryczą.

Człowiek pyknął trzy razy z fajeczki i splunął na ziemię.

— Nie, nie zawsze będzie. Gdy bogacze mają za wiele pieniędzy, jest na nich sposób. Zeszłej zimy sprzedaliśmy dwie córki i jakoś się przetrwało, a teraz jeśli dziecko, które żona nosi w łonie okaże się dziewczyną, to także je sprzedamy. Zatrzymałem jedną tylko niewolnicę - pierworodną. Są tacy, którzy zabijają dzieci, zanim łykną powietrza, wychodząc z łona matki. Lepiej jednak sprzedać, aniżeli zabić. Tak oto radzą sobie nędzarze. Jest także sposób na bogaczy, gdy mają za dużo pieniędzy. Jeżeli się nie mylę, to niezadługo skorzystamy z tego sposobu...

Pokiwał głową i wskazał cybuchem na mur, ciągnący się za ich plecami.

— Czy wiesz, co się znajduje wewnątrz tego domu? — zapytał.

Wang Lung popatrzył nań bez słów. Człowiek mówił dalej:

— Poszedłem tam raz z jedną z moich niewol-

nic, żeby ją sprzedać. Nie uwierzyłbyś, gdybym ci opowiedział, ile się tam wydaje pieniędzy. Płyną jak woda. Powiem ci tylko tyle, że służące jedzą pałeczkami z kości słoniowej, okutej srebrem, a niewolnice zawieszają sobie w uszach kolczyki z malachitu i pereł. Pantofle zdobią także perłami, a gdy zabłocą podeszwy, albo zrobi się dziura, na którą żaden z nas nie zwróciłby uwagi, to je wyrzucają.

Człowiek zaciągnął się dymem, a Wang Lung stał wpatrzony w niego, z otwartymi ustami.

— Jest sposób na bogaczy — powtórzył człowiek. Zamilkł na chwilę, a potem, jakby wogóle nie było mowy o tego rodzaju sprawach, dodał obojętnie. — Trzeba iść do pracy... — Rzekłszy to, zanurzył się w ciemność i zniknął jak upiór.

Tej nocy Wang Lung nie zmrużył oka. Myślał wkółko o srebrze, złocie i o perłach ukrytych za murem, do którego przytula w tej chwili ciało, okryte tym samym zniszczonym ubraniem, które nosi za dnia, nie ma bowiem kołdry, ani łóżka tylko cienką matę, rzuconą na wzniesienie z cegieł.

— Możeby sprzedać ją do bogatego domu — zastanawiał się Wang. — Będzie jeść smaczne rzeczy, będzie nosić klejnoty, jeżeli wyrośnie na ładną dziewczynę i spodoba się wielkiemu panu. Lecz zaraz się zmitygował. „Przecież nie dostanę za nią złota ani rubinów. Zapłacą mi tyle, że nam to starczy tylko na powrót w nasze strony, a skąd weźmiemy pieniędzy, na kupno wołu, stołu, łóżek i ławek... Czy mam sprzedać rodzone dziecko, poto żeby zamiast zdechnąć z głodu tutaj — zdechło — tam, na naszej ziemi? Nie mamy nawet ziarna, żeby obsiać pola, gdy wrócimy“.

Nie pojmował, jaki to jest sposób na bogaczy, o którym wspominał człowiek z fajką.

XIV.

W osiedlu nędzarzy kipiała wiosna. Ludzie, którzy dotychczas trudnili się tylko żebraniną wędrowali w pole i na wzgórza i wyrrywali małe, zielone chwasty, które na wiosnę wypuszczają listki. Można więc było obejść się bez ściągania cudzych jarzyn. Codziennie z szałasów wybiegał tłum obdartych bab i dzieci z koszami z bambusowych gałązek i trzcin. Gawiedź, zbrojna w poszczerbione noże, kawałki blachy i ostre kamyki przebiegała okoliczne łąki i gościńce, w poszukiwaniu pożywienia. O-lan wraz z dziećmi również brała udział w tych wyprawach. Mężczyźni jednak muszą pracować. Toteż Wang Lung pracował po dawnemu, chociaż ciepłe, słoneczne dni i wiosenne deszcze budziły w duszy tęsknotę i niepokój.

Zimową porą pracowało się w milczeniu. Ludzie wędrowali bez szemrania po śniegu i lodzie, wracali o zmierzchu do szałasów, a jedli to, co zdobyli całodzienną pracą i żebraniną. Wieczorem padało się ze znużenia. Mężczyźni, kobiety i dzieci układali się na wypoczynek. Sen zastępował jedzenie. Tak się żyło w szałasie Wanga, tak samo żyli inni mieszkańcy szałasów. Z nadejściem wiosny ludzie stali się bardziej rozmowni, słowa wypływały z wezbranych serc i cisnęły się na usta. Wieczorną godziną wychodzono z szałasów i gawędzono, w zapadającym mroku. Wang Lung zaczął poznawać ludzi, którzy mieszkali w jego sąsiedztwie, a których nie widział zbliżka w zimowym okresie. Słyszał jeno od O-lan to i owo, o tych nieznanych sąsiadach, na przykład, że ten zbił żonę, tamtemu trąd wyżarł policzki, że inny był heroldem złodziejskiej bandy. Ale O-lan odzywała się rzadko, to też Wang Lung wychodził chętnie z chaty i zatrzymując się skromnie na boku, przysłuchiwał się gawędom.

Większość obdartusów nie posiadała niczego, poza tem, co robiła w ciągu dnia, albo co użebrała. Wang Lung zdawał sobie sprawę, że nie ma z nimi nic wspólnego — posiada przecież kawał ziemi, a cierpliwa ziemia wypatruje jego powrotu. Tłoczący się u wrót szalaśców łaziki myśleli tylko o tem, jak zdobyć sobie kawałek ryby, albo jak się wymigać od pracy. Byli wśród nich i tacy, których nęcił hazard. Nie wahali się rzucać ostatniego pensa na stół szulerni. Każdy dzień był piekłem, każdy dzień budził tęsknotę do tego, czego się nie ma. Więc się próbowoło szczęścia w grze, bez wiary w wygraną.

Wang myślał nieustannie o własnej ziemi. Medytował, jakby tu dostać się spowrotem w swoje strony. Nie stanowił przecież części składowej owego błota, co przylgnęło do murów, otaczających siedzibę bogacza, nie miał też nic wspólnego z bogaczem, do którego należał pałac. Należał do ziemi i nie był w stanie żyć pełnią życia w innym kraju. Zdawał sobie sprawę, że dopiero wtedy poczuje, iż żyje, gdy stanie za pługiem, gdy chwyci sierp w obie dłonie. Dlatego to stawał na uboczu, zdala od tłumy i przysłuchiwał się gawędom, jak obcy, mając świadomość, że posiada szmat czarnoziem, odziedziczony po rodzicach i kawał pola ryżowego, odkupionego od rodu Hwangów.

A ludziska gadali wiecznie o jednym i tem samem: ile kto płacił pensów za kawał materji, ile dał za małą rybkę, nie większą od palca, ile możnaby zarobić w ciągu jednego dnia. Każda rozmowa kończyła się opowiadaniem, coby zrobili, gdyby dostali do rąk pieniądze, ukryte w kufrach bogacza, mieszkającego za wielkim murem.

— O, gdybym tylko miał złoto i srebro, które nosi przy sobie w sakwie, gdybym miał perły, jego naczelnicy i rubiny jego żony...

Wang Lung dowiadywał się, ileby wtedy jedli

i pili, jak długoby spali, jakichby próbowali przy-smaków, ile pieniędzy rzucali na stół gry w herba-ciarniach, ileby ładnych kobiet kupowaliby dla za-spokojenia chuci. Każdy z nich zapewniał, że jużby nigdy nie pracował, tylko pędził próżniaczy żywot, na podobieństwo bogacza, którego ręce nie splamiły się pracą.

Podczas jednej z takich rozmów Wang Lung o-dezwał się nagle:

— Gdybym ja miał złoto i srebro, i klejnoty, tobym kupił ziemi, dobrej tłustej ziemi, takiej, któraby mi przynosiła bogate plony.

Słyszając to tamci, zaczęli mu dogadywać:

— Taki wiejski prostak z warkoczem, jak świń-ski ogon, nie rozumie się na niczem, nie wie, jak się żyje w mieście i na co się wydaje pieniądze. Takiemu dać pieniądze, to i tak pójdzie do pracy, jak niewol-nik. Będzie poganiać wołu, albo osła...

Mówili to w przekonaniu, że są godniejsi Wan-ga zdobyć majątek, bo wiedzą lepiej od niego, co z nim zrobić.

Wang jednak nie zmieniał zdania. Zamilkł odra-zu ale szepnął sam do siebie — „a jabym włożył złoto i srebro i klejnoty w dobrą, tłustą ziemię“.

Ogarniało go coraz większe zniecierpliwienie i tęsknota do własnej ziemi. Myśl o niej nie opuszcza-ła go ani na chwilę, niby zmora. Wśród żywych ludzi poruszał się jak we śnie. Pamiętał tylko, że to a to zdarzyło się takiego a takiego dnia. Naprzykład od pewnego czasu, jacyś ludzie rozdawali papiery. Wang nie umiał czytać, nie wiedział więc, co ma czynić z kartką, pokrytą czarnemi znakami. Nie rozumiał także, co oznaczają papiery nalepione na bramach miejskich i na murach domów. Dwa razy z rzędu wciśnięto mu w rękę taki tajemniczy świstek. Pierw-szym razem dostał go od cudzoziemca, podobnego do osoby, która kiedyś wsiadła do jego rikszy. Lecz

tym razem był to mężczyzna, wysoki i smukły, jak drzewo, chylące się pod naporem wiatru. Miał on niebieskie oczy, zimne jak lód i zarośnięte oblicze, a ręce czerwone i włochate. Wang Lung przestraszył się go, ale bał się odmówić człowiekowi, który miał takie dziwne oczy i straszny, wielki nos, sterczący w twarzy, jak dziób okrętu. Wziął tedy papier, ale spojrzał nań dopiero wtedy, gdy cudzoziemiec był już daleko. Na kartce widać był podobiznę białoliciego człowieka, wiszącego na drewnianym krzyżu. Człowiek ten nie miał na sobie odzienia, tylko kawałek szmaty, okręconej naokoło bioder. Był nieżywy. Martwa głowa zwisała beładnie na ramię, oczy były zamknięte. Wang Lung patrzył na obrazek trwożnie lecz ze wzrastającym zaciekawieniem. Pod spodem widniały jakieś litery, których nie zrozumiał.

Zaniósł ów obrazek do domu i pokazał go ojcu. Stary również nie umiał czytać, zaczęli więc zastanawiać się nad znaczeniem obrazka. Jeden z chłopców krzyknął uradowanym głosem:

— Patrzcie! Krew mu płynie z boku.

A stary dodał:

— Musiał to być zły człowiek, skoro go powieszono.

Wang Lung, jednak odczuwał lęk, na widok obrazka. Dziwiło go, czemu cudzoziemiec mu go wręczył. Kto wie, może brat cudzoziemca został w ten sposób ukarany, a teraz rodzina chce go pomścić. Zaczął więc unikać spotkania z nieznajomym, przestał chodzić ulicą, na której go spotkał, a w kilka dni później O-lan wzięła obrazek i wszyła go do środka pantofla, razem z innymi kawałkami papieru.

Innym razem ktoś otwarcie wsunął w rękę Wangowi jakiś papier. Ten „ktoś“ był młodym człowiekiem z miasta, starannie odzianym i krzykliwym. Rozdawał on na prawo i na lewo kartki, a wokół niego roilo się od gawiedzi, żadnej wrażeń. I na tym

papierze widać było umarłego człowieka, nie był to jednak biały człowiek z brodą, ale taki sam żółtolicy i czarnowłosy nędzarz, jak Wang. Miał nawet podobne niebieskie ubranie. Nad trupem pochylał się tłusciuch i wbijał mu w serce długi nóż. Okropny to był widok. Wang Lung wpatrywał się długo w obrazek. Chciał koniecznie wyczytać napis, znajdujący się pod spodem. Zwrócił się więc do jakiegoś człowieka stojącego obok i zapytał:

— Czy się rozumiesz na literach? Może mi wytłumaczysz, co to znaczy?

— Cicho bądź i słuchaj, co mówi młody nauczyciel — odezwał się człowiek.

Wang Lung zamilk i zaczął nasłuchiwać. Nigdy jeszcze nie podobnego nie wpadło mu w uszy.

— Nieboszczyk, leżący na ziemi, to każdy z was! — krzyczał młody nauczyciel — a zbój, który wbija nóż w martwe wieczne ciało, to bogacze i kapitaliści, którzy chętnieby was zakłuli nożami jeszcze po śmierci. Jesteście ubodzy, zdeптano was i doprowadzono do nędzy, bo ludzie bogaci wszystko zabierają dla siebie.

Wprawdzie Wang Lung czuł się ubogim tylko wtedy, gdy niebo nie zesłało deszczu, na jego pole, albo gdy deszcz niszczył zbiory, skoro jednak słońca i deszczu nie było nadto niż potrzeba i nasiona mogły swobodnie kiełkować, a kłosa napelniały się ziarnem — Wang Lung nie uważał się za biedaka. Słuchał więc z zaciekawieniem przemówienia młodzieńca, bo się chciał dowiedzieć, co ma wspólnego bogacz z suszą. Młody człowiek mówił i mówił, ale nie wspominał o tem, co najbardziej obchodziło Wang. Wreszcie Wang zdobył się na odwagę i przemówił:

— Panie, powiedz nam, czy bogacz, co nas gnębi, potrafi sprowadzić deszcz na ziemię?

Młodzieniec obrócił się w stronę Wang i odrzekł gniewnie:

— Jakiż to nieuk z tego chłopca, co jeszcze nosi długi warkocz. Nikt nie potrafi ściągnąć deszczu z nieba. Ale cóż to ma wspólnego z nami? Gdyby bogaci dzielili się z biedniejszymi majątkiem, toby deszcz nas nie obchodził, wszyscy byliby syci i zamożni.

Z piersi tłumu wydarł się okrzyk, ale Wang nie zadowolony z odpowiedzi, oddalił się powtarzając sobie, że najważniejszą sprawą jest ziemia. Pieniądze się rozejdą, jedzenia starczy na jakiś czas, potem zaś, jeśli nie będzie dosyć słońca i deszczu — znowu zapanuje głód. Pomimo to zabrał kartki rozdawane przez nieznajomego, bo sobie przypomniał, że O-lan zawsze brakuje papieru, dla wyklejania podeszew. Powróciwszy do domu oddał je, mówiąc: — Masz tu trochę papieru do łątania pantofli — poczem wrócił do roboty.

Wśród mieszkańców szalasów byli i tacy, którzy chciwie łowili słowa nieznajomego młodzieńca, tem chciwiej, że wiedzieli, iż za murem mieszka człowiek bogaty. Odgradzała ich od niego wątła zaporą z cegieł, którą możnaby rozwalić uderzeniem pałki. Każdy z nich miał mocny kij, służący do dźwigania ciężarów na karku.

Wiosna siała niepokój w sercach.

Niemniejszy niepokój zasiewali młodzi ludzie w umysłach mieszkańców trzcinowych chat, mówiąc o niesprawiedliwym rozdziale dóbr na świecie. Tamci codziennie o tem rozmyślali i codziennie o zmierzchu wiedli długie rozmowy, a że pomimo ciężkiej pracy zarobki ich nie wzrastały — więc w sercach młodych i silnych wzbierała fala potężna jak nurt rzeki, rozrywający powłokę lodową. Wang Lung widział co się święci, słyszał rozmowy, odczuwał gniewny nastrój, ale sam pożałował tylko ziemi.

W mieście zdarzało się ciągle coś nowego. Po jakimś czasie Wang Lung ujrzał znowu coś, co go

wprawiło w zdumienie. Pewnego dnia, gdy ciągnął pustą riksę, wypatrując klienta, ujrzał jak niewielka grupa uzbrojonych żołnierzy uprowadzała jednego z przechodniów. Człowiek bronił się, a żołnierze grozili mu bagnetem. Wang przyglądał się tej scenie, oniemiały ze zdziwienia, i oto nagle żołnierze rzucili się na innych przechodniów, wyławiając ich kolejno z tłumu. Byli to prości ludzie, a jeden z nich był sąsiadem Wanga; zamieszkiwał najbliższą chatę, pod murem.

Nagle Wang Lung zrozumiał, że owi ludzie są równie głupi jak on, więc się przestraszył, że i jego może spotkać taki sam los. Rzucił drążki rikszy na ziemię, wskoczył do sklepiku z gorącą wodą i ukrył się za olbrzymim kotłem, chcąc przeczekać, aż żołnierze oddalą się z jeńcami. Dopiero po chwili zapytał właściciela sklepiku, co to wszystko znaczy, a stary handlarz o pomarszczonej twarzy, stojący dniami całymi w obłokach gorącej pary, buchającej z miedzianego kotła, odpowiedział obojętnym głosem:

— Gdzieś widocznie toczy się wojna. Któż zgadnie o co chodzi ludziom którzy się biją tutaj i gdzie indziej. Wiem tylko, że wojna trwa od niepamiętnych czasów i toczyć się będzie, gdy o mnie pamięć zagnie.

— No, dobrze, ale pocóż oni schwytali mojego sąsiada? — pytał oszołomiony Wang. — Wiem, że mój sąsiad jest tak samo niewinny, jak ja. Ja przecież także nic nie wiem, o nowej wojnie.

Staruszek brzęknął pokrywą kotła i odparł:

— Żołnierze pójdą się bić w inne strony. Potrzeba im tragarzy, którzy będą ciągnąć wozy z pościelą, strzelbami i nabojami, więc się gwałtem zagania do roboty, takich jak ty wieśniaków. A skądże ty pochodzisz, człowieku? Przecież to coś ujrzał, to nic nowego.

— A co oni za to dostaną? — pytał Wang, chwytając z trudem oddech. — Jak ich wynagrodzą...

Stary handlarz nie spodziewał się już niczego od życia, nie obchodziło go nic poza jego kotłami, więc odparł niedbale:

— Nie płacą im wcale. Dostaną dwa kawałki suchego chleba i zupę z kotła, a potem gdy przywiozą ładunek na miejsce, to będą mogli wrócić do domu, jeśli ich nogi doniosą.

— A co się stanie z rodziną? — szepnął Wang.

— A co ich to obchodzi — odparł stary ze złością, zaglądając pod drewnianą pokrywę najbliższego kotła, chcąc sprawdzić, czy woda już bulgocze. Z wnętrza kotła buchnęła para i otuliła go wilgotnym obłokiem. Przez chwilę nie było widać pomarszczonej twarzy, mimo to dojrzał stary widocznie to, czego nie mógł zauważyć Wang, mianowicie nową partję żołnierzy przeszukujących ulice, z których umknęli wszyscy zdolni do pracy przechodnie, bo szepnął nagle:

— Poczekaj jeszcze. Znowu są blisko.

Wang przykucnął za kotłem. Żołnierze przemarszerowali po brukowanej ulicy w kierunku zachodnim, a gdy ucichł stukot skórzanych butów, Wang wyskoczył ze sklepiku i ujawszy drażki rikszy zaczął uciekać co sił, w stronę domu.

O-lan właśnie wróciła z wyprawy po chwasty. Zabierała się do gotowania zieleniny. Wang głosem przerywanym opowiedział jej co się dzieje, dodał też, że ledwo uniknął niebezpieczeństwa. Gdy to mówił, opanował go śmiertelny lęk przed wojskiem. Musiałby wtedy zostawić na pastwę losu starego ojca i rodzinę, a sam zginąłby może... Wytoczonoby z niego żywą krew i nigdyby już nie zobaczył swoich stron. Spojrzał na O-lan błędnym wzrokiem i rzekł:

— Wiesz co, teraz gotów jestem sprzedać małą niewolnicę, żeby wrócić do domu.

Lecz O-lan wysłuchiwała go uważnie, pomyślała chwilę, a potem odrzekła swoim spokojnym, bezdźwięcznym głosem:

— Poczekaj kilka dni. Ludzie mówią dziwne rzeczy.

Wang jednak nie chciał już za dnia wracać na ulicę. Polecił starszemu synkowi odwieźć riksę na miejsce postoju, sam zaś doczekał się wieczora i udał się pod osłoną nocy do wielkiego handlowego domu. Nocy owej ciągnął ciężkie wozy, naładowane skrzyniami, razem z kilkunastu ludźmi. Otrzymał za to połowę tego, co zarabiał, ciągnąc riksę. Skrzynie wypełnione były jedwabiem, białą bawełną i wonnym tytoniem, którego zapach przenikał przez drewniane ściany skrzyń. Czasami ładowano ogromne beczki z winem i oliwą.

Przez całą noc wędrował tak przez ciemne ulice, mocując się z powrozami, które wpijały się w jego nagie spotniałe ciało. Gołe stopy potykały się na nierównym, mokrym od nocnej rosy bruku. Wyprzedzał ich mały chłopiec z płonąca pochodnią, w której blasku udręczone oblicza i ciała mężczyzn błyszczą tak samo, jak wilgotne kamienie. Wang wrócił do domu przed świtem, ledwo dysząc i tak znużony, że nie miał siły jeść. Zato w ciągu dnia, gdy żołnierze przeszukiwali ulice, spał spokojnie w kącie szafasu, za stertą słomy, którą O-lan umyślnie zbierała, żeby go ukryć.

Nie miał pojęcia o jaką to wojnę chodzi, i kto z kim walczy. Jednak z dniem każdym nastrój w mieście czynił się coraz trwoźniejszy. W kierunku rzeki ciągnęły powozy, zaprzężone w konie, ciągnąc bogaczy, oraz ich dobytek, atłasowe poduszki i kołdry i piękne, strojne w klejnoty niewiasty. Jedni wsiadali na okręty, czekające u brzegów, inni spieszyli na miejsce postoju ognistych wozów, które nieustannie zjawiały się i odjeżdżały. Nigdy już Wang

nie wyszedł za dnia na ulice, zato chłopcy wracali stamtąd i wytrzeszczając zdumione oczy krzyczeli:

— Widzieliśmy człowieka tak tłustego jak bogi w świątyni, miał na sobie szaty z żółtego jedwabiu, a na jego wielkim palcu błyszczał złoty pierścień z zielonym kamieniem, przezroczystym jak szkło. Ciało jego lśni od tłuszczu.

A starszy chłopiec dodawał:

— Widzieliśmy także skrzynie. Zapytałem co w nich jest, to mi jeden człowiek powiedział tak:— „jest w nich złoto i srebro, ale bogacze i tak nie wywiozą wszystkiego, więc pewnego dnia wszystko to będzie do nas należeć”. Co to znaczy, ojcze?

Mówiąc to, chłopiec patrzył pytającym wzrokiem, na Wanga. Wang odpowiedział mu krótko: — Skąd ja mogę wiedzieć, co jakiś próżniak miastowy ma na myśli? — Na to chłopiec:

— Jabym strasznie chciał zabrać to wszystko, skoro to do nas należy. Chciałbym spróbować ciastka, nigdy jeszcze nie jadłem słodkiego ciastka.

Stary ojciec przerwał na chwilę rozmyślenia i przemówił takim głosem, jakim człowiek mówi sam do siebie:

— Gdy bywał urodzaj jadało się ciastka, podczas jesiennych obrzędów...

Wang Lung przypomniał sobie nagle placki, które O-lan piekła na Nowy Rok. Na wspomnienie tych smakowitych ciastek z ryżowej mąki, słoniny i cukru ślina napłynęła mu do ust, a serce szarpnęła bolesna tęsknota za tem, co minęło.

— O, gdybyśmy tylko mogli wrócić! — westchnął. I zdało mu się nagle, że ani jednej chwili dłużej nie wytrzyma w tej przeklętej chacie, w której nie można nawet wyciągnąć się na całą długość za kopą słomy, że nie potrafi już dłużej mozolić się ciągnąć wóz, podczas, gdy powrozy wpijają mu się w ciało. Pamiętał każdy kamień brukowanej ulicy, znał go

jak osobistego wroga, znał też każdą koleinę, która pozwalała uciec przed sterczącym na drodze kamieniem i oszczędzić trochę sił. Czasami w ciemną, deszczową noc, gdy ulice były mokre i błotniste, w duszy tragarza wzbierała złość i obracała się przeciwko kamieniom, które przywierały do stóp i czepiały się kół wozu, naładowanego ciężarem zbyt wielkim, na ludzkie barki.

— Ach, ty mój daleki kraju! — krzyknął nagle i zapłakał głośno. Dzieci przelekły się, a stary ojciec popatrzał na syna z bolesnym niepokojem. Twarz jego ocieniona rzadką, siwą brodą, marszczyła się jak twarz dziecka, które ujrzy płaczącą matkę.

I znowu odezwała się O-lan swoim monotonnym głosem:

— Trzeba jeszcze poczekać. Niezadługo stanie się coś... Wszędzie o tem mówią...

*

Leżąc w mrocznej chacie, słyszał Wang Lung tupot nóg żołnierzy, maszerujących na front. Czasami podnosił skraj maty oddzielającej go od nich i patrzył jednym okiem przez szparę. Widział setki maszerujących nóg. Żołnierskie buty stapały parami, jedne za drugimi, stapały miarowo, po dwadzieścia, po sto, szło ich tysiące... W nocy zaś, gdy ciągnął wóz jawiły mu się oblicza żołnierskie w migotliwym blasku pochodni; wylaniały się na chwilę z ciemności i ginęły w mrokach. Nie śmiał się pytać dokąd ani skąd idą, ale ciągnął ze zdwojoną energią ciężar, zjadał z pośpiechem porcję ryżu, a powróciwszy z pracy przesypiał cały dzień w kącie szałas. Nikt w owych dniach nie rozmawiał. Miastem wstrząsały dreszcze strachu, każdy załatwiał szybko co miał do zrobienia i wracał do domu.

Wokoło szałasów o zmierzchu nie gromadzili się już ludzie na pogawędkę. Na targu stragany świeciły pustkami. Sklepy z jedwabiem pochowały kolorowe chorągwie i pozamykały okna drewnianymi okiennicami. Nawet w południe miasto zdawało się być zagrożone we śnie.

Krażyły wieści, że nieprzyjaciel zbliża się do miasta. Każdy, kto posiadał cośkolwiek drżał o swój dobytek. Wang Lung nie odczuwał strachu, nie bali się również i mieszkańcy szałasów. Nie wiedzieli co to za nieprzyjaciel zagraża miastu, zresztą nie mieli nic do stracenia, bo życie ich nie było wiele warte. Jeśli wróg chce wejść do miasta, to niechże sobie przyjdzie — powiadali — nic gorszego nie może nas spotkać, niż to, co przeżywamy. Nikt jednak nie mówił otwarcie, co myślał.

Pewnego razu, kierownicy handlowych domów oświadczyli robotnikom, którzy trudnili się przewozem towarów z rzecznoego portu, że ich nie potrzebują, gdyż nikt nie kupuje ani nie sprzedaje w tak niepokojnych czasach. Wang Lung przestał wychodzić z chaty, przesiadywał w niej dniem i nocą. Spoczątku przymusowe bezrobocie sprawiło mu radość, był tak zmęczony, że zdawało mu się, że nigdy nie wypocznie. Rzucił się na matę i zasypiał snem kamienym. Lecz brak pracy równoznaczył z brakiem zarobków. Po upływie kilku dni wydano ostatniego pensa i Wang zaczął się rozglądać za pracą. Jakby nie dość mieli doświadczeń, przybyło im nowe. Publiczna kuchnia została zamknięta, ci zaś, którzy w ten sposób usiłowali pomóc nędzarzom powrócili do własnych domów i pozamykali się. Zabrakło pożywienia i pracy, a na ulicach nie było kogo prosić o wsparcie.

Wan Lung wziął tedy dziewczynkę na ręce, usiadł z nią w szałasie i ogarnawszy ją czułem spojrzeniem, szepnął:

— Mały głuptasku, czy chciałabyś pójść do wielkiego domu, gdzie jest pod dostatkiem jedła i picia, i gdzie ci dadzą ciepłe ubranko?

Uśmiechnęła się, nie rozumiejąc o co mu chodzi i dotknęła małą rączką jego oczów, jakby dziwiąc się, czemu się jej przypatrują, a Wang poruszony do głębi, zawołał na żonę:

— Powiedz mi, czy cię bili, kiedy byłaś w pałacu Hwangów?

Odpowiedziała mu ponuro:

— Bili mnie codziennie.

— Czem cię bili: pasem, bambusem, czy powrozem?

Odpowiedziała mu tym samym martwym głosem:

— Byłam ćwiczona rzemieniem, zdjętym z uprząży muła. Wisiał on na ścianie w kuchni.

Wiedział Wang, że O-lan rozumie o co mu chodzi, ale czepiając się ostatniej nadziei, dodał:

— Nasze dziecko jest już teraz ładną dziewczyną. Powiedz, czy ładne niewolnice także dostawały cięgi?

— Albo je bili, albo zanosili do łóża mężczyzny. Różnie bywało — odpowiedziała O-lan obojętnie — i to nie tylko do jednego mężczyzny, ale do każdego, kto je chciał mieć w nocy. Młodzi panicze kłócili się i wymieniali je sobie. Czasami jeden z nich mówił do drugiego: — Dzisiaj ty, jutro moja kolej. — A gdy jednemu i drugiemu znudziły się, to dziewczęta porzucone przez paniczów zabierali służący. Wszystko to się działo, gdy niewolnica była jeszcze dzieckiem.

Słyszając to, Wang Lung mruknął gniewnie i przytulił córeczkę do piersi, szepcząc jej tklawie: — Mały głuptasku, biedny mały głuptasku. — Ale dusza jego łkała jak ktoś, kto został porwany przez wir i nie widzi ratunku i myśli. — Nie ma innej rady, niema ratunku...

Wtem, gdy tak siedział rozległ się ogłuszający huk, jakby pękło niebo. Wszyscy przypadli do ziemi, zakrywając twarze, zdawało się im bowiem, że ich zmiażdży ten okropny łoskot. Wang zasłonił ręką twarzyczkę córeczki. Znów spodziewał się ujrzeć ła-
da chwila jakąś potworną zjawę. Stary krzyknął do ucha Wangowi: — Czegoś podobnego nie słyszałem w życiu! — a chłopcy zaczęli wrzeszczeć ze strachu.

Gdy zapadła cisza, O-lan podniosła głowę i rzekła:

— Stało się to, co przepowiadano. Wróg wyłamał bramy miasta.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, dał się słyszeć krzyk, spoczątku słaby i daleki, jak pomruk nadciągającej burzy, który wzrastał stopniowo i stawał się coraz głośniejszy, aż wreszcie przeistoczył się w wycie tłumu.

Wang siedział wyprostowany na ziemi, a dziwny dreszcz chodził mu po grzbiecie i po głowie, jeżąc włosy. Patrzyli po sobie, czekając na coś, co się ma zdarzyć za chwilę. Słysząc jednak było pomruk, gromadzącego się tłumu.

Po chwili sponad muru dobiegł ich dźwięk otwieranej bramy. Skrzypnęła na zawiasach, jakby była otwierana siłą i nagle, człowiek, który rozmawiał o zmierzchu z Wang Lungiem, wsunął głowę w drzwi chaty i zawołał:

— Jakto, siedzicie tutaj? Nadeszła godzina — bramy domu bogacza są otwarte!

Słowa człowieka z fajką podziałały na O-lan, jak dotknięcie różdżki czarodziejskiej. Zerwała się z ziemi i wymknęła się na dwór. Powstał również i Wang Lung, ogłuszony, napół przytomny. Posadził dziewczynkę na ziemi i wyszedł z chaty. Przed żelazną bramą pałacu cisnęło się mnóstwo ludzi, wyjących jak tygrysy. Ten sam ryk, wypełniał ulice. Wang Lung zrozumiał, że u wrót wszystkich pałaców ciśnie

się taka sama ciżba wyjących mężczyzn i kobiet, którzy dotychczas żyli w niewoli, w upodleniu, ginąc z głodu i nagle odzyskali wolność i swobodę ruchów. Wielkie odrzwia stały otworem. Ludzie walili do środka, deptając sobie po nogach i wspierając się jeden o drugiego, tak, że tworzyli jedną ruchomą masę. Zdaleka pędzili nowi. Wang Lung porwany falą tłumów mimo woli posuwał się naprzód, chociaż sam nie wiedział czego chce. Był odrętwiały i na pół przytomny.

Wreszcie pchnięto go za próg olbrzymiej bramy. Nogi jego ledwie dotykały ziemi. Wokoło rozlegało się wycie, podobne do ryku rozjuszonych zwierząt...

Tłum unoszący Wanga, przetaczał się z podwórca w podwórzec. Nigdzie nie było widać mieszkańców. Dom sprawiał wrażenie wymarłego. Na skałach ogrodu kwitły wczesne lilje, a na nagich gałęziach drzew złościły się wiosenne kwiaty. W pokojach stało jedzenie na stołach, w kuchniach palił się ogień w paleniskach.

Ludzie znali rozkład pałacu. Minęli oficyny, zamieszkałe przez służbę i niewolnice i wtargnęli do wewnętrznych podwórców, otaczających mieszkanie jaśnie państwa. Stały tutaj wykwintne łoża i skrzynki z czarnej, czerwonej i złocistej laki, oraz skrzynie pełne szat i jedwabiu. Pokoje pełne były rzeźbionych sprzętów, a na ścianach wisiały malowidła. Gawiedź rzuciła się na to wszystko, wrywając sobie skarby wydobywane z coraz to innych skrzynek i schówków. Ubrania, pościel, zasłony i półmiski przechodziły z rąk do rąk, gdyż każdy odbierał drugiemu, co tamten chwycił, a nikt nie tracił czasu na oglądanie łupów.

Tylko Wang Lung nie zabierał niczego. Nigdy w życiu nie tknął cudzej własności, nie mógł i teraz popełnić kradzieży. Stał tedy wśród tłumów popychany w tę i tamtą stronę, ale po chwili odzyskując

przytomność umysłu zaczął się przepychać i zatrzymał się na uboczu. I tutaj porywał go chwilami prąd ludzki, mógł jednak spokojnie rozejrzeć się po domu.

Znajdował się w głębi wewnętrznego budynku, zamieszkałego przez kobiety. Zapasowe odrzwia, które bogacze zbudowali przed wiekami, z myślą o ucieczce, w chwili niebezpieczeństwa, były otwarte na roścież. Zwano je „odrzwiami pokoju“. Tędy to uciekli z pałacu i kryli się teraz po ulicach, nasłuchując wrzasków wypełniających pałace.

Jeden z mieszkańców pałacu nie zdążył uciec, może dlatego, że był olbrzymiego wzrostu, albo go zmorzył pijacki sen, dość, że Wang Lung natknął się nagle na niego, w jednej z pustych komnat, przez którą już się przewalił tłum, nie dostrzegłszy ukrytego grubasa. Myślał widocznie, że jest sam gdyż wypelził z kryjówki i zamierzał uciec, gdy nagle wyrósł przed nim Wang Lung.

Wang ujrzał wysokiego mężczyznę, w nieokreślonym wieku. Musiał zapewne leżeć w łóżku z kobietą, gdyż był nagi, a w pośpiechu narzucił na siebie purpurową szatę. Miał na piersiach i brzuchu, istne zwały żółtego cielska. W jego pucułowatej twarzy błyszczały małe, świńskie oczka. Na widok Wang Lunga zatrzęsł się ze strachu i zaczął wrzeszczeć, jakby go zarzynano, więc Wang Lung, który był bezbronny, zdziwił się wielce i o mały włos się nie roześmiał, ale tłuszcioch runął przed nim na kolana i tłukąc łbem o posadzkę krzyczał przeraźliwie :

— Ratuj mi życie, ratuj! Nie zabijaj! Mam pieniądze, mam dużo pieniędzy...

Słowo „pieniądze“ przywróciło Wangowi zdolność jasnego rozumowania. Pieniądze. On tak bardzo potrzebuje pieniędzy. I znowu usłyszał wewnętrzny głos, który powtarzał: — Pieniądze, dziecko uratowane, ziemia, ziemia, ziemia...

Krzyknął chrapliwym, obcym głosem: — Dawaj pieniądze!

Tłusćcioch podniósł się z ziemi, łkając i chwiejąc się na potężnych nogach poczym sięgnął ręką do kieszeni i wydobył z niej garść złota. Żółte jego ręce pełne były złotych monet. Wang Lung nadstawił kraj ubrania i znowu krzyknął nieswoim głosem: — Dawaj jeszcze!

Ręce grubasa sięgnęły po nową porcję i zwróciły złoto Wangowi.

— Nie mam już więcej — odezwał się żałośnie.
— Nie mam nic, oprócz życia.

Mówiąc to, znowu zaczął szlochać. Łzy toczyły się po jego oleistych, obwisłych policzkach.

Wang Lung patrząc na drżącego zapłakanego grubasa poczuł nieopisany wstręt. Nigdy w życiu nie gardził nikim do tego stopnia. Z piersi wyrwał mu się okrzyk:

— Precz stąd, bo cię zabiję, jak tłustą glistę!

Tak krzyczał Wang, człowiek o łagodnem sercu, który ongiś nie potrafił zabić wołu.

Grubas podobny do wieprza, przebiegł obok niego i zniknął za bramą.

Wang pozostał sam ze złotem w dłoniach. Nie tracąc czasu na rachowanie, wepchnął je za pazuchę i wyszedł przez otwarte odrzwia. Wracając do domu bocznymi uliczkami tulił złoto, jeszcze ciepłe od zetknięcia się z cielskiem tamtego człowieka i powtarzał sobie w kółko:

— Wracamy w swoje strony — jutro wracamy...

Zanim minęło kilka dni Wang zapomniał o wszystkim. Zdawało mu się, że ani jednego dnia nie był zdala od swoich stron, bo też odszedłszy na Południe — duszą pozostał przy ojcowiznie.

Za trzy sztuki złota kupił dobrych nasion z południa, gruboziarnistej pszenicy, owsa i ryżu, oraz jarzyn, których nigdy dotychczas nie sadził: wonnego, czerwonego groszku, selerów i lotosów, (postanowił zasadzić je nad sadzawką) i dużych czerwonych rzodkwi, któremi nadziewa się wieprzowinę, podawaną podczas świątecznych uczt. A za pięć sztuk złota nabył wołu od pewnego wieśniaka, którego spotkał w polu. Wieśniak szedł za pługiem. Na widok gromadki wędrującej drogą zatrzymał się. Zatrzymali się i Lungowie — stary ojciec, dzieci i niewiasta i zaczęli przypatrywać się bydłeciu. Wang Lung nie mógł oderwać oczów od jego potężnego karku.

— Nie ma ceny na takiego wołu! — zawołał. — Za ile mi go odsprzedasz? Zapłacę srebrem, albo złotem. Jak chcesz.

Wieśniak odkrzyknął hardo:

— Raczej sprzedałbym żonę, aniżeli wołu. Ma trzy lata, zaczyna dopiero pracować. — Poczem ruszył z pługiem w pole, nie zwracając uwagi, na nawoływania Wang Lunga.

Tymczasem Wangowi wydało się, że musi za wszelką cenę kupić właśnie tego wołu, więc zwrócił się do O-lan i do ojca z zapytaniem:

— Co o nim myślicie?

— Jest spewnością o rok starszy... — odpowiedziała O-lan.

Wang zamilkł. Wół przypadł mu do serca, bo zwawo ciągnął pług, bo miał gładką, żółtą sierść

i okrągłe, ciemne oczy. Z takim wołem można gruntownie zorać pole, a podczas żniw obracać żarna.

Podszedł więc do gospodarza:

— Dam ci tyle, że będziesz mógł kupić innego wołu, a nawet kilka bydła, ale oddaj mi go.

Wreszcie po długich targach i droczeniu się, chytrych odwrotach, wieśniak zgodził się sprzedać wołu, niby to za pół ceny. Dla Wanga złoto przestało w tej chwili przedstawiać wartość, oddał je więc wieśniakowi bez żalu. Przypatrywał się z zadowoleniem, jak właściciel odprzega wołu, potem zaś z sercem wezbranem radością, chwycił sznur, przeciągnięty przez nozdrza bydła.

Gdy przybyli w swoje strony, ujrzeli niezwykle widok. Drzwi chaty wyrwane były z zawiasami, zniknęła strzecha, grabie i motyki, pozostały tylko wiązania dachu i mury lepiące z błota. Śniegi zimowe i wiosenne deszcze zrobiły swoje. Ściany domu ledwie się trzymały, ale Wang Lung wcale się tem nie przejął. Poszedł zaraz do miasta kupić porządny, nowy pług z twardego drzewa, dwie motyki, dwoje grabi i kilka mat, któremi zakrył dach. Później letnią porą można będzie zrobić nową strzechę.

Wieczorem stojąc w progu swego domu posłał wzrok w dal, na pola, na jego pola oswobodzone z pęt zimy, czekające na siewcę. Wiosna była w pełnym rozkwicie. W płytkiej sadzawce rechotały żaby. Bambusy rosnące przy domu, chwiały się wolno na wietrze. W półmroku jawił się delikatny kształt brzoskwiniowych drzew, osypanych różowymi paczkami i wierzb z wiechą jasnych, zielonych listeczków nad płaszczyzną wypoczętych, cierpliwych pól unosiły się opary i czepiały się pni drzew i kwitnących krzewów.

Przez wiele dni Wang Lung nie chciał, widzieć ludzkich istot, na tej swojej odzyskanej ziemi. Nie

pokazywał się we wsi, a gdy go odwiedził który z sąsiadów — zbywał go opryskliwem odezwaniem.

— Który to z was wyrwał moje drzwi z zawiasów? — Kto mi zabrał motykę i grabie? Kto zerwał dach na opał?

Lecz oni potrząsali głowami z oburzeniem, jak ludzie cnotliwi, którym zarzuca się zbrodnię.

— To twój stryj! — mówił jeden, a drugi wzdychał — mało to rabusiów grasuje w tych ciężkich czasach? Któż może zaświadczyć, że to właśnie ten, a nie kto inny ukradł ci dobytek. Głód z każdego zrobi złodzieja...

Do rozmowy wtrącił się sąsiad Czing, który chyłkiem zbliżył się do Wanga.

— W zimie kwaterowała w twojej chacie cała zgraja rabusiów. Rzucali się na wsie i na miasta, niby jastrzębie. Twój stryj mógłby ci o tem dużo powiedzieć, więcej niż niejeden uczciwy człowiek. Ale kto tam dojdzie prawdy w dzisiejszych czasach. Ja tam nie śmiałbym oskarżać nikogo...

Czing wyglądał upiornie, wychudł przeraźliwie, włosy mu się przerzedziły i posiwiały, chociaż nie miał jeszcze czterdziestu pięciu lat. Wang Lung patrzył na niego i odezwał się po chwili, tonem współczucia:

— Gdyśmy stąd odchodzili, głodowałeś gorzej od nas... Powiedz, czem się żywiłeś?

Z zapadłej piersi Czinga wydobyło się głębokie westchnienie.

— Czego ja nie jadłem... Gdyśmy zebrali w mieście, jadło się odpadki i zdechłe psy. Raz, przed śmiercią moja kobieta ugotowała zupy z jakiegoś mięsa, ale nie śmiałem pytać, co to było, wiem tylko, że sama nie miała odwagi zabić żywego stworzenia, widocznie znalazła to na drodze. Później umarła, bo mniej była wytrzymała ode mnie. Po śmierci zo-

ny oddałem córkę jednemu żołnierzowi. Nie mogłem patrzeć na jej śmierć. Byłaby umarła z głodu.

Urwał i zamilkł na chwilę, a później dodał — gdybym tylko miał trochę nasion, tobym mógł rozpocząć robotę w polu, ale, nie mam ani jednego ziarnka.

— Chodźno tu! — zawołał szorstwo Wang Lung i pociągnął Czinga za rękę do wnętrza chaty, poczem kazał mu nadstawić kraj podartego ubrania i wysypał mu z zapasu ziarna, przywiezionego z południa. Dał mu pszenicy, ryżu i nasion kapusty, a na ostatku powiedział:

— Jutro zaoram ci pole moim wołem.

Słyszając to Czing rozplakał się jak dziecko. Wang Lung otarł wilgotne oczy i odburknął:

— Czy myślisz żem zapomniał, żeś mi oddał ostatnią garść ryżu?

Czing nie był w stanie mówić, odszedł więc płacząc głośno.

Niemalą radość sprawiła Wang Lungowi wiadomość, że stryj jego opuścił wioskę. Nikt nie wiedział dokładnie dokąd się wyprowadził. Jedni twierdzili, że poszedł do miasta, inni opowiadali, że zamieszkał w dalekich stronach, razem z żoną i synem. Dziewczęta sprzedano. Naprzód poszła najładniejsza, ale nie oszczędzono i dziobatej. Kupił ją za garść pensów jakiś żołnierz, który wędrował wtedy na front.

Wang Lung zabrał się do pracy. Całe dnie spędzał w polu. Nawet w porze posiłku nie wracał do domu. Zabierał ze sobą bochenek chleba z wiązką czosnku, pożywiał się na stojąco w polu. — Tutaj posadzę czarny groch, a tam ryż — mówił sam do siebie.

Gdy go zmogło zmęczenie, układał się w bruzdzie i zasypiał, błogosławiąc dobroczynne ciepło umiłowanej ziemi.

O-lan również nie próżnowała. Naprawiała dach

umacniała trzciniowe maty, to znów zalepiała gliną szpary w murach. Własnymi rękami wybudowała nowy piec i wyrównała klepisko, w którym deszcz wyżłobił głębokie wyboje.

Pewnego razu udała się razem z Wang Lungiem do miasta. Kupili kilka łóżek, stół i sześć ław i wielki żelazny kocioł i jeszcze na dodatek już tylko dla przyjemności — czerwony, gliniany czajnik, z wymalowanym czarnym kwiatem i sześć kubków. Naostatku poszli do sklepiku z kadzidłem i kupili papierową podobiznę boga bogactw, którą zawiesza się na ścianie, cynową kadzielnicę i dwie grube czerwone świece z krowiego tłuszczu, na ofiarę dla boga.

Załatwiając owe sprawunki, pomyślał nagle Wang Lung o małych glinianych bogach, królujących w świątyni Ziemi. Wracając do domu zajrzał do świątynki. I one uległy zniszczeniu. Widokiem swym wzbudzały litość; deszcz zmył farbę z ich twarzy, a przez dziury w papierowych szatach przeświecała glina. Nikt się w tych ciężkich czasach nie troszczył o bogów. Wang Lung obrzucił ołtarz ponurym wzrokiem i rzekł takim głosem, jakim się przemawia do niegrzecznych dzieci:

— Taki to los spotyka bogów, którzy szkodzą ludziom.

Z czasem dom odzyskał dawny wygląd. W połyskliwych, cynowych lichtarzach płonęły czerwone świece, na stole lśniły kubki i czerwony czajnik, a na łóżkach piętrzyła się nowa pościel. Wstawiono nowe drzwi, szpara w drzwiach prowadzących do izby Wanga została zalepiona papierem. Patrząc na to wszystko Wang czuł taki bezmiar szczęścia, że aż go zaczęło ogarniać przerażenie. Bał się szczęścia.

O-lan była znowu w poważnym stanie. Na progu bawiły się dzieci, podobne do brunatnych szczeniąt, a pod murem drzemał stary ojciec i uśmiechał

się przez sen. Na polach wschodził ryż, zielony jak malachit, ale piękniejszy od malachitu. Młoda fasola wypuszczała pędy z ziemi. I złota mieli dosyć, aby przetrwać do zbiorów.

Pewnego razu spojrzawszy w błękit, rozpościerający się nad jego głową, ujrzał Wang Lung białe obłoki brzemienne deszczem i poczuł wdzięczność, iż ma pod dostatkiem słońca i wody. Ociągając się nieco, mruknął pod nosem:

— Muszę zapalić małą pałeczkę przed bożkami w świątyni. Mają one przecież jaką taką władzę nad ziemią...

XVI.

Raz w nocy, leżąc obok żony poczuł jakiś twarde przedmiot, sterczący między jej piersiami.

— Co ty tam masz? — zapytał jej z zaciekawieniem.

Wyciągnął rękę i dotknął woreczka, wypełnionego czemś ostrem. O-lan cofnęła się gwałtownie, lecz ustąpiła zaraz, mówiąc:

— No, to już przyjrzyj się temu, jeżeli chcesz...

Przerwała sznurek, zawieszony na szyi i oddała woreczek mężowi. Wang rozerwał go i nagle wypadło mu na rękę mnóstwo klejnotów. Popatrzył na nie oniemiały ze zdumienia. Było tego tyle, że nawet w marzeniach nie wyobrażał sobie, że można ujrzeć tyle naraz drogich kamieni — niektóre z nich były ciemno różowe, jak wnętrze melona, inne — złociste, jak zboże, zielone, jak młode liście, przezroczyste i lśniące, jak woda, tryskająca z wnętrza ziemi. Nie wiedział Wang, jak się one zowią, bo nigdy nie widywał klejnotów, ani nie znał ich nazw, ale gdy je teraz chwycił w brunatną, twardą garść, pojął odrazu, że owe szkiełka migocące w półmroku izby sta-

nowią majątek. Upajał się ich barwą i kształtem, wreszcie szepnął zdławionym głosem:

— Skąd... skąd...

Ona odpowiedziała mu również szeptem:

— Zabrałam je z pałacu. Musiał to być skarb którejś z nałożnic. Najważniejszej. Zauważyłam, że jedna z cegieł się rusza. Wślizgnęłam się tam niedostrzeżona przez nikogo. Potem wsunęłam cegłę na swoje miejsce, a to co błyszczało schowałam do rękawa.

— Ale jakże się o tem dowiedziałaś? — pytał pełen podziwu. Ona zaś odpowiedziała z uśmiechem:

— Czy nadarmo spędziłam młodość w pałacu bogaczy? Bogaci zawsze żyją w strachu. Raz do pałacu wpadli zbóje. Starsza pani i nałożnice i niewolnice, wszystko biegło jak szalone tu i tam, a każdy chował co miał najdroższego, do przygotowanej zawczasu skrytki. Wiedziałam więc dobrze co oznaczała cegła, wystająca ze ściany.

Zamilkli na chwilę, urzeczeni czarem klejnotów. Wreszcie Wang Lung zaczerpnął oddechu i rzekł stanowczym głosem:

— Takiego skarbu nie można trzymać w domu. Trzeba go sprzedać, a pieniądze włożyć w coś pewnego, a więc w ziemię, bo wszystko inne jest nie pewne. Niech się kto dowie, że mamy tyle skarbów, to nas zamorduje. Dziś jeszcze kupimy ziemi, bo inaczej nie zmrużę oka.

Owinał klejnoty w szmatę i przewiązał je sznurkiem, poczem wsunął paczkę za pazuchę. Gdy to czynił wzrok jego padł na O-lan. Siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi nogami i patrzyła z wyrazem bolesnej tęsknoty przed siebie. Usta miała otwarte, a twarz podaną naprzód.

— No, cóż tam takiego? — zapytał zdziwiony Lung.

— Czy wszystkie sprzedasz? — zapytała chrapliwym szeptem.

— A czemużby nie? — odrzekł — poco nam takich klejnotów, w naszej glinianej chacie?

— Chciałabym zatrzymać dwa dla siebie — rzekła smutnie. Dźwięk jej głosu wzruszył Wang Lunga. Zdawało mu się, że jego własne dziecko dopomina się łakoci albo zabawki.

— Patrzcie-no! — wyrwało mu się.

— Gdybym tylko miała dwa — ciągnęła dalej pokornym tonem — dwa maleńkie klejnoty... Dwie białe perły..

— Perły? — wykrzyknął zdumiony Lung.

— Tobym ich nie nosiła, tylko trzymałabym je przy sobie. — Mówiąc to, opuściła ciężkie powieki i zaczęła skubać nitkę, wyciągniętą z pościeli.

Wang Lung usiłował zajrzeć wgłąb duszy tępej a wiernej niewiasty, nie pojmując co się w niej dzieje. Pomyślał, że ta oto kobieta pracuje od lat, nie otrzymując wzamian zapłaty, że w młodości widywała w pałacu inne niewiasty, strojne w bogate szaty i klejnoty, których ona nawet nie miała prawa dotknąć rękami.

— Brałabym je czasami w rękę — dodała szeptem, jakby głośno myśląc.

Wang poruszony do głębi wyciągnął zza pazuchy zawiniątko i rozwinąwszy je podał żonie, ona zaś zaczęła przebierać w migocących kamieniach. Brunatna stwardniała ręka ostrożnie przebierała wśród klejnotów, aż znalazła dwie białe perły. Zabrała je, a zawiniątko oddała Wangowi, perły zaś zawinęła w kawałek szmaty i ukryła na piersiach.

Wang Lung przyglądał się jej ze zdziwieniem, napoły rozumiejąc co to wszystko ma znaczyć. Po południu i w ciągu następnych dni nieraz zatrzymywał się i ogarniał wzrokiem O-lan, mówiąc do siebie:

— Ciekaw jestem, czy moja kobieta ma jeszcze te dwie perły.

Nigdy jednak nie dostrzegł, aby je wyjmowała z ukrycia i oglądała, toteż nie było o nich więcej mowy.

Pewnego razu udał się Wang do pałacu. Tym razem nie zastał stróża przed bramą. Brama zamknięta była na ciężkie zasuw. Próżno Wang Lung walił pięściami w belki — nikt nie zjawił się w podwórzu. Przechodnie spoglądali nań i wołali:

— Możesz walić i nic z tego. Jeżeli starszy pan już się przebudził, to może i przyjdzie, a jeżeli została tam zbłąkana suka - niewolnica, to ci może otworzy, jeżeli zechce.

Wreszcie po długim czekaniu, usłyszał Wang szelest kroków. Ktoś szurał nogami, idąc wolno i zatrzymując się co chwila. Nagle zagrzytały podnoszone zasuw i rozległ się trzask otwieranej bramy.

Jazgotliwy starczy głos pytał niechętnie:

— A kto tam?

— To ja, Wang Lung.

I znowu zabrzmiał gniewny głos.

— Cóż to za jeden ten przekłety Wang Lung?

Wang domyślił się, że to starszy pan, bo kłął tonem zwierzchnika, przyzwyczajonego do licznej służby i niewolnic. Odpowiedział mu więc nieco pokorniej.

— Panie czcigodny, mam do ciebie maleńki interes. Nie chcę przeszkadzać, ani zabierać czasu, ale chciałbym pogadać z rządcą, który służy waszej wysockości.

Stary pan, nie raczył otworzyć drzwi, lecz przytknął usta do szpary i zawołał:

— Ten przekłety pies uciekł ode mnie kilka miesięcy temu. Niema go u nas.

Zakłopotany Wang nie wiedział co ma robić. Nie mógł przecież powiedzieć prosto z mostu dzie-

dzicowi, że zamierza kupić od niego pole, tymczasem klejnoty paliły mu ciało jak ogień i chciał się ich pozbyć jaknajprędzej, żeby móc kupić ziemię. Ma pod dostatkiem ziarna, obsieje całe pole, a tak mu się okrutnie chce dobrej ziemi Hwangów...

— Chodzi o pieniądze — rzekł niepewnie.

— Niema pieniędzy — odparł starzec. — Ten złodziej i zbój — niechaj matka jego i matka jego matki będą przeklęte — zabrał wszystko co było. Nie mogę płacić długów.

— Nie, nie — przerwał mu Wang — sam chcę zapłacić, a nie odbierać długów.

W odpowiedzi rozległ się przenikliwy krzyk kobiety. W szparze bramy ukazała się twarz nieznanym niewiasty.

— Dawno już nie słyszałam takich słów! — zawołała.

Wang ujrzał ładną, rumianą twarz, o bystrych oczach.

— Chodźże tutaj — odezwała się znowu i roz-
tworzyła szerzej bramę, a gdy wszedł na podwórze zatrzymała się i starannie zamknęła zasuwę. W podwórzu stał starszy pan, patrzył tępo na Wanga i pokaszliwał. Otulony był w brudną szarą atlasową szatę, z której zwisał strzep futra. Piękny strój był wyplamiony i zmięty — widocznie starszy pan sypiał w ubraniu. Wang Lung spojrział na dziedzica z zaciekawieniem, ale i z lękiem, gdyż przez całe życie odczuwał strach przed mieszkańcami pałacu. Wierzyć mu się nie chciało, że starszy pan, o którym tyle słyszał, to właśnie ten pospolity staruszek, nie wiele się różniący od ojca Wang Lunga, a mniej od niego straszny. Dziedzic ongi był tłusty, teraz zaś wychudł, skórę miał obwisłą, twarz brudną i nieogoloną, a jego żółta ręka drżała, gdy nią dotykał brody i zwiędłych, starczych warg.

Zato kobieta sprawiała przyjemne wrażenie.

Miała ostre, twarde rysy, ptasi profil, błyszczące czarne oczy, gładką białą skórę i czerwone usta. Czarne jej włosy lśniły jak lustro, tylko głos zdradzał gminne pochodzenie. Nie była pewnością krewną Hwangów, tylko zwykłą niewolnicą. Oprócz tych dwojga nie było widać nikogo w podwórku. Dawniej roilo się tutaj od kobiet i dzieci, krzątających się przy gospodarstwie.

— Gadaj o pieniądzach — odezwała się ostro kobieta. Wang zawahał się. Nie chciał mówić otwarcie w obecności dziedzica. Zauważyła to owa kobieta, gdyż przemówiła do starca opryskliwym tonem.

— No! — Wynosić się!

Stary bez słowa powlókł się w kierunku domu, pokaszlując i człapiąc w aksamitnych pantoflach, spadających z pięt. Wang Lung nie wiedział teraz co ma począć. Wokoło panowała niesamowita cisza — zajrzał wgłąb drugiego podwórca, ale i tam nie dostrzegł nikogo.

W podwórku wały się śmiecie, słoma i gałęzie bambusowych drzew, ziemia pokryta była igliwem i zwiędłymi łodygami kwiatów. Widocznie od dawna nikt nie zamiatał domu.

— No, gadajże drewniana pało! — odezwała się kobieta. Wang aż podskoczył na dźwięk jej ostrego głosu. — O co ci chodzi? Jeżeli przyniosłeś pieniądze, to pokaż je.

— Nie, — odparł ostrożny Wang — nie mówiłem, że mam pieniądze. Mam interes.

— Interes znaczy to samo, co pieniądze — odcięła się kobieta — albo takie, które się wydaje, albo takie, które się otrzymuje, a u nas niema pieniędzy na zbycie.

— No, dobrze, ale ja nie mogę gadać z kobietą — tłumaczył się łagodnie Wang Lung. Nie mógł

pojąć, co to wszystko znaczy, rozglądał się więc podejrzliwie po podwórku.

— A dlaczego to nie możesz gadać z kobietą? — odparła gniewnym tonem. I zaraz wykrzyknęła: — Czy nie słyszałeś, że tutaj oprócz nas, nie ma nikogo innego?

Wang Lung obrzucił ją niedowierzającym spojrzeniem. Kobieta znowu wrzasnęła:

— Oprócz mnie i starszego pana — niema żywego ducha!

— A gdzie się wszyscy podziali? — wybełkotał Wang Lung.

— Starsza pani umarła — odpowiedziała kobieta. — Chyba ci mówiono w mieście, że do pałacu dostali się zbóje i zabrali wszystko, co im wpadło w oczy — niewolnice, sprzęty, złoto. Starszego pana zawiesili do góry nogami i tłukli go, a starszą panią przywiązali do krzesła i zatkali jej usta szmatą. Kto mógł, to uciekł, tylko ja zostałam. Ukryłam się w płytkiej sadzawce, pod drewnianą pokrywą. Gdy stamtąd wylazłam dom był pusty, a starsza pani siedziała nieżywa w fotelu. Nie umarła od tego, że ją szturchali, tylko z samego strachu. Ciało jej zwiędło od palenia opium; taka już była słaba, jak spróchniała trzcina. Nie wytrzymała.

— A co się stało ze służbą, z niewolnicami? — spytał Wang, z trudem chwytając powietrze. — A dozorca?

— Ach, ci sobie już dawniej poszli — odpowiedziała niedbale. — Kto miał mocne nogi, ten uciekł póki czas. Nie było przecież od połowy zimy ani jadła, ani pieniędzy. Powiem ci — dodała znijając głos do szeptu — że niektórzy nasi służący przystali do bandytów. Ten pies dozorca naprowadził ich na pałac. Sama go widziałam. Odwrócił łeb, gdy przechodził koło starszego pana, ale ja poznałam go po włochatej brodawce. Byli i inni — bo tylko swoi

ludzie znali skrytki, gdzie się chowało klejnoty i pamiątki. Nie jestem pewna, czy i rządca nie maczał w tem ręki, chociaż obrazilby się, gdyby go zawezwać na świadka do sądu — jest przecie dalekim krewnym państwa.

Kobieta zamilkła, a cisza stała się jeszcze bardziej przygnębiająca i martwa.

— Wszystko to jest dziwne, ale wiadomo było, że tak właśnie się skończy. Jeszcze za życia ojca starszego pana mówiono o tym, że grozi im ruina. Już wtedy panowie przestali się zajmować ziemią, jeno wyciągali pieniądze od rządców i wyrzucali je przez okna. A w następnym pokoleniu już nikt nie miał nawyku do uprawiania ziemi, nikt o nią nie dbał, więc ziemia zaczęła przechodzić w obce ręce.

— Gdzież się podzieli młodzi panicze? — zapytał Wang Lung.

— Ano, cóż — rozjechali się w rozmaite strony — rzekła kobieta obojętnie. — Jeszcze dobrze się stało, że obydwie panienki wyszły zamaż, zanim przyszło nieszczęście. Kiedy jeden z paniczów dowiedział się co się zdarzyło ojcu i matce przysłał posłańca, po starszego pana, ale ja wytłumaczyłam staruszkowi, żeby nie opuszczał domu. Powiedziałam mu tak: Któż pozostanie w pałacu? Jestem kobietą — sama nie mogę mieszkać. Nie uchodzi...

Mówiąc to ściągnęła czerwone usta i opuściła skromnie oczy. Po chwili dodała znowu: — Zresztą byłam wierną niewolnicą starszego pana przez tyle lat. Nie mam innego domu...

Dopiero teraz Wang Lung przyjrzał się jej baczniej i zaraz odwrócił głowę. Zrozumiał wreszcie, o co chodzi. Młoda, sprytna kobieta czepia się umierającego starca, bo liczy na schedę.

— Skoro jesteś tylko niewolnicą — rzekł pogardliwie — jakże chcesz, żebym z tobą gadał, o pieniądzach.

— A ja ci mówię — zaperzyła się kobieta — że starszy pan robi, co każe!

Wang Lung zastanowił się. Przecież chce kupić ziemię. Jeżeli teraz nie dobije targu, to mu ją ktoś sprzątnie sprzed nosa.

— Ile zostało ziemi? — zapytał niechętnie.

— Jeżeli chcesz kupić ziemię — rzekła — toś dobrze trafił, bo mamy trochę ziemi na zbycie. Dwieście mórg na zachodniej stronie i dwieście na południowej. Dwa oddzielne pola, ale jaka tłusta ziemia, jaki obszar!

Słuchając jej, Wang Lung pojął, że już teraz obliczyła sobie dokładnie, co jeszcze posiada dzieci. Jednak niedowierzał jej ciągle i nie miał ochoty wszczynać rozmowy o pieniądzach.

— Starszy pan nie może przecież sprzedawać ziemi bez zezwolenia synów — odezwał się znowu.

Kobieta była i na to przygotowana.

— Właśnie, że synowie kazali mu sprzedać, ile tylko będzie mógł. Tutaj żaden z paniczów nie chce mieszkać. W tych ciężkich czasach pełno bandytów. Młodzi panice ciągle powtarzali, że nie chcą zostać w takim strasznym kraju, że sprzedadzą majątek i podziela się pieniędzmi.

— Komuż bym zapłacił? — zapytał Wang Lung, jeszcze ciągle niedowierzająco.

— Dziedzicowi, a komuż by? — odpowiedziała kobieta. Ale Wang Lung zdawał sobie sprawę, że pieniądze wnetby przeszły z rąk starego do rąk kobiety, nie chciał więc dłużej z nią rozmawiać i zawrócił w kierunku bramy, mamrocząc pod nosem:— Innym razem, innym razem... — Ona zaś szła wślad za nim, krzycząc na całe gardło:

— Jutro, czy teraz, czy popołudniu — to wszystko jedno. Nic się nie zmieni.

Szedł w milczeniu ulicą, dziwując się temu, co widział. Postanowił się namyślić... Poszedł więc do

małej herbaciarni i zamówił porcję herbaty. Chłopak postawił ją na stoliku i bezczelnym ruchem podrzucił w górę otrzymanego pensa, zaś Wang Lung pograżył się w zadumie. Im dłużej myślał, tym potworniejszy wydawał mu się fakt upadku potężnego rodu. Nie mógł pojąć, że tak wielki i bogaty ród, który za czasów jego dziadka i jego pradziadka był chlubą miasta poszedł w rozsypkę i stracił wszelkie znaczenie.

— A stało się tak dlatego, że odeszli od ziemi — pomyślał z żalem i zaraz uprzytomnił sobie, że i on ma dwóch synów, którzy rosną jak wiośniane pędy bambusów i że trzeba by zaprząć ich do roboty w polu. Dziś jeszcze powie im, że się skończyło baraszkowanie na słońcu; będą musieli od rana przebywać w polu. Miłość do ziemi wejdzie im w krew i w kości, gdy ją będą czuli pod stopami, gdy dłonie ich nawykną do motyki.

Lecz zaraz przypomniał sobie, że dźwiga na piersiach drogocenny ciężar. Drogie kamienie paliły go, chciał się ich jak najprędzej pozbyć. Nękał go nieustanny niepokój. Zdawało mu się, że przeświecają przez łachmany i że lada chwila ktoś krzyknie:

— Patrzajcie! Taki nędzarz, a dźwiga na sobie cesarski skarb. — Tak. Nie zazna spokoju, dopóki nie zamieni ich na ziemię. Doczekał się chwili, gdy właściciel herbaciarni był mniej zajęty i zawezwał go do siebie.

— Wypijcie ze mną filiżankę herbaty! — zawołał — ja płacę. Ciekaw jestem co słyszeć w mieście. Nie było mnie przecież całą zimę.

Właściciel herbaciarni był skory do gawędy, zwłaszcza, gdy mógł wypić własnej herbaty na cudzy koszt; usiadł tedy chętnie przy stoliku Wang Lunga. Był to drobny człowieczek, o profilu gryzonia i kosym oku. Miał na sobie zatłuszczony czarny kaftan, bo prócz herbaty sprzedawał i gorące dania,

które sam gotował. Lubił powtarzać chińskie przysłowia: — „Dobry kucharz nie nosi czystego kaptana“, — upewniając się w ten sposób, że nosząc niechlujne ubranie postępuje jak należy. Usiadł na krześle i zaczął opowiadać:

— To, że u nas ludziska marli z głodu, to dla was nie dziwota, ani nowość, ale największa nowina to ta, że dom Hwangów został splądrowany przez opryszków.

O to tylko chodziło Wang Lungowi. Kucharz nakreślił barwny obraz pogromu, w żywych słowach opisując przebieg napadu: o tym jak porywano wrzeszczące niewolnice, i że taki sam los spotkał kilka nałożnic. W domu nie pozostał nikt. Nikt, oprócz dziedzica, który jest dzisiaj pod pantoflem pewnej niewolnicy, co się zwie Ku-ku. Była ona przez wiele lat jego faworytą. Inne tylko przechodziły przez sygnielnię starszego pana, ona jedna przetrwała wszystko, bo była z nich najchytrzejsza.

— To ona dzisiaj rządzi całym domem? — zapytał Wang, przysłuchując się pilnie.

— Robi co chce — odrzekł kucharz. — Jak będzie potem, niewiadomo, ale teraz korzysta, kładzie łapę na wszystko, co się da i zagarnia resztę majątku. Kiedyś, gdy młodzi panicze ukończą swoje sprawy w innych stronach kraju i wrócą do domu, nie uda się jej okłamać ich, że była wierną sługą, której się należy nagroda — będzie musiała się wynieść. Ale uzbierała tyle, że jej to wystarczy do końca życia, choćby miała żyć sto lat.

— A ziemia? — pytał Wang Lung, drżący z niepokoju.

— Ziemia? — powtórzył stary bezdźwięcznie. — Cóż go mogła obchodzić ziemia, jego, który myśli tylko o swojej herbaciarni.

— Czy ją chcą sprzedać? — nalegał Wang.

— Ach, ziemia — rzekł kupiec obojętnie i za-

raz się zerwał z miejsca, gdyż do sklepiku wszedł nowy gość. Ale oddalając się od stolika krzyknął pod adresem Wanga: — Słyszałem, że chcą sprzedać wszystko, oprócz grobów rodzinnych. Leżą tam nieboszczyki od sześciu pokoleń.

Wang Lung powstał również i wyszedł z herbarciarni. Dowiedział się, czego chciał. Wrócił więc do bramy pałacu. Tym razem kobieta nie kazała na siebie czekać, ale Wang nie przekroczył progu bramy, tylko zapytał:

— Powiedz no, czy starszy pan położy swoją pieczęć na akcie kupna?

Kobieta, przeszła Wanga bystrym spojrzeniem i odrzekła bez wahania:

— Uczyni to — uczyni. Daję za to głowę.

— Czy ją sprzedacie za złoto, czy za srebro, czy też za klejnoty? — zapytał ją poprostu.

Oczy kobiety zabłysły pożądaniem.

— Zapłać klejnotami.

XVII.

Miał teraz Wang Lung tyle ziemi, że jednego wołu i jednego pługa już mu nie starczyło na zoranie pola, a jeden człowiek nie zdołałby zebrać wszystkich plonów. Dobudował więc Wang niewielką izbę przy chacie i kupił osła.

— Sprzedaj mi swoją ziemię — zwrócił się raz do sąsiada Czinga — porzuć swój pusty dom, przenieś się do mnie i pomagaj mi w polu. Czing zgodził się chętnie, nie tając radości.

Owego roku niebo nie poskapiło deszczu. Ryż rósł pięknie, a gdy zebrano pszenicę, obydwaj wieśniacy znowu sadzili ryż, na polach zalanych wodą. Nigdy w życiu Wang Lung nie sadził tyle ryżu. Dzięki obfitym deszczom, nawet te pola, które w roku ubie-

głym były niezdatne do uprawy, można było nim obsiać. Zaś podczas zbiorów Czing i Wang nie mogli sobie dać rady, musieli więc po raz pierwszy wynająć dwóch ludzi z pobliskiej wsi.

Podczas pracy w polu jawili mu się nieraz w pamięci młodzi panicze z pałacu. Wzywał wtedy synów, by szli z nim w pole i zmuszał ich, by pracowali tyle, na ile stać było ich drobne rączyny. Popędzali więc wołu i osła i zapoznawali się z uczuciem zmęczenia, gdy się wędruje tam i napowrót w upalnym słońcu wzdłuż bruzd.

Teraz już Wang nie pozwalał żonie pracować w polu, był przecież zamożnym gospodarzem, który może sobie pozwolić, na wynajęcie pomocników. Nigdy, jako żywo, ziemia nie wydała takich bogatych plonów, jak owego roku. Dobudował więc jeszcze jedną izbę, gdzie gromadził zboże. Gdy by nie to, nie mogliby się pomieścić w mieszkaniu. Kupił też trzy świnię i stadko kur, które karmił ziarnem.

O-lan pracowała w domu, szyła nowe szaty i pantofle i kwieciste kołdry, pikowane nowiutką watą. Później, gdy już wszystko pokończyła, położyła się na łóżko, gdy chwyciły ją bóle porodowe. I teraz nie chciała mieć nikogo obok siebie, a przecież mogłaby wynająć pomocnicę.

Ciężki to był poród, a gdy Wang wrócił wieczorem do domu powitał go stojący na progu ojciec, słowami:

— Jajko z dwoma żółtkami...

I roześmiał się radośnie.

Wang wszedł do izby i ujrzał O-lan leżącą na łóżku pospołu z nowonarodzonymi dziećmi, dziewczynką i chłopcem, tak podobnymi do siebie, jak dwa ziarenka ryżu. Na ten widok wybuchnął głośnym śmiechem, a pomyślawszy chwilę, zdobył się na dowcip:

— To dlatego nosiłaś na piersiach dwie perły?

Znowu się zaśmiał z własnego dowcipu, a O-lan, widząc go tak rozradowanym, uśmiechnęła się doń z wysiłkiem.

Tak to się wiodło Wang Lungowi w owym roku. Jedynym jego zmartwieniem było to, że najstarsza córeczka nie mówiła dotychczas i zachowywała się inaczej, aniżeli dzieci w jej wieku — uśmiechała się tylko, ilekroć pochwyciła spojrzenie ojca. Niewiadomo, jaka była tej niemocy przyczyna, czy przeżycia pierwszych lat, czy złe odżywianie, dość, że mijały miesiące za miesiącami, a Wang Lung napróżno nasłuchiwał, czy z maleńkich ustek nie wybiegnie słówko „da-da“, jakim dzieci przeważały ojca. Lecz na maleńkich usteczkach jawił się tylko słodki uśmiech, a zasmucony ojciec patrzył na córkę i powtarzał w kółko:

— Mały głuptasek, mój biedny, mały głuptasek...

Serce jego wtórowało mu żalosnym jękiem:

— Gdybym był sprzedał tę biedną myszkę, a kupcy spostrzegliby się, że jest niemową, zabiliby ją...

I jak by chcąc zadość uczynić dziecku za krzywdę okazywał mu specjalne względy. Nieraz zabierał dziewczynkę, w pole. Szła za nim milcząca i uśmiechała się, ilekroć na nią spozrywał.

W tej części kraju, którą zamieszkiwali przodkowie Wang Lunga, widmo głodu zjawiało się co pięć lat, a gdy bogi okazały swą łaskę, to i rzadziej — czasami co siedem, co osiem, nawet co dziesięć lat. Niebo tutaj darzyło ziemię zbyt obfitymi deszczami, albo nie bywało ich wcale. Czasami rzeka płynąca z północy zasilona wodami deszczowymi i topniejącym śniegiem, który spływał z dalekich gór, wtaczała się na pola, zrywając tamy, pobudowane przez wieśniaków z myślą o zatrzymaniu dobroczynnej wody na wieki.

Od czasu do czasu ludzie zmuszeni byli uciekać w inne strony. Wang Lung zdobył już taki dobrobyt, że w razie klęski głodu nie będzie zmuszony oddalać się z umiłowanego kraju. W razie głodu — Wang będzie razem z rodziną czekać lepszych czasów, żywiąc się zapasami z dawnych zbiorów.

Bogowie okazywali mu pomoc. Przez siedem lat ziemia przynosiła obfite plony a Wang Lung razem z parobkami rok rocznie młócili więcej zboża, aniżeli im było potrzeba dla domu. Co roku zwiększała się liczba parobków. Zbudował też nowy dom, obok starej chaty. Był tam duży podwórzec i wielka sala i dwa mniejsze pokoje. Dom miał pokrycie z dachówek, ale mury były jeszcze lepione z ubitej ziemi, tyle, że Wang kazał je pobielić. Przeniósł się później z rodziną do nowego mieszkania, zaś parobcy z Czingiem rozgościli się w starym domku.

Wang zdążył już gruntownie poznać Czinga; doszedł do wniosku, że jest to uczciwy i wierny towarzysz, więc mu powierzył nadzór nad robotnikami. Płacił mu co miesiąc dwie sztuki srebra, nie licząc jadła. A chociaż pilnował, żeby Czing odżywiał się należycie — nie nabierał on ciała, ale pozostał zawsze tym samym chuderlawym, wątłym człowieczkiem, pełnym powagi i skupienia. Jednak gdy wyszedł w pole, to pracował raźnie, od świtu do zmierzchu. Czasami odzywał się cichym głosem, jeśli trzeba było coś powiedzieć, ale był najszcześliwszy, gdy mógł milczeć. Podnosił miarowo motykę, i opuszczał ją na ziemię, a o świcie i o zmierzchu nosił w pole wiadra z wodą, albo z nawozem.

Wang Lung wiedział dobrze, że gdyby który z rolników spał zbyt długo pod drzewem, alboabrał za wiele tłuczonej fasoli ze wspólnej misy, albo też sprowadził potajemnie żonę i dzieci i pozwolił im kraść ziarno — to w święto noworoczne, kiedy

sługa zasiada do wspólnego stołu ze swoim panem, Czing szepnąłby do ucha Wang Lungowi:

— Nie trzeba odnawiać umowy z tym, lub z innym.

Bowiem zamieniona ongiś garść fasoli i ziarna przypieczętowała ich braterską przyjaźń, lecz Wang pomimo młodszego wieku zajmował miejsce przypadające w udziale starszemu, zaś Czing nigdy nie zapominał, że jest najmitą i że mieszka w cudzym domu.

Pod koniec piątego roku Wang coraz rzadziej wychodził w pole, miał bowiem dość roboty ze sprzedażą plonów. Przeszkadzała mu w tym nieznajomość druku i liter, które się maluje na papierze pędzelkiem z wielbłądziejego włosia. Nieraz wstydził się, gdy zawierając umowę z handlarzem ziarna, zmuszony był prosić dumnych, miastowych ludzi:

— Proszę mi przeczytać co tam stoi napisane, bo ja jestem za głupi.

Wstydził się niemniej, gdy trzeba było podpisać się na kontrakcie. Wyręczał go wtedy któryś z pisarzyków. Z miną niechętną, podnosząc brwi na znak zdziwienia, kreślił niedbale pędzelkiem imię Wang Lunga. Czasami pytał kpiąco, jak się pisze słowo Lung.

— Jak chcecie — mawiał w takich razach Wang Lung, pokornym głosem. — Taki ze mnie nieuk, że nie wiem nawet, jak się pisze moje imię.

Pewnego dnia, w okresie żniw, wracał Wang Lung ze składu ziarna. Jeszcze mu brzmiał w uszach szyderczy śmiech urzędników, smarkaczy, nie o wiele starszych od jego synów. Wang powtarzał sobie z irytacją:

— Żaden z tych głupców nie ma ani piędzi ziemi, a myśli, że ma prawo wyśmiewać się ze mnie, dlatego że nie rozumiem, co znaczą czarne plamy na papierze. — Po chwili jednak uspokoił się i przy-

znał w duszy, że to wstyd, w tak późnym wieku nie umieć czytać i pisać.

— Zabiorę najstarszego syna i oddam go do szkoły w mieście. Gdy się nauczy czytać, to będę z nim chodzić na targ, a on mnie zastąpi, gdyby trzeba było coś przeczytać albo napisać. Przestanę wtedy słyszeć ten wstrętny syk i śmiechy,

Tegoż dnia przywołał do siebie syna, smukłego drwunastoletniego chłopca podobnego z twarzy do matki. Miał on tak samo jak matka wielkie ręce i stopy, zato po ojcu odziedziczył bystre, żywe spojrzenie.

— Przestaniesz chodzić w pole — rzekł mu ojciec — potrzeba mi dla domu kogoś uczonego, żeby mi czytał umowy i podpisywał moje imię i żebym nie potrzebował się wstydić miastowych ludzi.

Twarz chłopca powlokła się ciemnym rumieńcem. Spojrzał na ojca błyszczącymi oczami.

— Ojciec — odezwał się wreszcie — myślę o tym od dwóch lat, ale nie śmiałem cię o to prosić.

Młodszy brat dowiedział się rychło o co chodzi, więc również przybiegł cały we łzach i zaczął się skarżyć. Zawsze był skory do płaczu, a odkąd zaczął mówić, skarżył się ciągle, że jest pokrzywdzony, że ma mniej niż inni. I teraz zaczął sklamrzyć.

— To ja także nie będę chodzić w pole. To brzydko, że mój brat ma siedzieć na krześle i nic nie robić i tylko się uczyć, a ja muszę pracować. Jestem przecież także twoim synem, tak samo jak on...

Wang Lung nie mógł słuchać płaczu, gotów był przystać na wszystko, gdyby chłopiec głośniejsze się rozbeczał, więc rzekł pośpiesznie.

— No, już dobrze, dobrze. Pójdziecie razem do szkoły. Jeżeli niebo chciałoby mnie skrzywdzić i zabrało jednego z was, to zawsze zostanie ten drugi już wyuczony, który mnie zastąpi w domu.

Posłał tedy matkę swoich synów do miasta,

z poleceniem kupienia materiału na długie szaty dla chłopców, sam zaś wstąpił do sklepu z papierem i tuszem i kupił papieru, pędzli, dwie tabliczki tuszu, a że się na tym nie znał, więc patrzył podejrzliwie na wszystko, co mu kupiec przedstawiał do wyboru. Postanowił posyłać chłopców do małej szkoły, położonej za miastem. Prowadził ją stary człowiek, który przed laty przepadł przy egzaminie rządowym. W głównej izbie domu ustawił stoły i ławki i za niewielką opłatą uczył chłopców na pamięć rozdziałów z wybitnych pisarzy, a opornych karcił, bijąc ich po rękach dużym wachlarzem.

Tylko na wiosnę i w lecie chłopcy zażywali odpoczynku, bo wtedy staruszek zmożony słońcem zasypiał podczas lekcyj, po spożyciu posiłku. Mroczna, ciasna izdebka rozbrzmiewała jego chrapaniem, a chłopcy korzystali z okazji, by szeptać, dokazywać i rysować nieprzyzwoite obrazki. Czasami przyglądali się musze, krążącej nad otwartą gębą nauczyciela, i zakładali się o to, czy mu wpadnie do rozwartych ust. Skoro jednak staruszek otworzył oczy — a to zdarzało się zawsze niespodziewanie — zamierzał się na nich swoim wachlarzem i uderzał ich po głowach. Sąsiedzi, słysząc trzask wachlarza i płacz uczniów mawiali: Dobry nauczyciel!

Oto dlaczego Wang Lung tę właśnie szkołę wybrał dla swoich synów.

Kiedy pierwszy raz zaprowadził chłopców do szkoły, wyprzedzał ich o kilka kroków, gdyż nie uchodzi, aby synowie kroczyli obok ojca. Nie zapomniał też zabrać ze sobą zawiniątka ze świeżymi jajami, które wręczył staremu nauczycielowi na powitanie. Patrzył z szacunkiem na jego wielkie, oprawne w miedź okulary, na długą, luźną szatę i wielki wachlarz, z którym się nie rozstawał nawet w zimie, a skłoniwszy się przed starcem, głęboko, rzekł:

— Przyprowadziłem ci moich synów. Są nic nie

warci. Jeżeli chcesz, żeby te zakute łby coś zrozumiały, to musisz je bić. I sprawisz mi przyjemność bijąc ich przy nauce.

Obydwaj chłopcy stali milczący i zapałtrzeni w innych chłopców, siedzących na ławkach. Tamci również przyglądali się przybyszom z zaciekawieniem.

W powrotnej drodze Wang Lung poczuł, że mu serce rozpiera duma; zdawało mu się, że żaden z uczniów nie dorównuje jego chłopcom wzrostem i urodą. Spotkawszy sąsiada, wracającego ze wsi, odpowiedział mu niedbale, na rzucone zapytanie:

— Wracam ze szkoły, do której chodzą moi synowie. — I dodał jeszcze, budząc nieopisane zdziwienie w wieśniaku. — Niepotrzebni mi są w polu, niechże więc uczą się rozróżniać litery.

Mijając sąsiada, bąknął pod nosem, niby to sam do siebie:

— Wcale bym się nie zdziwił, gdyby starszy został kiedyś burmistrzem. Będzie z niego uczony człowiek.

Od owego dnia chłopcy przestali się nazywać „młodszym i starszym“, gdyż nauczyciel dał im nowe imiona, odpowiadające zawodowi ojca. Starszy otrzymał imię Nung En, a drugi — Nung Wen. Pierwsza sylaba obydwóch imion znaczy: „ten, który ciągnie zyski z ziemi“.

XVIII.

Tak oto rósł w dostatki gospodarz Wang Lung. Gdy minęło siedem lat, rzeka na północy wezbrała wskutek wielkiej obfitości deszczów i śniegu i wystąpiła z brzegów. Pewnego dnia wtargnęła na pola, zmiatając wszystko i zalewając olbrzymie przestrzenie. Wang Lung nie przeląkł się powodzi. Nie

przelał się, chociaż jedna piąta jego ziemi zamieniła się w głębokie jezioro, w którym mógł się ukryć po szyję dorosły człowiek.

W ciągu spóźnionej wiosny i wczesnego lata zwiększał się poziom wód, aż wreszcie cały kraj zamienił się w morze, odbijające w swej tafli obłoki, krąg miesiąca, pogiecie wierzby i bambusy sterczące z wody. Gdziekolwiek widać było opuszczoną przez mieszkańców lepiankę, która zwolna zapadała się w toń wodną. Taki los spotkał wszystkie chaty, które nie wznosiły się na wzgórzach, tak jak chata Wang Lunga. Zagroda Wanga górowała nad wodami, niby wysepka. Do miasta jeździło się łodziami i tratwami.

Po jakimś czasie zjawiał się głód. Ale Wang nie obawiał się i głodu. Kupcy na targu zbożowym byli mu winni sporo pieniędzy, a w spichrzu miał pełno ziarna zebranego w ciągu dwóch lat — nie było więc czego się obawiać.

Że jednakże większa część pól stała pod wodą, więc Wang Lung skazany był na bezczynność, to też gdy się budził po dobrze przespanej nocy odczuwał dziwny niepokój. Nie wypadało mu jednak pracować, skoro miał stałych parobków, wynajętych na cały rok, a którzy teraz zjadali jego ryż, czekając końca powodzi. Poleciał im naprawić strzechę w starym domu i dachówki w nowym, zużyte grabie, motyki i pługi. Musieli też karmić bydło, pleść sznury z konopi i nosić wodę. Ongiś sam musiał się tym zajmować — dzisiaj ręce jego były bezczynne, a duszę żarła nuda.

Człowiek nie może cały dzień wpatrywać się w zalane wodą pola, nie może też zabijać nudy jedzeniem, ani snem. Gdy się przechadzał po domu, męczyła go cisza, panująca w mieszkaniu. Zdawało mu się, że słyszy pulsowanie własnej krwi w żyłach.

Stary ojciec coraz bardziej opadał z sił. Trudno

gawędzić z napół ślepym i głuchym staruszką; rozmowa z nim ograniczała się do zapytania, czy mu ciepło, czy jest najedzony, albo czy nie zechciałby napić się herbaty. W dodatku nie mógł się jakoś pogodzić z myślą, że syn jego jest zamożnym człowiekiem — nadal, ku niezadowoleniu Wang Lunga, szemrał, gdy mu nasypyano liści herbacianych do kubka — „wystarczy mi trochę gorącej wody. Herbata to srebro...” Nie warto jednak było sprzeczać się z ojcem, bo zaraz zapominał co usłyszał. Żył we własnym zamkniętym świecie, marząc czasami, że jest znowu młodym i pięknym młodzieńcem. Zamglone jego oczy nie dostrzegły tego, co się wokół działo.

Starsza córka Wang Lunga siadywała godzinami przy dziadku, skubiąc kawałek szmaty, to znów rozkładając ją i składając z uśmiechem, ale nie odzywała się zgola. Ci dwoje nie mieli wiele do powiedzenia poważnemu gospodarzowi. Wang Lung bywało — należe ojcowi herbaty, potem pogłodzi córkę po twarzy, na której wnet wykwitnie słodki, bezmyślny uśmiech i znika, nie rozpaliwszy błysków w ciemnych oczach. W takich chwilach Wang Lung odwracał się od córki w milczeniu, gdyż udzielał mu się smutek dziecka i przyglądał się młodszemu dzieciom, chłopcu i dziewczynce co razem przyszli na świat i razem biegali po izbach.

Wesołość małych dzieci nie jest wystarczającą pociechą dla dorosłego mężczyzny, to też gdy się Wang dowoli z nimi nazbyt kował i naśmiał czuł się znowu osamotniony i niespokojny. Zaczął teraz spoglądać na O-lan, jak na kobietę, z którą tak się zżył, że się już po niej niczego nie spodziewa, bo ją zna nawskroś.

I zdawało się Wang Lungowi, że widzi O-lan po raz pierwszy w życiu. Teraz dopiero zauważył, że jest nieładnym i pospolitym stworzeniem, które

krząta się po domu, nie bacząc na to, jakie wywiera wrażenie na innych, że ma szorstkie brunatne włosy, że oblicze jej jest szerokie, płaskie i chropowate, pozbawione wszelkiej urody. Brwi miała rzadkie i postrzępione, usta zbyt szerokie, a ręce i stopy wielkie i płaskie. Patrzał na nią tymi nowymi oczami i mówił:

— Nikt by nie powiedział, że jesteś żoną zamożnego gospodarza, który wynajmuje parobków do roboty w polu.

Podniosła głowę i obrzuciła go żalosnem spojrzeniem. Siedziała właśnie, na ławce i przyszywała podeszwy. Na dźwięk głosu Wanga przerwała pracę i otworzyła usta, ukazując poczerwiałe zęby. Dopiero po chwili pojęła, że Wang patrzy na nią, jak mężczyzna na kobietę, więc się zapłoniła i szepnęła:

— Od czasu, gdy urodziła tych dwoje, nie czuję się dobrze. Mam ogień w żywocie.

Zrozumiał, że w prostocie ducha sądzi, iż ma do niej żal o to, że od siedmiu lat nie urodziła dziecka, odpowiedział więc bardziej szorstko, aniżeli zamierzał:

— Mogłabyś przecie kupić trochę oliwy do włosów, jak inne kobiety i mogłabyś też uszyć sobie porządny czarny kaftan. Obuwie też masz nieodpowiednie dla żony właściciela majątku.

Nie odezwała się już ani słowem, tylko spojrzała nań pokornie i schowała nogi pod ławkę. Wang zawstydził się, że czyni wymówki istocie, która przez szereg lat była mu wierna jak pies. Chociaż pamiętał, jak to w latach największej biedy nie pozwalała sobie na odpoczynek, lecz urodziwszy dziecko wracała w pole, by pomagać mężowi — przecież nie mógł jakoś opanować złości i ciągnął dalej, szorstkim głosem:

— Dosyć się napracowałem, zdobyłem majątek, więc nie chcę, żeby moja żona wyglądała jak parobek.

Rzekłszy to zamilkł i pomyślał, że O-lan jest odrażająca, a że najszpetniejsze są te jej wielkie nogi, w luźnych sukiennych trepach. Spojrzał na nie z taką złością, że O-lan ukryła je głębiej pod ławę, a po chwili dorzuciła szeptem:

— Matka nie mogła mi krępować nóg, bo mnie sprzedano, gdym była jeszcze dzieckiem. Ale będę krępować nogi córek i najmłodszej także.

Wang Lung opanował się. Wstyd mu było, że się gniewa, a zły był, że O-lan nie gniewa się na niego, tylko ukazuje przestach. Obciągnął na sobie nową, czarną szatę i rzekł nerwowo:

— Pójdę trochę do herbaciarni. Posłucham co słyhać nowego. W moim domu są sami głupcy, stary głądziarz i nierozumne dzieciaki...

Idąc do miasta poczuł nowy napływ złości, gdyż przypomniał sobie nagle, że gdyby nie O-lan, która ukradła klejnoty z domu bogacza, a potem je oddała mężowi — nie mógłby kupić tyle ziemi. Myśląc o tem, irytował się coraz bardziej, a chcąc uciszyć buntujące się serce powtarzał w duchu:

— Oddała je, bo sama nie wiedziała co robi. Złapała je dla przyjemności, jak dzieciak, który kradnie czerwone i zielone cukierki i byłaby je trzymała do tej pory za pazuchą, gdybym ich tam nie znalazł.

Ciekawiło go, czy też zachowała owe dwie perły, które je zwrócił i które ukryła między piersiami. Dawniej myślał o jej piersiach z upodobaniem, teraz budziły w nim tylko wstręt, gdyż po wykarmieniu tylu dzieci straciły wszelki powab, — stały się obwisłe i miękkie. Głupotą było i marnotrawstwem umieszczać między takimi piersiami dwie cenne perły.

Wszystko to nie miałooby znaczenia, gdyby Wang Lung pozostał ubogim człowiekiem, albo gdyby pola jego nie stały pod wodą. Ale Wang Lung miał pieniądze. W skrytkach jego domu leżały rulony srebr-

kobietom i zdawało mu się, że widzi zjawy ze snu, bo przecież tak pięknych istot niema na ziemi. Gdy po raz pierwszy odwiedził herbaciarnię ograniczył się do wypicia herbaty i obejrzenia owych czarownych obrazków, ale później zaczął zachodzić tam codziennie, jako że nie było co robić w polu zalanem wodą. Zamawiał tedy herbatę i pił ją w milczeniu, wpatrując się w podobizny pięknych kobiet. Za każdym razem siedział dłużej. Byłby tak nadal samotnie spędzał dzionki w nowej herbaciarni, gdyż nikt nie zwracał uwagi na człowieka, który, pomimo posiadanych zapasów srebra w domowych skrytkach, sprawiał wrażenie prostaka (w każdym razie był jedynym konsumentem odzianym w bawełniany wiejski strój i noszącym długi warkocz), ale razu pewnego, gdy tak siedział przy stoliku, ktoś zeszedł po wąskich schodkach, prowadzących na górne piętro.

Owa herbaciarnia była jedynym w całym mieście, piętrowym budynkiem. Tylko Zachodnia Pagoda posiada pięć pięter, ale wznosi się już za miastem, za Zachodnią Bramą, jest przytem wąska i zwęża się jeszcze ku górze, podczas gdy drugie piętro herbaciarni jest równie szerokie jak parter. Wieczorami płyną z jego otwartych okien dźwięki kobiecych głosów, kaskady śmiechów i słodki szmer strun, trąconych dziewczęcemi palcami. Zwłaszcza po północy wzmagą się hałas wokół herbaciarni i każdy przechodzień może słyszeć tony muzyki, płoszące ciszę w ciemnych ulicach. Tam jednak, gdzie siedział Wang, klekot kości i głośnie rozmowy mężczyzn, pijących herbatę, oraz suwanie kościanych tafelek dominują głużyły wszelkie inne odgłosy.

Dlatego to Wang Lung nie usłyszał owej nocy szmeru kroków za sobą i nie zauważył kobiety, schodzącej po skrzypiących stopniach. Wzdrygnął się, gdy poczuł na ramieniu dotyk lekkiej dłoni. Gdy podniósł głowę, ujrzał wąską, ładną twarz kobiety, któ-

rej ongiś oddał klejnoty, wzamian za ziemię. Była to ta sama Ku-ku, która podczas spisywania umowy trzymała drżącą rękę starego księcia i pomagała mu przycisnąć pieczęć na akcie sprzedażnym. Ku-ku roześmiała się, na widok Wanga.

— Patrzenie-no, to Wang, to gospodarz Wang! — rzekła akcentując złośliwie słowo „gospodarz“. — Któż by się go spodziewał tutaj...

Wang postanowił za wszelką cenę przekonać kobietę, że jest kimś znaczniejszym od zwykłego gospodarza, więc się roześmiał i rzekł donośnym głosem.

— Czy moje pieniądze mniej są warte, niż pieniądze innych ludzi? A pieniędzy mi nie brak. Powodzi mi się.

Ku-ku zamilkła i obrzuciła Wanga spojrzeniem wązkich, błyszczących oczów, podobnych do oczów węża.

— Wiadomo, wiadomo — powtarzała przypochlebie. — Gdy się ma pod dostatkiem pieniędzy, to czyż można korzystniej je wydać, aniżeli tutaj, gdzie się zbierają najbogatsi panowie, a wytworni panicze urządzają ucztę i zabawy. Nigdzie nie znajdziecie takiego wina, jak u nas — czy próbowałeś go już Wang Lungu?

— Piłem tylko herbatę — odparł zawstydzony Wang — nie tknąłem wina, ani kości do gry.

— Herbatę? — krzyknęła śmiejąc się — ależ my mamy wino „tygrysie“ i wino ryżowe — pocóż pić herbatę? — A widząc opuszczoną pokornie głowę Wanga, dodała łagodnie i podstępnie:

— Pewnie na nic nie patrzałeś tutaj? he? — nie zauważyłeś ładnych rączek, ani słodko uśmiechniętych buziaków?

Wang Lung schylił głowę jeszcze niżej, a jego brunatne oblicze spłonęło łuną rumieńca. Zdawało mu się, że wszyscy kpią z niego i przysłuchują się

słowom kobiety. Lecz, gdy nabrawszy odwagi, zerknął spodełba na sąsiednie stoły, przekonał się, że nikt nie zwracał na niego uwagi.. Słyszał tylko klekot kości do gry. Uspokojony, odpowiedział szeptem:

— Nie... Nie... Piłem tylko herbatę... Nie wiem nic...

Kobieta znowu parsknęła przenikliwym śmiechem i, wskazując na malowane jedwabie, rzekła:

— To są właśnie ich podobizny. Wybierz sobie, która ci się najbardziej podoba, zapłacisz mi ile się należy, a ja ci ją przyprowadzę.

— Co? To są żywe kobiety? — szepnął zdumiony Wang Lung. — Myślałem, że to istoty ze snu, boginie z gór Kwen Lwen, które znam z baśni...

— A tak — to są rzeczywiście kobiety ze snu — odparła kpiącym tonem Ku-ku — ale trochę srebra zamieni sen w żywe ciało.

Mówiąc to oddaliła się, zamieniając porozumiewawcze spojrzenia ze służbą, jakby chciała powiedzieć: — Popatrzcie na tego wiejskiego prostaka...

Teraz dopiero Wang Lung spojrział na malowidła z prawdziwym zaciekawieniem. Więc na górze, tam dokąd wiodły wąskie, skrzypiące schodki, znajdują się żywe kobiety z ciała i krwi, i każdy mężczyzna może je odwiedzić — nie on — ale każdy inny mężczyzna. Gdyby nie był takim, jakim jest poczciwym, zapracowanym człowiekiem, obarczonym żoną i synami, którąby sobie wybrał z tych kobiet? — pomyślał nagle, wyobrażając sobie, że jest dzieckiem, które wybiera coś na niby. Popatrział bacznie na każdą z osobna malowaną twarz, jakby była żywa. Przed chwilą wszystkie wydawały mu się podobne do siebie, ale teraz widział, że nie wszystkie są równie piękne. Wybrał więc tę, która wydawała mu się najpiękniejszą — drobną, szczupłą dziewczynę, wiotką jak bambus, o małej twarzyczce ze spicza-

stym jak u kota, podbródkiem. W delikatnych, cienkich, niby rozprostowane wąsy fasoli paluszkach trzymała łodygę lotosu. Zapatrzył się w nią i nagle poczuł, jak mu od tego patrzenia zaczyna rozgrzewać się krew i burzy się w żyłach, niby wino.

— Ona jest jak kwiat — wyrwało mu się nagle.

Przeląkł się i zawstydził wielce, usłyszawszy swój głos, wstał więc od stołu i wyszedł szybko z herbaciarni. Była już późna noc.

Wracał do domu w ciemnościach, rozświetlonych mglistą poświatą miesiąca, co zawisł nad wodami. Szedł do domu szybkim krokiem, ale ciało miał rozpalone, a w żyłach krążyła krew, gorąca jak wino.

XIX.

Gdyby w owym okresie wody odstąpiły na czas i pozwoliły Wang Lungowi zabrać się do pracy na polach, przepojonych wilgocią i parujących w słońcu — nie byłby już Wang wrócił do herbaciarni. Gdyby zdarzyło się coś złego w domu — na przykład choroba dziecka, albo gdyby ojciec nagle doszedł do kresu swych dni, toby i w takim razie Wang Lung zapomniiał o wszystkim, a przede wszystkim, o trójkątnej twarzyczce i smukłej jak bambus postaci z obrazka.

Ale stało się inaczej. Wody stały nieruchome i spokojne na polach, o zachodzie zrywał się lekki wiatr, chłopcy chodzili codziennie do szkoły, a stary ojciec drzemał na słońcu. Wang Lung przebywał w domu pełen niepokoju, nie mając odwagi spojrzeć w oczy O-lan, która obrzucała go od czasu do czasu zatroskanem spojrzeniem. Siadał na krześle przy stole, na którym stała filiżanka z herbata, lecz jej nie pił i wstawał do stołu, nawet nie wypaliwszy ulubionej fajki. Pewnego dnia, który dłużył mu się w nie-

skończoność — działo się to siódmego miesiąca w roku, kiedy zmierzch ociąga się z odejściem, z nad wody tchnącej spokojem — stanął Wang we drzwiach domu i nagle, nie rzekłszy słowa zawrócił do izby, ubrał się w nowy kaftan z czarnej, lśniącej materji, który mu uszyła O-lan na święta i wyszedł z domu. Szedł wąską ścieżyną, wzdłuż zalanych wodą pól, aż wreszcie doszedł do bram miasta, a przebywszy ciemny tunel, skierował się w stronę nowej herbaciarni.

Była pełna blasku. W salach płonęły jasne naftowe lampy, które kupuje się w zagranicznych portowych miastach. W ich świetle siedzieli mężczyźni przy stolikach, zastawionych jadłem. Wszędzie szeleściły wachlarze, a wesołe śmiechy płynęły na ulicę niby dźwięki muzyki. W tym zamkniętym domu przebywała radość życia — ludzie spotykali się tutaj nie poto, by się mozolić, ale żeby się bawić.

Przez chwilę wahał się, oślepiiony blaskiem buchającym z otwartych drzwi i byłby może odszedł, bo chociaż krew się w nim burzyła, to górę brała nieśmiałość, lecz z mroków sieni wyłoniła się kobieta. Była to Ku-ku. Dostrzegłszy mężczyznę stojącego na progu, zbliżyła się doń, obowiązkiem jej przecież był witać nowych gości.

— Eh — to tylko gospodarz Wang — rzekła ze wzruszeniem ramion.

Wang poczuł się dotknięty, że złość dodała mu odwagi, rzekł więc zuchwale:

— Cóż to? nie mogę chodzić do herbaciarni, tak jak inni ludzie!

Znowu wzruszyła ramionami i zaśmiała się cicho.

— Jeżeli masz tyle srebra, co inni, to możesz robić, co ci się żywnie podoba.

Chciał ją przekonać, że jest panem całą gębą —

zanurzył więc rękę w kabzę, umieszczoną za pasem i wydobywszy garść srebra, zapytał:

— Wystarczy? czy może za mało?

Spojrzała na dłoń pełną monet i rzekła pośpiesznie.

— Chodź i wskaż mi, którą chcesz mieć.

Wang Lung sam nie wiedział jak to się stało, że tak poprostu odpowiedział: — Właściwie ja niczego nie chcę. — Lecz po chwili folgując przemożnej chęci, dodał. — Chciałbym tę małą, ze spiczastą bródką, z maleńką twarzyczką. Tę, która ma twarz, jak biały i różowy kwiatek, a w rączce trzyma pączek lotosu.

Ku-ku kiwnęła głową i poprowadziła Wanga wgląb zatłoczonej sali, torując mu drogę wśród stolików. W pierwszej chwili zdawało mu się, że każdy patrzy nań i śledzi go, ale po chwili przekonał się, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Tylko jeden z gości na jego widok mruknął pod nosem: — Temu widać się śpieszy! — Przecież to jeszcze nie pora na kobiety...

Nie słyszał tego jednak, gdyż właśnie wchodził po skrzypiących stopniach, na piętro. Wang Lung szedł ostrożnie, bowiem po raz pierwszy w życiu wstępował, na schody wewnątrz domu. Na górze jednak było tak, jak w zwykłej lepiance, tyle, że gdy spojrzał przez okno wydało mu się, że się znajduje w powietrzu, wysoko nad ziemią. Ku-ku skierowała się w mroczny korytarz i zawołała:

— Pierwszy gość!... Pierwszy gość!...

W tej chwili roztworzyło się kilkoro drzwi i ukazały się w nich w smudze światła twarzyczki dziewczęce, podobne do kwiatów.

Ale Ku-ku krzyknęła ze złośliwą satysfakcją.

— Nie, nie...nie o ciebie chodzi, ani o ciebie — nikt was nie chce. Gość przyszedł do różowolicej karliczki z Soszow, do małej Lotos.

Perlista gama śmiechów i szeptów popłynęła

przez mroczny przedsionek, a jedna z dziewcząt z buzią rumianą, jak owoc granatu, zawołał wniebogłośnie:

— A niech sobie Lotos bierze tego chłopca — śmierdzi ziemią i czosnkiem!...

Przycinek dziewczyny ukłuł Wanga niby ostrze sztyletu; zawsze przecież nękała go myśl, że wygląda jak wieśniak. Zaraz jednak przypomniał sobie, że ma kabzę nabitą srebrem, więc szedł spokojny i pewny siebie. Wreszcie kobieta pchnęła dłonią jakieś drzwi i weszła do izby.

* * *

Gdyby ktoś był powiedział Wang Lungowi, że istnieją na świecie takie maleńkie rączki — nigdyby nie uwierzył. Nie uwierzyłby, że można mieć takie cienkie paluszki, zakończone śpiczastymi paznokciami, barwy różowych pączków lotosu. Gdyby mu ktoś powiedział, że kobiety miewają takie drobne stopy, obute w różowe atlasowe pantofelki, nie większe od środkowego palca męskiej ręki — nie uwierzyłby... Tymczasem owe maciupęńkie nóżki znajdowały się tuż obok niego i kołysały się nad podłogą, jak nóżki dziecka.

Wang siedział sztywno na łóżku obok dziewczyny i wpatrywał się w nią wzrokiem pełnym zdumienia. Była zupełnie podobna do obrazka, zwłaszcza te jej rączki przypominały rączki z obrazka. Były białe jak mleko i miały wygięte cienkie paluszki. Splotła je na podołku, na różowej, jedwabnej sukni, a Wangowi na myśl nie przyszło, że mógłby ich dotknąć.

Patrzył na nią, jak w obrazek.

W ciasno opiętym kaftanie przypominała smukły bambus. Drobną trójkątną twarzyczką wychylała się z wysokiego kołnierzyka, obramowanego bia-

łem futrem. Oczy miała okrągłe, jak morele. Teraz dopiero zrozumiał Wang Lung znaczenie słów ulicznych bazarzy, którzy opowiadają o dawnych pięknościach, co miały oczy w kształcie moreli. Patrzył na nią i myślał, że jednak nie jest stworzeniem z krwi i kości, tylko cudną malowanką.

Ona zaś podniosła drobną, wygiętą rączkę i położyła mu ją na ramieniu, a potem przesunęła ją bardzo wolno wzdłuż ręki. Chociaż dotykała go tak lekko i delikatnie, że gdyby jej nie widział, nie zauważyłby może co się święci, to jednak zdawało mu się, że wśląd za maleńką dłonią płynie mu wzdłuż ramienia ognista smuga i parzy go poprzez materiał kaftana i wślizguje się w głąb ciała. Śledził wzrokiem posuwanie się rączki, która wreszcie dotarła do mankieta, poczem po sekundzie wahania spadła mu na przegub ręki i wsunęła się w rozwartą, stwardniałą dłoń. Wang zadrżał. Nie wiedział co ma czynić.

Usłyszał wtedy chichot, podobny do dzwonienia srebrnego dzwoneczka, na dachu pagody. Srebrny głosik zadźwięczał cichutko:

— O jakiś ty niemądry, ty duży, stary chłopcze. Czy będziemy siedzieć tutaj całą noc i będziesz się tak we mnie ciągle gapić?

Nie rzekł słowa, ale ujął ostrożnie jej rączkę w swoje wielkie, brunatne dłonie. Wydało mu się, że trzyma kruchy, gorący liść. Sam nie wiedział kiedy przemówił do niej błagalnym tonem:

— Ja nic nie wiem — niczego nie umiem — naucz mnie, naucz...

Więc go nauczyła...

Od tej pory Wang Lung był chory, śmiertelnie chory. Dotychczas cierpiał od spiekoty pracując w polu, siekły go lodowate wi chry wiejące z pustyni, cierpiał głód, gdy pola nie chciały wydawać plonów, cierpiał pracując bez nadziei zysku, na ulicach południowego miasta. Nigdy jednak nic nie sprawiło

mu tak dojmującego cierpienia, jak dotknięcie lekkiej, dziewczęcej dłoni.

Codziennie wracał do herbaciarni — co wieczór czekał cierpliwie, aż go wezwwała do siebie. Co noc wracał do niej, i co noc był wciąż tym samym nieuczonym chłopem, który drży wchodząc do jej izdebki, siada sztywno na łóżko i czeka aż mu da znak dzwoneczkowatym śmiechem. A potem opanowany gorączką i żądzą patrzył jak niewolnik, jak zwolna wylania się z obsłonek, aby wreszcie, na podobieństwo rozwiniętego pączka, który czeka na rękę, co go uszczknie — pozwolić się chwycić w objęcia.

Nigdy nie mógł jej osiąść całkowicie i to właśnie utrzymywało go w stanie nieustannego pożądania i gorączki. Gdy O-lan weszła do jego domu, razem z nią weszło zdrowie. Pożądał jej jak zwierzę pożąda samicy, a kiedy ją brał, to pozbywał się gorączki i wracał uspokojony do pracy. Teraz jednak miłość nie dawała mu zadowolenia, ani zdrowia.

Czasami, późną nocą, gdy Lotos miała go dość, wypychała go za drzwi gwałtownie drobnymi rączkami, które nabierały wówczas dziwnej mocy. Wsuwał jej garść srebra za kaftan i wychodził z izdebki równie nienasycony, jak przedtem. Było to tak, jakby człowiek umierający z pragnienia pił wodę morską, która chociaż jest wodą, jednak wysusza krew i zwiększa pragnienie tak, że wreszcie człowiek umiera ogarnięty szaleństwem, opity słoną wodą. Wracał Wang do dziewczyny i brał ją, ilekroć chciał, ale za każdym razem odchodził nienasycony i spragniony.

Przez całe lato Wang Lung kochał małą dziewczynę z herbaciarni.

Nie wiedział o niej nic, nie wiedział skąd pochodzi, ani czym się przedtem trudniła. Gdy się zeszli nie mówił do niej wcale, słuchał jednym uchem jej szczebiotu, przeplatane go dziecięcym chichotem i tylko patrzył na jej twarzyczkę, jej rączki, ruchy

jej ciała i starał się zrozumieć mowę słodkich, dużych oczów. Nigdy nie miał jej dość i za każdym razem wracał do domu o świcie, oszołomiony, upity a nienasycony.

Dnie dłużyły się w nieskończoność. Nigdy już nie sypiał na swoim łóżku, wymawiając się gorącem, panującym w izbie. Rozkładał na ziemi pod bambusami trzcinową matę i leżał z otwartymi oczami, wpatrując się w podługowate cienie liści bambusu, z pierśią przepełnioną rozkosznym bólem.

Ileć raz przemówił ktoś do niego, żona albo dzieci, lub też Czing („wody niezadługo odejdą, jakie się wy trzeba przygotować?“), krzyczał gniewnie:

— Nie zawracajcie mi głowy!

I ciągle zdawało mu się, że serce mu pęknie z niedosytu i tęsknoty do dziewczyny.

Schodził dzień za dniem, ale Wang myślał tylko o wieczorze i nocy, nie raczył patrzeć na poważne twarze O-lan i dzieci, które teraz przestawały hałasować na jego widok, nie patrzył nawet na starego ojca, który spoglądał nań z ukosa i zapytywał:

— Co ci jest, synu? Chory jesteś, czy co, żeś taki zły? Aż ci skóra pożółkła, jak glina...

A w nocy dziewczyna, zwana kwiatem Lotosu, robiła z Wangiem, co chciała. Gdy się raz zaczęła wyśmiewać z jego warkocza, mówiąc: — „Ludzie z południa nie noszą takich małych ogonów“. — wyszedł bez słowa i kazał sobie obciąć włosy, chociaż przedtem nikt go do tego nie potrafił nakłonić.

Gdy O-lan ujrzała co uczynił, ogarnęło ją przeżenie:

— Odciałeś życie! — krzyczała.

Ale Wang odburknął hardo:

— Czy mam zawsze wyglądać jak staromodny głupiec? Wszyscy młodzi ludzie w mieście noszą krótkie włosy.

W głębi duszy przeląkł się. Oto gotów był na

rozkaz Lotos odebrać sobie naprawdę życie, gdyż uosobiała w jego mniemaniu piękność i wdzięk niewieści.

Dawniej rzadko mył swoje brunatne ciało, uważał bowiem, że czysty pot dostatecznie je zmywa, ale teraz zaczął się baczniej sobie przyglądać i mył się codziennie, co wreszcie spowodowało uwagę żony:

— Umrzesz od tego ciągłego mycia...

Kupił w sklepie kawałek wonnego, czerwonego mydła z zagranicy i wcierał je w ciało. Za żadną cenę nie zjadłby teraz czosnku, chociaż dotychczas lubił go bardzo — bał się bowiem, żeby mu z ust nie biła przykra woń i nie odstręczała dziewczyny, zwanej Lotosem.

Nikt z domowników nie mógł zrozumieć, co to wszystko ma znaczyć.

Kupił też nowych materiałów, a chociaż O-lan zwykle mu sama krajała obszerne i długie szaty, szyjąc je mocnym, podwójnym ścięciem, żeby dłużej trwały, złościł się teraz patrząc na to jej krajanie i szycie. Pewnego dnia zabrał materiały do miejskiego krawca i zamówił u niego taki strój, jaki noszą mieszczanie. Krawiec uszył Wangowi suknię z lekkiego, popielatego jedwabiu, ciasno opinającą ciało, bez obrębków, a na to czarny, atlasowy kaftan, bez rękawów. Kupił też po raz pierwszy w życiu obuwie z czarnego aksamitu, takie samo, jakie nosił stary książę Hwang.

O-lan patrzyła nań ze zdumieniem i napróżno usiłowała zrozumieć, co się to dzieje, lecz raz przyglądała mu się przez czas dłuższy, podczas południowego posiku i wyjąkała z trudem:

— Coś takiego jest w tobie, co mi przypomina panów z pałacu Hwangów.

Wang Lung wybuchnął głośnym śmiechem i odparł:

— Czyż mam całe życie wyglądać, jak parobek? — mamy przecież dość pieniędzy.

Uwaga żony sprawiła mu przyjemność, był więc tego dnia uprzejmiejszy dla niej.

Srebro płynęło nieprzerwanym strumieniem z rąk Wang Lunga. Musiał nie tylko płacić za godziny spędzane z dziewczyną, ale trzeba było spełniać każdą jej zachciankę. Czasami wzdychała, jakby jej serce pękało z tęsknoty:

— O ja biedna! biedna!....

Gdy Wang Lung zapytywał jej szeptem:—Co ci jest moje małe serduszko? (nauczył się bowiem przemawiać do niej czulej), odpowiadała mu: — Smutna jestem bardzo, bo moja przyjaciółka Czarny Malachit, ta co mieszka naprzeciwko, w korytarzu, dostała od kochanka złotą szpilkę do włosów, a ja mam tylko tą starą srebrną, która mi się znudziła.

Musiał wtedy, żeby nie wiem co, szepnąć jej do ślicznego uszka, odgarnąwszy czarne, gładkie włosy, żeby móc dowoli rozkoszować się widokiem maleńkiej, podłużnej muszelki:

— Kupię, kupię złotą szpilkę, dla mojego klejnocika...

Bo Lotos nauczyła go słodkich miłosnych słówek. Powtarzał je wkońco i nigdy mu nie było dość, jemu, który umiał dawniej mówić tylko o siewach, o plonach, o słońcu i o deszczu.

Wydobył więc srebro ze schowka w murze i z worka ukrytego pod klepiskiem. Dawniej O-lan zapytałaby go: — „Dlaczego wyjmujesz tyle pieniędzy?“ — Teraz nie odzywała się wcale, tylko przyglądała mu się z wielkim smutkiem, bo się domyślała, że mąż prowadzi podwójne życie, zdała od niej, gdzieś poza granicą ich posiadłości. Od dnia, w którym wyznał, że go razi jej brzydota, gdy zauważył jej duże stopy — bała się pytać go o cośkolwiek,

żeby nie wybuchnął gniewem tak, jak mu to się coraz częściej zdarzało.

Pewnego razu wrócił Wang Lung do domu, okrążając zalane pola i podszedł do O-lan, zajętej praniem odzieży w sadzawce. Stał przez chwilę w milczeniu, wreszcie przemówił do niej szorstko, bo chciał w ten sposób ukryć zmieszanie:

— Gdzie masz perły?

Podniosła głowę zponad odzieży, którą rozłożyła na płaskim kamieniu i odpowiedziała nieśmiałym głosem:

— POCO takie perły?

Nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy, więc udawał, że się przygląda jej mokrym, pomarszczonym rękom i rzekł:

— POCO trzymać nadarmo takie perły?

— Myślałam, że kiedyś zrobię z nich kolczyki,
— odparła, a obawiając się, że mąż ją wyśmiej, dodała prędko: — Dałabym je młodszej córce w dzień wesela.

Wang stłumił ogarniające go wzruszenie i odparł głośno:

— POCO jej perły? Skórę ma czarną, jak ziemia
— perły są dla białych kobiet.

A po chwili milczenia krzyknął nagle: — Oddaj mi je! Potrzeba mi tych pereł.

Nie wytarłszy wilgotnej ręki, wsunęła ją za pazuchę i wyciągnęła małe zawiniątko. Patrzała jak Wang je odwija, jak wyjmuje perły i kładzie je sobie na dłoni, i patrzy na nie z uśmiechem.

O-lan zaczęła znowu tłuc mokrą odzież. Z oczów jej płynęły łzy. Nie ocierała ich ręką, tylko z tem większą zaciętością waliła drewnianą pałką szmaty, rozłożone na płaskim kamieniu.

Pewnego dnia zjawił się stryj. Nie tłumaczył się nikomu, gdzie przebywał i czem się trudnił. Rzekł być — zleciał z nieba — gdyż ujrzano go stojącego na progu chaty, w zniszczonem, rozpiętem ubraniu, przewiazanem luźnym pasem. Twarz jego była pomarszczona, spalona słońcem i wichrami. Zjawił się w porze ранnego posiłku. Wszyscy siedzieli przy stole w środkowej izbie. Stryj wyszczerzył zęby do Wanga, a Wang rozwarł usta z zadziwienia, bo myślał, że stryj nie żyje. Było to tak, jakby nagle nieboszczyk zjawił się wśród krewnych. Stary ojciec zamrugnął oczkami, lecz nie poznał gościa, więc stryj zawołał donośnie:

— No, jak się miewacie starszy bracie, synu mojego brata, synowie i synowo?

Wang Lung powstał z miejsca i maskując niezadowolenie uprzejmym uśmiechem zapytał:

— Czy stryj jadł śniadanie?

— Nie — odrzekł stryj — będę jeść z wami.

Usiadł nieproszony na ławie, przyciągnął ku sobie miskę i pałeczki i nabrał sporo ryżu, suszonej, solonej ryby, solonej marchwi i suszonej fasoli. Jadł łapczywie, jakby był bardzo głodny, a wszyscy przyglądali mu się w milczeniu. Mlaskając głośno wypróżnił trzy miski ryżu z wodą, zjadł rybę z ościami, które miażdżył w zębach, a gdy się najadł, rzekł po prostu:

— A teraz pójdę spać, bo przez trzy noce, nie zmrużyłem oka.

Ogłuszony Wang nie wiedział co począć z kłopotliwym gościem, ale go wreszcie zaprowadził do ojcowskiego łóżka. Stryj podniósł miękką kołdrę, dotknął ręką nowiutkiej bawełnianej pościeli, szybkim spojrzeniem obrzucił drewniane łóżko i duży dREW-

niany fotel, który Wang nabył dla ojca, poczym zauważył:

— Słyszałem, że jesteś bogaty, ale nie sądziłem że jesteś aż tak zamożny.

Mówiąc to, rzucił się na łóżko, naciągnął na ramiona miękką kołdrę i odrazu zasnął snem kamien-
nym.

Wang Lung wrócił do środkowej izby. Był zatroskany, bo wiedział dobrze, że się już nie da usunąć stryja z domu. Przypomniawszy sobie z niepokojem stryjenkę, która napewno również przybędzie a nikt nie potrafi temu zapobiec.

Przewidywania jego spełniły się. Stryj obudził się dopiero popołudniu. Przeciągnął się leniwie, ziewnął trzy razy, a zlazłszy z łóżka wyszedł z izby, otulając się w opadające łachmany.

— Pójdę teraz po żonę i syna — odezwał się do Wanga. — W takim dużym domu nie zauważycie nawet, że wam przybyły trzy gęby do wyżywienia i troje ludzi do odziania.

Wang Lung odpowiedział mu ponurem spojrzeniem, nie rzekł jednak ani słowa, bo to wstyd, gdy człowiek zamożny odmawia gościny bratu swego ojca i jego synowi. Gadanoby o tem we wsi, a tam przecież wszyscy szanują Wang Lunga, jako człowieka zamożnego. Nie śmiał więc sprzeciwiać się stryjowi. Rozkazał parobkom przenieść się do starego domu i opróżnić izby w nowym. Tegoż dnia o zmierzchu wprowadził się tam stryj, razem z żoną i synem. Wang Lung widząc to, rozsierdził się bardzo, ale stłumił gniew i powitał krewniaków z uśmiechem. Gdy spojrzał na tłustą, gładką twarz stryjenki, ledwo się pohamował, a na widok zuchwałego bratanka miał ochotę wyrzucić go w łeb... Przez trzy dni nie pokazywał się w mieście.

Dopiero, gdy wszyscy przywykli do obecności nowych osób, O-lan przemówiła do Wanga:

— Przestań się gniewać, trzeba to znieść spokojnie.

— Gdy czyjś dom zapełni się dzikimi psami, trzeba szukać gdzieindziej spokoju — szepnął do siebie.

I znowu zaczęła go palić gorączka i tęsknota.

To, czego O-lan w prostocie duszy nie mogła pojąć, czego nie dostrzegał stary ojciec, z racji swej starczej ślepoty, ani Czing, bo był zaślepionym przyjaciелеm, to nie uszło uwagi żony stryja.

— Wang Lung idzie zrywać kwiatki gdzieindziej, — zagdakała, a w oczach jej zatańczyły figlarne błyski. O-lan spojrzała na nią, nie pojmując, co ma na myśli, więc stryjenka parsknęła śmiechem.

— Chcesz zobaczyć pestki w melonie, musisz go rozkroić — no nie? Powiadam ci, że twój mąż kocha się jak warjat w innej kobiecie.

Wang Lung znajdował się właśnie na podwórku, pod oknem swej izby, ale usłyszał słowa stryjenki. Leżał na ziemi zmożony miłosnemi przeżyciami nocy. Obudził się jednak i przysłuchiwał się uważnie, niezadowolony z przenikliwości stryjenki. Gruby jej głos płynął z tłustej gardzieli, chlupocząc jak oliwa.

— Niejednego ja znalazłam mężczyznę, i powiadam ci, że jak tylko który z nich zacznie dbać o siebie, czesać włosy, kupować nowe szaty i ni stąd ni zowąd kupi na przykład aksamitne pantofle, to wiadomo, że myśli o nowej kobiecie.

O-lan powiedziała coś, czego Wang nie dosłyszał, ale zaraz zadźwięczał donośny głos stryjenki:

— Nie myśl głupia, żeby mężczyźnie mogła wystarczyć jedna kobieta, przez całe życie. A już taka, co haruje w polu i prędko się zestarzeje, nie może nawet marzyć, żeby mu wystarczyła. Myśli męża uciekają od niej. A ty moja biedaczko byłaś mu jeno wołem roboczym. Nawet nie mogłabyś się skarżyć, gdyby twój mąż kupił inną kobietę i przyprowadził

ją tutaj. Wszyscy oni jednacy, a i mój stary zrobiłby to, gdyby miał więcej grosza w kabzie, coś kiedy on ledwie może wyżywić mnie i siebie.

Wang Lung nie słuchał już słów stryjenki, bo myśli jego krążyły wokoło ostatniego zdania. Nagle pojął jasno, w jaki sposób mógłby zaspokoić ten wieczny głód i tęsknotę do ukochanej dziewczyny. Kupi ją i wprowadzi do domu i żaden mężczyzna nie będzie mógł jej odwiedzać.

Zerwał się z ziemi i wszedłszy do domu skinął ukradkiem na stryjenkę, a gdy podążyła wśląd za nim, za bramę obejścia i zatrzymała się pod drzewem, gdzie nikt ich nie mógł usłyszeć, przemówił do niej w te słowa:

— Słyszałem, coś mówiła mojej kobiecie. Sprawiedliwie mówisz. Jedna kobieta mi nie wystarcza. A czemużbym nie miał pojąć drugiej żony, skoro starczy pożywienia dla nas wszystkich?

Stryjenka odpowiedziała ochotnie:

— A pewnie, pewnie. Czemużbyś miał sobie tego odmówić. Każdy mężczyzna, co się wzbogaci, bierze drugą kobietę. Tylko ubogi człek musi pijać z jednej i tej samej filiżanki.

Tak mówiła, wiedząc zgóry, co jej na to odpowie Wang. I rzeczywiście odpowiedział jej tak, jak się tego spodziewała:

— Ale któż mi będzie w tem pośredniczyć, kto zechce być swatem? — pytał Wang. — Mężczyzna nie może przecież iść do kobiety i powiedzieć jej: — Chodź do mego domu.

Stryjenka i na to miała gotową odpowiedź:

— Powiedz tylko o jaką to kobietę chodzi, a ja się tem wszystkim zajmę.

Wang Lung odpowiedział nieśmiało i ociągając się, bo nigdy dotychczas nie mówił nikomu jej imienia.

— Nazywa się Lotos.

Zdawało mu się, że każdy wie kto jest Lotos, niepomny, że zaledwie dwa miesiące temu nie wiedział o jej istnieniu.

— A gdzież ona mieszka?

Pytanie wujenki zniecierpliwiło go:

— Gdzieżby, jeśli nie w wielkiej herbaciarni — odparł cierpko — w herbaciarni, na głównej ulicy miasteczka.

— Aha — tej co się zwie domem Kwiatów?

— No tak, — odparł Wang Lung — niema innej.

Stryjenka zamilkła i zaczęła skubać palcami dolną wargę, wreszcie rzekła:

— Nikogo tam nie znam. Będę musiała sprawdzić, jak się do niej dostać. Któż się nią zajmuje?

Gdy jej powiedział, że zarządzająca herbaciarni jest Ku-ku, niewolnica z domu Hwangów, stryjenka parsknęła śmiechem:

— Jakto? Ku-ku? To takie sobie znalazła zajęcie ta dziewczka, w której łóżku umarł stary dziadzio. Ano pewnie, że lepszego dla siebie nie znajdzie zajęcia.

I znowu zarechotała i powtórzyła:

— Więc to ona. Ależ to pójdzie jak splotka. To ona. Patrzcie-no! Zawsze była chytra. Za garść złota gotowa byłaby zbudować górę. Niechby tylko poczuła srebro w dłoni.

Wang Lung wykrztusił przez ściśnięte gardło:

— Zapłacę srebrem i złotem, srebrem i złotem...

Chociaż go żarła gorączka miłosna nie poszedł już do herbaciarni. Czekał aż stryjenka załatwi powierzone jej zadanie, ale co chwila powtarzał sobie: — Jeżeli nie zamieszka w moim domu i nie stanie się moją wyłączną własnością, to sobie gardło poderżnę.

Na myśl, że mogłaby odmówić jego prośbie serce mu przestawało bić w piersiach. Ogarnięty lękiem pobiegł do żony stryja.

— Czy mówiłaś Ku-ku, że mam srebra i złota tyle, ile zechce? Powiedz jej, że nie będzie się niczem zajmować, że będzie nosić jedwabne stroje, a jeśli zechce to będzie codzień jeść skrzele rekinów.

Zniecierpliwiona stryjenka toczyła okrągłe oczy:

— Dosyć, dosyć... Nie jestem idjotką i nie pierwszy raz swatam mężczyznę z dziewczyną. Zostaw mnie w spokoju, a zrobię wszystko jak należy. Mówiłam ci to już tyle razy...

Nie pozostawało Wang Lungowi nic innego, jak czekać cierpliwie, wyłamując sobie palce i sposobić dom na przybycie dziewczyny, zwanej Lotosem. Przynaglał więc O-lan, kazał jej zamiatać i prać, przestawiał krzesła i stoły. Nieszczęsną kobietę ogarniał lęk obłędny, wiedziała bowiem dobrze, co ją czeka. Wang Lung nie chciał sypiać z żoną i postanowił dobudować izbę, gdzie będzie mógł swobodnie obcować z umiłowaną kobietą. Zawezwał parobków, rozkazał im wybudować domek z podwórkiem, z trzema izbami, jedną większą i dwoma mniejszymi. Parobcy spoglądali na Wang Lunga, ale się nie odzywali, zaś Wang Lung nie wyjaśniał im o co chodzi, a nie chcąc wtajemniczać Czinga, sam roztoczył nadzór nad robotą. Kopano więc ziemię w polu i przynoszono ją na miejsce budowy, a Wang Lung kupił w mieście zapas porządnych dachówek.

Skoro domek był gotów, a w każdej izbie ubito klepisko jak się patrzy, Wang sprowadził cegły i kazał ludziom zrobić z nich gładką posadzkę we wszystkich trzech izbach. Kupił czerwone zasłony, nowy stół, rzeźbione fotele i dwa jedwabne obrazki z malowanymi wzgórzami i wodą, oraz okrągłą szkatułkę z czerwonej laki. Napemnił ją ciastkami i nadziewanymi cukierkami i postawił na stole. W sypialni ustawił wielkie, rzeźbione łóżce, które zajmowało dużą przestrzeń i zawiesił naokoło niego kwieciste zasłony. Nie pomagała mu w tem O-lan, gdyż wstydził

się wzywać jej do pomocy. Dopiero pod wieczór przyszła stryjenka i wyręczyła Wanga.

Domek był gotów i czekał na przybycie nowej pani, ale nowa pani kazała na siebie długo czekać. Minał jeszcze jeden miesiąc, Wang Lung postanowił ozdobić podwórko. Kazał parobkom wykopać małą sadzawkę, obramował ją dachówkami, a do środka wpuścił pięć złotych rybek, kupionych w mieście. Teraz nie miał już nic do roboty. Musiał czekać cierpliwie, chociaż trawiła go gorączka.

W owym okresie nie odzywał się do nikogo. Czasami tylko hkarcił które z dzieci, albo wrzasnął na O-lan, gdy mu się zdawało, że nie czesała włosów od kilku dni. O-lan pewnego razu zanosła się głośnym płaczem. O-lan nie płakała nigdy, nawet wtedy, gdy umierała z głodu. Zdumiony Wang Lung przemówił do niej szorstko:

— Co się z tobą dzieje, kobieto? — Cóż to — nie mam już prawa powiedzieć, żebyś porządnie wyczesala swój koński ogon?

Ale ona powtarzała krótko, jęklwym głosem:

— Urodziłam ci synów, urodziłam ci synów...

Wang zamilkł. Zrobiło mu się głupio, wyszedł więc mruczając coś pod nosem. Nie miał przecież prawa skarżyć się na żonę, gdyż urodziła mu trzech zdrowych synów. Jedyne wy tłumaczeniem jego dziwnego postępowania było to, że płonał żądzą, ku innej kobiecie.

Wreszcie pewnego dnia zjawiała się w izbie Wang Lunga stryjenka i rzekła:

— Załatwione. Kobieta, która zarządza herbarnią odstąpi ci dziewczynę za sto sztuk srebra, wyplaconych gotówką. A dziewczyna chce, żebyś jej dodał kolczyki z malachitu, malachitowy pierścień, złotą obrączkę, dwie jedwabne suknie, dwie atłasowe suknie, tuzin pantofelków i dwie jedwabne kołdry na łóżko.

Ale Wang Lung usłyszał tylko jedno słowo:

— Załatwione.

— Niech będzie! niech będzie! — wykrzyknął w uniesieniu. Przybiegł do schówki, wydobył srebro i wysypał je na ręce stryjenki. Rozglądał się przytem podejrzliwie, nie chciał bowiem zdradzić się przed domownikami, że się wyzbywa dochodów, zdobytych w ciągu wielu lat.

— Weź sobie dziesięć sztuk srebra — rzekł wkońcu do stryjenki.

Stryjenka zaczęła się wymawiać, kręcąc i kołyszając tłustem cielskiem:

— Nie wezmę, ani myślę wziąć... Jesteśmy krewniacy, uważam ciebie za mego syna, jestem jakby twoją matką. Zrobiłam to dla ciebie, a nie dla zysku.

Nie usuwała jednak ręki, więc Wang Lung wcisnął jej w dłoń dziesięć sztuk srebra, przeliczywszy je dokładnie.

Kupił następnie wieprzowiny, wołowiny, ryb, kasztanów, pędów bambusów, zapas suszonych gniazd jaskółczych, sprowadzonych z południa, z których robi się esencjonalną zupę, kupił suszonych skrzeli rekina i przeróżnych smakołyków, które znał ze słyszenia. I czekał — jeżeli można nazwać czekaniem nastrój gorączkowego niepokoju, jaki go nie opuszczał.

Pod koniec lata, pewnego jasnego dnia, pełnego lśnienia i błysków słonecznych, Lotos przybyła do domu Wanga. Dostrzegł ją zdaleka. Dwaj tragarze dźwigali lektykę z bambusowych prętów. Lektyka oparta na potężnych barach kołysała się zlekka w prawo i lewo, a wślad za nią postępowała Ku-ku. Nagle Wang przestraszył się i szepnął: — Kogo to ja wprowadzam do domu...

Instynktownie zawrócił wgląd domu, do izby, w której przespał wiele nocy przy boku żony, zatrzasnął drzwi i stał w ciemnościach cały drżący i nie-

spokojny. Jak przez sen słyszał głos stryjenki. Wzywała go, bo „ktoś czeka u furtki“.

Wyszedł więc wolnym krokiem z domu, z głową spuszczoną, z wzrokiem wlepionym w ziemię. Był tak onieśmielony, jakby po raz pierwszy w życiu miał ujrzeć kobietę. Nagle zadźwięczał wesóły głos Ku-ku:

— A nie mówiłam, że będziemy razem robić interesy?

Mówiąc to zbliżyła się do lektyki, którą tragarze postawili na ziemi i, odsunawszy zasłonę, klasnęła językiem:

— Chodź mój kwiatku, oto twój dom, a to twój pan...

Wang Lung dostrzegł z przerażeniem szyderczy uśmiech, na obliczach tragarzy i pomyślał:

— Co mi tam. To przecież gbury miejskie. Nikt się z nimi nie liczy. — Lecz mimo to twarz jego oblała się łuną rumieńca, a głos uwiązł w gardle.

Spojrzał jednak na lektykę i ujrzał siedzącą w mroku, zimną i bladą jak lilja dziewczynę, zwaną Lotosem. Zapomniał w tej chwili o wszystkim, zapomniał nawet o szyderczo śmiejących się tragarzach — uświadomił sobie, że kupił na własność kobietę, i że pozostanie ona w jego domu na zawsze. Stał jakby wrośnięty w ziemię, drżący i sztywny; patrzył bez słów, jak się podniosła z krzesła, ujęła rękę Ku-ku i wysiadła z lektyki, chyląc wdzięcznie główkę. Gdy stanęła na ziemi, skierowała się ku domowi, kołysząc się i chwiejąc na maleńkich nóżkach, wsparta na ramieniu Ku-ku. Mijając Wang Lunga nie odezwała się wcale, ale po chwili szepnęła omdlewającym głosikiem, do ucha Ku-ku:

— Gdzie mój apartament?

Z domu wybiegła stryjenka i ujęła dziewczynę za drugie ramię i tak we dwie wprowadziły ją na podwórko nowego domku. Nikt z domowników Wang

Lunga nie był świadkiem wjazdu dziewczyny, zwanej Lotosem, bowiem Wang wysłał parobków w pole, a O-lan zabrała dwoje najmłodszych dzieci (chłopcy spędzali dzień cały w szkole) i wyszła z nimi o świcie, w niewiadomym kierunku. Stary ojciec drzemał spokojnie, wsparty plecami o mur domu, a niemowa rozpoznawała tylko twarze ojca i matki. Jednak, gdy Lotos weszła do swego mieszkania, Ku-Ku zaciągnęła starannie zasłony na drzwiach.

Po jakimś czasie wyszła stamtąd stryjenka i spojrzała na Wanga, uśmiechając się złośliwie. Zaczęła strząsać niewidziany pył z dłoni.

— Wymalowana i wyperfumowana, jak dziewczka — zauważyła, ze śmiechem. I dodała jeszcze, z ironją:

— Nie jest znowu taka młoda, na jaką wygląda, kochany Wangu. Powiedziałabym nawet, że gdyby nie była bliska starości, i nie obawiała się, że mężczyźni przestaną na nią patrzeć, toby się nie dała skusić malachitowymi kolczykami, złotymi pierścionkami, ba — nawet szaty z jedwabiu i atlasu nie przyciągnęłyby jej do chaty prostego wieśniaka. Nawet tak zamożnego jak ty wieśniaka...

Dostrzegłszy gniewny wyraz w oczach Wang Lunga, dodała szybko:

— Ale urodziwa jest — nie ma co gadać. Urodziwszej nie widziałam. Tyle lat spałeś z tą grubo kościstą niewolnicą Hwangów, teraz zato używać będziesz prawdziwych słodczy.

Wang Lung wysłuchiwał w milczeniu słów stryjenki. Chodził niespokojny tam i napowrót i nasłuchiwał głosów, wydobywających się z głębi mieszkania nałożnicy. Wkońcu zdobył się na odwagę i uniół nieco czerwonej zasłony. Wszedł na podwórzec, a stamtąd do mrocznej izby i pozostał z Lotos do późnej nocy.

O-lan nie wróciła do domu.

O świcie zdjęła motykę ze ściany, zawołała dzieci i wyszła z niemi. Wzięła też zawiniętko z zimnem mięsem i chlebem. Wróciła dopiero późnym wieczorem, milcząca i zawałana ziemią. Dzieci szły za nią również milczące i zgnębione. O-lan nie przemówiła do nikogo, jeno skierowała się do kuchni, przygotowała jak zwykle wieczorny posiłek, nakryła stół w izbie i zawołała starego ojca. Poczem wetknęła mu palczki w drżące ręce, nakarmiła małą niemowę i sama posiliła się razem ze starszemi dziećmi. A kiedy ułożyła dzieci do snu, Wang Lung zasiadł przy stole i pogrążył się w zadumie, ona zaś poszła do kuchni, umyła się i wróciła do sypialni. Owej nocy spała sama.

Wang Lung upijał się teraz winem miłości, dniem i nocą. Codziennie wchodził do pokoju, w którym wylegiwała się na wielkiem łożu gnuśna Lotos. Siadał obok niej i przyglądał się jej z niemym zachwytem.

Nie wychodziła nigdy na dwór w pogodne jesienne dni, gdyż obawiała się słońca. Codziennie czekała w łóżku na przybycie Ku-ku, która myła jej szczupłe ciało letnią wodą, i wcierała w nie wonne olejki. Następnie czesała jej włosy i namaszczała je pachnidłami. Lotos oświadczyła Wang Lungowi, że postanowiła zatrzymać przy sobie Ku-ku. Wang zgodził się na to. Lotos sówicie wynagradzała służebną, która chętnie obsługiwała jedną panią, zamiast całego stada kapryśnych dziewcząt. I tak — Lotos po-
społu z Ku-ku mieszkały w osobnem skrzydle, niewidzialne dla członków rodziny Wang Lunga.

Lotos wylegiwała się całemi dniami w mrocznym pokoju, objadając się słodyczami i owocami. Nie uznawała innego odzienia, jak tylko jedwabne i atlasowe. Zazwyczaj ubierała się w letni, zielony strój złożony z obcisłej kurtki i szerokich szarawarów.

Gdy się dowoli opili miłością — odsyłała Wang

Lunga o zachodzie słońca, a Ku-ku znowu zabierała się do mycia i perfumowania swojej pani. Pod wieczór Lotos paradowała w jedwabiach barwy dojrzalej brzoskwini i w haftowanych pantofelkach. Czasami wychodziła na podwórko i przyglądała się złotym rybkom, śmigającym w płytkiej sadzawce. Chwiała się ucieszenie, na tych swoich maleńkich, okaleczonych nóżkach, a Wang Lung zdumiewał się za każdym razem, że istnieją na świecie takie maleńkie, spiczaste nóżki, i takie bezradne, długopalce rączki.

I bez końca opijał się winem.

XXI.

Trudno było by przypuścić, że zjawienie się w domu Wanga kobiety zwanej Lotosem, i służebnej zwanej Ku-ku nie wywoła zgoła żadnego zamętu. Wiadomo przecie, że dwie kobiety przebywające pod jednym dachem nie przyczyniają się do spokoju. Lecz Wang Lung nad tem się nie zastanawiał. Widział wprawdzie posępne spojrzenia O-lan, słyszał opryskliwe odpowiedzi Ku-ku, ale nie zwracał na to wszystko uwagi. Cóż go obchodzili inni ludzie, skoro jego żądza była zaspokojona.

Jednakże skoro dzień przesilił się w noc, a noc przesiliła się w dzień i Wang Lung zrozumiał, że Lotos naprawdę znajduje się w jego domu, że jest osiągalna i bliska, wówczas głód miłości zaczął mniej mu dokuczać, a z oczów spadły łuski zaślepienia.

Przedewszystkiem zauważył, że O-lan nie lubi Ku-ku. Zdziwiło go to, gdyż raczej spodziewał się, że O-lan znienawidzi nałożnicę. Słyszał nieraz o kłótniach między kobietami. Bywa, że pracowita żona wiesza się z rozpaczy, gdy mąż wprowadzi do domu

nową kobietę, inne kłóć się i zatruwają mu życie, tymczasem O-lan nigdy nie podnosiła głosu i nie wszczyniała sprzeczek, toteż Wang Lung wielce był zadowolony z takiego obrotu sprawy i nie przewidywał, że właśnie Ku-ku stanie się przyczyną domowych swarów.

Lotos prosiła go przymilnie:

— Pozostaw mi tę pocziwą Ku-ku. Jestem taka samotna. Nie mam nikogo na świecie. Straciłam ojca i matkę, gdy byłam małym dzieckiem... Nie mam nikogo na świecie. Niedobry wuj sprzedał mnie, bo wyrosłam na ładną dziewczynkę, a dzisiaj nie mam przy sobie ani jednej życzliwej duszy.

Mówiła to niemal płacząc, gdyż zawsze miała łzy w pogotowiu. Wang Lung widząc błyszczące kropelki w kącikach pięknych oczów, nie śmiał niczego omówić rozkapryszonemu biedactwu. Zresztą Lotos istotnie potrzebowała kogoś do pomocy, prawdą też było, że w domu Wanga ciążyła jej samotność, gdyż O-lan ani myślała zbliżyć się do niej. Nie rozmawiała z nią nigdy, udawała, że nie wie o jej istnieniu. Wprawdzie stryj gotów był nawiązać znajomość z Lotos, ale Wang tego sobie nie życzył. Zgodził się więc pozostawić Ku-ku, w charakterze służebnej.

O-lan zapalała do Ku-ku antypatją. Nie tajiła złości na jej widok, natomiast Ku-ku skłonna była utrzymywać poprawne stosunki z O-lan. Była zadowolona ze swej posady. Otrzymywała duże wynagrodzenie, nie zapomniała jednak, że w pałacu Hwangów miała dostęp do sypialni dziedzica, zaś O-lan pełniła tam funkcje zwykłej niewolnicy. Pomimo to zaraz pierwszego dnia zwróciła się do O-lan z uprzejmem pozdrowieniem:

— No, więc, kochana, stara przyjaciółko, spotykamy się znowu. Ty dzisiaj jesteś panią i pierw-

szą żoną, a ja... Widzisz, jak to się wszystko zmienia na tym świecie...

O-lan spojrzała na nią zimno i nie odrzekła ani słowa, lecz zabrawszy dzban wyszła do izby, gdzie Wang Lung odpoczywał, po miłosnej nocy, spędzonej z Lotos.

— Co robi ta niewolnica w naszym domu? — zapytała szorstko.

Wang Lung nie śmiał spojrzeć jej w oczy. Miał ochotę przemówić do niej tonem władcy: „to jest mój dom i mogę zapraszać, kogo zechcę, a ty nie masz nic do gadania!“, ale nie był w stanie wykrztusić słowa. Wstydził się, a jednocześnie zły był na siebie o to, że się wstydzi, bo powtarzał sobie w duchu, że każdy zamożny człowiek, postępowałby tak samo jak on.

Oczy Wanga latały niespokojnie, ręce szukały fajki w fałdach szaty, lecz O-lan, nie dawała za wygraną — stała wyprostowana, na szerokich, płaskich stopach i czekała na odpowiedź. Nie doczekawszy się jej przemówiła znowu:

— Co ta niewolnica robi w naszym domu?

Wang Lung widząc, że będzie musiał odpowiedzieć, wyjąkał z trudem:

— A co cię to obchodzi?

O-lan na to:

— Miałam dość utrapienia z tą kobietą, za czasów mej młodości. Musiałam znosić jej grymasy, gdy byłam niewolnicą w domu Hwangów. Co chwila wpadała do nas z wrzaskiem: — „Herbata dla starszego pana!“, „jedzenie dla starszego pana!“ A wszystko było jej nie do smaku, albo przesolone, albo niedosolone, za gorące, to znów za zimne. Nasłuchiłam się jej dogadywań, a to, że jestem wolna, a to, że mam szpetną twarz, to znów, że źle gotuję...

Wang Lung milczał, bo sam nie wiedział co ma rzec.

O-lan, nie doczekawszy się odpowiedzi, wybuchnęła płaczem. Gorące łzy cisnęły się jej z oczów, mrugała więc powiekami chcąc je zatrzymać, ale musiała otrzeć je rogiem niebieskiego fartucha, bo jej ciekły po twarzy.

— Muszę znosić jej kaprysy we własnym domu, a nie mam matki, do której mogłabym wrócić.

Wang Lung milczał uporczywie. Zapalił fajkę i zaciągnął się dymem. O-lan popatrzała nań żalosiennie swojemi dziwnemi oczami, podobnemi do oczów niemego zwierzęcia i odeszła zwolna, chwytając się poomacku ściany, w poszukiwaniu drzwi, gdyż łzy ją oślepiały,

Mąż popatrzał w ślad za nią i odetchnął z ulgą, gdy zniknęła, ale w głębi duszy czuł się zawstydzony. Był zarazem zły na siebie o to uczucie wstydu, więc zaczął mruczeć pod nosem, jakby się przekomarzając z kimś obcym:

— Inni mężczyźni postępują tak samo. Byłem dość dobry dla niej. Bywają gorsi ode mnie.

I dodał jeszcze: — Trudno, O-lan będzie musiała znosić bez szemrania.

O-lan jednak nie odzyskała spokoju. Rano jak zwykle grzała wodę dla starego ojca, a jeśli Wang Lung znajdował się w środkowej izbie, to i jemu podawała herbatę, lecz gdy Ku-ku przychodziła do kuchni po wodę dla swojej pani, kocioł bywał zawsze pusty, a O-lan nie odpowiadała na pytania. Ku-ku musiała sama gotować wodę. O-lan zazwyczaj nie chciała pożyczyć kotła, tłumacząc się, że jest potrzebny do gotowania kaszy. Krzyki i dogadywania Ku-ku nie osiągały skutku.

— To moja śliczna pani ma leżeć głodna i spragniona i napróżno prosi o kroplę wody?

O-lan udawała, że nie słyszy docinków Ku-ku,

wpychała do pieca wiązki suchej trawy i słomy. równie ostrożnie i starannie jak ongi, kiedy trzeba było uważać, by nie zmarnować jednego źdźbła. Ku-ku skarżyła się Wang Lugowi. Wang złościł się, że jego miłość natrafiła na takie głupie przeszkody, więc poszedł raz do O-lan i wrzasnął na nią:

— Cóż to? Nie możesz dolać o jedną łyżkę wody więcej do kotła?

— Nie jestem niewolnicą niewolnic, w moim własnym domu — odparła ponuro.

Rozzłoszczony Wang chwycił O-lan za ramiona i, potrząsając nią gwałtownie, zawołał:

— Nie udawaj głupszej, niż jesteś! To przecież nie dla sługi, tylko dla jej pani.

Spojrzała nań i odparła spokojnie:

— Jej to oddałeś moje dwie perły.

Ręka Wang Lunga opadła bezwładnie. Zaniemówił na chwilę i odszedł zawstydzony.

— Wybudujemy inny piec — rzekł do Ku-ku. — Postawię wam drugą kuchnię. Moja żona nie zna się, na delikatnem jedzeniu. Będziecie sobie przygotowywać takie jedzenie, jakie wam się spodoba.

Nakazał tedy parobkom wybudować nową, niewielką izbę i palenisko, poczem kupił duży kocioł, Ku-ku nie tała radości, gdy jej oznajmił, że będzie mogła gotować, co jej się żywnie spodoba.

Uczyniwszy to doszedł do wniosku, że nareszcie będzie mógł w spokoju zażywać rozkoszy miłosnych. Gdy myślał o tem zdawało mu się, że nigdy nie będzie miał dosyć dziewczyny, zwanej Lotosem, że się nigdy nie znudzi, patrząc jak przesłania oczy ciężkimi powiekami, podobnemi do kwiatnych płatków, i jak się w tych oczach zapalają figlarne błyski...

Pomimo to zatarg o piec kuchenny zepsuł mu humor. Ku-ku zaczęła codziennie chodzić do miasta

i znosić coraz to inne smakołyki, sprowadzane z południa. Kupowała smakołyki, o jakich nigdy nie słyszał: suszone słodkie daktyle, dziwaczne ciastka z mączki ryżowej, orzechy i czerwony cukier, rogate ryby morskie i wiele innych rzeczy. Kosztowało to wszystko więcej, aniżeli przeznaczył na utrzymanie Lotos, ale pewnością znacznie mniej, aniżeli mówiła Ku-ku. Bał się jednak powiedzieć jej, że go wyzyskuje („zjadasz mnie żywcem”), bo mogłaby się obrazić, co by znów rozgniewało Lotos. Musiał więc co chwila sięgać do kabzy, wiszącej za pasem. Te nadmierne wydatki stały się nieznośnym cierpieniem, a że nie miał komu się poskarżyć, więc cierń kłuł go coraz głębiej, a jednocześnie stygła z dniem każdym jego miłość do Lotos.

Inny jeszcze cierń dokuczał Wang Lungowi... Stryjenka, niewiasta łakoma, zachodziła coraz częściej do mieszkania nałożnicy w porze posiłków. Zczasem zadomowiła się tam, a Wang Lung nie posiadał się ze złości, że Lotos dobrała sobie taką przyjaciółkę. Trzy niewiasty objadały się smakołykami, plotkując, szepcząc i chichocząc nieustannie. Wiecznie było coś takiego w stryjence Wanga, co odpowiadało Lotos.

I w tej sprawie Wang był bezradny. Raz zwrócił uwagę dziewczynie tonem łagodnym i pieszczotliwym:

— Mój kwiatku prześliczny, nie marnuj słodyczy, jaka jest w tobie, obdzielając tą tłustą maciore. Chcę żebyś należała tylko do mnie, a stryjanka, to jest fałszywa i niezasługująca na zaufanie kobieta. Nie chcę, żeby z tobą przestawała od świtu do zachodu słońca.

Słowa Wanga widocznie rozdrażniły Lotos, bo odparła gniewnie, odsuwając się od niego.

— Nie mam oprócz ciebie nikogo, nie mam przyjaciół, a przywykłam do wesołego otoczenia.

W twoim domu nienawidzi mnie twoja żona, doku-
czają mi twoje dzieci, a nikt mi nie okazuje przy-
jaźni.

Owej nocy nie wpuściła Wanga do siebie,

— Widocznie nie kochasz mnie prawdziwie, bo
inaczej pragnąłbyś mego dobra — skarżyła się
płaczliwie.

Wang Lung odrazu spokorniał.

— Niechże będzie jak chcesz. Nigdy ci się już
nie sprzeciwię.

Tym razem wybaczyła mu z królewską wspa-
niałością. Od tej pory Wang Lung nigdy już
nie czynił wymówek. Ilekroć zastał u niej stryjen-
kę, zjadającą słodycze, lub pijącą herbatę, Lotos
kazała mu czekać i nie zwracała nań uwagi, odcho-
dził więc pełen żalu, iż woli od niego starą stryjen-
kę. Zwolna miłość jego ku Lotos zaczęła stygnąć,
choć jeszcze sobie z tego nie zdawał sprawy.

Zły był tembardziej, że stryjenka obżerała się
drogimi potrawami, przygotowywanymi dla Lo-
tos. Nie śmiał jednak sprzeciwić się jej, bo stry-
jenka była sprytna, umiała go zawsze ugłaskać po-
chlebstwami, a gdy wszedł do izby powstawała na
znak uszanowania.

Miłość Wanga do Lotos nie była doskonała
i całkowita, jak dawniej, gdy wypełniała całe jego
jestestwo. Zaprawiona była goryczą drobnych przy-
krości, które musiał znosić w milczeniu, gdyż nie
mógł już zwierzyć się O-ian ze swych trosk. Wspól-
ne ich życie uległo rozdzieleniu.

Niby w kolce cierniowego krzaka wrastały co-
raz to nowe troski. Pewnego dnia ojciec Wang Lun-
ga, który zdawał się niczego nie spostrzegać, gdyż
stale drzemał na słońcu, przebudził się nagle i,
wspierając się na kij zakończonym łbem smoka
(Wang Lung ofiarował go ojcu w rocznicę jego sie-
demdziesiątych urodzin), pokuszywał w stronę

czerwonej zasłony, odgradzającej skrzydło domu, zamieszkałe przez Lotos. Dotychczas staruszek nie zauważył nowych drzwi, nie spostrzegł się, że znie-siono przybudówkę z podwórkiem, a Wang nie wspomniał ojcu, o przybyciu nowej kobiety. Ojciec był tak głuchy, że nie sposób było wytłumaczyć mu coś, o czym nie miał pojęcia.

Tym razem jednak popatrzał na zasłonę i zbliżywszy się do niej odsunął ją. Właśnie na podwórku przechadzał się Wang Lung z Lotos. Zatrzymali się nad sadzawką i przypatrywali się złotym rybkom. Gdy stary ojciec ujrzał syna, stojącego przy boku smukłej, wymalowanej dziewczyny wrzasnął starczym, jazgotliwym głosem:

— Wprowadził dziewczkę do domu!

Napróżno Wang Lung usiłował wypchnąć ojca, mówiąc:

— Uspokój się, ojcze. To nie dziewczka, tylko druga żona.

Bał się, że Lotos wpadnie w gniew, a maleńkie stworzonko umiało przeraźliwie krzyczeć, gdy je coś rozzłościło.

Ojciec nie chciał jednak zamilknąć i wkrótce wykrzykiwał jedno i to samo zdanie: — Wprowadził dziewczkę do domu! Wprowadził dziewczkę!

Nagle zauważył Wang i dorzucił:

— Ja miałem jedną tylko żonę i mój ojciec miał tylko jedną i obydwaj pracowaliśmy w polu razem z żonami.

A odsapnąwszy, krzyknął na całe gardło:

— W naszym domu jest dziewczka!

Tak oto ze starczego snu wyrwała go nienawiść do Lotos. Chadzał teraz często na jej podwórko i rzucał jedno słowo: — Dziewcka!

To znów nagłym ruchem odsuwał zasłonę i spluwał na podwórko. Zbierał też drobne kamyczki i rzucał je do płytkiej sadzawki, płosząc rybki, jak złośliwe dziecko.

Wang Lung nie miał odwagi karcić ojca, a jednocześnie bał się gniewu Lotos, miała bowiem gwałtowny i wybuchowy charakter. Konieczność nieustannego śledzenia ojca i uspakajania go nużyła go i stawała się nowym powodem ochłodzenia jego uczuć dla Lotos. Miłość zaczynała być dla Wanga nieznośnym ciężarem.

Razu pewnego do uszów jego dobiegły przeraźliwe krzyki. Puścił się pędem w stronę podwórka, gdyż rozpoznał głos Lotos. Okazało się, że dwoje młodszych dzieci, chłopiec i dziewczynka zaprowadziły tam starszą siostrę, niemowę. Dzieci Wanga interesowały się panią, mieszkającą w nowym domu. Dwaj najstarsi chłopcy zdawali sobie dobrze sprawę, kim jest owa pani i co z nią robi ich ojciec, nie mówili więc o niej nigdy, chyba cichaczem między sobą. Ale młodsze dzieci czuły nieprzepartą ochotę zaglądania przez szparę na podwórko, wachania pachnideł, jakimi skrapiała się dziwna pani, dotykania jej sukien i maczania palców w miskach z jedzeniem, które Ku-ku wynosiła po obiedzie.

Lotos niejednokrotnie skarżyła się Wangowi na jego dzieci, nieraz mawiała, że są istną plagą i że chciałyby się ich pozbyć, lecz Wang niechętnie słuchał takich skarg, a raz zauważył z uśmiechem:

— I cóż w tem złego, że się dzieciaki chcą przyjrzeć ładnej twarzyczce. Robią przecież to samo, co ich ojciec...

Ograniczał się tylko do tego, że im zakazywał zaglądać na podwórko. Dzieci nie pokazywały się tam w obecności ojca, ale skoro tylko się oddalił, wracały do tajemniczego domku. Najstarsza córka nie zdawała sobie z niczego sprawy — wysiadywała na słońcu, oparta o mur i, śmiejąc się głupkowo, skubała kawałek szmaty.

Tego dnia jednak młodsze dzieci skorzystały z nieobecności starszych braci i postanowiły poka-

zać dziwną panią małej idjotce. Ujęły ją więc za rączki i pociągnęły na podwórko. Lotos nigdy jeszcze nie widziała niemowy, spojrzała więc na nią ze zdumieniem. Idjotka dostrzegłszy jaskrawą, jedwabną szatę i błyszczące malachitowe kolczyki w uszach Lotos wyciągnęła ręce, chcąc złapać tę błyskotliwą jasność i zaczęła się głośno śmiać. Bezduśzny, przykry śmiech przeraził Lotos. Zaczęła wrzeszczeć. Wtedy to pospieszył jej na pomoc Wang Lung. Lotos trzęsła się jeszcze, a na widok Wanga tupnęła drobną nóżką i wskazując na śmiejącą się idjotkę, krzyknęła:

— Nie zostanę ani chwili dłużej w tym domu, jeżeli ta pokraka będzie się do mnie zbliżać. Nikt mnie nie uprzedził, że będę musiała obcować z warjatkami, gdybym to była wiedziała nie byłabym tu została. Nie mogę patrzeć na twoje wstrętne dzieci.

Mówiąc to pchnęła z całych sił małego chłopca, który stał w pobliżu, trzymając za rączkę siostrę.

Rozzłościło to Wanga, więc odparł szorstko:

— Nie pozwolę, żeby ktoś przeklinał moje dzieci. Nikomu nie wolno tego robić, nawet gdy chodzi o moją biedną małą córkę. A ty najmniej masz prawa, boś nigdy nie nosiła syna w łonie.

Przycisnął dzieci ku sobie i rzekł do nich:

— Idźcie stąd i nigdy już nie wchodźcie do mieszkania tej kobiety, bo ona was nie kocha, a jeśli was nie kocha, to znaczy, że nie kocha i waszego tatusia.

A zwracając się do najstarszej córki przemówił do niej łagodnym tonem:

— Moja biedna mała, wracaj na słońeczko.

Na twarzyczce idjotki wykwitł blady uśmiech. Wang ujął ją za rękę i wyprowadził z mieszkania Lotos.

Najbardziej go zabolęła obelga, rzucona przez

Lotos na niemowę. Przez parę dni nie pokazywał się u drugiej żony, ale spędzał czas na zabawie z dziećmi, a potem poszedł do miasta i kupił cukru dla nie-szczęśliwej niemowy i cieszył się widząc, z jaką uciechą, zajada słodycze.

Gdy po paru dniach wrócił na noc do kochanki, właśnie siedziała u niej stryjenka i popijała herbatę, lecz na widok Wanga — Lotos zerwała się z fotela i zawołała:

— Idzie mój pan, muszę mu być powolną.

Był to znak, że stryjenka powinna pozostawić ją samą.

Gdy stara kobieta znikła za czerwoną zasłoną Lotos podeszła do Wang Lunga i chwyciwszy jego rękę dotknęła nią swej twarzy. Wangowi zdawało się, że znowu ją kocha, ale w rzeczywistości nie kochał jej już tak silnie jak dawniej.

Pod koniec lata niebo o świcie bywało jasne i zimne, jak toń morska, a na polach wiał jesienny wiatr. Pewnego dnia Wang Lung przebudził się rano z uczuciem człowieka, który budzi się z długiego, zimowego snu. Stanął na przyźbie i posłał wzrok w dal, za bezkresną przestrzeń pól. Wody już ustąpiły zupełnie, a czarna ziemia lśniła w blaskach słońca.

Jakiś głos odezwał się w duszy Wanga. Głos bardziej przejmujący, niż miłość. Głos ten potężniał i głuszył wszelkie inne głosy. Wang zerwał z siebie długą, jedwabną szatę, zzuł aksamitne pantofle i białe pończochy, podwinął spodnie do kolan i wyprostowawszy nagie plecy krzyknął:

— Gdzie łopata, gdzie mój pług? Gdzie ziarno do siewów? Chodź tutaj Czingu, przyjacielu drogi! Zwołaj ludzi! Idziemy w pole!

Ongi gorycz, jakiej zaznał podczas mordęgi w południowym mieście, uleczyła mu chorą duszę, dzisiaj zaś dobra, czarna ziemia wyleczyła go z miłości.

Z rozkoszą oparł nagie stopy na wilgotnej ziemi i wciągnął w płuca woń, bijącą z dymiących bruzd. Jął wydawać rozkazy parobkom i przez dzień cały krzątał się w polu. Orano tu i tam, a Wang Lung spoczątku szedł w ślad za wołami i strzelając z bata patrzył z lubością, jak pług kraje glebę, potem zawołał Czinga, oddał mu powrozy, sam chwycił motykę i zaczął dzielić ziemię na skiby, miękkie i wilgotne, niby czarny cukier. Czynił to tylko dla własnej przyjemności, nie z potrzeby, a gdy się znużył rzucił się na ziemię i zasnął, czując, że odzyskuje zdrowie.

Gdy nadeszła noc, a słońce zaszło za linję horyzontu, wrócił do domu. Bolały go wszystkie członki, ale był to ból rozkoszny. Jednem szarpnięciem zerwał zasłonę z odrzwi mieszkania Lotos. Przechadzała się nad sadzawką, strojna w jaskrawe, jedwabne szaty. Ujrzawszy go umazanego ziemią i spalonego słońcem, zadrżała, on zaś parsknął śmiechem chwycił w brudną dłoń małą, wygiętą rączkę i powiedział:

— Widzisz teraz, że twój pan jest zwykłym chłopem, a ty jesteś żoną chłopca.

Ona zaś odcięła się:

— Nie jestem żoną chłopca, a ty możesz być czem chcesz.

Wang znowu parsknął śmiechem i wyszedł z podwórka lekkim krokiem.

Owego wieczora zasiadł do stołu, tak jak stał, nieumyty, umazany ziemią i najadł się do syta gorącego ryżu, a myjąc się przed snem zaśmiał się

głośno, bo sobie uświadomił, że tym razem nie myje się z myślą o kobiecie, gdyż uwolnił się od miłości.

Zdawało mu się, że powraca z dalekiej podróży i że ma moc spraw do załatwienia. Ziemia błaga go, by ją orać i obsiać, więc się zabrał do pracy i spędzał całe dzionki w polu. Błede ciało zaczęło nabierać zdrowej, brunatnej barwy, a wydelikaczone ręce znowu stwardniały zetknąwszy się z motyką, która wyciskała na nich swe piętno.

Wracał do domu w południe i późnym wieczorem i zasiadał do posiłku, przygotowywanego przez O-lan. Jadł smakowity ryż, kapustę i miazgę z fasoli i pszenny chleb z czosnkiem. Lotos zatykała mały nasek rączką, gdy się zjawiał Wang i wymyślała mu, że cuchnie, ale Wang kpił sobie z niej i umyślnie chuchał na nią, mówiąc, że musi się przyzwyczaić do zapachu czosnku, bo on ani myśli odmawiać sobie tego, co lubi. Był znowu zdrowy i silny, wolny od miłosnej gorączki, więc nawet gdy brał dziewczynę, to mógł później wrócić do pracy, nie myśląc już o niej zgoła.

Zczasem obydwie kobiety zajęły należne im miejsce w domu: — Lotos była mu zabawką, zaspakajala jego tęsknotę do piękności i uciech zmysłowych, O-lan pozostała matką jego synów i gospodynią, która karmi męża, ojca i dzieci. Ludziska gadałi we wsi, że Wang Lung trzyma nałożnicę, a Wang dumny był z tego. Zazdroszczono mu jej — mówiono o niej, jak o cennym klejnocie, albo o drogiej zabawce, którą może posiadać tylko ten, kto ma moc pieniędzy i może pozwolić sobie, na zaspokojenie zachcianek.

Najgłośniej o tem gadał stryj Wanga. Łasił się jak pies i starał się zjednać sobie przychylnosc bratanka. Opowiadał więc cuda o jego zamożności.

— Mój bratanek sprowadził sobie do domu taką kobietę, jakiej żaden z was, pospolitaków, nie

miał nigdy w życiu. Odwiedza ją codziennie, a ona stroi się w jedwabie i atłasy, jak wielka dama. Nie widziałem jej, ale żona mi o tem mówiła.

Innym razem opowiadał na odmianę o majątku bratanka.

— Syn mego brata tak się wzbogacił, że można powiedzieć, iż jest ojcem wielkiego rodu. Synowie jego będą synami bogacza. Żaden z nich nie będzie potrzebował zarabiać pracą na chleb powszedni.

Ludziska spoglądali na Wanga z rosnącym zainteresowaniem i szacunkiem, a gdy doń przemawiali, to takim tonem, jakby był wielkim panem. Czasami przychodzili doń z prośbą o pożyczenie pieniędzy na procent, to znów prosili o radę, gdy musieli wyswatać córkę lub syna. Gdy się kto pokłócił z sąsiadem o linję graniczną, proszono Wanga, by zechciał rozstrzygnąć spór, a decyzja jego bywała przyjmowana bez szemrania.

Do niedawna Wang zajęty był swoją miłością, teraz miał jej już dość, więc się zajął zaległymi sprawami, a przede wszystkim sprzedażą plonów na miejskich targach, przechowywał bowiem ziarno, czekając, aż pójdzie w cenę. Tym razem zabrał ze sobą do miasta najstarszego syna.

Patrzył z dumą, jak syn czyta nagłos, a potem maluje pędzelkiem zamaczanym w tuszu czarne znaki na papierze. Pisarczykowie (ci sami, którzy ongiś kpili z nieuka), wykrzykiwali z przejęciem:

— Pięknie pisze wasz chłopiec! Mądrego macie syna!

Wang udawał, że nie widzi w tem nic nadzwyczajnego, lecz gdy syn zwrócił uwagę na błąd ortograficzny w umowie — serce jego mało nie pękło z dumy. Musiał odwrócić się, żeby odkaszlnąć i splunąć na podłogę. Wśród zgromadzonych dał się słyszeć szmer uznania dla mądrości chłopca. Ojciec rzucił od niechcienia:

— Popraw! Nie będziemy podpisywać źle napisanych kontraktów.

Stanął za synem i patrzył wyniośle, jak chłopiec poprawia pędzelkiem błędnie wypisane słowo.

Później syn umieścił u dołu kontraktu nazwisko ojca, podpisał się też na pokwitowaniu na odbiór pieniędzy, poczem obydwaj wrócili do domu. Gdy tak szli drogą Wang ją rozmyślać, że ma już dorosłego syna i że trzeba uczynić dla niego to, co się zwykle czyni, gdy chłopak podrośnie, mianowicie wyszukać mu odpowiedniej kobiety. Syn Wanga nie będzie potrzebował upakarzać się i szukać w wielkich domach niewolnicy, którą inni pogardzili. Syn jego jest synem bogatego człowieka, właściciela majątku.

Zajął się więc Wang Lung szukaniem żony dla syna. Nie było to łatwe zadanie, gdyż nie chciał zadowolnić się pospolitą kobietą. Zwierzył się z tego, pewnego wieczoru Czingowi, podczas narady nad kupnem wiosennych siewów. Nie spodziewał się wiele po Czingu, gdyż trudno wymagać rozumu od prostaka, ale ufał mu i odczuwał ulgę, dzieląc się z nim troskami.

Czing słuchał go stojąc, podczas gdy Wang Lung siedział rozparty w rzeźbionym fotelu. Nigdy, pomimo zachęty ze strony Wanga, nie siadał w jego obecności, jak równy wobec równego, a słuchał go w milczeniu, nie przerywając potoku słów. Dopiero gdy Wang skończył mówić, Czing westchnął i przemówił głosem, zniżonym do szeptu.

— Gdyby nasza biedna córka nie odeszła od nas, miałbyś ją za darmo, ale nie wiem sam, gdzie się podziewa. Kto wie, może nie żyje...

Wang Lung podziękował mu za życzliwość, ale miał ochotę odpowiedzieć, że żona jego syna musi pochodzić ze znaczniejszego rodu. Czing jest poczi-

wym człowiekiem, lecz w gruncie rzeczy jest tylko najemnikiem w cudzym majątku.

Postanowił więc działać na własną rękę. Przysłuchiwał się rozmowom, prowadzonym w herbarniach o posażnych córkach. Tym razem nie zwierzył się stryjence, gdyż taka jak ona kobieta mogła jeno pomóc w wyborze nałożnicy, ale była zgoła nieodpowiednia na swatkę, gdy chodziło o wybór żony dla najstarszego syna.

Jesień przesiliła się w śnieżną i mroźną zimę. Nadeszły święta noworoczne. W domu Wanga obchodzono je uroczyście, racząc się jadłem i napitkiem. Dom napęłnił się gośćmi nietylko ze wsi, ale i z miasta. Wszyscy chcieli składać życzenia Wang Lungowi.

— Nie wiemy sami czego ci mamy życzyć — powiadali — posiadasz przecie aż nadto wszelkiego dobra, masz przytem dorosłych synów w domu, dwie żony i zapas srebra.

Wang Lung wyszedł do gości strojny w jedwabną szatę. Towarzyszyli mu równie pięknie odziani synowie. Na stole piętrzyły się słodkie ciasta, soczyste melony i orzechy, a wszędzie powiewały czerwone, papierowe fetysze, z noworocznymi życzeniami.

Gdy zima przesiliła się w wiosnę, wierzby pokryły się lekką zielenią, brzoskwiniowe drzewka zakwitły różowym kwiatem, a z ziemi uderzyła mocna, woń wilgoci — najstarszy syn Wanga przestał być dzieckiem. Zaczął ulegać napadom gniewu, to znów przygnębienia, stracił apetyt i rzucał w kąt książki. Wang Lung przeląkł się, nie pojmując co się dzieje z dzieckiem, postanowił zasięgnąć rady lekarza.

Nie było sposobu na chłopca. Wystarczyło, żeby ojciec mu zwrócił łagodnie uwagę: „Jedź synku, mięso i ryż!” — Chłopak zacinał się i posępniał,

a jeśli ojciec podniósł głos, to zaraz wybuchał płaczem i uciekał z pokoju.

Ojciec zdumiewał się, widząc taką odmianę w synu, nieraz wychodził w ślad za chłopcem i przemawiał do niego najczulej.

— Przecież jestem twoim ojcem. Przyznaj się, co masz na sercu.

Chłopiec odpowiadał głośnie łkaniem i potrząsał głową, na znak, że nic mu nie dolega.

W dodatku nabrał dziwnej niechęci do starego nauczyciela i nie chciał chodzić do szkoły. Wang musiał krzyczeć na niego, albo dawać mu kuksańce; chłopak wychodził wówczas z domu, ale zamiast iść do szkoły, włóczył się całymi dniami po mieście, o czym ojciec dowiadywał się dopiero wieczorem, gdy wracał młodszy syn i oznajmiał wszystkim ze złośliwym uśmiechem :

— Starszy brat nie był dzisiaj w szkole.

Wang Lung słysząc to, wpadał w gniew i krzyczał na starszego syna:

— Cóż to? Mam za darmo płacić za ciebie?

Czasami rzucał się na chłopca i grzmocił go bambusowym kijem, aż się w to wdawała O-lan. Wybiegała z kuchni i stawiała między ojcem a synem. Wang napróżno usiłował dosięgnąć chłopca, więc najsilniejsze razy dostawała O-lan. Najdziwniejsze było to, że chłopiec nie mógł znieść najłagodniejszej wymówki, a chłostę znosił bez słowa protestu. Stał wówczas nieporuszony i blady, jak kamienny posąg. Wang dziwił się temu i rozmyślał o synu dniem i nocą. Pewnego razu, gdy się zastanawiał nad synem, zając się wieczorny posiłek, do izby weszła cicho O-lan i zatrzymała się w pewnej odległości od stołu, jakby chciała coś rzec do męża.

— Czego chcesz matko moich synów? — zapytał jej Wang Lung.

— Niepotrzebnie bijesz chłopca — odrzekła. —

Młodzi panicze w pałacu przechodzili przez to samo. Gdy byli markotni i niespokojni, jak nasz chłopiec, to starszy pan wyszukiwał im niewolnice, jeśli sobie przedtem sami nie znaleźli odpowiednich kobiet — i wnet odzyskiwali dobry humor.

— To nie jest w porządku — zauważył Wang Lung. — Gdy ja byłem w wieku naszego syna, nie miewałem nigdy jakichś takich smętków, nie płakałem, nie wpadałem w złość i nie potrzebowałem niewolnic, na pociechę.

O-lan milczała przez chwilę, a potem wycedziła przez zęby:

— No tak, to się zdarza tylko paniczom z wielkich domów. Ty harowałeś na roli, ale nasz syn jest już jakgdyby paniczem i nie zapracowuje się.

Zdziwił się Wang Lung słuchając żony, bo wydało mu się, że słowa jej nie są pozbawione słuszności. Miała rację mówiąc, że gdy był chłopcem nie miał czasu na smętki. Zrywał się skoro świt i wybiegał w pole, a przez dzień cały ślęczał przy pługu, to znów mozolił się kopiąc ziemię. W czasie żniw chylił grzbiet od rana do nocy, nie mógł łazić jak chłopcy, którzy chodzą do szkoły, bo gdyby to uczynił, toby nie dostał jadła. Jednem słowem musiał pracować.

— Mój syn jest z innej gliny — mruknął pod nosem. — Bardziej to kruche i słabowite ode mnie, jego ojciec jest bogaczem, a mój ojciec był ubogim chłopem. Syn mój nie potrzebuje zamęczać się pracą, bo któż zaprzęga uczonego do pługa...

W głębi duszy szczycił się z tego, że miał syna podobnego do paniczów z pałacu Hwangów, rzekł więc do O-lan:

— Nasz syn jest paniczem, więc inaczej żyje. Nie mogę jednak kupić mu na własność niewolnicy.

Postanowiłem go wcześniej ożenić. Tak będzie najlepiej.

Mówiąc to powstał i udał się do mieszkania Lotos.

XXIII.

Lotos widząc, że Wang Lung jest jakiś roz-targniony i myślami daleki, wybuchnęła skargami:

— Gdybym była przewidziała, że gdy minie rok, będziesz na mnie patrzeć obojętnym wzrokiem, tak jakbyś mnie nie widział — pozostałabym w herbaciarni.

Odwróciła przytem główkę i zerknęła nań zabawnie spodełba, co tak ubawiło Wanga, że roześmiał się i, chwyciwszy jej rączkę przycisnął ją sobie do twarzy, wdychając subtelny woń.

— Mężczyzna nie może ciągle myśleć o klejnocie, który sobie zaszył w ubraniu, ale gdyby go zgubił, toby wpadł w rozpacz i nie mógłby znieść straty. Od wielu dni myślę o moim najstarszym synu i troskam się o niego, bo widzę, że mu się krew buri w żyłach i trzeba go ożenić, a nie widzę odpowiedniej kobiety dla niego. Nie chciałbym, żeby się żenił z jedną z córek wieśniaków, a w mieście nie znam nikogo takiego, komu mógłbym powiedzieć: — „Ja mam syna, ty masz córkę...” Mam wstręt do zawodowych swatów; dobrzy są dla ludzi, co mają dzieci kaleki, albo głuptaki.

Lotos zdążyła już zwrócić uwagę, na najstarszego syna — wyrósł bowiem na przystojnego, smukłego chłopca. Posłała więc zamyślony wzrok w dal i szepnęła:

— Gdy byłem w herbaciarni zachodził do nas pewien człowiek, który miał córkę. Opowiadał mi nieraz o niej, bo mu ją przypominałam. Była po-

dobno taka mała i delikatna jak ja, tylko że jeszcze była dzieckiem. Czasami mówił: — „Gdy cię pieszczę, to mam dziwne uczucie, jakbym pieścił własną córkę. Znadto mi ją przypominasz. Niepokoi mnie to, bo to przecież grzech przeciwko odwiecznym prawom“. I wreszcie poszedł sobie do innej dziewczyny, dużej, czerwonej dziewczyny, zwanej Kwiatem Granatu.

— Cóżto był za człowiek? — zapytał Wang Lung.

— Dobry był i hojny. Miał zawsze dużo srebra pod ręką i płacił bez targu. Wszystkie życzyłyśmy mu jaknajlepiej. Czasami, gdy która z nas czuła się znużona — nie mówił, że wydał na próżno pieniądze, ale powiadał tak uprzejmie, jakby był księciem, albo uczonym, i szlachetnie urodzonym człowiekiem: — „Masz tutaj trochę srebra. Odpocznij sobie dziecińko, miłość zakwita kiedy chce...“ Tak ładnie przemawiał do nas...

Mówiąc to zamyśliła się, ale Wang Lung przerwał jej marzenia, bo nie lubił, gdy wspominała przeszłość:

— Czemże się zajmował ten człowiek, skoro miał tyle srebra?

— Nie wiem dokładnie, ale zdaje mi się, że był kupcem zbożowym. Zapytam Ku-ku, ona wszystko wie.

Klasnęła w drobne dłonie.

Niebawem do pokoju wpadła Ku-ku. Była zajęta w kuchni, więc miała twarz zaczerwienioną od ognia.

— Powiedz mi — zwróciła się do niej Lotos, — kto to był ten wysoki, tęgi mężczyzna, który odwiedzał mnie i Kwiat Granatu i który mówił, że mu przypominam jego małą córeczkę, i że go to napęnia niepokojem.

Ku-ku odpowiedziała bez wahania:

— Ach już wiem, o kim mówisz. To Liu — kupiec zbożowy. Ach, tak, to był dobry człowiek. Ilekroć mnie spotkał, dawał mi srebrne monety.

— Gdzie się znajdują jego składy? — zapytał Wang Lung, bez wielkiego zainteresowania, gdyż nie ufał kobiecym relacjom.

— Na ulicy Kamiennego Mostu — odrzekła Ku-ku.

— Ależ ja tam właśnie sprzedaję moje zboże. Kto wie, czy nie dojdę z nim do porozumienia.

Uradowała go myśl wyswatania syna z córką bogatego człowieka, który kupuje od niego ziarno.

Ku-ku umiała zawsze wywachać pieniądze, wytarła więc ręce w fartuch i rzekła szybko:

— Jestem gotwa przysłużyć się swemu panu.

Wang Lung obrzucił nieufnem spojrzeniem chytrą twarz Ku-ku, lecz Lotos odezwała się nagle:

— Ku-ku pójdzie do Liu. On ją zna doskonale. Ku-ku jest sprytna, a jeśli załatwi wszystko pomyślnie, to się jej zapłaci tak, jak się płaci swatce.

— Doskonale! — wyrwało się Ku-ku. Była uszczęśliwiona. Śmiała się na myśl o zarobku. Odwiązała więc fartuch i powiedziała:

— Idę w tej chwili. Mięso gotowe, jarzyny obmyłam, mogę iść.

Lecz Wang Lung był zdania, że się trzeba jeszcze namyślić.

— Nie, nie. Nie pójdiesz dzisiaj. Nie postanowiłem niczego. Muszę się zastanowić. Poczekam parę dni.

Kobiety nie tały zniecierpliwienia. Ku-ku myślała o srebrze, a Lotos cieszyła się, że się zdarzy coś nowego, co ją rozerwie, lecz Wang Lung nie zwracał na nie uwagi i wyszedł, powtarzając:

— Nie mogę tego załatwić bez namysłu. Chodzi przecież o mojego syna.

Byłby czekał i namyślał się przez wiele dni.

gdyby nie to, że pewnego dnia najstarszy syn wrócił do domu o świcie, z twarzą płonąca. Ledwo się trzymał na nogach, a z ust buchała mu woń alkoholu. Wang Lung usłyszał głuchy stuk padającego ciała; wybiegł więc na podwórze. Chłopak nie był przyzwyczajony do mocnego wina, pijał tylko lekki wywar z fermentującego ryżu. Teraz leżał na ziemi i wymiotował jak pies.

Wang Lung przeląkł się okropnie i wezwał na pomoc O-lan. Razem podnieśli bezwładne ciało chłopca. Matka obmyła go i ułożyła na łóżku w swojej izbie. Chłopak zasnął odrazu snem kamiennym, więc pytania ojca pozostały bez odpowiedzi.

Wang Lung udał się do pokoju, w którym zazwyczaj sypiali obydwaj chłopcy. Młodszy syn zawiązywał właśnie książki w kwadratową chustkę, ziewając i przeciągając zdrętwiałe ramiona.

— Czy starszy brat nie spał z tobą dzisiejszej nocy? — zapytał go ojciec.

Chłopiec odrzekł, ociągając się:

— Nie spał.

W oczach jego czaił się lęk. Dostrzegł to Wang Lung, więc krzyknął ostro:

— Dokąd chodził?

Chłopiec nie chciał odpowiedzieć, na kłopotliwe pytanie, więc go ojciec chwycił za kark i potrząsał nim krzycząc:

— Gadał w tej chwili, szczeniaku!

— Starszy brat nie kazał mówić dokąd idzie — wyjąkał wśród łez. — Mówił, że jeśli powiem, to mnie będzie szczypać i przypiekać gorącą igłą, a jeśli nie powiem, to mi da pensa.

Wang Lung nie władał już sobą.

— Mów w tej chwili dokąd chodził, bo inaczej cię zabije, słyszysz?

— Nie nocował trzy razy — mówił chłopiec, patrząc na ojca przerażonym wzrokiem. — Ale co

robi, tego nie wiem. Wiem tylko, że wychodzi razem z synem stryja.

Wang Lung odrzucił chłopca na stronę i wpadł do izby stryja. Zastał tam kuzyna, równie rozgoryczkowanego i opitego winem, ale pewniej się trzymającego na nogach, jako że miał większy nawyk do mocnych trunków.

— Dokąd zaprowadziłeś mojego syna? — krzyknął Wang Lung.

Na twarzy młodzieńca pojawił się szyderczy uśmiech.

— Och, syn stryja nie potrzebuje opiekunów. Sam trafi wszędzie...

Lecz Wang Lung powtórzył zapytanie, a w duchu myślał, że chętnieby zabił kuzyna, nie mógł znieść widoku jego zuchwalej twarzy. Krzyknął więc strasznym głosem:

— Gdzie spędził noc mój syn?

Chłopak przeląkł się widocznie, gdyż odpowiedział niechętnie, ale patrząc w oczy stryjowi:

— Był u dziewczki, która mieszka w oficynie dawnego pałacu Hwangów.

Zatrząśł się Wang Lung usłyszawszy te słowa; z ust jego wybiegł głuchy pomruk. Dziewka o której mówił chłopak znana była wszystkim, ale odwiedzała ją tylko nędzarze i łaziki, była bowiem stara i sprzedawała swe wdzięki za grosze. Nie czekając na śniadanie wybiegł z domu i puścił się pędem przez pola. Tym razem nie widział niczego, nie zwracał uwagi na zboże, bo absorbowала go myśl o synu. Pędził z wzrokiem utkwionym przed siebie, a doszedłszy do bram miejskich udał się prosto do pałacu Hwangów. Wielkie wrota stały teraz otworem, nikt ich nie zamykał na ciężkie żelazne zasuwę, każdy mógł wchodzić i wychodzić z pałacu. Wszedł więc na wielki podwórzec, a stamtąd przez anfiladę podwórców wgląb domostwa, które było

zamieszkałe przez biedotę. W każdym pokoju gnieździła się jedna rodzina. W dawnej książęcej rezydencji panował nieopisany brud. Stare sosny chyliły się i wyciągały usychające gałęzie, a sadzawki w podwórcach pełne były nieczystości.

Wang Lung nie widział niczego. Zatrzymał się w podwórzu pierwszego domu i zaczął wołać: — Gdzie tu mieszka kobieta, zwana Yang?

Na kulawym stołku siedziała jakaś kobieta i naprawiała podeszwę.

Na widok Wang Lunga podniosła głowę od roboty i wskazała mu bez słów boczne drzwi, poczem zabrała się znowu do szycia. Nie pierwszy to raz zapytywano ją, gdzie mieszka stara ulicznica.

Wang Lung udał się we wskazanym kierunku i zaczął walić we drzwi. Z głębi izby odpowiedział mu gniewny głos:

— Wynoś się. Dosyć się napracowałam, muszę się przespać. Harowałam całą noc.

Nie dał za wygraną tylko walił coraz mocniej.

— Kto tam? — zapytano znowu.

Nie odpowiedział, tylko dobijał się do drzwi; wreszcie usłyszał kroki. Ktoś otworzył drzwi; na progu stała niemłoda kobieta, o zniszczonej twarzy i obwisłych grubych wargach. Nie zdążyła jeszcze zmyć białej farby z czoła i czerwieni z policzków. Popatrzała przeciągle na Wanga i rzekła opryskliwie:

— Nie mogę teraz. Możesz wrócić w nocy — teraz muszę się przespać.

Wang nie mógł znieść myśli, że syn jego spędził u niej noc, więc rzekł z wybuchem:

— Nie chodzi o mnie, nie potrzeba mi takich wycirusów, jak ty. Chodzi o mego syna.

Coś go zatkało w gardle. Z trudem powstrzymał łkanie.

— No, a co ja mam wspólnego z twoim synem? — zapytała kobieta.

Wang Lung wyjąkał drżącym głosem:

— Był u ciebie dzisiaj w nocy.

— Dużo było takich synków dzisiejszej nocy — odparła kobieta. — Skąd ja mogę wiedzieć, który z nich był twoim synem.

— Pomyśl trochę i przypomnij sobie — mówił Wang proszącym głosem. — Taki szczupły, młodziutki chłopiec, za wysoki na swój wiek, ale jeszcze prawie dzieciak. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że ośmieliłby się iść do kobiety...

Kobieta zamyśliła się i jakby przypominając sobie, odparła:

— Było tutaj dwóch chłopców, jeden miał zadarty nos i chytre oczy, takie oczy, co to już wszystko rozumieją i czapkę na bakier. A drugi był wysoki, prawie dzieciuch, ale strasznie gorący. Pilno mu było zostać mężczyzną.

— Tak, tak, to on, to mój syn! — powtarzał rozgorączkowany Wang Lung.

— No i cóż z tego? — spytała kobieta.

— Jeżeli przyjdzie tutaj raz jeszcze, powiedz mu, że lubisz tylko dorosłych mężczyzn; powiedz mu zresztą, co chcesz. Ale pamiętaj, że ilekroć go od siebie odepchniesz, zapłacę ci dwa razy tyle, ile bierzesz za każdym razem.

Roześmiała się cynicznie i odparła:

— Któżby nie chciał zarobić, nie pracując. Zgadzam się, pewnie, że się zgadzam. Po prawdzie, to wolę mężczyzn prawdziwych; z dzieckiem niewielką się ma uciechę.

Mówiąc to, kiwała głową i szczyrzyła zęby do Wanga, on zaś patrzył za wstrętem na jej pospolitą, wyszminkowaną twarz i chcąc skrócić widzenie, rzekł pośpiesznie:

— No, już dobrze, dobrze...

Rzekłszy to zawrócił i wyszedł z izby, a po drodze splunął kilka razy, aby się uwolnić od ohydne-
go wspomnienia.

Powróciwszy do domu, zawezwał Ku-ku.

— Niechże będzie, jak mówiliśmy. Pójdiesz do kupca zbożowego i pomówisz z nim o jego córce i moim synu. Zapłacę dobrze, ale nie za dużo.

Następnie poszedł do swej izby i usiadł na łóżku przy synu. Nie mógł oderwać oczów od spokojnej twarzy, od której bił urok młodości. Teraz dopiero ujrzał jakim pięknym chłopcem był jego syn. Nagle przypomniał sobie zniszczone, uszminkowane oblicze ulicznicy i jej obwisłe grube wargi. Chwyciło go mdłące uczucie wstrętu i złości.

Gdy tak siedział zadumany, do izby weszła O-lan i zatrzymała się przy łóżku. Widząc krople potu na gładkiej twarzy chłopca, przyniosła gorącej wody z octem i omyła delikatnie twarzyczkę dziecka, tak jak to zwykle czyniła, gdy młodzi panicze w pałacu wypili za dużo wina. A że chłopiec nawet i teraz nie obudził się, więc Wang Lung powstał i udał się do izby stryja.

Zapomniał tym razem, że ma do czynienia z bratem swego ojca; pamiętał tylko, że ten człowiek jest ojcem zuchwałego łobuza, który wywiera zgubny wpływ na jego syna. Krzyknął więc od progu :

— Wyhodowałem sobie żmije we własnem gnieździe. Zaczynają nas kasać...

Stryj siedział przy stole i zjadał ranny posiłek. Zwykle sypiał do południa, uchylając się w ten sposób od pracy. Popatrzał na Wanga i wycedził wolno:

— Cóż to nowego?

Wang Lung z trudem wybełkotał w czym rzecz. Stryj roześmiał się złośliwie:

— Myślisz, że mógłbyś zabronić chłopcu zostać

meżczyzną? Czy można wstrzymać psa, gdy leci do suki?

Słyszając szyderczy śmiech stryja, przypomniał sobie Wang wszystkie dawne urazy. Jak to podczas głodu chciał go stryj zmusić do wyzbycia się ojcowizny, jak się do niego sprowadził z rodziną i żył na jego koszt, jak stryjenka obżera się smakolymi przeznaczonemi dla drugiej żony, i wreszcie jak zły wpływ wywiera kuzyn na najstarszego syna.

— Wynoście się z mojego domu! — zawołał. — Nie dostaniecie ani ziarenka ryżu. Raczej spalę cały dom, niżbym miał dłużej trzymać was u siebie, stać do niewdzięczników i darmozjadów!

Stryj ani drgnął. Siedział spokojnie przy stole i czerpał ryż z miski, nie zwracając uwagi na Wang, który szalał z wściekłości. Doprowadzony do ostatecznej pasji obojętnością stryja, podbiegł ku niemu z podniesioną ręką. Wówczas dopiero stryj odwrócił głowę i odezwał się:

— Dotknij mnie, jeżeli się ośmielisz...

Wangowi słowa uwiąły w gardle. Bełkotał coś pod nosem, nie pojmując zachowania się stryja.

— Co takiego... co takiego... — powtarzał wkółko.

Tymczasem stryj odchylił połę kaftana i pokazał coś Wangowi. Wang wyprostował się i skamieniał. Ujrzał bowiem fałszywą brodę z czerwonego włosia i przepaskę z czerwonego sukna. Patrzył i patrzył bez końca, na te dwa dziwaczne przedmioty, dygocząc ze wzruszenia.

Czerwona broda i czerwona przepaska były oznakami bandy rabusiów, grasującej po północ-zachodzie. Straszna to była szajka. Spaliła niejednen dom, uprowadziła niejedną kobietę. Na znak swej bytności członkowie bandy przywiązywali właścicieli zagród do progu domów. Znajdywano ich na-
zajutrz oszalałych ze strachu, albo spalonych na

węgiel. Patrzył więc Wang Lung, wytrzeszczając oczy, a po chwili odezwał bez słowa, słysząc jak przez sen cichy śmiech stryja i stukot pałeczek, uderzających o miskę z ryżem.

Tym razem Wang Lung znalazł się w matni, z której nie było wyjścia. Stryj wałęsał się po domu, jak dawniej, tyle, że częściej się uśmiechał, a Wang pocił się ze strachu i wzruszenia na jego widok, nie śmiał jednak odezwać się w obawie, że stryj uczyni krzywdę jemu i jego bliskim. Teraz dopiero uświadomił sobie, dlaczego przez tyle lat nie zajrzała do niego żadna szajka rabusiów, chociaż wiodło mu się dobrze, a ludzie wokoło ginęli z głodu. Nieraz w obawie napadu kazał ryglować drzwi, a gdy rozchodziły się wieści o grasujących w okolicy maruderach, wracał do domu i czuwał przez całą noc, spodziewając się lada chwila napadu.

Dziwnym trafem rabusie omijali jego zagrodę. Przestał więc się ich obawiać i uwierzył, że się nim opiekuje niebo. Przestał nawet palić kadzidła przed bożkami, bo mu się zdawało, że potrafi się bez nich obejść, będąc człowiekiem specjalnie uprzywilejowanym przez los. I oto nagle zrozumiał, czemu to zawdzięcza spokój i że jeśli chce w dalszym ciągu zażywać spokoju, musi cierpieć obecność stryja i stryjenki i kuzyna. Na myśl o tem oblewał go zimny pot. Nikomu jednak nie zwierzył się, co ujrzał za pazuchą u stryja.

Od tej pory przestał grozić stryjowi, że go wyrzuci, a stryjence powiedział kiedyś: — Niech stryjenka nie żałuje sobie jadła w mieszkaniu Lotos. I niech stryjenka przyjmie tych parę sztuk srebra na drobne wydatki.

Kuzynowi również dostał się upominek, w postaci kilku sztuk srebra.

Weź to sobie. Młodzi ludzie lubią się bawić...

Ale słowa te dławili mu gardło...

Nie pozwalał synowi wychodzić z domu, po zachodzie słońca. Chłopiec wyrażał niezadowolenie, pastwiąc się nad młodszym rodzeństwem.

Tyle miał teraz trosk, biedny Wang Lung, że mu to przeszkadzało w pracy. Czasami przychodziło mu na myśl, że możnaby ostatecznie pozbyć się stryja i zamieszkać w mieście, gdzie człowiek czuje się bezpieczniejszy, bo co noc zamyka się bramy przed bandytami. Przypomniał sobie jednak, że musiałby co rano pędzić w pole, a któż może przewidzieć, czy w polu nie zdarzyłoby mu się coś złego. Zresztą, czy człowiek potrafi żyć w zamknięciu, wśród miejskich murów? On na przykład napewno by umarł, gdyby był odcięty od ziemi. No i może przyjść zły rok, kiedy i miasto nie obroni się przed bandytami. Raz już przecież wtargnęli tam rozbójnicy i zniszczyli pałac Hwangów.

To znów zastanawiał się, czyby nie pójść do miasta do sądu i powiedzieć poprostu:

— Mój stryj należy do słynnej bandy czerwobrodych.

Któżby mu jednak uwierzył. Któżby uwierzył człowiekowi, który takie straszne oskarżenie rzuca na brata swego ojca. Jeszczeby go skazano na chłostę, za brak szacunku dla stryja, a potem żyłby w wiecznym strachu, gdyż rozbójnicy gotowiby zemścić się na nim, za krzywdę wyrządzoną stryjowi.

Jakby nie dość było trosk i kłopotów, Ku-ku wróciła od kupca ze złemi wieściami. Wprawdzie kupiec zgadzał się na zawarcie małżeństwa, ale nie zaraz, gdyż córka ma dopiero czternasty rok życia. Syn Wanga musiałby czekać na nią trzy lata.

Wang srodze się rozczarował. Będzie więc musiał przez trzy lata znosić humory i kaprysy syna. Chłopak chodził teraz do szkoły bardzo rzadko, naj-

wyżej dwa razy na dziesięć dni. Toteż podczas wieczornego posiłku Wang rzekł do O-lan:

— Ale tamtych chłopców wyswatamy, skoro tylko podrosną, bo nie zniosę tego piekła trzy razy z rzędu.

Następnego dnia zrzucił Wang długą szatę, kopnął z niechęcią ozdobne obuwie, sięgnął po motykę stojącą w kącie i wyruszył w pole. Na podwórzu siedziała niemowa. Uśmiechnęła się słodko na widok ojca.

— Ta mała idjotka więcej mi sprawia radości, aniżeli oni wszyscy razem — mruknął pod nosem.

Chodził odtąd w pole codziennie i spędzał tam całe dni. A dobra ziemia stała się dlań lekarzem i pocieszycielem.

Słońce mu przyświecało, ciepłe wiatry owiewały go łagodnym tchnieniem, a pewnego razu, jak gdyby natura chciała ostatecznie uwolnić go od małosłownych trosk, ukazała się na niebie, na południowej stronie mała, ledwie widoczna chmurka. Spoczątku wisiała nad nieboskłonem podobna do lekkiej, lecz nieznośnej mgły, a po pewnym czasie rozwinęła się i przybrała kształt wachlarza.

Ludzie przyglądali się jej z niepokojem, obawiali się bowiem nalotu szarańczy, która rzuca się na pola i pożera wszelką roślinność. I Wang Lung stał razem z nimi, wpatrując się w dziwną chmurę. Nagle silniejszy powiew wiatru rzucił mu do stóp małą, nieżywą szarańczę.

W tej chwili Wang Lung zapomniał o wszystkim, co go dotychczas gnębiło. Zapomniał o kobietach, synach i stryju, a przejęty jedną myślą, wpadł w tłum ludzi, krzycząc:

— Będziemy wojować z niebieskim wrogiem. Trzeba ratować ziemię!

Lecz wieśniacy nie widzieli żadnego ratunku. Potrząsali głowami, mówiąc:

— Nie damy rady. Niebo chce, żebyśmy pozdychali z głodu, poco męczyć się i wojować, kiedy wiadomo, że się nie da rady.

Niewiasty pobiegły do miasta, żeby kupić kaczidła dla boga ziemi, inne poszły do wielkiej świątyni, gdzie królują bogowie nieba i ziemi.

Ale szarańcza nie zwracała na to uwagi, jeno pędziła do celu, po wielkiem niebie.

Wang Lung zwołał parobków. Czing czekał na rozkazy, milczący i skory do wszelkiej pracy. Jedni podpalali własnoręcznie łany dojrzewającej pszenicy, gotowe do żęcia, inni kopali głębokie rowy, poczem napełniali je wodą. Pracowano dniem i nocą. O-lan przynosiła robotnikom jadło, lecz nikt nie myślał o odpoczynku, posilano się na stojąco, łykając wielkie kęsy, jak zwierzęta.

I naraz niebo pociemniało, a powietrze wypełnił szum i szelest skrzydeł. Na pola opadła ogromna chmura owadów. Gdy się podniosła — pole było огоłocone do cna, nagie, jakby to była zima. Ludzie wzdychali ciężko: — „Wola nieba“. — Wang Lung nie chciał się poddać, walczył więc z szarańczą, tłukł ją kijem, deptał ją, kazał ludziom młócić ją cepami. Owady wpadały w ogień i do wody, jaką były wypełnione rowy. Miljony zdechłych szarańczy zaścieślały pola, pływały po wierzchu wody, lecz miljony żywych owadów robiły swoje w dalszym ciągu.

Jedyną zapłatą za trudy, jakie ponosił Wang Lung było to, że ocalił najlepsze pole, a kiedy chmura szarańczy odleciała na wschód, okazało się, że pozostało jeszcze sporo pszenicy i że ocalały łany ryżu. Wieśniacy zbierali upieczone w ogniu szarańcze i jedli je, tylko Wang nie chciał ich tknąć, bo miał wstręt do stworzeń, które wyrządzają krzywdę ziemi. Nie rzekł jednak ani słowa, gdy O-lan zabrała się do smażenia szarańczy w oliwie. Dzieci próbowały jeść skrzydełka, chociaż wielkie oczy

owadów budziły w nich lęk. Sam jednak nie tknął skrzydlatych wrogów, które wyświadczyły mu pewne dobrodziejstwo, gdyż dzięki nim przez siedem dni nie myślał o niczem innem, jeno o ziemi i czuł się oswobodzonym od wszelkich innych trosk i obaw.

— Każdy człowiek ma swoje kłopoty, — powtarzał teraz sobie. — Muszę się oswoić z mojami troskami. Stryj jest starszy odemnie, długo nie pociągnie, a syn mój musi jakoś przetrwać te trzy lata. Trudno, nie odbiorę sobie życia z ich powodu.

Uspokojony, poświęcił się całkowicie pracy w polu. Zbierał pszenicę, a gdy nadeszła pora deszczów posadził ryż na zalanych wodą polach. I znowu nadeszło lato.

XXIV.

Pewnego dnia, gdy Wang Lung radował się odzyskanym spokojem, przyszedł do niego najstarszy syn i odezwał się w te słowa:

— Ojczy, jeśli chcesz, żebym się czegoś na prawdę nauczył, to mnie oddaj do innej szkoły, bo stary nauczyciel nie nauczy mnie już niczego więcej.

Wang Lung zanurzył ręcznik w kociołku z kipiącą wodą, a wyżawszy go, wytarł nim sobie twarz. Odpowiedział więc dopiero po chwili:

— Cóż to nowego?

Chłopiec zawahał się, a potem dodał:

— Chciałbym chodzić do szkoły w mieście, na południu, do prawdziwej wielkiej szkoły, gdzie mnie nauczą wszystkiego, co trzeba wiedzieć, gdy się chce być uczonym.

Wang Lung zamilkł. Wycierał energicznie oczy, uszy i twarz, aż mu buchała para z ciała.

— Pleciesz głupstwa — odparł ze złością, gdyż

był zmęczony i bolały go kości od roboty w polu.—
I tutaj dosyć się nauczysz mądrości.

Znowu zanurzył ręcznik do kotła i wyjął go z pasją.

Ale chłopiec nie dał za wygraną, stał przed ojcem i patrzył nań wzrokiem pełnym nienawiści, mruczając coś niezrozumiałego.

— Gadaj wyraźnie, o co ci chodzi! — wybuchnął Wang Lung, zły, że nie słyszy, co mówi syn.

— Chcę iść na Południe, na Południe. Nie zostanę w tym głupim domu. Nie chcę, żeby mnie ciągle pilnowano, jak dzieciaka. Nie zostanę w tem podłym miasteczku, które niczem się nie różni od wsi. Chcę się uczyć, chcę poznać świat...

Wang Lung popatrzył na syna. Chłopiec stał w długiej szacie ze srebrzystego płótna, blady i wzruszony. Nad ustami czerniał mu pierwszy wąs, miał gładką, złocistą skórę, i długie, miękkie ręce.

Przyjrząwszy się synowi przeniósł wzrok na samego siebie i ujrzał, że wygląda jak prostak, że jest umazany ziemią i wygląda raczej na sługę swego syna, aniżeli na jego ojca. Miał na sobie tylko niebieskie bawełniane spodnie, podwinięte do kolan. Poczuł złość do syna, za to, że jest taki delikatny, więc odburknął gniewnie:

— Idź lepiej w pole i upaść się ziemią, bo inaczej ludzie pomyślą, żeś kobieta. Musisz zapracować na ryż, darmożjadzie.

Zapomniał w jednej chwili, że ongi szczycił się mądrością syna, jego pięknem pismem, znajomością uczonych ksiąg. Splunął na ziemię. Chłopiec stał niewzruszony, a w oczach jego czaiła się nienawiść. Wang udając obojętność odszedł wgłąb mieszkania, stąpając zamasyżycie bosemi nogami.

Jednakże, gdy wieczorem usiadł na łóżku, w którym spoczywała Lotos, ta mu rzekła, jakgdyby od niechcenia:

— Twój starszy syn tęskni. Pragnie opuścić dom rodzinny...

Słyszając to, Wang znowu poczuł złość i rzekł opryskliwie:

— Co cię to obchodzi? Nie chcę, żeby się tutaj wałęsał. Jest za młody.

— Nie, nie — odparła szybko Lotos. — To nie on mi się zwierzał, to Ku-ku mówiła. — A Ku-ku, która zajęta była wachlowaniem swojej pani, dodała:

— Wystarczy na niego spojrzeć... Taki ładny chłopiec... Szkoda go... Nudzi mu się, biedakowi.

— Nie pozwolę mu odejść — odparł Wang. — Nie będę marnować pieniędzy.

Na tem rozmowa się skończyła. Lotos widząc, że Wang jest jakiś nieswój i rozdrażniony, odesłała Ku-ku i pozostała z nim sam na sam.

Przez szereg dni nie było mowy o chłopcu. Zresztą sprawiał on wrażenie uspokojonego. Odeszły go smętki, nie chciał jednak chodzić do szkoły. Wang Lung nie zmuszał go, bo chłopiec miał już osiemnaście lat, a wyglądał na dorosłego mężczyznę. Miał szerokie bary, jak matka. Dnie całe spędzał w swojej izbie, czytając książki. Zastał go tak raz Wang Lung i pomyślał z zadowoleniem:

— Przeszło mu. Widocznie były to fanaberje podrastającego chłopaka. Sam nie wie, czego chce. Gdy dodam trochę srebra, to skrócę mu trzy lata czekania; poczeka dwa, albo i rok tylko, jeżeli starczy pieniędzy. Zaraz po żniwach zajmę się nim.

Urodzaj był niezły, więc pomimo nalotu szarańczy plony przyniosły Wangowi duże zyski. Odbił sobie w ten sposób to, co wydał na Lotes. Znowu zaczął cenić srebro i złoto i nieraz dziwował się w cichości ducha, jak mógł wydać tyle pieniędzy, na kobietę.

Bywały okresy, w których Lotos rzucała urok

na Wanga, ale nie działał on już tak silnie, jak ongi. Szczycił się jednak Wang, że posiada piękną nałożnicę, lecz widział jasno, iż stryjenka nie omyliła się, mówiąc, że Lotos nie jest pierwszej młodości, i że nigdy nie urodzi mu dziecka. Nie dbał o to, miał bowiem synów i córki, a Lotos była mu przede wszystkim kochanką.

Lotos z latami stawała się coraz piękniejsza. Dawniej była wiotka i szczupła jak ptak, miała zanadto spiczastą twarzyczkę i zapadnięte skronie, teraz zaś, dzięki dobremu odżywianiu, kształty jej zaokrągliły się tak, że przypominała bardziej niż kiedykolwiek tłusciutkiego kociaka. Całymi dniami wylegiwała się na łóżku, jedząc słodyczne i wysypiając się do syta. Ciało jej nabrało jędrności i wygładziło się. Nie był to już pączek lotosu; przyrównać ją było można do rozwiniętego kwiatu, trudno też było dociec w jakim jest wieku, gdyż nie sprawiała wrażenia ani bardzo młodej, ani starej.

Tak się oto ułożyły stosunki w domu Wanga. Odzyskawszy spokój, Wang czuł się zadowolony z życia, ale raz, gdy późno w noc liczył na palcach, ile mógłby sprzedać ziarna i ryżu, do izby weszła bezszelestnie O-lan. W przeciwieństwie do Lotos, wychudła z wiekiem i pochyliła się, a w mizernej twarzy sterczały kości policzkowe. Gdy się jej zapytano o zdrowie, odpowiadała krótko:

— Czuję ogień w żywocie.

Brzuch miała wzdęty, jakby w nim dźwigała dziecko, lecz pomimo choroby wstawiała o świcie i spełniała swe obowiązki. Wang Lung patrzył na nią równie obojętnie, jak na znajome sprzęty, na krzesła, na drzewa rosnące w podwórzu, w każdym razie z mniejszym zainteresowaniem, aniżeli na wołu, lub na chorą świnię.

O-lan nie skarżyła się nigdy, mówiła zaś bardzo mało i tylko wtedy, gdy musiała odpowiedzieć na

pytania stryjenki, natomiast do Ku-ku nie odzywała się nigdy. Nigdy przez trzy lata nie przekroczyła O-lan progu mieszkania Lotos, a jeśli Lotos zajrzała do innych izb, to się zamykała w swej izbie, i nie wychodziła stamtąd, dopóki jej nie powiedziano: — Już sobie poszła. W milczeniu krzątała się w kuchni. Prała bieliznę w sadzawce, nawet wtedy, gdy zima ścięła powierzchnię wody i trzeba było rozbijać lód motyką. Wang nigdy nie zatroszczył się o żonę, nigdy jej nie zapytał:

— Dlaczego sobie nie zgodzisz do pomocy sługi, albo nie kupisz niewolnicy, starczy nam przecież srebra?...

Na myśl mu nie przychodziło, że wartoby wynająć pomocnicę dla żony, chociaż sam wynajmował parobków do pracy w polu i przy gospodarstwie. Latem wynajmował ludzi do pilnowania gęsi i kaczek, które pływały stadami po zalanych wodą polach.

Gdy O-lan weszła do izby, Wang siedział przy stole, na którym paliły się dwie czerwone świece, w cynowych świecznikach.

— Mam ci coś do powiedzenia — rzekła wreszcie, rzucając niespokojne spojrzenia.

Spojrzał na nią zdziwionym wzrokiem i odpowiedział:

— No, to gadaj.

I znowu pomyślał, że ma szpetną twarz i że już od wielu lat przestała w nim wzbudzać pożądanie.

— Najstarszy syn za często zagląda do mieszkania tamtej — rzekła chrypliwym szeptem. — Chodzi tam, skoro tylko wyjdiesz z domu.

W pierwszej chwili Wang nie uchwycił znaczenia słów, pochylił się więc i rozwarłszy usta, zapytał:

— Co mówisz, kobieto?

Bez słów wskazała głową na drzwi pokoju sy-

na, poczem ściągnęła grube opierzchłe wargi i zerknęła wymownie w stronę mieszkania Lotos. Ale Wang patrzył na nią niedowierzająco.

Sniło ci się, chyba — rzekł w końcu.

Potrząsnęła głową i z trudem wyjąkała:

Powrót kiedy niepostrzeżenie do domu.

A po chwili dodała:

—Lepiej byłoby odesłać go na południe. — Rzekłszy to zbliżyła się do stołu, wzięła filiżankę, wylała zimną herbatę, na wykładaną cegłami posadzkę, poczem nalala świeżej, gorącej herbaty z czajnika i postawiła ją przed Wangiem, a uczynwszy to, odeszła milcząca i cicha do sąsiedniej izby.

Może powoduje nią zazdrość — pomyślał Wang Lung. Nie warto się przejmować tem co mówi. Przecież chłopiec uspokoił się, czas spędza na czytaniu, nie myśli o głupstwach. Uspokojony powstał z krzesła i roześmiał się z urojeń kobiety. Lecz, gdy poszedł w nocy do Lotos, okazała mu dziwną niechęć. Skarżyła się, że się rozpiera na łóżku i zabiera za dużo miejsca. Pchnęła go z całej siły i powiedziała:

— Gorąco mi, a ty cuchniesz. Mógłbyś się umyć, idąc do mnie.

Zniecierpliwiona usiadła na łóżku i odrzuciła niesforne włosy z czoła, a gdy usiłował ją przyciągnąć ku sobie, odsunęła się gwałtownie i nie chciała ulec jego prośbom.

Leżał więc oniemiały i zatroskany i nagle uprzytomnił sobie, że w ostatnich czasach Lotos dziwnie niechętnie ulega jego żądzy. Myślał nieraz, że ją męczy gorąco, teraz jednak przypomniał sobie okrutne słowa O-lan. Zerwał się nagle i rzekł:

— Śpij sobie sama, kiedy mnie nie chcesz. Nie dbam o ciebie.

Wypadł jak szalony z izby i udał się do wewnętrznej izby, a ustawivszy dwa stołki obok siebie,

ułożył się na nich. Nie mógł jednak zasnąć, więc wyszedł z domu i jał się przechadzać pod bambusami, w chłodnym wietrze zwiastującym nadejście jesieni.

Przypomniał sobie nagle, że Lotos wiedziała skądś o tęsknotach starszego syna i zaczął się zastanawiać, skąd się o tem dowiedziała, a także dlaczego od pewnego czasu syn nie wspomina o odjeździe, a wygląda tak, jakby był zadowolony ze swego losu.

— Muszę sam się przekonać, co to wszystko znaczy — mruknął do siebie. Kiedy nadszedł świt, wrócił z powrotem do domu i zjadł ranny posiłek, poczem udał się w pole, by doglądać ludzi, jak to zwykł był czynić w okresie żniw i siewby. Chodząc tu i ówdzie krzyczał głośno, tak, żeby go każdy mógł słyszeć:

— Pójdę teraz na pole, przylegające do miejskich murów. Wrócę późno.

Uszedłszy jednak połowę drogi, dzielącej go od owego pola usiadł na skraju drogi, na opuszczonej mogile i zaczął skubać trawę, kręcąc ją w palcach. Naprzeciwko niego wznosiła się niewielka świątynka boga ziemi. Małe gliniane bożki budziły w nim ongiś lęk i szacunek, dzisiaj nie dbał o nie, bo czuł się pewny swego i zamożny. Mógł się obejść bez pomocy bożków.

— Może już czas wracać — powtarzał sobie chwilami.

Znowu przypominał sobie, że Lotos odepchnęła go w nocy. Gdy pomyślał, ile na nią wydał pieniędzy i jak wiele dla niej uczynił, ogarnęła go złość.

— Wiem, że już nie jest młoda — szepnął do siebie. — Nie byliby jej długo trzymali w herbaciarni. U mnie znalazła schronienie, jest dobrze odżywiana, otrzymuje piękne stroje...

Zerwał się z mogiłki i pobiegł do domu. Gnała

go złość. Nie chcąc zwracać na siebie niczyjej uwagi zaszedł do domu od tyłu, niepostrzeżenie wślizgnął się do mieszkania i ukrył się za zasłoną, odgradzącą wewnętrzne izby od podwórka Lotos. Uszów jego dobiegł stłumiony szept. Wang poznał głos swego syna.

Po raz pierwszy w życiu poczuł straszną złość, złość do człowieka, który usiłuje mu ukraść ukochaną kobietę. Gdy sobie przytem uświadomił, że tym człowiekiem jest jego rodzony syn — zaczęło go dławić w gardle. Wang Lung nie był już dzisiaj łagodnym, cichym prostaczkiem. Z latami wyzbył się nieśmiałości; pieniądze dodały mu odwagi. Nie raz unosił się z błahych powodów gniewem, nie był to jednak ten sam gniew, jaki nim teraz wstrząsał.

Zacisną zęby, żeby nie krzyczeć i wyszedłszy na dwór wybrał giętki pęd bambusu, zakończony gałązkami, twardymi jak powrozy. Odcinał go i oderwał od niego liście. Następnie zakradł się chyłkiem, do domu i nagłym ruchem zerwał zasłonę.

Na podwórku przed sadzawką siedziała na niskim stołeczku Lotos, strojna w jedwabny kaftan, barwy dojrzałej brzoskwini. Obok niej stał syn Wang a i patrzył pożądliwie na nią. Lotos nigdy się nie ubierała w taki odświętny strój, o świcie.

W pierwszej chwili nie zauważyli Wang a i w dalszym ciągu prowadzili wesolą pogawędkę. Kobieta śmiała się i zerknęła figlarnie na chłopca. Wang Lung stał jakby wrośnięty w ziemię, śmiertelnie blady, z rozwartymi ustami, zaciskając dłoń na bambusowym kiju. Tamci zaś nie słyszeli jego oddechu i nie przeczuwali nic złego. Zauważyła go dopiero Ku-Ku i wrzasnęła wielkim głosem.

Wang dał susa, rzucił się na syna i zaczął go okładać kijem. Chłopak był wyższy od ojca, za to Wang miał więcej siły, więc walił w syna, aż mu się krew puściła z rany. Lotos usiłowała powstrzymać

Wanga, lecz ją odepchnął, — nawet zamierzył się na nią i póty ją bił, aż uciekła, poczem znowu wrócił do syna. Wreszcie chłopak usunął się bezwładnie na ziemię i ukrył poranioną twarz w dłoniach.

Wangowi opadły ręce. Pot mu spływał z czoła, z rozchylonych warg wydobywał się świszczący oddech. Odrzucił pałkę i wykrztusił z trudem:

— Wracaj do siebie. A żebyś mi nie śmiał wyjść stamtąd, bo cię zabiję.

Chłopak podniósł się z ziemi i powłókł się bez słowa, do mieszkania rodziców.

Wang Lung opadł ciężko na stół, na którym przed chwilą siedziała Lotos i, ukrywszy twarz w dłoniach, zamknął oczy. Siedział tak przez dłuższą chwilę, oddychając ciężko. Nikt nie śmiał podejść do niego. Wreszcie, gdy się uspokoił, podniósł się ze stołka i wyszedł z podwórka.

Lotos leżała na łóżku, płacząc głośno. Słyszając jej łkanie Wang zawrócił i zatrzymał się na progu. Stał tak w milczeniu, i patrząc na jej twarzyczkę, na której czerwieniały ślady uderzenia.

— Byłaś i pozostałaś dziewczką — rzekł wreszcie, patrząc na nią smutnie. — Dobierasz się teraz do moich synów...

— Nic podobnego! — uniosła się Lotos. — Chłopiec był taki osamotniony. Przyszedł raz do mnie, ale niech Ku-Ku zaświadczy, że nigdy nie przekroczył progu mojego pokoju. Widywaliśmy się na podwórku.

Mówiąc to, obrzuciła go trwożnem spojrzeniem i wyciągnęła rękę, a ujawszy jego dłoń przyciągnęła ją ku sobie i przyłożyła ją do zaczerwienionego policzka.

— Popatrz coś zrobił swojej biednej Lotos — skarżyła się płaczliwym tonem. — Nikogo nie kocham, prócz ciebie. Twój syn nic mnie nie obchodzi. Traktuję go tylko, jak twego syna...,

Podniosła nań wielkie oczy, pełne łez, a Wang Lung mruknął gniewnie, bo sobie nagle uświadomił, że nigdy nie zdoła się oprzeć urokowi pięknej kobiety i że będzie ją kochać, naprzekór rozumowi. I pojął nagle, że woli nieświadomość od prawdy, że nie chce wiedzieć, co zaszło między tymi dwojgiem, i że lepiej będzie dla niego, gdy się o tem nigdy nie dowie. Wyszedł więc, mamrocząc niezrozumiałe słowa. Przechodząc obok izby syna, krzyknął, nie wchodząc do wnętrza:

— Pakuj manatki, jutro odjedziesz na południe. Idź, gdzie cię oczy poniosą i nie pokazuj mi się w domu, dopóki cię sam nie zawezwę.

W środkowej izbie siedziała O-lan. Zajęta była szyciem odzieży dla męża. Nie odezwała się ani słowem. Może i słyszała odgłosy kłótni i razów, zadawanych synowi, ale udała, że nie wie o niczem, zaś Wang wyruszył w pole i przez dzień cały krzątał się w blaskach słońca, nie przerywając pracy ani na chwilę.

XXV.

Gdy starszy syn odjechał na południe, zdało się Wang Lungowi, że się pozbył kogoś, kto wносił do domu bezład i niepokój. Powtarzał sobie co chwila, że tak jak się stało, stało się dobrze, gdyż młodzieniec odniesie korzyść z pobytu na południu, rodzice zaś będą mogli zająć się losem młodszych dzieci. Do tej pory Wang był tak zajęty własnymi troskami i pracą na roli, że chwilami zapominał, iż ma jeszcze, oprócz starszego syna, kilkoro dzieci, któremi trzeba się zająć. Postanowił jednak odebrać niezadługo młodszego syna ze szkoły. Odda go na praktykę do kupca, nie będzie czekać aż go ogarnie

niepokój, związany z okresem dojrzewania, kiedy to dorastający dzieciak staje się zmorą rodziny.

Ale młodszy syn Wang Lunga nie był podobny do starszego brata. Tamten był wysoki, grubokosty i barczysty, miał pospolitą twarz ludzi z północy i przypominał matkę, zaś młodszy chłopak był szczupły i niski i żółtolicy. Po ojcu odziedziczył bystre, przenikliwe i wesołe oczy.

— Ten przynajmniej będzie porządnym kupcem — myślał Wang. — Zabiorę go ze szkoły. Kto wie, może się przyda na rynku zbożowym. Miałbym wygodę, gdyby mój syn przebywał tam stale. Byłby mi pomocą podczas sprzedaży plonów, pilnowałby i obliczałby zyski, na moją korzyść.

Więc pewnego razu zawołał Ku-ku i przemówił do niej w te słowa:

— Idź do ojca narzeczonej mojego syna i powiedz mu, że muszę się z nim rozmówić. Moglibyśmy się gdzieś spotkać i wypić szklankę wina, przecież niezadługo zmiesza się jego krew z moją krwią w jednym naczyniu...

Ku-ku spełniła zlecenie i wróciła niebawem.

— Gotów jest zobaczyć się z tobą, kiedy zechcesz. Może zechciałbyś przyjść na szklankę wina dziś jeszcze, w południe; albo jeśli wolisz, to on się zjawi u ciebie.

Lecz Wang Lung nie chciał wpuszczać do domu zbożowego kupca, musiałby bowiem zgotować dla niego przyjęcie. Ubrał się tedy w odświętny strój i wyruszył naprzelaj przez pole. Naprzód poszedł na ulicę Mostów i zatrzymał się przed bramą, noszącą napis Liu. Domyślił się, że to właśnie ta brama, gdyż znał ją z opisu Ku-ku. Zresztą jakiś przechodzień przetłumaczył mu napis. Brama była zrobiona z solidnych belek. Wang uderzył w nią dłonią. Niebawem drewniane odrzwia uchyliły się, a

na progu ukazała się służąca. Przybiegła prosto od roboty, gdyż wycierała w fartuch mokre ręce, pytając, czego gość sobie życzy. Powiedział jak się nazywa, a ona przyjrzała mu się z zaciekawieniem, po czem wprowadziła go do pierwszego podwórca, do domu zamieszkałego przez mężczyzn, a wprowadzwszy go do pokoju poprosiła, by chwilę poczekał. I znowu obrzuciła go badawczem spojrzeniem, gdyż wiedziała już, że ma przed sobą przyszłego teścia swej panienki. Po chwili dopiero udała się wgląb mieszkania i oznajmiła gospodarzowi przybycie gościa.

Wang Lung rozglądał się bacznie, pomacał zasłony wiszące na drzwiach, przyjrzał się drewnianemu stołowi, i uspokoił się, gdyż w domu panował dobrobyt, nie rzucający się zresztą w oczy. Nie chciał Wang zbyt bogatej synowej, która będzie zadzierać nosa, złościć się o byle co, naprzykrzać o jedzenie, o przysmaki i kosztowne stroje...

Nagle usłyszał ciężkie kroki. Do pokoju wszedł tęgi, niemłody mężczyzna i skłonił się Wangowi w milczeniu. Wang odpowiedział mu ukłonem, po czem obaj przyjrzelili się sobie ukradkiem. Odrazu przypadli sobie do gustu, bo się wydali sobie wzajemnie ludźmi zamożnymi... Następnie zajęli miejsca i zaczęli pić grzane wino, które podała im służąca.

Z początku rozmowa toczyła się na temat zbiorów i cen, a zwłaszcza na temat przypuszczalnej ceny ryżu w nowym roku, ale wkońcu Wang Lung przystąpił do rzeczy:

— A ja tutaj przyszedłem w pewnej sprawie, ale jeżeli nie chcecie o tem mówić, to mówmy o czem innem. — Chciałbym umieścić u was syna na praktyce.

— A mnieby się właśnie przydał taki młody pomocnik — odpowiedział wesół kupiec. — Jeśli wasz

chłopiec umie czytać i pisać, to będzie jak znalazł dla mnie.

Wang Lung odrzekł z dumą.

— Obydwaj moi synowie są pilnymi uczniami, każdy z nich potrafi zauważyć błąd i poprawić źle napisaną literę.

— A to dobrze — odparł Liu. — Niechże przyjdzie do mnie, kiedy chcecie. Spoczątku dostanie tylko pełne utrzymanie, bez pensji. Dopiero gdy się zaznajomi z robotą dostanie sztukę srebra co miesiąc, a gdy miną trzy lata, to mu płacić będę po trzy sztuki srebra. Przestanie być wtedy praktykantem, a będzie mógł już nieźle zarabiać, jeżeli się okaże zdatny do interesu. Zresztą oprócz wynagrodzenia może mieć uboczne zyski, jeśli potrafi wyciągać napiwki od kupców i sprzedawców. Zezwalam na to zawsze. A że obiedwie nasze rodziny połączą się niebawem przez małżeństwo naszych dzieci, więc nie wymagam od was kaucji.

Uradowany Wang Lung powstał z krzesła i zaśmiał się głośno:

— Ano, więc jesteście przyjaciółmi. Może macie jeszcze syna dla mojej córki?

Kupiec również roześmiał się hałaśliwie, był bowiem tłusty i dobrze odkarmiony.

— Mam dziesięcioletniego syna, który nie ma jeszcze narzeczonej. A ile lat ma wasza córka?

— Będzie miała niedługo dziesięć lat — odpowiedział ubawiony Wang Lung. — A ładny z niej kwiatuszek.

Teraz obydwaj wtórowali sobie wzajemnie śmiechem, a kupiec dodał:

— Czy chcecie żebyśmy się związali podwójnym węzłem?

Wang Lung tym razem nie odrzekł nic, bo nie uchodziło o tych sprawach mówić zbyt wiele bez

świadków. Skoro jednak pożegnał kupca, pokłoniwszy mu się kilka razy i wyszedł na ulicę, mruknął pod nosem: — To się da zrobić. Wróciwszy zaś do domu przyjrzał się młodszej córce i utrwalił się w przekonaniu, że jest ładną dziewczynką. Matka starannie jej skrępowała nóżki, więc już teraz dziecko stawiało drobne krociki, kołysząc się na stopkach. Przypatrując się jej bacznie dostrzegł na jej pończkach ślady łez. Dziewczynka wyglądała dziwnie blado, a wzrok miała smętny, przyciągnął ją więc ku sobie za maleńką rączkę i zapytał:

— Powiedz mi, dlaczego płakałaś?

Dziewczynka zaczęła w zakłopotaniu kręcić guzik u kaftanika i wyjąkała nieśmiało.

— Matka mi obwiązuje nogi szmatą, coraz ciśniej. Boli mnie... Nie mogę spać, tak mnie boli...

— A ja nigdy nie słyszałem twojego płaczu — zauważył ojciec.

— Nie płakałam, bo matka mówiła, żeby nie hałasować, bo ojciec nie powinien się martwić. Mówiła także, że ojciec nie lubi patrzeć, gdy ktoś płacze, powiedziałaby zaraz, żeby zostawić moje nogi w spokoju, toby było niedobrze, boby potem mąż mnie nie kochał. I matka mówiła jeszcze, że ojciec jej nie kochał dlatego, że miała duże nogi.

Wyrecytowała to wszystko jednym tchem, jak dziecko, które powtarza wyuczoną bajkę. Każde słowo raniło boleśnie Wang Lunga.

— A ja dzisiaj słyszałem o ślicznym mężu dla ciebie, córuchno. Może Ku-ku załatwi to pomyślnie.

Dziewczynka uśmiechnęła się i opuszczała główkę na piersi, zapłoniła się przytem jak dorosła kobietka. Tegoż wieczora zawołał Wang Lung Ku-ku i powiedział:

— Sprawdź, czy toby się dało załatwić.

W nocy poszedł do Lotos, ale sen miał niespokojny. Co chwila przypominał sobie O-lan. Myśli

jego krążyły wokoło kobiety, która była jego pierwszą miłością, a potem stała się wierną niewolnicą i sługą. Wspominając słowa dziecka odczuwał niewypowiedziany smutek, gdyż zrozumiał, że O-lan, pomimo swej pozornej tępoty, przejrzała go na wskroś.

Po upływie kilku dni odesłał syna do miasta i podpisał umowę, mocą której druga córka zaręczyła się z synem kupca zbożowego. Ustalono też wysokość posagu i ilość podarunków ślubnych, sukien i klejnotów. Załatwiwszy wszystkie formalności Wang Lung uspokoił się.

— Zabezpieczyłem byt dzieciom. Najmłodszego synka zatrzymam w domu, nie będzie chodzić do szkoły, przyda mi się w polu. Dwóch chłopców umie czytać — to starczy. A moja biedna mała niemowa pozostanie również w domu, bo przecież nie potrafi biedactwo nic innego robić, jeno skubać szmatki.

Dumny był, że ma trzech synów, z których jeden będzie uczonym, drugi kupcem, a trzeci rolnikiem. Mógł teraz zająć się własnymi sprawami i przestać się troszczyć o los dzieci. Jednakże nie mógł się uwolnić od natrętnej myśli o kobiecie, która mu dała synów.

Po raz pierwszy od lat Wang Lung zaczął się zastanawiać nad O-lan. Nigdy tak o niej nie myślał, nawet wówczas, gdy ją wprowadzał do domu. I zdało mu się, że dotychczas życie jego wypełnione było wielu sprawami, które odrywały jego myśl od żony. Teraz dopiero, gdy zapewnił byt dzieciom i przestał się niepokoić o Lotos, (od czasu jak ją zbił okazywała mu zupełną uległość) mógł zacząć myśleć o tem, co go naprawdę obchodzi. A więc zaczął myśleć o O-lan.

Już nie patrzył na nią teraz, jak na szpetną i żółtolicą kobietę. Wzbudzała w nim uczucie niepokoju, coś jakby wyrzuty sumienia, ujrzał bowiem, że

ogromnie wychudła i że ma pomarszczoną i zwiotczałą skórę. Była przecież ongiś zdrową, ogorzałą kobietą o twardych ciemnych włosach. Od lat jednak przestała wychodzić w pole, chyba w okresie żniw, gdyż Wang nie chciał narażać jej na przycinki ze strony wieśniaków, którzy mogliby kpić z niego, że posyła żonę w pole, chociaż jest bogatym ziemianinem.

Nie zastanawiał się nigdy, dlaczego O-lan chętnie przebywa w domu, dlaczego chód jej staje się z latami powolniejszy. Dzisiaj dopiero przypomniał sobie, że nieraz O-lan stęka, wstając z łóżka, ale gdy mąż zapyta ją: „co ci jest“, milknie natychmiast. Od dłuższego czasu ma dziwnie obrzmiały brzuch. Uświadomił to sobie nagle i poczuł znowu wyrzuty sumienia.

— Nie moja to wina — szepnął do siebie, na pocieszenie — że nie kochałem jej tak, jak się kocha nałożnicę. Ale przecież nie biłem jej nigdy i nie odmawiałem srebrnych monet, gdy o nie prosiła.

Nie mógł jednak zapomnieć słów córeczki, chociaż powtarzał sobie wkółko, że był zawsze dobrym mężem, lepszym od wielu innych.

Nie mogąc uwolnić się od natrętnej myśli, patrzył na żonę częściej, przyglądał się jej z zaciekawieniem, gdy mu podawała jadło. Pewnego razu, gdy po spożyciu posiłku zabrała się do zamiatania czerwonej, ceglanej podłogi, twarz jej nagle poszarzała, jakby pod wpływem bólu. Z rozchylonych warg O-lan wydobył się cichy jęk, a ręce jej przycisnęły wzdęty brzuch.

— Nic takiego — odpowiedziała miękko. — Znowu mnie boli...

Wang spojrział na nią badawczo, a zwracając się do młodszej córki, zawołał:

— Weź miotłę i zamieć podłogę, bo matka chora. — I dodał łagodnym głosem: — O-lan idź się

położyć. Każę dziewczynie przynieść gorącej wody. Nie wstawaj.

Bez słowa skierowała się posłusznie wgłąb mieszkania, ciągnąc nogami. Po chwili usłyszał jak się porusza na łóżku i jęczy cicho. Słuchanie tego żalosnego jęku sprawiało mu nieznośny ból. Wstał więc i poszedł do miasta. Jeden z pisarczyków na rynku zbożowym wskazał mu sklep doktora. Doktor siedział bezczynnie przy stole, na którym stała filiżanka z herbatą. Był to stary człowiek, z długą brodą, w okularach oprawnych w miedź. Te okulary podobne były do oczów sowy. Brudna, popielata szata zakrywała go tak dokładnie, że nawet ręce ginęły w jej fałdach. Gdy mu Wang Lung opisał objawy choroby żoninej, ściągnął wargi, otworzył szufladę i wydobyl z jej wnętrza czarne zawiniątko.

— Zaraz tam przyjdę — oświadczył kiótko.

Skoro przybyli do domu, zastali O-lan, pogrążoną we śnie. Na jej górnej wardze błyszczały kropelki potu. Doktor wyciągnął żółtą, pomarszczoną małpią rękę i dotknął jej tętna, poczem potrząsnął głową i rzekł poważnie:

— Śledziona znacznie powiększona, wątroba także chora. W brzuchu jest kamień wielki, jak ludzka głowa. Żołądek rozluźniony. Serce ledwie bije. Spewnością są w niem robaki.

Słyszac to poczuł Wang, że mu serce zatrzymuje się w piersiach.

— Dajcież jakie lekarstwo! — wykrzyknął gniewnie.

Tymczasem O-lan otworzyła oczy i spojrzała na nich sennym wzrokiem, nie rozumiejąc co się dzieje.

— Trudna to sprawa — ciągnął dalej stary lekarz. — Jeżeli nie zależy wam na zupełnem wyleczeniu, to poproszę tylko o dziesięć sztuk srebra, a wzamian za to dam wam przepis na ziółka. Trzeba do nich wrzucić suszone serce tygrysa i ząb psa.

Jeżeli jednak chcecie mieć gwarancję, że wyleczę ją zupełnie, to musicie zapłacić pięćset sztuk srebra.

O-lan usłyszała ostatnie słowa lekarza. To ją ocknęło.

— Życie moje nie jest warte tylu pieniędzy — rzekła z wysiłkiem. — Za pięćset sztuk można kupić spory kawał ziemi.

Lecz Wang Lung, jakby pod smagnięciem bąta wyprostował się i rzekł dumnie:

— Nie chcę wpuszczać śmierci do mojego domu. Zapłacę ile chcesz.

Małe oczka doktora zabłyśły pożądliwie, ale znał on zbyt dobrze prawo, które każe surowo lekarza, co nie dotrzymał słowa i nie uratował życia pacjentowi, bo rzekł nagle smętnym głosem:

— Widzę, żem się pomylił. Wystarczy spojrzeć na białka jej oczów. Jeśli mam obiecać, że ją uratuję, to musiałbym dostać pięć tysięcy.

Wang Lung obrzucił wzrokiem doktora i zamilkł. Nie miał w domu tyle pieniędzy — musiałby chyba sprzedać ziemię, wiedział jednak, że i toby się na nic nie zdało, bo lekarz chciał najwidoczniej rzec: — „Kobieta wasza umrze“.

Wyszedł tedy z lekarzem z izby i wypłacił mu dziesięć sztuk srebra, a kiedy się z nim rozstał, wrócił do ciemnej kuchni, gdzie O-lan spędziła większą część życia i gdzie teraz nikt nie zachodził — i, odwróciwszy twarz do poczerniałej ściany, zapłakał.

XXVI.

Śmierć miała kłopot z O-lan. O-lan nie była jeszcze stara. Życie nie chciało dać się wypędzić z jej ciała. Spoczywała więc w szponach choroby przez szereg miesięcy. Teraz dopiero Wang i jego dzieci zrozumieli, że dzięki niej wiedli dostatni i wy-

godny tryb życia, nie zdając sobie sprawy, czyją to było zasługa.

Zdawało się teraz, że nikt nie potrafi podpalić wiązki trawy i dopilnować ognia w piecu, nikt nie umie upiec ryby w garnku, tak, by się nie przypaliła i nikt nie wie, co lepsze do smażenia: olej z soi, czy z siemienia.

Przed stołem w izbie jadalnej wały się resztki jedzenia i okruchy chleba, nikt nie sprzątał śmieci, dopóki Wang nie przywołał psa z dworu, żeby zlizzał cuchnące resztki, albo nie poprosił młodszej córki, żeby je wyrzuciła.

Stary ojciec nie mógł pojąć, dlaczego O-lan nie przynosi mu rano herbaty i gorącej wody, nie pomaga mu zwlec się z łóżka. Wzywał ją gniewnym głosem, a gdy najmłodszy wnuk podawał kubek z wodą, to wylewał herbatę na ziemię, jak psotne dziecko. Wreszcie zaprowadził Wang staruszka do izby, w której leżała O-lan. Stary spojrzął na nią na pół ślepymi oczami, powleczonego bielnem i zaczął popłakiwać, bo odczuł, że stało się coś złego.

Tylko mała niemowa nie zdawała sobie z niczego sprawy i w dalszym ciągu uśmiechała się, kręcąc w paluszkach koniec szmatki. Trzeba było i o nią się troszczyć, układać ją do snu i żywić, prowadzić na słońce w pogodne dni i przyprowadzać spowrotem do domu gdy padał deszcz. Musiał ktoś o tem myśleć. Tymczasem nawet Wang zapominał o małej, a raz zostawiono ją na dworze na noc. Biedactwo drżące z zimna leżało skulone i zapłakane, na progu domu. Wang skłął synów i córkę, zato, że zapomnieli o siostrze, ale przebaczył im, bo trudno dzieciom zastąpić matkę. Sam więc czuwał nad niemową, a gdy padał deszcz lub śnieg przyprowadzał ją do wewnętrznej izby i usadawiał na ciepłym popiele, co się sypał z pieca.

Przez całą zimę O-lan spoczywała na łożu bo-

leści. Wang Lung przestał zajmować się polem. Wy-
ręczał go Czing, który pracował sumiennie i doglą-
dał robotników, a każdego ranka zaglądał do izby
O-lan i zapytywał świergotliwym szeptem, jak się
miewa. Wreszcie obrzydło to Wangowi, gdyż zmu-
szony był odpowiadać wiecznie jedno i to samo:
— „Dzisiaj wypika trochę rosołu z kury“ — albo —
„zjadła trochę kleiku z ryżu“, zabronił więc Czin-
gowi zapytywać o zdrowie O-lan.

Nieraz siadał Wang Lung przy łóżku żony, a
jeśli w izbie było zimno, sam rozpalał węgle w gli-
nianym garnku i stawiał go obok łóżka.

— Wyrzucasz pieniądze — szeptała O-lan.

Pewnego dnia nie mógł już znieść dłużej tego
wszystkiego i wykrzyknął z rozpaczą w głosie:

— Nie zniosę już tego! Sprzedałby wszystką
ziemię, żeby tylko cię uzdrowić.

Uśmiechnęła się doń i wyjąkała:

— Nie... Nie pozwoliłabym ci... Bo ja muszę
przecież umrzeć kiedyś, prędzej czy później. A zie-
mia mnie przetrwa...

Nie chciał myśleć o jej śmierci, więc ilekroć
o niej mówiła, wychodził z izby.

Nie wątpił już jednak, iż O-lan skazana jest
na śmierć, więc zawczasu poszedł do sklepu z trum-
nami i obejrzał dokładnie trumny, wystawione na
sprzedaż. Wybrał najmocniejszą, wykonaną z twar-
dego, grubego drzewa. Stolarz, który przyglądał się
klientowi, zauważył chytrze:

— Lepiej wziąć odrazu dwie. Będzie taniej. Dla-
czego nie mielibyście kupić i dla siebie?

— Moi synowie pomyślą o tem — odparł Wang
Lung. Ale nagle przypomniał sobie, starego ojca, dla
którego dotychczas nie przygotował trumny.

— Macie rację — dodał. — Mam przecież sta-
ruszka ojca. Umrze lada dzień. Ledwo się trzyma na

nogach, nie dosłyszysz już i nie dowidzi. Macie rację, trzeba kupić dwie trumny.

Stolarz obiecał, że je pomaluje na piękny czarny kolor i odeśle do domu. Po powrocie Wang Lung zdał sprawę O-lan z dokonanego zakupu, a O-lan wyraziła radość, iż mąż zajął się tem i zapewnił jej przyzwoity pogrzeb.

Przesiadywał więc Wang Lung całymi dniami, u łóżka żony. Zazwyczaj nie odzywali się do siebie, gdyż O-lan czuła się osłabiona, zresztą i za dawnych czasów nie odznaczali się gadatliwością. O-lan zapominała, gdzie się znajduje i bredziła o swoim dzieciństwie. Wang Lung po raz pierwszy w życiu miał sposobność zajrzeć wgłąb serca żony. Z ust jej padały oderwane, napozór niezrozumiałe słówka, z których układała się całość.

— Przyniosę jadło i postawię je na progu... Wiem dobrze, że jestem szpetna i nie mogę stanąć w obliczu księcia...

A po chwili, dysząc ciężko dodawała: — Nie bij mnie!... Nigdy już nie skosztuję tych potraw...

Innym razem powtarzała wkółko: — „Mój ojciec... matko... Mój ojciec... Moja matko! Wiem dobrze, że jestem brzydka, że mnie nie można /kochać...”

Wang Lung nie mógł spokojnie słuchać tych zawodzeń, chwycił ją za rękę i pocieszał. Ręka O-lan była ciężka i sztywna, jak ręka nieboszczki. Słowa wypowiedane przez O-lan raniły Wanga boleśnie. Czuł się winny wobec niej, bo nawet, gdy ją ujmował za rękę i wysilał się na serdeczność zdawał sobie sprawę, że w głębi duszy nie czuje dla żony tej tkliwości, którą budziła w nim Lotos. Trzymając w dłoni sztywniejącą rękę umierającej żony nie mógł się zdobyć na gorętszy odruch, bowiem O-lan i teraz budziła w nim odrazę, starał się więc nadrabiać brak miłości braterską serdecznością. Kupował żonie

przysmaki, kazał przygotowywać dla niej delikatną zupę z ryby i młodej kapusty. Przestał też odwiedzać Lotos, bo nawet w obecności nałożnicy nie mógł się uwolnić od przykrego wspomnienia, a gdy trzymał w objęciach Lotos — myślał o tamtej.

Czasami O-lan budziła się z drzemki i odzyskiwała na chwilę przytomność. Raz nawet kazała zawołać Ku-ku, co też Wang uczynił, nie tając zdziwienia. Gdy Ku-ku stanęła w pobliżu łóżka, O-lan dźwignęła się, na drżących z osłabienia rękach i przemówiła z trudem, ale wyraźnie:

— Mogłaś sobie przebywać w komnatach starego księcia... mogłaś uchodzić za piękną, ale ja zato byłam prawowitą żoną i urodziłam mężowi synów, a ty pozostałaś nędzną niewolnicą.

Ku-ku chciała odrzec coś złośliwego, lecz Wang wyprowadził ją zaraz z izby, mówiąc:

— Ona nie wie, co mówi...

Pozbywszy się Ku-ku, porwócił do żony, która siedziała na łóżku, wspierając głowę, na wychudłej ręce.

— Gdy umrę, nie chcę, by „ta“ i jej pani wchodziły do mojej izby i dotykały moich rzeczy. Jeśli ośmielą się to uczynić, to moja dusza wróci na ziemię i przeklnie je.

Rzekłszy to, opadła ciężko na poduszki.

Pewnego dnia, na krótko przed Nowym Rokiem, w stanie zdrowia O-lan nastąpiła nagle poprawa. Usiadła o własnych siłach na łóżku i zaczesła sobie włosy, a następnie zażądała herbaty. Do izby wbiegł Wang Lung.

— Zbliża się Nowy Rok — przemówiła do męża. — W domu nie ma ani ciastek, ani mięsa, ale ja sobie wszystko obmyśliłam. Nie chcę, żeby ta niewolnica plątała się w kuchni, więc postanowiłam zawezwać moją przyszłą synową. Nie znam jej, więc

niechaj tutaj przyjdzie, to jej powiem, czego od niej
wymagam.

Wang Lung z radosnem wzruszeniem patrzył na
żonę i cieszył się, że odzyskała siły. Wprawdzie nic
go nie obchodziły święta noworoczne, lecz chcąc się
przypodobać żonie, posłał Ku-ku do miasta po córkę
kupca zbożowego. Liu, który stale odwlekał wesele,
zgodził się teraz przyśpieszyć jego termin, gdyż Ku-
ku zapewniła go, że O-lan nie przeżyje zimy, a dziew-
czyna ma już szesnaście lat, jest więc starsza od nie-
jednej mężatki.

Z powodu choroby O-lan nie obchodzono hucz-
nie wesela. Tragarze przynieśli w lektyce pannę
młodą, której towarzyszyły tylko matka i stara słu-
żąca. Matka przedstawiła córkę O-lan, poczem zaraz
wróciła do domu, pozostawiając służącą.

Synowa otrzymała do dyspozycji pokój, w któ-
rym do niedawna sypiali chłopcy. Wang Lung, zgo-
dnie z obyczajem, nie odzywał się do narzeczonej
syna, a na ukłony jej odpowiadał milczącym pochy-
leniem głowy. Był jednak rad z wyboru, gdyż dziew-
czyna zachowywała się poprawnie i krzesała się po
domu, nie podnosząc oczów na nikogo. Nie była
brzydka, ale też nie była tak ładna, żeby się szczycić
swą urodą. Często zachodziła do izby O-lan i dogła-
dała jej. Ciężar spadł z serca Wangowi, gdyż miała
teraz O-lan życzliwą opiekunkę, w osobie przyszłej
synowej.

O-lan również była zadowolona, ale po upływie
trzech dni wezwała Wanga i oznajmiła, że jest coś
jeszcze do załatwienia przed jej śmiercią.

— Jeśli nie chcesz mnie rozgniewać, to nie mów
o swojej śmierci! — zachnął się Wang Lung.

Na pożółklej twarzy O-lan pojawił się blady
uśmiech, ale oczy jej pozostały bez wyrazu.

— Muszę umrzeć, bo śmierć siedzi w mym ży-
wocie i czeka, nie chcę jednak umrzeć, zanim naj-

starszy syn nie wróci do domu i nie zaślubi tej pocciwej dziewczyny, którą wybraliśmy na synową, a która tak pieczołowicie mnie dogląda. Potrafi ona trzymać miskę z gorącą wodą i nie uрониć ani kropli, wie kiedy trzeba wytrzeć moją spotniałą twarz... Ona jest dobra. Chcę, żeby wrócił nasz syn i zaślubił ją, zanim umrę. Lżej mi będzie umierać widząc, że się tchnęło życie w twego wnuka...

Nawet będąc zdrowa O-lan nie mówiła nigdy tak wiele, ani tak mocnym głosem. Radość rozlała się w sercu Wang Lunga, a chociaż wolałby urządzać wesele w innych okolicznościach, z większym splendorem, nie sprzeciwił się O-lan, gdyż nie chciał jej gniewać.

— Dobrze, dobrze, będzie, jak zechcesz — odrzekł ciepło — dzisiaj jeszcze wyślę posłańca, na południe. Odszuka naszego syna i sprowadzi go do domu. Ale musisz mi obiecać, że nabierzesz sił i odzyskasz zdrowie, bo dom bez ciebie jest jak nora dla zwierząt.

Mówił tak, żeby jej sprawić przyjemność. O-lan nie odpowiadała, ale słowa Wangu sprawiły jej widocznie radość, gdyż leżała z zamkniętymi oczami i uśmiechała się błogo.

Tegoż dnia Wang wysłał na południe zaufanego człowieka.

— Powiedz paniczowi, że matka umiera i że duch jej nie odzyska spokoju, zanim go nie ujrzy zaślubionego córce zbożowego kupca. Jeżeli syn ceni dom rodzinny, matkę i ojca, po powinien wrócić zaraz, bo za trzy dni, licząc od dnia dzisiejszego, wszystko będzie przygotowane na jego wesele i przybędzie wielu gości.

Istotnie nakazał Wang Lung niewolnicy Ku-ku zająć się przygotowaniem uczyty weselnej. Poleciał jej też wynająć do pomocy kucharzy z herbaciarni.

— Musi być wszystko tak, jak w domu księżę-

cym — oświadczył jej na zakończenie. — Pamiętaj, że nie pożaluję srebra.

Następnie udał się do wsi i sprosił gości, w mieście zaś zawiadomił o weselu znajomych z herbarciarni i z rynku zbożowego, prosząc, by wzięli udział w uczcie. Zwrócił się też do stryja z propozycją, by zaprosił przyjaciół swoich i syna na wesele.

Uczynił to wiedziony lękiem, gdyż od czasu odkrycia zawodu stryja odnosił się do niego z szacunkiem.

W wilję wesela przybył do domu najstarszy syn Wang Lunga. Wpadł do izby, gdzie stał ojciec, a Wang w jednej chwili zapomniał o wszystkim, co ich ongi poróżniło. Minęło bowiem dwa i pół lat od owego czasu. Chłopiec wyrósł na wysokiego, barczystego mężczyznę. Mia dużą, gładką twarz, krótkie czarne włosy, natarte oliwą. Ubrany był w długą, czerwoną szatę z atlasu, który dostać można tylko w sklepach na południu i w czarny, aksamitny kaftan, bez rękawów. Serce Wanga zadrgało dumą. Oto stoi przed nim jego pierworodny... Ujął go więc za rękę i zaprowadził do matki.

Młodzieniec usiadł na stołku przy łóżku i popatrzał na matkę bez słów. W oczach jego lśniły łzy. Opanował się jednak i powiedział wesoło:

— Ależ matka wygląda znacznie lepiej! Daleko jej do śmierci...

O-lan na to odparła:

— Chcę widzieć twoje wesele, żeby spokojnie umrzeć.

Ponieważ dziewczyna przeznaczona na żonę nie może aż do dnia ślubu oglądać oblicza swego przyszłego, więc Lotos zabrała ją do swego mieszkania, żeby ją przysposobić do wesela. Nikt lepiej nie potrafiłby tego uczynić niż Lotos, Ku-ku i żona stryja. W dniu ślubu obmyły całe jej ciało w gorącej wodzie, skrępowwały jej stopy nowiutkimi, białymi taś-

mami, a Lotos wtarła jej w ciało wonny migdałowy olejek. Potem ubrały ją w stroje, które przywiozła ze sobą z domu. Na nagie ciało włożyły jej szatę z kwiecistego jedwabiu, a na to lekki wełniany kaftan, z cienkiej kręcącej się wełny, wreszcie, czerwoną atlasową szatę weselną. Lotos natarła jej włosy gliną i wyrwała jej grzywkę, która świadczy o dziewczym stanie. Czoło mężatki musi być wysokie, gładkie i kwadratowe. Z pomocą szczoteczki wydłużyła jej brwi, pomalowała czerwienią i bielidłem drobną twarzyczkę, a na głowę włożyła jej koronę ślubną i naszywany paciorkami welon, zaś małe nóżki obuła w haftowane pantofle. Nie zapomniały też ubarwić jej palców i dłoni. Dziewczynka była posłuszna, ale jak przystało na skromną panienkę zachowywała się płochliwie i nieśmiało.

Wang Lung czekał na nią razem z ojcem, stryjem i gośćmi, w wewnętrznej izbie. O oznaczonej godzinie pannę młodą wprowadziła służąca i stryjenka. Dziewczyna szła ze spuszczoną głową i ociągając się, jakby ją wleczono siłą do ślubu. Świadczyło to o tem, iż panna młoda jest skromna i niewinna, co uradowało Wanga. Patrząc na nią pomyślał, iż dokonał dobrego wyboru.

Po chwili do izby wszedł najstarszy syn, w swojej czerwonej szacie i czarnym kaftanie. Miał świeżo ogoloną twarz i gładkie, lśniące włosy. Wśląd za nim postępowali dwaj bracia. Wangowi serce o mało nie pękło z dumy, na widok pięknych synów, którzy, gdy go nie stanie, przedłużą jego życie, w nieskończoność. Stary ojciec nie rozumiał, co się dzieje, gdyż uszów jego dobiegały tylko oderwane zdania, lecz gdy pojawił w czym rzecz, chichotał starczym śmiechem.

--- Wesele! Wesele! To znaczy nowe dzieci i nowe wnuki! — zapiszczał ptasim głosem.

Śmiał się przytem tak serdecznie, że wszyscy

goście zawtórowali mu, a Wang pomyślał ze smutkiem, że i O-lan ubawiłaby się tem, gdyby mogła uczestniczyć w uroczystości.

Wang Lung zerkał od czasu do czasu niepostrzeżenie na syna, chciał bowiem sprawdzić, jakie na nim wrażenie sprawia narzeczona i zauważył, że młodzik również przygląda się jej zukosa. To wystarczyło, by wprowadzić w dobry humor Wang Lunga.

— Wybrałem mu odpowiednią dziewczynę, skoro mu się podoba — powtarzał sobie pod nosem.

Teraz młodzieniec i dziewczyna skłonili się przed starym ojcem i przed Wang Lungiem, poczem skierowali się do izby, w której spoczywała O-lan. O-lan zażądała, by ją ubrano w odświętny czarny kaftan. Podniecenie wycisnęło jej na policzkach czerwone piętna. Wang Lung wythumaczył je sobie, jako oznakę zdrowia i pomyślał z ulgą:

— Będzie zdrowa...

Młoda para zbliżyła się do łóżka i skłoniła się głęboko, a O-lan poklepała kołdrę dłonią i rzekła:

— Siadajcie tutaj i posilcie się winem i ryżem. Chcę być świadkiem waszego wesela. Moje łóżko będzie niezadługo waszem łóżkiem małżeńskim, gdyż tylko patrzeć, jak mnie stąd wyniosą.

Zapanowało milczenie. Nikt nie śmiał się odezwać. Młodzi siedzieli obok siebie, onieśmieleni i milczący. Nagle do izby wtoczyła się opasła i zadufana w sobie stryjenka, niosąc dwa kubki z gorącym winem. Pan młody i panna młoda zanurzyli usta w gorącym płynie, poczem przelali wino do jednego kubka i zmieszali je na znak, że od tej chwili i oni tworzą nierozdzielną całość, następnie zmieszali ryż z dwóch misek, co miało znaczyć, że wieść będą wspólne życie. Na tem zakończyła się ceremonja zaślubin. Znowu skłonili się głęboko przed O-lan i Wang Lungiem, a wszedłszy do wewnętrznej izby złożyli ukłon zgromadzonym gościom.

Zaczęła się ucztą.

We wszystkich izbach i podwórcach stały stoły; w powietrzu unosiła się woń sadła, / rozbrzmiewały głośnie śmiechy. Gości się zeszło coniemlara. Przyszli ci, których Wang Lung zaprosił, ale przyszli i tacy, których na oczy nie widział. Przyciągnęła ich chęć ujrzenia bogatego dziedzica, który nie żałuje jadła i wypitku. Ku-ku sprowadziła kucharzy z miasta, miały bowiem być podane takie smakołyki, które nie dają się sporządzić w zwykłej kuchni wiejskiego gospodarza. Kucharze przynieśli ze sobą wielkie tace z gotowymi potrawami, które trzeba było jeno podgrzać. Uczestnicy uroczystości jedli, nie krępując się i pili, ile mogli, toteż nastrój panował wesoły i hałaśliwy.

O-lan chciała, żeby wszystkie drzwi stały otworem. Odsunięto więc zasłony, by chora mogła słyszeć śmiechy i upajać się wonią jedzenia.

— Czy wszyscy dostali wina? — zapytywała raz po raz Wanga, który co chwila do niej zaglądał — czy ryż jest dosyć gorący, czy zaprawili go słoniną i cukrem, czy włożyli osiem owoców?

Wreszcie ucztą dobiegła końca, a goście zaczęli się rozchodzić do domów. Noc roztoczyła swe skrzydła nad domem Wanga. Gdy w całym mieszkaniu zapanowała cisza, O-lan poczuła się zmęczona. Opuściło ją podniecenie, a razem z niem i siły. Słabnącym głosem wezwała młodą parę do siebie i rzekła:

— Zadowolona jestem; niechże teraz dopełni się wszystko. Synu mój, dbaj o ojca i dziadka, a ty moja córko dbaj o męża i o ojca twego męża i jego dziadka, i o małą niemowę. Nikomu więcej nie potrzebujesz być posłuszną.

Mówiąc to miała na myśli Lotos, do której nigdy nie odezwała się ani słowem.

Zdawało się, że chce zasnąć, ale po chwili przemówiła znowu. Tylko, że tym razem mówiła tak,

jakby nie była pewna, czy ktoś jest w izbie, ani gdzie się ona sama znajduje.

Głowa jej kręciła się w prawo, to znów w lewo, oczy były zamknięte, a z ust wydobywał się niezrozumiały bełkot :

— Chociaż jestem szpetna urodziłam syna...
Chociaż byłam niewolnicą urodziłam syna...

I znowu po chwili dodała: — Czyż ona potrafi dbać o niego tak, jak ja dbałam? Piękność jest bezpłodna.

Jakby zapomniawszy o obecności młodych, leżała mrucząc cicho, więc Wang Lung dał im znak, żeby sobie poszli. Sam zaś usiadł przy łóżku i wpatrywał się w twarz uśpionej żony. Był zły na siebie zato, że dostrzega szpetotę jej dużych ust, rozwartych szeroko i odsłaniających zęby. Gdy tak patrzył, O-lan nagle podniosła powieki i spojrzała mu w oczy ze zdumieniem, jakby nie wiedziała, kto to siedzi przy niej. Nagle głowa jej opadła ciężko na okrągłą poduszkę, ciałem jej wstrząsnął dreszcz, O-lan przestała żyć.

Widząc umarłą żonę Wang uświadomił sobie, że nie będzie miał siły pozostać przy niej w samotności, zaczął więc wzywać stryjenkę, a gdy przyszła, polecił jej umyć ciało O-lan i przygotować je do pogrzebu. Gdy wszystko było załatwione, nie chciał wejść do izby, lecz zezwolił stryjence, najstarszemu synowi i synowej podnieść własnoręcznie ciało i ułożyć je w obszernej, nowej trumnie. Na pociechę udał się do miasta i zawołał ludzi, którzy zajmują się pieczętowaniem trumien. Odszukał też różdżkarza, który mu poradził w jaki dzień najkorzystniej będzie urządzić pogrzeb. Taki szczęśliwy dzień miał wypaść dopiero za trzy miesiące, więc Wang zapłacił różdżkarzowi i udał się do świątyni, gdzie musiał się targować z kapłanem w związku z wynajmem miejsca na trumnę na przeciąg trzech

miesiący. Trumna ze zwłokami O-lan została umieszczona w świątyni, gdzie miała czekać dnia pogrzebu, nie mógł bowiem Wang Lung zdecydować się, by ją trzymać tyle czasu w domu i patrzeć na nią codziennie. Nakazał jeszcze Wang, by sporządzono dla niego i dzieci żałobne stroje, pantofle z szorstkiego białego płótna i taśmy płócienne, któremi się obowiązuje na znak żałoby nogi powyżej kostki, a kobiety zamieszkujące dom Wanga nosiły od tej pory białe sznury we włosach.

Nie mógł też Wang Lung sypiać w izbie, w której umarła O-lan, zabrał więc swoje rzeczy i przeniósł się na stałe do mieszkania Lotos, a synowi swemu oświadczył, co następuje:

— Zamieszkasz z żoną w pokoju, w którym mieszkała i dokonała żywota twoja matka, która nosiła cię w swem łonie

Młodzi z zadowoleniem powitali decyzję ojca i zamieszkali w izbie O-lan.

Rzekłbyś, iż śmierć raz rozgościwszy się w domu Wanga nie ma ochoty stąd się wynieść, bo niebawem umarł stary ojciec. Śmierć O-lan wywarła na nim silne wrażenie. Od dnia, w którym ujrzał jak układano jej sztywne ciało w głębokiej trumnie, stary nie mógł odzyskać spokoju. Pewnego ranka druga córka weszła do jego izby z kubkiem herbaty i ujrzała go leżącego na łóżku, z głową wykręconą w tył i sterczącą brodą.

Przerażona widokiem trupa wrzasnęła /dziko i pobięła, płacząc do ojca. Niebawem przyszedł Wang. Lekkie sztywne ciało starca było suche i zimne, jak cienki pień sosnowy. Musiał umrzeć przed wielu godzinami, zapewne w chwili, gdy się układał na spoczynek. Tym razem Wang Lung własnoręcznie obmył ciało ojca i ułożył je delikatnie w trumnie, poczem zalepił je woskiem, mówiąc do obecnych:

— Pochowamy ich razem tego samego dnia. Wybiorę dla nich miejsce na wzgórzu. Niech leżą obok siebie, a kiedyś i mnie tam pochowacie.

Opieczętowana trumna staruszka stała na dwóch ławach, w środkowej izbie i pozostała tam, aż do dnia pogrzebu. Zdawało się Wang Lungowi, że jest to niemałą pociechą dla starego ojca, że pozostał nawet po śmierci w domu syna.

Gdy nadszedł dzień, wyznaczony przez różdżkarza, Wang Lung sprowadził kapłanów ze świątyni Taoist. Przyszli strojni w żółte szaty. Długie ich włosy były zwinięte na węzeł, na ciemieniu. Zaś ze świątyni Buddy przybyli inni kapłani w szatach popielatych, z ogolonemi głowami, na których ciemniało dziewięć świętych blizn.

Kapłani buddyjscy walili w bębny i śpiewali przez całą noc nabożne pieśni, na intencję zmarłych. Ilekroć przestawali śpiewać Wang Lung sypał im srebrne monety na dłonie. Trwało to do świtu.

Wang Lung wybrał odpowiednie miejsce na mogile, pod daktylową palmą na wzgórzu. Czing zajął się wykopaniem mogił i otoczył je glinianym murem. Miejsca tam zostało dość i dla Wang Lunga i dla jego synów, oraz dla ich żon, nawet dla dzieci ich dzieci. Nie żał było Wangowi tej ziemi, chociaż była tłusta i zdatna pod uprawę, gdyż własny cmentarzyk świadczył o zamożności rodu Wanga. Żywi czy martwi zawsze są właścicielami tej ziemi.

W dniu pogrzebu Wang Lung ubrał się w szatę z białego zgrzebnego płótna, takie same szaty sprawił stryjowi, kuzynowi i synom, oraz obu córkom. Z miasta przyszli tragarze z lektykami, bo nie ucho dzi, aby rodzina szła piechotą, niby proste chłopcy. Więc po raz pierwszy w życiu zasiadł Wang Lung w lektyce i pozwolił się nieść tragarzom. Bezpośrednio za trumną starego ojca niesiono lektykę ze stryjem. Lotos, która za życia O-lan nie miała prawa

pokazać się jej, wzięła również udział w pogrzebie, aby przekonać widzów, że spełnia obowiązek należny pierwszej żonie. Wynajął też Wang lektyki dla kuzyna i stryjenki, nawet mała niemowa otrzymała nową szatę ze zgrzebnego płótna i własną lektykę. Nie mogła jednak pojąć o co chodzi i zamiast płakać śmiała się piskliwie.

Z wielkim płaczem i krzykiem wyruszono w drogę. Orszak zamykali robotnicy z Czingiem na czele. Wang Lung stanął obok mogił. Czekala już tam trumna ze szczątkami O-lan, przyniesiona ze świątyni. Żalność wielka ogarnęła Wanga, nie mógł jednak krzyczeć równie głośno, jak inni, bo zdawał sobie sprawę, że to, co się stało, stać się musiało i że uczynił swą powinność.

Skoro trumny zniknęły pod nasypem z ziemi, Wang Lung dał znak tragarzom, że mogą wracać do miasta, sam zaś udał się piechotą do domu. Smutek przepeśniał jego duszę, ale najdokuczliwszą była jedna myśl, która kłuła go w serce. Żałował teraz, że kiedyś odebrał dwie perły biednej O-lan, gdy była zajęta praniem bielizny w sadzawce. Postanowił zabronić Lotos noszenia owych pereł. Nigdy już nie będzie miała prawa zawiesić ich w uszach.

Wlókł się do domu samotnie, pogrążony w ponurych myślach.

— W tej mojej ziemi spoczęła lepsza połowa mego życia, powtarzał sobie. Wydaje mi się, że i połowa mego ciała spoczęła obok żony. Inaczej teraz jest w domu... Inaczej...

Powtarzając to sobie, zapłakał cicho i otarł oczy wierzchem dłoni, jak dziecko.

ROZDZIAŁ XXVII.

Przez cały ten czas Wang Lung/ nie myślał o zbiorach, tyle było zajęcia w domu, z chorobą i pogrzebem, lecz pewnego razu zjawił się Czing i powiada:

— Teraz kiedy skończyły się radości i smutki, czas by pogadać o ziemi.

— Zapomniałem, że mam ziemię — odparł Wang.

Czing milczał przez chwilę, poczem dodał cicho:

— Może niebo odwróci od nas nieszczęście, ale tak mi się zdaje, że w tym roku będzie straszna powódź. Woda już się pokazuje, a przecież to jeszcze lato i zawczasie na powódź.

Wang Lung odrzegliwie:

— Stary człowiek w niebie nigdy mi nie okazał łaski. Czy mu paliłem kadzidła, czy nie paliłem, zawsze mnie krzywdził. Chodź ze mną w pole.

Czing był cichym, trwożliwym człowiekiem, więc chociaż mu się nie najlepiej wiodło, nigdyby nie śmiał pomstować na bogów. Mawiał zawsze „Wola Nieba“, i z rezygnacją znosił klęski w rodzaju suszy, czy powodzi.

Wang Lung udał się z nim w pole i przekonał się, że Czing ma rację. W pobliżu fosy i rowów, przecinających pola, ziemia napęczniała wilgocią. Pszenica i owies nabrały niezdrowego, żółtawego od-cienia.

Fosa upodobniła się do jeziora, a wąskie rowy udawały spienione rzeki. Odrazu można się domyśleć, że powódź tegoroczna będzie straszna. Biegał więc zaniepokojony Wang Lung wkółko po polach, a Czing snuł się za nim jak cień. Razem się naradzali gdzie można zasiać ryż i gdzie dotrze woda. Patrząc na wodę, przelewającą się przez brzegi kanałów — Wang zaklął siarczyście.

— Stary człowiek w niebie cieszy się, bo będzie mógł przyglądać się tonącym ludziom i głodomorom. Przeklęty stary — tylko o to mu chodzi!

Słowa te wyrzekł dobitnie i głośno. Czing zadrział i szepnął:

— W każdym razie potężniejszy jest On od nas. Nie trzeba tak mówić, o panie...

Bogaty Wang Lung nie dbał o nikogo; folgował złości i powtarzał bliźnierstwa przez całą powrotną drogę, bo go tak rozeźliła myśl o zbliżającej się powodzi.

Wszystko stało się tak, jak Wang Lung przewidywał. Rzeka na północy przerwała tamy. Gdy ludzie ujrzeli co się święci, zaczęli zbierać nagwałt pieniądze, potrzebne na naprawę tamy. Każdy dawał ile mógł, boć to leżało w interesie wszystkich. Zebrane pieniądze powierzono urzędnikowi. Urzędnik ów niedawno objął posadę. Był to człek ubogi, który nigdy w życiu nie widział naraz tyle pieniędzy. Stanowisko swoje zawdzięczał oszczędnemu ojcu, który oszczędzał przez całe życie, by móc kupić synowi dobrą posadę.

Gdy rzeka powtórnie zerwała tamy — ludzie ruszyli gromadą do domu urzędnika, podnosząc wrogie okrzyki, okazało się bowiem, że nie spełnił on powierzonego mu zadania, nie naprawił tamy i uciekł przed gniewem ludu, jako, że wydał na własne potrzeby trzy tysiące sztuk srebra. Rozjuszony tłum wtargnął do wnętrza domu, lecz urzędnik pobiegł prosto przed siebie i rzucił się do wody. Stwierdziwszy, iż poniósł zasłużoną karę, ludzie rozeszli się spokojnie do domów.

Nie odzyskano jednak pieniędzy, a rzeka w dalszym ciągu zrywała kolejno wszystkie tamy i pędziła groźna i szumiąca jak morze, zatapiając urodzajne pola, pszenicę i młody ryż.

Jedna wieś za drugą zamieniały się w wysepki,

wyłaniające się z odmetów. Ludziska patrzyli z trwogą na zbliżającą się falę, a gdy już była blisko, zbijali tratwy i uciekali razem z dobytkiem. Woda wdzierała się do lepiarek, mury rozpuszczały się i znikwały w wodzie. Niebawem otwarły się upusty niebieskie i lunął deszcz.

Wang Lung przesiadywał w sieni i patrzył w dal ponad wodą, która nie dosięgała jeszcze jego zagrody, wznoszącej się na pagórku. Widział jednak jak zdradliwy żywioł bierze w posiadanie jego pola. Obawiał się, czy nie zaleje również i świeżych mogił, ale jakoś je oszczędził, chociaż mętne, żółtawe/ od rozpuszczonej gliny fale lizały łakomie wyniosłość, na której znajdował się cmentarzyk.

Owego roku nie było mowy o żniwach, ludzie marli z głodu. Jedni wędrowali na południe, inni przyłączali się do band rozbójniczych, grasujących wszędzie na prowincji. Jedna z owych band usiłowała przypuścić szturm do miasteczka, ale mieszkańcy zabarykadowali się, pozostawiając jedno tylko tajemne przejście, które obstawiono wartownikami.

Ludzie dzielili się na takich, którzy szli kraść, i takich, którzy wędrowali na południe, za chlebem, jak to ongi uczynił Wang razem z rodziną. Starcy, znużeni życiem, trwali na miejscu, żywiąc się trawą i liśćmi, które znajdowali na pagórkach. Wielu z pośród nich pomarło z głodu.

Takiej klęski jeszcze nie było. Wody nie ustępowały, uniemożliwiając sianie oziminy, wiadomo więc było, że i następnego roku da się we znaki nieurodzaj. Zaczął więc Wang większe dawać baczenie na budżet domowy, zmniejszał wydatki i sprzeczał się z Ku-ku, która nie mogła się odzwyczaić od kupowania najdroższych gatunków mięsa. W głębi duszy cieszył się, że woda nie dochodzi do jego posiadłości, a jednak odgradzała ją od miasta, bo dzięki temu Ku-ku nie mogła urządzać częstych wycieczek

do miasteczka po zakupy. Wang rozporządzał łodziami, dając dyspozycje Czingowi, który słuchał tylko rozkazów swego pana, a nie zwracał uwagi na skargi i utyskiwania złośliwej niewolnicy.

Wang nie pozwalał czynić najmniejszego zakupu, bez zezwolenia i sam się zajmował gospodarstwem. Każdego ranka wydawał synowej tyle żywności, ile potrzeba na jeden dzień, zaś Czingowi powierzał pieniądze i jadło dla najemników, chociaż złościło go, iż musi karmić ludzi, którzy spowodu powodzi skazani są na bezczynność.

Skoro nadeszła mroźna zima i ścięła powierzchnię wody, rozkazał najemnikom iść na południe, gdzie można żyć z żebraniny, a o pracę łatwiej. Mieli oni wrócić dopiero z wiosną. Jedyne Lotos otrzymywała potajemnie kawałki cukru i oliwę. Nawet podczas obchodu święta Nowego Roku domownicy spożywali ryby, złowione w jeziorze i mięso z zabitej w domu świni.

Ale napróżno starał się uchodzić za biedaka... W rzeczywistości posiadał zapasy srebra, ukryte w ścianie izby, zajmowanej obecnie przez starszego syna i jego żonę. Syn nie wiedział, że w ścianie znajduje się skrytka. Również i na dnie jeziora spoczywał gliniany dzban, napełniony srebrem i złotem, ukrył także trochę monet w ziemi, wśród korzeni bambusów, a śpichrz pełen był ziarna, więc głód nie groził nikomu z domowników.

Naokoło ludzie marli z wycieńczenia. Czasami przypominał sobie Wang jęki konających nędzarzy, na schodach pałacu Hwangów i uświadamiał sobie, że go wielu ludzi nienawidzi za to, że ma pod dostatkiem żywności dla siebie i dzieci, toteż w obawie przed napaDEM ryglował starannie drzwi i nie wpuszczał do domu nieznajomych. I te środki ostrożności były zawodne i niepewne. Wiedział dobrze Wang Lung, że tylko obecność stryja może go ochronić przed na-

padem bandytów. Gdyby nie to, dawnoby się wdarli do niego i splądrowali mu dom. Był więc coraz u-
przejmniejszy dla stryja i dla kuzyna, nawet dla stry-
jenki, traktując ich jak czcigodnych gości. Pierwsi
bywali obsłużeni, pierwsi otrzymywali ranny posiłek
i zanurzali pałeczki w miski pełne jadła.

Wszyscy troje zdawali sobie doskonale sprawę,
że Wang Lung ich się boi, nabrali więc pewności sie-
bie i odnosili się doń wyniośle, domagając się tego
i owego i krytykując wszystko, co im podawano.
Szczególnie kapryśna i wymagająca stała się stry-
jenka, bo brak jej było smakołyków, jakimi się
dawniej raczyła w mieszkaniu Lotos, więc co chwi-
la biegła na skargę do męża, a mąż szedł na skargę
do Wang Lunga.

Stryj postarzał się bardzo i rozleniwił, przestał
dbać o jedzenie, lecz syn i żona nieustannie go ju-
dzili przeciwko bratankowi.

Pewnego razu Wang Lung stał u wrót podwó-
rza. Nagle dobiegły go dźwięki rozmowy. Kuzyn
i stryjenka coś perswadowali staremu.

— Przecież on ma moc pieniędzy i zapasów,
możnaby go naciągnąć — mówił kuzyn, a stryjenka
dorzuciła:

— Nigdy się nam nie zdarzy podobna gratka.
Wie on dobrze, że gdyby nie to, iż stoisz na czele
Czerwonych Bród, dawnoby go ograbiono.

Wang przyczaił się i słuchał w milczeniu, cho-
ciaż miał ochotę krzyknąć. Krew uderzyła mu do
głowy. Opanował jednak wściekłość i zaczął medyto-
wać, w jaki sposób możnaby się pozbyć niewygodnej
trójki. Nie mógł jednak nic wymyślić. Następnego
dnia przyszedł do niego stryj i przemówił w te słowa:

— Mój dobry bratanku, daj mi garść srebra.
Muszę sobie kupić fajkę i trachę tytoniu, a dla żony
chciałbym kupić kaftan, bo chodzi w łachmanach..

Wang nie próbował protestować, tylko wręczył

stryjowi pięć sztuk srebra, chociaż nigdy nie sprawiło mu większej trudności wyzbycie się oszczędzonych pieniędzy. Minęły dwa dni i znowu do izby Wanga wszedł stryj i poprosił o pieniądze. Powtarzało się to coraz częściej, wreszcie pewnego razu Wang nie wytrzymał i wrzasnął, na całe gardło:

— Cóż to? stryj widocznie chce, żebyśmy wszyscy pozdychali z głodu.

Stryj parsknął śmiechem.

— Niebo ci błogosławi. Biedniejszych od ciebie wieszano na belkach spalonych domów.

Na czoło Wanga wystąpił zimny pot. I tym razem wręczył stryjowi żądane pieniądze. Toteż wkońcu stosunki w domu Wanga ułożyły się w taki sposób, że jedynie stryj z rodziną posilali się mięsem i palili fajki, a Wang i jego domownicy obywali się bez mięsa i nie kosztowali tytoniu.

Najstarszy syn tak był zajęty młodą żoną, że myślał tylko o tem, by ją ustrzec przed kuzynem. Nie pozwalał jej pokazywać się synowi stryja, z którym ongi łączyła go przyjaźń, a to co działo się w domu, nie obchodziło go zgoła. Tylko wieczorami żona starszego syna miała prawo wyjść z izby, korzystając z nieobecności mężowskiego kuzyna, a w ciągu dnia musiała siedzieć w izbie. Jednakże syn Wanga dowiedział się wreszcie jak postępuje z jego ojcem stryj i jego bliscy, a że był to człek gwałtowny, więc wybuchnął gniewem:

— Jeżeli ojciec będzie bardziej dbać o tych troje tygrysów, aniżeli o rodzone dzieci i o synową, która będzie matką jego wnuków — to gotów jestem wyprowadzić się z żoną i szukać innego domu.

Wówczas Wang Lung zdobył się na szczerłość i wyznał synowi to, co dotychczas tłumił w sercu:

— Ja ich nienawidzę. Gdybym wiedział jak się ich pozbyć, tobym to uczynił natychmiast, ale stryj twój jest wodzem bandy rozbójników. Jeśli chcemy

ustrzec się od napaści, to musimy go oszczędzać, dawać mu wikt i nie okazywać niezadowolenia.

Syn Wanga wytrzeszczył oczy i słuchał ojca, nie tając zdumienia i złości.

— Poco długo się zastanawiać. Trzeba ich po prostu utopić pewnej nocy i sprawa skończona. Czing zepchnie do wody stryjenkę, babsko jest tłuste i niedołążne, a ja się załatwię z kuzynem. Nie cierpię tej bestji — ciągleby tylko zaglądała do mojej żony. Ojciec może utopić stryja.

Nie — tego Wang Lung nie potrafiłby uczynić.

Wprawdzie łatwiejby mu przyszło zabić stryja, aniżeli wołu, ale wogóle był on niezdolny do popełnienia zbrodni, więc odrzekł:

— Nawet gdybym się zdobył na to, żeby zepchnąć do wody brata mojego ojca, na nicby się to nie zdało. Dowiedzieliby się o tem inni zbóje i mielibyśmy się spyszna. Dopóki stryj żyje, nic nam nie grozi.

Zapadło milczenie. Każdy z nich pograżył się w ponurych myślach. Młodzieniec przyznawał w duchu rację ojcu, postanowił więc szukać innego sposobu na stryja.

— Gdybyż można było ich unieszkodliwić — odezwał się wreszcie Wang — ale na to trzeba być czarownikiem.

Nagle, syn Wanga zatarł ręce i wykrzyknął:

— Ojciec mi poddał doskonałą myśl. Kupimy im opjum, dużo opjum i pozwolimy im upijać się niem dowoli, jak to czynią bogacze. Co do mnie — udawać będę znowu przyjaźń z kuzynem i zaciągnę go do miasta, do herbaciarni, gdzie każdy może palić.

Wang Lung miał wątpliwości.

— To będzie za drogo kosztować — rzekł wolno. — Opjum tyleż kosztuje, co malachit.

— Tak, ale nas drożej kosztuje pobyt stryja,

aniżeli malachit, ojciec — odparł syn. — I w dodatku musimy znosić ich dziwactwa, a ja mam kłopot z żoną, bo kuzyn ciągle ją zaczepia.

Nie chciał jednak Wang Lung od razu zabrać się do dzieła i byłoby wszystko pozostało po dawnemu, aż do odejścia wód, gdyby nie to, że w domu zdarzył się wypadek.

Syn stryja zwrócił uwagę na drugą córkę Wangga. Była to niezwykle urodziwa trzynastoletnia dziewczynka. Z twarzy przypominała młodszego brata, ale miała subtelniejsze rysy, skórę białą, jak kwiat migdału, mały zadarty nosek i ponsowe usteczka. Cała była drobna i stała z gracją na małych nóżkach, krępowanych od wczesnego dzieciństwa.

Stryjeczny brat dopadł ją pewnego razu, gdy wychodziła z kuchni. Chwycił ją brutalnie w objęcia i wsunął rękę za kaftanik, szukając drobnych piersi. Dziewczynka krzyknęła przeraźliwie. Zwabiony wrzaskiem dziecka Wang wpadł do sieni i wyrzucił kuzyna w głowę, lecz rozjuszony chłopak nie chciał puścić ofiary i szamotał się z nią, niby pies, który chwycił w zęby smaczny kasek. Wang musiał siłą wyrwać mu córkę z objęć.

— Ja się przecież tylko bawię — odparł tamten, śmiejąc się zuchwale. — Z siostrzeniczką można chyba pożartować.

Gdy to mówił, oczy jego błyszczały niezdrowym blaskiem. Wang mruknął coś pod nosem i wypchnął dziewczynkę za drzwi.

Tegoż wieczora wezwał do siebie syna i opowiedział mu, co się stało. Syn Wangga spochmurniał i odrzekł:

— Nie ma innej rady, tylko trzeba będzie wysłać siostrę do miasta, do ojca jej narzeczonego. Nawet, gdyby kupiec Liu nie chciał się zgodzić na wesele, jako że rok jest niepomyślny, pozostawimy

ją w jego domu, bo u nas nie da się ustrzec dziewicy przed takim tygrysem.

Tak też postąpił Wang Lung. Zaraz następnego dnia udał się do miasta i odwiedził kupca.

— Córka moja skończyła trzynastą wiosnę — rzekł na przywitanie. — Przestała być dzieckiem, może więc zaślubić waszego syna.

Liu zawahał się i odrzekł po chwili namysłu:

— Za mało zarobiłem w tym roku. Nie mogę nysłać, o zakładaniu rodziny w moim domu.

Wangowi nijako było powiedzieć poprostu: „boję się o córkę, bo w domu naszym mieszka syn stryja, który pali się do dziewcząt“, więc powiedział tylko:

— Nie mogę brać odpowiedzialności za wychowanie dziewczyny. Matki nie ma, jest ładna i zdatna do rodzenia dzieci, a u nas pełno ludzi kręci się i nie ma czasu na to, żeby jej pilnować od rana do nocy. Jeżeli ma należeć w przyszłości do waszej rodziny, to zajmijcie się nią już teraz. Pozwólcie, żeby u was zamieszkała, strzeżcie jej dziewictwa, a gdy uznacie za stosowne, wydajcie ją za swego syna.

Kupiec Liu, człowiek ustepliwy i łagodny, odrzekł uprzejmie:

— No, dobrze. Przyprowadźcie ją nam. Pomówię z matką mego syna. Dziewczyna będzie mogła zamieszkać w skrzydle, przeznaczonem dla kobiet, nic się jej nie stanie złego, a zaraz po żniwach urządzimy wesele.

Na tem zakończono rozmowę. Wang Lung wrócił do domu zadowolony i uspokojony.

Ale wracając w kierunku bramy, gdzie czekał Czing z łodzią, zaszedł do małego sklepiku z tytoniem i opjum. Kupił dla siebie trochę tytoniu, żeby nim zapychać fajkę w długie wieczory, a gdy sub-

jekt zajęty był odważaniem towaru, rzekł jakby od niechcenia:

— A po ile też sprzedajecie opjum?

Kupiec odrzekł:

— Wyszedł właśnie zakaz sprzedawania opjum w sklepach. A jeśli chcecie, to mogę wam odstąpić trochę opjum, uncja za sztukę srebra. Odważam w wewnętrznej izbie.

Wang Lung już się nie namyślał, tylko odrzekł bez wahania:

— Dajcie mi sześć uncyj opium.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Skoro wysłano do miasta młodszą córkę i Wang Lung uwolnił się od troski o dziecko, rzekł razu pewnego do stryja:

— Brat mojego ojca powinien palić lepszy tytoń, niż wszyscy.

Mówiąc to, otworzył gliniane naczynie, zawierające opjum. Stryj wciągnął w nozdrza ciężką, słodkawą woń i roześmiał się, nie tając zadowolenia:

— Palilem czasami opjum, ale rzadko, bo to za droga przyjemność, ale lubię palić, bardzo lubię...

— Kupilem tylko odrobinę — rzekł Wang Lung — z myślą o ojcu. Skarżył się na bezsenność. Dziś z znalazłem paczkę i zaraz pomyślałem sobie, mam przecież w domu brata ojca, dlaczego nie miałby skosztować przysmaku. On ma pierwszeństwo, a nie ja. Jestem młodszy, no i nie odczuwam jeszcze potrzeby palenia opjum. Niechże stryjowi wyjdzie na zdrowie.

Stryj łapczywie sięgnął po opjum. Słodkawa woń mile łaskotała mu nozdrza. Kupił sobie zaraz fajkę i zaczął oddawać się namiętności palenia. Wylegiwał się teraz całymi dniami na łóżku, pogrążony w błogim półśnie. Wang Lung umyślnie kładł fajki

na stołach w rozmaitych izbach, udając, że i on pali opjum, ale w rzeczywistości nigdy nie zdobył się na pokosztowanie trucizny. Zabronił też synom i Lotos dotykać fajek, tłumacząc im, że to za droga przyjemność, natomiast częstował bez miary stryja, stryjenkę i kuzyna. Izby i podwórka napęłniły się ciężką, młłącą wonią dymu. Wang nie żałował na ten cel srebra, bo za jego cenę kupił sobie spokój.

Gdy wreszcie minęła zima, a wody ustąpiły z pól, Wang Lung mógł znowu przemierzać wszcz i wzdłuż swoje posiadłości. Razu pewnego, gdy tak się przechadzał po polach, podszedł do niego najstarszy syn i rzekł:

— Niezadługo przybędzie nowa gęba do żywienia. Będiesz miał ojczy wnuka.

Wang zrobił pół obrotu, zaśmiał się szeroko i zatarł ręce.

— Dobry dzień! — wykrzyknął radośnie. — Dobry dzień!...

Nie zwlekając zawezwał Czinga i polecił mu zakupić w mieście ryb i innych smakołyków, poczem posłał je do mieszkania synowej. Trzeba bowiem dobrze odżywiać wnuka, przebywającego w łonie matki.

A na wiosnę Wang nie myślał już o niczem innym, tylko o zbliżającym się dniu urodzin wnuka. Myślał o tem, gdy mu się dobrze wiodło, myślał i wówczas, gdy miał troski i zmartwienia.

Letnią porą zaczęli powracać do wsi uciekinierzy, których wypędziła powódź. Wracali w pojedynkę i gromadnie, śmiertelnie znużeni i wycieńczeni, ale radośni, chociaż żaden z nich nie mógł odnaleźć śladu swej zagrody. Tam, gdzie dawniej stały chaty, dzisiaj widać tylko było żółte błoto. Z takiego błota można lednak ulepić chatę, co też czyniono. Niejeden wieśniak przychodził do Wang Lunga z prośbą o pożyczkę na odbudowę domu, na kupno trzcinowych

mat, któremi pokrywa się dachy. Wang chętnie udzielał pożyczek na wysoki procent, żądając w dodatku zastawu, w postaci ziemi. Za pożyczane pieniądze wieśniacy kupowali nasiona i obsiewali tłustą, wilgotną ziemię. Gdy musieli kupić wołu, albo narzędzia gospodarcze, a nie było skąd pożyczyć pieniędzy — to się wyzbywali częściowo ziemi, którą kupował od nich Wang Lung za pół darmo.

Byli jednak i tacy, którzy za żadne skarby nie wyzbyliby się ziemi, ci woleli sprzedawać własne córki. Przychodzili więc do Wanga, proponując kupno, wiedzieli bowiem, że jest możliwy i miłosierny.

On zaś myślał o wnuku, który lada dzień miał zawitać, myślał też o innych dzieciach, które narodzi się jego synom w przyszłości, więc już zawczasu nabył pięć niewolnic, dwie dwunastoletnie dziewczyny o wielkich stopach i dwie młodsze, które miały kiedyś niańczyć wnuków Wanga. Jedną z nich przeznaczył dla Lotos, gdyż Ku-ku postarzała się i potrzebowała wyręki. Owego zakupu dokonał w jednym dniu, bowiem zwykł był decydować się szybko i bez targów.

W jakiś czas później przybył do domu Wanga nieznany człowiek, który dźwigał w ramionach szczupłą, najwyżej siedmioletnią dziewczynkę i oświadczył Wangowi, że zamierza ją sprzedać. Wang się zawahał, gdyż była dziwnie mała i wątła na swój wiek, ale Lotos polubiła ją odrazu i wtrąciła się do rozmowy:

— Podoba mi się, bo jest ładniutka; tanita jest brzydka i cuchnie koźlim łojem. Niecierpię jej.

Wang Lung przyjrzał się dziecku. Miała piękne, lękliwe oczy i wynędzniałe ciało. Chcąc uspokoić Lotos, a zarazem folgując uczuciu litości, rzekł:

— Niech będzie, jak chcesz.

Zapłacił za dziewczynkę dwadzieścia sztuk srebra. Mała niewolnica zamieszkała w skrzydle, zajmującym

mowanem przez nałożnicę, sypiała zaś u stóp jej łóżka.

Zdawało się teraz Wangowi, że będzie mógł wreszcie zaznać spokoju. Gdy wody odstąpiły i nadeszło lato, a z nim pora siewów, wychodził Wang w pole i bacznie przyglądał się wszystkiemu i naradzał się z Czingiem, jakiego zmiany wprowadzić, by zwiększyć wydajność ziemi. Zwykle zabierał ze sobą młodszego syna, który miał czasem być mu wyręką w pracy na roli. Nie zwracał jednak uwagi na chłopca, nie zastanawiał się, czy go słucha, czy nie, bo chłopak postępował wślad za ojcem, z głową spuszczoną, nie odzywając się zgoła. Miał przytem pochmurny wyraz twarzy i niepewne spojrzenie. Trudno było odgadnąć, co się czai w głębi jego duszy.

Wang Lung wiedział tylko, że syn mu towarzyszy, nic go więcej nie obchodziło. Gdy wracali do domu Wang odczuwał spokój i zadowolenie i powtarzał sobie w duchu:

— Stary już jestem, mogę więc odpocząć, wyręczą mnie robotnicy, wyręczać mnie będzie syn. Pokój zagościł w moim domu...

Ale w domu nie było spokoju. Pomimo, że Wang wynalazł dla syna odpowiednią żonę, pomimo, że kupił kilkanaście niewolnic, a stryj i stryjenka dostawali, ile chcieli opjum, w domu Wanga panował niepokój. Wszystkiemu winien był kuzyn i najstarszy syn. Najstarszy syn Wanga nie mógł się wyzbyć niechęci do kuzyna i śledził go podejrzliwym wzrokiem. Za młodych lat przekonał się, że kuzyn miał wiele przywar, a z czasem takiej nabrał do niego nieufności, że gdy sam chciał iść do miasta, do herbaciarni, to czynił to tylko wtedy, gdy i kuzyn wychodził z domu. Podejrzewał go o napastowanie niewolnic, ba — nawet o utrzymywanie miłosnych stosunków z Lotos. W tym wypadku mylił się, gdyż Lotos z wiekiem roztyła się i postarzała i nie myśla-

ła o niczem innem, jak tylko o jedzeniu i picciu, a coraz mniej dbała o mężczyzn. Rada była nawet, że Wang Lung odwiedza ją rzadziej, gdyż starość zabijała w nim żądzę.

Tym razem, gdy Wang Lung wrócił z pola z najmłodszym synem, najstarszy syn odciągnął ojca na bok i szepnął:

— Nie zniosę dłużej obecności kuzyna w domu. Pęta się w porozpinanych szatach i zagląda do izb, robi czule oczy do niewolnic. Nie mogę na to patrzeć.

Powiedział tylko tyle, gdyż nie śmiał dodać:— „On nawet zagląda do mieszkania twojej nałożnicy”—gdyż przypominał sobie, że ongi sam się włóczył za kobietą, należącą do ojca. Ilekroć o tem myślał, odczuwał przykry skurcz w dołku, nie mógł bowiem wyobrazić sobie, jak mógł się interesować starą i tłustą kobietą. Wstyd mu było i za żadne skarby nie byłby przypominał tego ojcu, wspominał więc tylko o małych niewolnicach.

Wang tego dnia był w wyśmienitym humorze, gdyż powódź już zupełnie ustąpiła z pól i przywiał suchy, ciepły wiatr. Cieszył się też, że mu w wędrówce po polach towarzyszył posłusznie najmłodszy syn, więc się odciął opryskliwie:

— Niemądry dzieciak z ciebie. Myślisz wkółko o jednym. Zanadto lubisz żonę, a to nie uchodzi. Mężczyzna nie powinien zanadto dbać o żonę, którą mu wynaleźli rodzice. Nie można szaleć za żoną, jak za dziewczką.

Słowa ojca ukłuły boleśnie chłopca, gdyż najbardziej się obawiał, aby go ktoś nie posądził o brak obycia i prostackie zachowanie, odpowiedział więc szybko:

— Nie chodzi mi o żonę, tylko o opinię ojcowskiego domu.

Lecz Wang Lung nie słuchał go. Trapiły go niewesołe myśli...

— Czyż nigdy nie będzie końca tym babskim i męskim swarom? Stary już jestem, krew mi wyziębla w żyłach, uwolniłem się nareszcie od cieiesnych zachcianek, chciałbym zaznać trochę spokoju, a tymczasem muszę znosić synowskie humory.

A po chwili milczenia wykrzyknął gniewnie:

— Gadaj! Co chcesz, żebym uczynił?

Młodzieniec czekał cierpliwie, aż się ojciec uspokoi, zamierzał bowiem poddać mu pewien plan. Odpowiedział więc stanowczym głosem:

— Chciałbym, żebyśmy się wynieśli do miasta. Nie uchodzi mieszkać w dalszym ciągu na wsi wieść żywot parobków. Zostawiłoby się tutaj stryja ze stryjenką i kuzynem, my zaś zamieszkalibyśmy w mieście.

Wang Lung roześmiał się gorzko. Żądanie syna wydawało mu się czemś nieistotnem i nie zasługującym na to, by je brać pod uwagę.

— Ten dom jest moją własnością — odparł dumnie, zasiadając przy stole, — a ty możesz sobie mieszkać, gdzie ci się żywnie spodoba. Dom i ta ziemia do mnie należą. Dzięki ziemi nie zginęliśmy z głodu. Gdyby nie ona, nie mógłbyś dzisiaj włóczyć się bez celu, jak uczony, w swoich pięknych szatach. To dobra ziemia uczyniła z ciebie coś więcej niż wieśniaka.

Mówiąc to, podniósł się Wang z krzesła i zaczął wielkimi krokami przemierzać izbę, tupiąc głośno i plując na podłogę, jak prostak. W duszy dumny był z tego, że się dochował syna wykwintnisia, a jednocześnie zły był na niego. Odczuwał jednak satysfakcję, że niktby się już dzisiaj nie domyślił, że ojciec jego był wieśniakiem.

Najstarszy syn nie chciał dać za wygraną.

— Jest tam pałac Hwangów — ciągnął dalej. — Od frontu gnieździ się biedota, ale wewnętrzne oficyny są niezamieszkałe i zamknięte. Można by je wy-

nając. Ojciec i młodszy brat przyjeżdżaliby do nas, a ja nie potrzebowałbym się niepokoić o tego psa.

Zdołał wreszcie przekonać ojca, tembardziej, że się przymusił do płaczu i nie ścierał łez, spływających po policzkach. Dodał jeszcze na zakończenie:

— Będę się starał być pociechą ojca. Nie gram w hazard, nie palę opjum, wystarcza mi kobieta, którą mi wybraliście, wymagania moje są skromne...

Niewiadomo, czy sam widok łez wzruszyłby Wang, wzruszyły go przede wszystkim słowa, wyrzeczone przez syna: „pałac Hwangów“.

Bo Wang nie zapomniał, że ongi szedł do pałacu niemal na czworakach, a potem stał pokorny i oniesmielony wobec tych, co tam mieszkali; nie zapominał i tego, że nawet dozorca wzbudzał w nim lęk. Wspomnienie to budziło w nim zawsze wstyd i złość. Przez całe życie gnębiła go myśl, że w oczach ludzi uchodzi za kogoś mniej ważnego od mieszkańców miasta. Toteż, gdy syn rzekł: — „Moglibyśmy zamieszkać w pałacu“ — odrazu trafiło mu to do przekonania.

(— Mógłbym siedzieć na fotelu na tem samem miejscu, gdzie siadywała stara — pomyślał, — kiedy to kazała mi stać jak niewolnikowi. Teraz jabym innym kazał stać przed sobą).

Zamyślił się i mruknął pod nosem:

— Ano tak — mógłbym to uczynić, gdybym zechciał...

Przez dłuższą chwilę bawił się ową myślą i nie odpowiadał synowi. W milczeniu napychał fajkę, potem ją zapalił i zaciągnął się dymem, dumając w dalszym ciągu nad tem, coby mógł uczynić, gdyby mu przyszła ochota. Marzył o wprowadzeniu się do domu Hwangów, ale już nie spowodu swego syna, ani z winy kuzyna, tylko dla samej przyjemności zamieszkania w domu, który pozostał dlań zawsze rezydencją książęcego rodu.

Więc chociaż spoczątku nie miał ochoty wprowadzać żadnych zmian, to jednak zaczął baczniej przyglądać się kuzynowi i doszedł do wniosku, że syn miał rację, jako że kuzyn nie dawał spokoju dziewczętom, kręcącym się po domu.

— Nie mogę żyć pod jednym dachem z tym chutliwym psem — rzekł sam do siebie.

Zauważył też, że stryj wychudł i pożółkł od palenia opjum i że nieraz pluł krwią. Żona stryja nie rozstawiała się z fajką. Opjum uszczęśliwiało ją i pogrążało w słodkim półśnie. Stało się więc tak, jak tego pragnął Wang. Najwięcej kłopotu było z kuzynem, który dotychczas nie ożenił się, ale ulegał chuciom, jak dziki zwierz, a nie chciał poddać się czarowi opjum i zadawałniać się rozkosznymi snami, jak to czynili starzy. Wiódł on beczynny żywot, jedynie noce spędzał poza domem, zajmując się rzemiosłem złodziejskiem. Coraz jednak rzadziej spędzał noce poza domem, gdyż po powrocie uciekinierów zapanował spokój i ład na wsi, a bandy rozbójnicze wycofały się w góry, na północo-zachód. Kuzyn wołał siedzieć w wygodnym domu na garnuszkach u Wanga. Syn stryja obecnością swoją sprawiał tę samą przykrość, co ostry cień tkwiący w ciele. Wszędzie go było pełno. Łaził po domu, zaczepiał dziewczęta i tracił czas na gawędy.

Pewnego dnia Wang Lung postanowił odwiedzić w mieście młodszego syna, zatrudnionego w magazynach kupca Liu.

— Cobyś powiedział mój synu — zwrócił się do niego — gdybyśby, idąc za radą twego starszego brata, przenieśli się wszyscy do miasta i zamieszkali w pałacu, o ile uda się nam wynająć tam pomieszczenie?

Drugi syn Wanga by już dorastającym młodzieńcem, i niczem nie różnił się od gładkich, starannie ubranych pracowników, zatrudnionych w składzie

zboża, był jednak niskiego wzrostu i miał ciemno-
żółtą skórę.

— To doskonała myśl, ojczy — odparł bez wahania. — Dogadzałoby mi to bardzo. Mogłbym się ożenić i mieszkalibyśmy wszyscy pod jednym dachem, jak przystało wielkiemu rodowi.

Wang Lung nie myślał dotychczas o ożenku dla syna, który sprawiał wrażenie zimnego i nigdy nie zdradzał ochoty do rozkoszy zmysłowych. Zawstydział się, że tak mało okazał zainteresowania rodzonemu dziecku.

— Już dawno powtarzam sobie, że trzeba by znaleźć dla ciebie kobietę, ale tyle było do zrobienia w domu, że mi zabrakło czasu, by się tem zająć. Potem przyszedł głód, nie mogłem myśleć o urządzaniu obchodów i uczt weselnych. Ale teraz ludziska mają co jeść, więc nadeszła odpowiednia chwila...

Mówiąc to, szukał w myślach dziewczyny, która mogłaby zaślubić jego syna.

— Lepiej wziąć żonę — odezwał się znowu syn — aniżeli wyrzucać pieniądze na dziewczki gdy przyjdzie ochota. Człowiek powinien mieć synów. Nie szukaj mi jednak żony w mieście, takiej jak moja bratowa, bo będzie mi ciągle trąkotać nad uchem, jak to się żyło w domu jej ojca i będzie mnie zmuszać do wydatków, a toby mnie gniewało.

Wang zdziwił się bardzo, bo sądził, że synowa zachowuje się przykładowie. Ucieszył się zarazem, że syn wskazuje tyle zdrowego rozsądku i zapobiegliwości. Było to dla niego niespodzianką, gdyż młodszy syn w porównaniu z pierworodnym sprawiał wrażenie niemal dziecka, taki był wątpliwy i niepokaźny. Nikt nie zwracał nań uwagi, nawet Wang nie zaprzętał nim sobie głowy, tylko, gdy go pytano, ilu ma synów, przypominał sobie chłopca, odbywającego praktykę w mieście i odpowiadał: — Ano, mam trzech...

Teraz dopiero przyjrzał mu się uważnie, obrzu-

cił uważnem spojrzeniem równo przycięte, natarte oliwą włosy, czystą jedwabną szatę w drobny deseń na popielatem tle i z zadowoleniem stwierdził, że chłopiec ma zręczne i pewne ruchy. — „Patrzcie-no, to także mój syn!“ — szepnął sam do siebie.

— A jakabyś chciał mieć dziewczynę? — zapytał po chwili.

Chłopiec odpowiedział głosem równym i stanowczym, jakby miał już gotowy, dawno obmyślony, plan.

— Chcę dziewczyny pochodzącej ze wsi, z porządnej rodziny, z przyzwoitem wianem. Niech nie będzie ani szpetna, ani zbyt urodziwa, niech się zna na kuchni, tak, by mogła pilnować służby. Musi to być taka gospodarna kobieta, która potrafiłaby odważyć tyle ryżu, ile potrzeba, a gdy odmierza sukna na ubranie, to nie maruje skrawków. Taką żonę chciałbym mieć...

Coraz bardziej dziwował się Wang Lung, słuchając słów syna. Oto stoi przed nim nieznajomy młody człowiek, który jest jego synem. Inna w żyłach jego płynie krew, niż ta, co krążyła w pożądlivem ciele Wanga za jego młodych lat, inna niż ta co płynie w żyłach najstarszego syna. Odrzekł ubawiony:

— Dobrze, będziemy szukać ci żony. Każę też Czingowi szukać odpowiedniej dziewczyny ze wsi.

Śmiejąc się ciągle pożegnał syna i udał się w kierunku pałacu. Przez chwilę stał niezdecydowany u drzwi, strzeżonych przez kamienne lwy, ale nie widząc w pobliżu dozorczy wszedł pewnym krokiem, wgłęb podwórców. Nic się tutaj nie zmieniło od czasu, gdy poszukiwał ulicznicy, co mu uwiodła syna. Na gałęziach drzew zwisały suszące się szmaty, wszędzie roilo się od plotkujących bab, a nagie i brudne dzieciaki tarzały się na ziemi. W powietrzu unosiła się smrodliwa woń biedoty, od której roilo się po-

dwórcę i oficyny, opuszczone przez możnych właścicieli.

Wang zerknął w stronę drzwi mieszkania dziewczynki. Ku swemu zadowoleniu ujrzał tam już innego lokatora — zgrzybiałego starca, który siedział na progu.

Ongiś, gdy pałac zajmowany był przez bogaczy, byłby Wang jednym z tych prostaczków, co na widok bogaczy odczuwają lęk i nienawiść, dzisiaj jednak jako właściciel rozległych włości i worów pełnych srebra i złota, gardził nędzarzami, rojącymi się w zakamarkach opuszczonej rezydencji. Patrzył na nich z niechęcią i wstrzymywał oddech, by nie łykać wnętrzliwej woni, bijącej od plugawych ubrań. Dawniej był wrogo usposobiony tylko dla bogaczy, dzisiaj nędzarze budzili w nim wstręt i odrazę.

Wiedziony ciekawością, ale wciąż jeszcze niezdecydowany, przeszedł się tam i spowrotem przez anfiladę podwórców. Znalazł wreszcie na końcu opuszczone podwórko, prowadzące do głównego domu. Siedziała tutaj ospowata kobiecina. Rozpoznał w niej żonę dawnego dozorca. Zdumiał się na jej widok, gdyż pamiętał ją, jako tęgą wesołą kobietę, a teraz ujrzał siwowłosą, pomarszczoną staruchę, o błędnym spojrzeniu. W jej rozwartych ustach sterczały rzadkie, żółte pieńki. Patrząc na nią uświadomił sobie nagle, ile lat minęło od dnia, gdy jako młody człowiek przekroczył próg pałacu, z nowonarodzonym synem na ręku. Po raz pierwszy w życiu usłyszał szelest kroków czającej się za nim starości.

Gdy przemówił do kobiety, w głosie jego drżała żalсна нута.

— Obudźcie się i otwórzcie mi furtkę.

Starucha otworzyła oczy, zamrugła bezrzęsami powiekami i oblizwała spieczone wargi.

— Nie wolno mi tu wpuszczać nikogo, chyba tych, co chcą wynająć całą środkową oficynę.

— Właśnie chcę to uczynić — odrzekł Wang — jeżeli mi dom przypadnie do gustu.

Nie przypomniawszy jej jednak swego imienia, tylko bez słów poszedł wślad za nią, znajomą drogą. Dawna siedziba księżęca sprawiała wrażenie martwej, taka tutaj panowała cisza.

Oto mała izdebka, w której zostawił koszyk, gdy go wezwano do starszej pani. Tam znów widać werandy, wsparte na gibkich, czerwona laką malowanych filarach. Stara wprowadziła Wanga do głównej sali. Wchodząc do sali cofnął się myślami wstecz, kiedy to stał w tem samym miejscu i czekał na przybycie niewolnicy, którą zamierzał poślubić. Wzrok jego padł na drewniany baldachim, pod którym siedziała wówczas stara dziedziczka. Zdawało mu się, że widzi drobną, delikatną postać sędziwej kobiety, owiniętą w srebrzyste atłasy.

Wiedziony niewy tłumaczonym impulsem zbliżył się do baldachimu i zajął miejsce na fotelu, na którym siadywała dziedziczka, a oparłszy dłoń na stole spojrzął z wyniosłości tronu na zgrzybiałą wiedźmę, która przyglądała mu się, mrugając oczkami. Nagle poczuł jak mu serce wzbiera radością, powodu spełnienia się najtajniejszych tęsknot — więc trzasnął ręką w stół i rzekł mocnym głosem:

— Biorę ten dom!...

ROZDZIAŁ XXIX.

Z latami Wang coraz bardziej tęsknił do ciszy — gdy coś zdecydował, chciał się natychmiast pozbyć kłopotu, by móc odpoczywać na słońcu, albo drzeć po powrocie z pola. Toteż, gdy postanowił nabyć dom w mieście, zawezwał najstarszego syna i polecił mu zająć się wszystkiem, posłał też po młodszego chłopca, a gdy już spakowano sprzęty, dał ha-

sło przeprowadzki. Najprzód wyjechała Lotos w otoczeniu Ku-ku i niewolnic, wśród za niemi jechał najstarszy syn z żoną i służbą i niewolnicami.

Wang Lung ociągał się z odejściem. Pozostał więc w domu razem z najmłodszym synem, a gdy synowie zaczęli go przynaglać, rzekł im opryskliwie:

— Przygotujcie mi tam mieszkanie, dla mnie samego. Przybędę do was wtedy, gdy poczuję ochotę. Przed narodzeniem wnuka. Chcę od czasu do czasu wracać na wieś...

Syn się niecierpliwił, lecz Wang nie chciał ustąpić.

— Nie wiem, co mam zrobić z naszą biedną niemową. Czy mam ją zabrać ze sobą, czy zostawić tutaj? Sam muszę dbać o nią, nikt innyby jej nie doglądał.

Mówiąc to czynił aluzję do żony starszego syna, która znieść nie mogła obecności małej idjotki.

— Taka pokraka nie powinna żyć! — odcięła się, krzywiąc się ze wstrętem. — Przez samo pa-trzenie na nią mogę zeszpecić dziecko, które noszę w łonie.

Syn Wang Lunga nie odezwał się ani słowem. Wang już żałował tego, co rzekł, więc odezwał się łagodniejszym tonem:

— Przybędą do was dopiero wtedy, gdy znajdę żonę dla młodszego syna. Zostanę narazie z Czingiem, dopóki nie załatwimy tej sprawy.

Pozostali więc w domu Wangu tylko stryj z rodziną, Czing z robotnikami, Wang, najmłodszy syn i niemowa. Stryj przeniósł się z żoną i synem do oficyny, zajmowanej dotychczas przez Lotos. Nie sprawiło to jednak przykrości Wangowi, bowiem zdawał sobie sprawę, że już niewiele dni pozostao do życia stryjowi. Gdy stary, bezużyteczny krewniak umrze, to Wang nie będzie miał już żadnych obowiązków względem rodziny i nikt mu nie weźmie za złe, jeśli wyrzuci z domu kuzyna. Czing razem z pa-

robkami zamieszkał w przybudówce, zaś Wang z synem i córką, zajęli wewnętrzne izby. Dla utrzymania porządku wynajęto tęgą, pracowitą kobietę.

Mógł się teraz Wang wysypiać dowoli i wypoczywać, bo opadło go dziwne znużenie, w domu zaś panowała cisza, która nakłaniała do snu. Nikt mu nie zakłócał spokoju. Najmłodszy syn był cichym, uступliwym chłopcem, który usuwał się z drogi każdemu. Rodzony ojciec nie wiedział, co się kryje w duszy małego mruka.

Wreszcie zdobył się na wysiłek i rozkazał Czingowi szukać odpowiedniej dziewczyny, dla drugiego syna.

Czing postarzał się bardzo, wysechł, jak trzcina, ale miał w sobie tę samą moc, jaką mają wierne stare psy, służące do śmierci swemu panu. Wang nie pozwalał mu męczyć się, chodzić za pługiem, ani brać do ręki ciężkiej motyki — używał go tylko jako dozorcę nad robotnikami. Czing pilnował ich w polu i stawał przy wadze, gdy mierzono ziarno. Gdy dowiedział się, o co chodzi, umył się starannie, ubrał odświętny bawełniany kaftan i wyruszył w drogę. Szedł od chaty do chaty, przyglądał się dziewczętom, napotkanym we wsi, wreszcie po długiej nieobecności powrócił do domu i zdał sprawozdanie Wangowi.

— Wolałbym wybierać żonę dla siebie, aniżeli dla waszego syna. Ale gdybym był młody, tobym wybrał pewną dziewczynę, co mieszka w trzeciej wsi. Dobra, wesola, pracowita, jeno za często się śmieje. Ojciec jej chętnieby się z wami pokumał. A i wiano ma niezłe, jak na dzisiejsze czasy i kawał gruntu. Powiedziałem im, że bez was nie mogę niczego postanowić.

Wang Lungowi zależało na pośpiechu, więc zaraz udzielił zezwolenia, a gdy przyniesiono papiery, położył na nich swoją pieczęć i odetchnął z ulgą:

— Teraz zostaje mi tylko jeden syn. Niebawem skończy się to uganianie za żonami dla synów i kłopoty z weselem, człek będzie mógł wreszcie odpocząć.

Skoro nadszedł dzień wesela, Wang Lung usiadł przed domem, na słońcu, i zdrzemnął się, tak, jak to ongi czynił jego stary ojciec.

* * *

Wang Lung doszedł pewnego razu do wniosku, że lepiej będzie wydzierżawić część posiadłości mieszkańcom wioski, sam bowiem czuł się coraz bardziej ociężały i senny; Czing również z każdym dniem stawał się słabszy i niedołężniejszy, a najmłodszy syn nie mógł jeszcze pełnić odpowiedzialnego zadania. Zgłosiło się niebawem wielu wieśniaków, przyszli nawet mieszkańcy odległych wiosek, którzy chcieli wziąć w dzierżawę ziemie Wanga. Po długich targach ustalono wysokość czynszu dzierżawnego. Miał wynosić połowę zbiorów. Ponadto Wang dostarczał nawozu, placków z fasoli, oleju, zaś dzierżawca zobowiązywał się dostarczyć na potrzeby domu niektórych plonów.

Coraz mniej miał teraz Wang Lung do roboty, mógł więc czasami zachodzić do miasta. Nocował wówczas w oficynie wynajętej dla niego, ale wczesnym rankiem wracał na wieś. Wychodził o świcie, skoro tylko otworzono bramę. Z rozkoszą wchłaniał w płuca rzeźkie powietrze i cieszył się, ilekroć powrócił na rolę.

Widocznie bogowie chcieli okazać Wangowi swą łaskawość i zapewnić mu spokój na stare lata, bo pewnego razu syn stryja, zniecierpliwiony ciszą, panującą w opustoszałym domu, w którym kręciła się jedna tylko opasła żona parobka, przyszedł do Wanga i rzekł:

— Powiadają ludzie, że na pomocy toczy się wojna. Chcę tam iść — przynajmniej coś nowego zobaczę. Może dacie mi trochę srebra, żebym mógł kupić ubranie, pościel i zagraniczną strzelbę.

Wangowi serce zabiło radośnie, ale opanował się i nie dał po sobie znać, że cieszy się z odjazdu kuzyna.

— Jako — przemówił zatroskanym głosem — jesteś jedynym synem mego stryja. Jeśli pójdiesz najnę, któż się będzie nim zajmował?

Ale kuzyn odparł śmiejąc się:

— Nie jestem warjatem, żebym miał się pchać tam, gdzie śmierć grozi. Jeśli będzie bitwa, to zwycię i wrócę, gdy się wszystko skończy. Chce mi się odmiany, chcę się strochę przejechać po obcych krajach. Później zestarzeję się i nie będę mógł ruszyć ani ręką ani nogą.

Dał mu więc Wang Lung zapas srebra. Tym razem przyszło mu to bez trudu.

— Jeżeli zasmakuje w wojence — myślał sobie — to będę miał raz na zawsze spokój. Zawszeć się gdzieś trafi jakaś wojna. A jeśli los będzie mi w dalszym ciągu sprzyjał, to może go na tej wojnie zabiją. To się przecież zdarza...

Myśląc o tem, rozweselił się bardzo, lecz ukrył radość i jał pocieszać stryjenkę, która rozbeczała się na wieść o zamiarach syna. Dodał jej na pociechę opjum, sam zapalił fajkę i rzekł łagodnie:

— On jeszcze zostanie wysokim urzędnikiem wojskowym i przyniesie nam wszystkim zaszczyt...

Tak oto w domu Wanga zapanował wreszcie upragniony spokój. Jedynymi jego mieszkańcami byli wiecznie senni i odurzeni dymem opjum stryj i stryjenka, no i Wang z wiernym Czingiem. Tymczasem zbliżała się godzina urodzin wnuka.

Wang coraz częściej zaglądał do miasta i przechadzał się po oficynach i podwórcach, nie mógł się

bowiem nacieszyć i nadziwić, że w pałacu wielkiego rodu Hwangów mieszka on — Wang Lung, razem ze swoją kobietą, z synami i synowemi, i że spodziewał się przybycia potomka. Będzie to już trzecie pokolenie... Serce Wanga wzbierało taką radością, że odczuwał potrzebę wyładowania jej, kupując podarki dla swoich najbliższych. Wszystko mu się wydawało nie dość piękne i wytworne. Nabywał więc całe sztuki jedwabi i atlasu, gdyż bawełniane szaty nie pasowały do pięknych rzeźbionych sprzętów z czarnego drzewa, sprowadzanego z południa. Kupił też kilka sztuk niebieskiej bawełny, na odzież dla niewolnic. Z zadowoleniem witał gości, odwiedzających najstarszego syna, dumny był bowiem, że się przed nimi może pochwalić dobytkiem.

Zależało mu też na tem, by jedzenie było pańskie i delikatne. On, który dawniej zadawałniał się pszenicznym chlebem i czosnkiem, stał się wymagający i kapryśny. Już mu byle co nie smakowało — kosztował kolejno korzeni bambusowych, krewetek i ryb z południa, jadał mięso homarów z mórz północnych i jaja gołębie i wszelkie specjały, któremi bogacze zaostrzają sobie apetyt. Równie wybredni byli synowie Wanga i Lotos. Ku-ku, widząc co się święci, mawiała, śmiejąc się głośno:

— Wróciły dawne czasy. Wszystko jest tak, jak było za moich młodych lat, na dworze Hwangów, tylko ciało moje zwiędło i zeschło się i nie skusiłoby nawet starego księcia.

Mówiąc to, zerknęła chytrze na Wang Lunga, chichocząc cicho, on zaś udawał, że jej nie słucha, ale w głębi duszy cieszył się, że go przyrównuje do starego dziedzica.

Pędząc próżniacze życie, wysypiając się do południa i jedząc do syta, czekał Wang Lung przybycia upragnionego wnuka. Pewnego ranka usłyszał jęki,

udał się więc do mieszkania syna. Syn wyszedł na jego spotkanie i rzekł:

— Nadeszła godzina rodzenia. Ku-ku powiada, że to potrwa długo, bo kobieta jest wąska w biodrach. Poród będzie ciężki.

Wróci więc Wang do swego domu i przysłuchiwał się zdaleka krzykom położnicy. Pierwszy raz w życiu odczuwał lęk i potrzebę nadprzyrodzonej interwencji. Wstał więc i poszedł do sklepu z kadzidłem, kupił kilka pałeczek, poczem wstąpił do świątyni bogini miłosierdzia. Bogini mieszka w złoconej alkowie. Strzeże jej stary kapłan. Wang poprosił go, aby wzamian za umówioną opłatą zapalił kadzidło przed ołtarzami.

— Mężczyźnie nie uchodzi tego czynić — tłumaczył zażenowany — ale oczekujemy przybycia mojego pierwszego wnuka. Matka cierpi bardzo, bo ma wąskie biodra i pochodzi z mieszczańskiej rodziny, matka mego syna nie żyje, a w domu nie ma innych kobiet, któreby mogły zapalić kadzidło w świątyni.

Nagle, gdy się przyglądał kapłanowi, rzucającemu w urnę z popiołem wonne pałeczki, przyszła mu do głowy okropna myśl:

— A jeżeli to nie będzie wnuk, tylko dziewczyna...

Dodał więc pośpiesznie:

— Jeżeli urodzi się wnuk, to sprawię bogini nową, czerwoną szatę, ale jeśli urodzi się córka, nie dam nic.

Wyszedł ze świątyni zaniepokojony wielce, bo jakoś dotychczas nie przychodziło mu na myśl, że mogłaby się urodzić wnuczka. Kupił na wszelki wypadek jeszcze kadzidła i powlókł się, pomimo upału, przez ulice, tonące w kurzu, do małej wiejskiej świątynki. Bożek i bogini siedzieli nieporuszenie na ołtarzyku, strzegąc dniem i nocą pól, otaczających świą-

tynie. Rzucił kadzidło w wygasłe ognisko, zapalił je i tak przemówił do bożków:

— Dbaliśmy o owoc. Jeżeli nie urodzi mu się mężczyzna, to zrywam z wami na zawsze i nic już dla was nie uczynię.

Poczem, uspokojony zupełnie i przeświadczony, że spełnił wszystko, co do niego należało, powrócił do domu. Usiadł ciężko przy stole i krzyknął na niewolnicę, by mu przyniosła gorącej herbaty, na inną zaś, by mu wytarła twarz ręcznikiem zmoczonym w ukropie. Napróżno jednak klaskał w ręce, nikt nie zwracał na niego uwagi, chociaż po pokojach biegały tam i napowrót młode służące. Wang nie miał odwagi zapytać, czy się urodziło dziecko i jakiej płci. Siedział więc milczący i zakurzony, chyląc znużone barki, a nikt nie raczył przemówić do niego.

Wreszcie, gdy mu się zdało, że siedzi tak cały dzień w pokoju ukazała się opasła i ociężała Lotos. Stała niepewnie na małych nóżkach, wspierając się na ramieniu Ku-ku. Zatrzymała się przy Wangu, i pochyliwszy głowę, rzekła donośnym głosem:

— Syn się narodził w domu twego syna. I matka, i dziecko żyją i mają się dobrze. Widziałam twego wnuka — ładny jest i silny.

Wang roześmiał się radośnie, klasnął w ręce i znowu się zaśmiał.

— A ja tutaj siedziałem zgębiony, jakby to mnie się miał urodzić pierwszy syn. Tak się czegoś bałem...

Lotos porwóciła do siebie, a Wang pograżył się w zadumie.

— Dziwna rzecz — myślał — gdy mi się miał urodzić pierworodny syn, nie czułem takiego lęku, jak dzisiaj.

Przypomniawszy sobie nagle, jak to pierwszym razem O-lan zamknęła się w ciemnej izdebce i bez niczyjej pomocy wydała na świat dziecko, a potem

tak samo cichaczem i o własnych siłach rodziła mu synów i córki, nie wydając skargi, zaraz wracając do pracy w polu. Tymczasem żona jego syna krzyczy, jak małe dziecko, krzątają się wokoło niej liczne służebnice i niewolnice, a mąż stoi drżący u drzwi jej pokoju.

Wydało mu się nagle, że cała przeszłość jego była snem. Jak wspomnienie dawnego snu, jawiła mu się O-lan. Przerywa oto robotę i daje pierś dziecku, a białe, tłuste mleko płynie z drugiej piersi i rozpryskuje się po ziemi. Jakże to dawno było... Może wogóle nigdy się nie zdarzyło...

Do pokoju wszedł syn Wanga uśmiechnięty i pewny siebie rzekł głośno:

— Urodził się mężczyzna, ojcie. Musimy teraz znaleźć matkę, bo nie mogę pozwolić, żeby moja żona karmiła dziecko. Nianczenie dziecka męczyłoby ją. Zbrzydlaby zaraz. Żadna z kobiet z wyższego towarzystwa nie karmi dziecka własną piersią...

Wang Lung odrzekł smutnie, chociaż nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego ogarnęła go żalność:

— Niechże i tak będzie, jeżeli nie może sama nianczyć dziecka...



Po upływie miesiąca syn Wanga urządził uroczysty obchód urodzin, sprosił licznych i znamienitych gości z miasta oraz rodziców żony. Kazał ufarbować na czerwono setki jaj kurzych, poczem rozdał je gościom. Dom był pełen gwaru i brzęku talerzy.

Po skończonych uroczystościach najstarszy syn przyszedł do ojca i przemówił w te słowa:

— Teraz, gdy w domu mieszkają pod jednym dachem trzy pokolenia, trzeba pomyśleć o tabliczkach przodków, które zdobią domy wielkich rodów, wy-

stawiać je będziemy na widok publiczny podczas uroczystości.

Słowa syna przypadły do smaku Wang Lungowi, wydał więc zaraz rozkaz ustawienia w największej sali rzędu tabliczek, z imionami przodków. Na pierwszej widniało imię dziadka, na następnej — ojca, potem szły puste tabliczki, przeznaczone dla Wanga i jego syna, gdy odejdą z tego świata. Syn kupił kadzielnicę i ustawił ją przed tablicami.

Teraz dopiero przypomniał sobie Wang Lung obietnicę, uczynioną w świątyni, udał się więc tam, by wręczyć kapłanowi pieniądze, na zakup czerwonej szaty dla bogini miłosierdzia. Ale w powrotnej drodze okazało się, że bogowie lubią ukrywać w darach trujące żądła, bo nagle podbiegł do Wanga jeden ze żniwiarzy i oznajmił mu zdyszczanym głosem, że Czing jest umierający i zapytuje, czy Wang zechce być świadkiem jego śmierci. Wang Lung wybuchnął gniewem:

— Ta przeklęta para bogów w świątyni pozazdrościła czerwonej sukni, którą sprawiłem bogini miłosierdzia w mieście. Widocznie nie wiedzą, że nie posiadają żadnej mocy, gdy chodzi o urodziny dziecka, są przecież tylko bogami ziemi.

Przyszedłszy do domu nie tknął jedzenia, które czekało nań na stole, nie słuchał też wezwań Lotos, która radziła czekać do wieczora i udał się do Czinga. Lotos wysłała w ślad za nim niewolnicę z parasolem z naoliwionego papieru, ale Wang biegł tak szybko, że tęga dziewczyna ledwie mogła za nim nadążyć.

— Jakże to się stało? — zapytał Wang od progu, wchodząc do izby, w której złożono Czinga.

Izba natłoczona była parobkami. Jeden gadał przez drugiego.

— Chciał sam pomagać przy młocce...

„Mówiliśmy mu, że jest za stary...” Był tam je-

den parobek, co niedawno nastał...” „Czing chciał mu pokazać, jak się młóci...” „To nie jest zajęcie dla starego...”

— Przyprowadź mi tego człowieka! — krzyknął Wang Lung strasznym głosem.

Robotnicy wypchnęli naprzód, drżącego ze strachu człowieka. Był to wielki, nieokrzesany drab, o wystających zębach i tępych, zwierzęcych oczach. Wang Lung bezlitośnie uderzył go z całej siły w twarz, a potem wyrwał z rąk niewolnicy parasol i zaczął tłuc chłopca po głowie. Nikt nie śmiał temu przeszkodzić, w obawie iż złość przeniknie do krwi starego dziedzica i zatruje ją. A prostak stał pokorny mamrocząc coś i ssąc dolną wargę sterczącą zęby.

Nagle, z łóżka, na którem spoczywał Czing dobiegło ich żalosne westchnienie. Wang rzucił parasol i krzyknął:

— On mi umiera, a ja biję tego durnia...

Usiadł przy łóżku przyjaciela i ujął go za rękę. Ręka była lekka i wyschnięta, jak dębowy liść. Trudno było uwierzyć, że płynie w niej krew, tak była sucha i lekka. Zato blado żółta twarz Czanga dziwnie pociemniała i pokryła się krwawymi piętnami, a przymknięte oczy zasnuła mgła. Z piersi Czanga wydobywał się przerywany, słaby oddech. Wang pochylił się nad Czangiem i rzekł mu głośno w samo ucho:

— Jestem tutaj przy tobie. Kupię ci trumnę, niegorszą, niż dla mojego ojca.

Ale w uszach Czanga dudniała krew i może słyszał, co do niego mówią, lecz nie dał znaku życia. Leżał nieruchomy, dysząc ciężko.

Tak umarł Czing.

Gdy uleciało z niego ostatnie tchnienie, pochylił się Wang Lung nad zwłokami i zapłakał rzewniej, aniżeli przy zgonie ojca. Potem zamówił najpiękniej-

szą trumnę i zawezwał licznych kapłanów, a podczas pogrzebu postępował za trumną, odziany w żałobny biały strój. Nawet najstarszemu synowi nakazał przewiązać nogi w kostkach białymi taśmami, jak po zgonie krewnego. Syn był niezadowolony i skarżył się:

— Czing był tylko służącym. Nie uchodzi nosić żałoby po sługach.

Wang Lung postawił na swoim i zmusił syna do noszenia żałoby przez trzy dni. Gdyby nie sprzeciw rodziny, byłby chętnie umieścił trumnę z ciałem Czinga w głębi glinianego grobowca, obok trumien ojca i O-lan.

— Jatko? — zachnęli się synowie — nasza matka i dziadek mają spoczywać obok zwykłego służącego? I my także kiedyś mielibyśmy leżeć w jego towarzystwie?

Stary Wang ponad wszystko cenił spokój, więc ustąpił synom i pochował Czinga u wejścia do grobowca.

— Tak będzie najlepiej — rzekł sam do siebie. — Czing przez całe życie stał na straży mego domu i chronił nas przed złym losem.

Nie omieszkął też zalecić synom, żeby w przyszłości złożyli jego zwłoki obok Czinga.

Coraz rzadziej wychodził Wang Lung w pole, jako że od kiedy nie stało Czinga — ciążyła mu samotność, męczył każdy wysiłek i bolały go kości, gdy wędrował samotnie po szorstkiej roli. Wydzierzał więc resztę ziemi. Chętnych nie brakło, gdyż wiadano, że ziemia Lunga jest tłusta i urodzajna. Nie przychodziło jednak na myśl Wang Lungowi pozbyć się jednej pędzi ziemi, zgadzał się tylko wydzierżawić ją na przeciąg jednego roku. W ten sposób pozostał nadal jej właścicielem.

Wynajął też jednego z parobków i jego żonę do pilnowania stryja i stryjenki, którzy oddawali się bez miary nałogowi palenia opjum. A razu pew-

nego, widząc zatroskane spojrzenie najmłodszego syna, rzekł:

— Pójdiesz ze mną do miasta. Zabiorę niemowę i zamieszkam z nią w mojej oficynie. Zanadto tutaj pusto od czasu śmierci Czinga, obawiam się, że teraz nikt nie będzie dbać o naszą biedną niemowę, bo nawet, gdyby ją kto uderzył, nie ma komu przyjść do mnie na skargę... I nikt cię nie nauczy pracować na roli.

Zabrał tedy Wang Lung najmłodszego syna i córkę do miasta i przez czas dłuższy nie pokazał się na wsi.

Zdawało się, że nic już teraz nie brakuje Wang Lungowi do szczęścia. Mógł sobie spokojnie wysiać na słońcu, obok niemowy, i kurzyć ulubioną fajkę. Ziemię uprawiali dzierżawcy, a pieniądze same płynęły do rąk.

Cóż kiedy najstarszy syn nigdy nie był zadowolony z tego, co miał i wiecznie szukał czegoś więcej. Pewnego razu przyszedł do ojca i rzekł:

— To nie dość, że mieszkamy w pałacu, ojcze. To nie wystarcza, żeby zasłużyć sobie na miano wielkiego rodu. Trzeba jeszcze pomyśleć o urządzeniu domu. Za sześć miesięcy odbędzie się wesele młodszego brata, a my nie mamy ani dość krzeseł dla gości, ani filiżanek. Wstyd prosić gości, skoro muszą wędrować przez podwórze, na których roi się cuchnąca biedota. Trzeba zająć wszystkie podwórze i oficyny. Przecież i ja i mój brat będziemy mieli potomstwo...

— Ciekaw jestem, czego ci się jeszcze zachciewa?

Młodzieniec zrozumiał, że nadużywa ojcowskiej cierpliwości, ale postanowił nie ustępować, odezwał się więc podniesionym głosem:

— Powiadam, że powinniśmy zająć także we-

wewnętrzne oficyny i podwórze, jak przystało rodzinie, która posiada piękną posiadłość ziemską i kapitały.

Wang Lung, nie wyjmując fajki, odburknął:

— Ziemia należy do mnie, a ty ani palcem jej nie tknąłeś...

— Jakto, przecież to ojciec chciał wychować mnie na uczonego — zachnął się młodzieniec — ja tu staram się podnieść honor domu, a ojciec gniewa się na mnie. Cóż to? ojciec widocznie chce, żebym wiódł egzystencję parobka?

Mówiąc to, zaczął tłuc głową o pokraczną sosnę, rosnącą w podwórzu.

Przestraszony Wang Lung wykrzyknął:

— Rób, jak chcesz... Rób, jak chcesz!... Tylko nie nudź mnie...

Syn uspokoił się odrazu. Nie zwlekając, zabrał się do czynienia zakupów. Sprowadził niebawem pięknie rzeźbione stoły i krzesła z Soszow i zasłony z czerwonego jedwabiu, i obrazki, wyobrażające piękne kobiety, kupił też dziwaczne kamienie, z których się ustawia w podwórcach sztuczne skały, takie, jakie się widuje na południu Chin. Zabrało mu to wiele czasu.

Musiał jednak często przechodzić przez zewnętrzne podworce. Zadzierał wówczas nosa i myślał ze wstrętem o nędzarzach, gnieźdzących się tutaj, oni zaś wyśmiewali się z niego i mówili do siebie:

— Widocznie zapomniał już, jak śmierdzi nawóz w podwórku ojcowskiej chaty...

Nikt jednak nie śmiał robić takich uwag, gdy syn Wanga był blisko — czekano więc, by przeszedł, każdy bowiem pamiętał, że to syn bogacza. A kiedy nadszedł dzień, w którym ustala się wysokość czynszu, biedacy, zamieszkujący dawny pałac Hwangów dowiedzieli się, że czynsz został podniesiony ponieważ znalazł się ktoś, kto zamierza dać wyższą cenę

za cały dom. Musieli więc wynieść się i szukać gdzieś indziej schronienia.

Domyślano się, że sprawcą nieszczęścia jest syn Wang Lunga, ale nikt nie mógł tego powiedzieć na pewno, gdyż sprytny chłopak nie zdradził się ani słowem, a wszelkie transakcje przeprowadzał listownie z synem starego księcia Hwanga. Syn księcia przebywał stale w obcych stronach i myślał tylko o tem, jakby wyciągnąć jaknajwięcej pieniędzy ze starego domu.

Nędzarze wynieśli się tedy, złorzecząc i utyskując na wszechmocnych bogaczy. Wędrowali, obarczani mizernym dobytkiem, a serca ich przepełniała złość wielka. Niektórzy z nich wygrażali się, że wrócą kiedyś, bowiem, gdy bogacze mają za dużo pieniędzy, biedacy rozprawiają się z nimi po swojemu.

Wang Lung nie słyszał tego wszystkiego, gdyż większą część dnia spędzał w domu. Wysypiał się jadł do syta i odpoczywał za wszystkie czasy. Majątek powierzył najstarszemu synowi. Syn zwoływał rzemieślników, cieśli, stolarzy i doświadczonych murarzy i kazał im naprawiać pokoje, odrzwia, zniszczone przez poprzednich lokatorów. Zakładał nowe sadzawki, do których wpuszczał centkowane i złote rybki, a gdy robota miała się ku końcowi, zasadził w sadzawkach lotosy, lilje wodne, indyjskie bambusy, które widywał na południu. Przechadzał się po podworcach razem z żoną, a żona zwracała mu uwagę na rozmaite braki, on zaś słuchał jej uważnie i obiecywał, że wszystko będzie tak, jak ona zechce.

Niebawem rozeszło się po mieście, jakie to zmiany wprowadza syn Wang Lunga i jak wystawnie żyją nowi mieszkańcy pałacu. Dawniej nazywano Wanga „Gospodarzem“, teraz nadano mu przydomek „Wielki Wang“, albo „Wang Bogacz“.

Wprawdzie pieniądze topniały w rękach syna, lecz Wang nie zdawał sobie z tego sprawy. Najstar-

szy syn przychodził do ojca i powiadał: „Potrzebuję na to lub owo sto sztuk srebra“, — albo — „Tamta brama jest jeszcze cała i dobra, ale trzeba ją naprawić. To nie będzie drogo kosztować „najwyżej kilka sztuk srebra“. — To znów — „W tem miejscu powinienby stać długi rzeźbiony stół“.

Słyszając to Wang wydobywał z kabzy pieniądze i dawał je bez szemrania, jako że każdorazowe żniwa przynosiły zyski. Zdobywali teraz srebro bez wysiłku, więc i bez wysiłku się go pozbywali. Może Wang nigdy by się nie dowiedział, ile poszło pieniędzy na odnawianie domu, gdyby nie młodszy syn, który pewnego razu przybiegł do ojca wczesnym rankiem.

— Ojciec — kiedyż wreszcie skończy się to wydawanie pieniędzy? Czy my musimy mieszkać w pałacu? Gdybyś pożyczył pieniądze na dwadzieścia procent, byłbyś zarobił drugie tyle. Na co nam te sadzawki, kwitnące drzewa, które nie przynoszą owoców, poco te bezużyteczne lilje wodne?

Wang zrozumiał, że bracia gotowi są pokłócić się, więc odpowiedział:

— To na twoje wesele, synu.

Młody człowiek uśmiechnął się złośliwie.

— Dziwna rzecz... Wesele będzie drożej kosztować, aniżeli panna młoda. Mieliśmy się podzielić z bratem majątkiem po śmierci ojca, a tymczasem cała scheda idzie na zaspakajanie głupich zachcianek tego pyszałka.

— Dobrze, już dobrze — odparł Wang — położę temu kres... Pogadam z twoim bratem. Masz rację... Trzeba z tem skończyć.

Ale młodszy syn miał przy sobie papier, na którym spisał wydatki, poczynione przez starszego brata. Wang Lung zerknął na nieskończenie długą litanję i dodał w pośpiechu:

— Nie jadłem jeszcze, a w moim wieku nie

można długo być na czczo. Słabość mnie ogarnia. Porozmawiamy innym razem.

Powstał z krzesła i udał się do swego pokoju. Tegoż wieczora zawezwał starszego syna.

— Skończ wreszcie z tem pacykowaniem i upiększanie domu. Co tu dużo gadać. Jesteśmy zwyčajni chłopi.

Ale syn odparł dumnie:

— O, wcale nie. Już nawet ludzie w mieście nazywają nas wielkim rodem Wangów. Musimy więc mieszkać, jak przystało znakomitemu rodowi, a jeśli młodszy brat lubi pieniądź dla pieniądza i wystarcza mu myśl, że posiadamy srebro, to ja i moja żona będziemy bronić honoru rodowego nazwiska.

Wang Lung nie wiedział, że w mieście uważa się ich za bogaczy, gdyż rzadko zachodził do herbaciarni, a nigdy nie zjawiał się na zbożowym rynku, gdzie zastępował go młodszy syn, ale poczuł radość z tego powodu. Rzekł więc:

— Nawet największe rody pochodzą ze wsi. Korzeniami tkwią w ziemi.

I tym razem syn nie pozostał dłużny w odpowiedzi:

— Tak — ale nie pozostają przez całe życie na wsi. Wypuszczają gałęzie, wydają kwiaty i owoce.

— Powiedziałem, co myślę. Musisz przestać wyrzucać pieniądze. Jeżeli korzenie mają wydać owoce, to powinny mocno tkwić w ziemi.

Był tak rozeźlony na syna, że pragnął w tej chwili, aby on i żona wynieśli się raz na zawsze z pałacu i pozostawili go w spokoju i samotności. Ale z takim synem nie mogło być mowy o spokoju. Wprawdzie nie miał on zamiaru buntować się przeciwko ojcu, gdyż w głębi duszy cieszył się mieszkaniem, ale zaczął znowu się sprzeczać.

— Jest jeszcze inna sprawa do załatwienia.

— Tym razem Wang rzucił z pasją fajkę na stół i krzyknął:

— Czy nigdy nie zaznam spokoju?

— Nie chodzi o mnie ani o mojego syna — odparł młodzieniec stanowczym głosem. — Chodzi mi o młodszego brata. Nie wypada, aby pozostał nieokrzesanym, nieukiem. Trzeba go czegoś nauczyć.

Ojciec spojrzał na syna ze zdziwieniem. To było coś nowego. Już przed laty powziął postanowienie, że najmłodszy syn będzie mu podporą w pracy na roli, więc się obruszył:

— Nie ma dla niego tutaj miejsca. Postanowiłem wychować go na rolnika.

— Pewnie dlatego płacze całymi nocami — i wygląda, jak nieboszczyk.

Wangowi nigdy nie przyszło na myśl, że warto by spytać syna, czemu by pragnął zostać. Słowa najstarszego syna uderzyły go i zastanowiły. Podniósł bez pośpiechu fajkę i zamyślił się. Najmłodszy chłopiec nie podobny jest do braci, przypomina raczej matkę, jest tak samo milczący i skryty jak ona. Może właśnie dlatego nikt nań nie zwracał uwagi.

— Czy ci się skarżył? — zapytał wreszcie. W głosie jego drżała niepewność.

— Niechaj ojciec sam go o to zapyta — odparł syn.

— No, dobrze, ale jeden chłopak musi zostać na wsi — rzekł Wang stanowczym tonem.

— Poco? — przerwał mu syn. — Taki człowiek, jak ojciec, nie powinien mieć synów niewolników. To poprostu nie wypada. Ludzie powiedzą, że ojciec jest sknerą. Sam mieszka, jak książę, a syna traktuje, jak parobka. Tak będą gadać ludzie.

Chytrość przemawiała przez syna Wanga, wiedział on bowiem dobrze, że ojciec liczy się z ludzkim zdaniem. Ciągnął więc dalej:

— Moglibyśmy wynająć wychowawcę i uczyć go

w domu. Możliwy też wysłać go na południe do szkoły. Ja będę pomagać ojcu w domu, a młodszy brat w handlu, niechże ten trzeci wybierze to, co mu się podoba.

— Przyślij go do mnie — rzekł Wang nagle.

Po chwili przed obliczem ojca zjawiał się najmłodszy syn. Wang przyjrzał mu się badawczo. Ujrzał wysokiego, szczupłego chłopca, który jedynie sposobem bycia i powściągliwością w mówieniu przypominał matkę. Piękniejszy był jednak od O-lan, piękniejszy był i od innych dzieci. Tylko druga córka dorównywała mu urodą, ale ona nie zaliczała się już do rodziny, jako że przeniosła się do domu męża. Na białem, wyniosłem czole chłopca czerniały gęste brwi. Marszczył je chwilami, tworzyły wówczas ciemną, grubą linię, przecinającą czoło. Był to jedyny, rażący szczegół w tej urodziwej twarzy.

Gdy się Wang dowoli przyjrzał synowi, rzekł:

— Najstarszy brat powiada, że chciałbyś się uczyć czytać.

Z nieruchomych ust chłopca wydobył się ledwie dosłyszalny szept.

— Acha...

Wang Lung strząsnął popiół z fajki, i wepchnął do niej wielkim palcem szczupłą świeżego tytoniu.

— To znaczy, że nie masz ochoty pracować na roli. To znaczy, że nie pozostanie mi ani jeden syn, do pomocy, chociaż mam ich kilku...

Mówił to tonem sarkastycznym, ale chłopiec milczał. Stał wyprostowany i milczący, w długiej, białej szacie, tkanej z lnu.

— Czemu nie odpowiadasz? Gadaj zaraz — chcesz czy nie chcesz pracować na roli?

I znowu chłopiec wyjąknął jedną tylko sylabę:

— Acha...

Tego było za wiele Wangowi. Na stare lata ma oto kłopot i udrękę z dziećmi, synowie stali mu się

ciężarem, nie wiadomo, co z nimi począć. Krzyknął więc znów:

— A co mnie obchodzi, co robicie! Wynoś się...

Chłopiec odszedł szybkim krokiem. W izbie pozostał Wang i pograżył się w zadumie. Przyszło mu nagle na myśl, że córki lepsze są od synów. Biednej niemowle wystarcza skromny, codzienny posiłek i kawałek szmaty do zabawy, a druga odeszła do męzowskiego domu więc nie jest nikomu zawadą.

Jednakże i tym razem postąpił Wang tak, jak zwykł był postępować. Gdy mu przeszedł gniew oświadczył synom, że pozwoli im robić, co się im żywnie podoba.

— Wynajdź nauczyciela, dla trzeciego brata, jeżeli tego pragnie — rzekł do najstarszego syna — tylko dajcie mi wreszcie spokój.

A do drugiego syna przemówił w następujące słowa.

— Ponieważ nie pozostanie mi ani jeden rolnik, zatem ty musisz zająć się odbieraniem pieniędzy od dzierżawców i ważeniem ziarna, no, i innych plonów, jako mój ekonom.

Młodszy syn uradował się wielce, gdyż dzięki temu pieniądze musiały przechodzić przez jego ręce, będzie więc sprawdzać, ile się wydaje na dom, a w razie czego poskarży się ojcu na rozrzutnych braci.

Ten drugi syn zawsze wprawiał Wanga w zdumienie. Był taki dziwny. Nawet w dniu wesela liczył każdy grosz, wydany na wino i mięso. Sam doglądał, aby ustawiano stoły, dzieląc je na klasy. Dla przyjaciół z miasta przeznaczył miejsce honorowe i najlepsze dania, zaś dla domowników i wieśniaków, przybyłych na uroczystość, ustawił długie stoły w podwórzach i poczęstował ich gorszym jadłem i winem, bo przywykli do skromnego jadła, więc zadowolnią się byle czem.

Pilnował pieniędzy i upominków, które przyby-

wały do domu. Służbę i niewolnice wynagradzał skromnie. Ku-ku zaśmiała się szyderczo, gdy jej położył na dłoni dwie sztuki srebra.

— Wielcy państwo, prawdziwi wielcy państwo — rzekła dość głośno, by ją wszyscy mogli usłyszeć — nie liczą się z każdym groszem. Zaraz widać, że Wangowie prawem kaduka mieszkają w pałacu.

Usłyszał to najstarszy syn i zawstydził się wielce. Chcąc zamknąć usta zjadliwej Ku-Ku wcisnął jej w rękę kilka sztuk srebra. Do młodszego brata czuł głuchą złość. Nie rozechmurzył się nawet podczas wesela, gdy goście zajęli miejsca przy stołach, a w podworcucy ukazała się lektyka panny młodej. Zaprosił na ucztę kilku najskromniejszych znajomych, bo się wstydził brata i panny młodej, która była prostą chłopką. Trzymał się przez cały czas na uboczu, mrużąc pod nosem:

— Braciszek wybrał sobie gliniany garnek, chociaż stać go na jaspisową wazę...

Na widok młodożenców skinął sztywno głową, żona jego również nie raczyła złożyć głębokiego ukłonu, ledwo poruszyła głowę tak, by sobie nie przynosić ujmy.



Zdaje się, że jedyną osobą, która zażywała spokoju w domu Wangów, był wnuk Wang Lunga. Wang Lung nie czuł się szczęśliwy. Nieraz budził się w mrokach osłoniętego firankami rzeźbionego łoża, w sypialni sąsiadującej z mieszkaniem Lotos i marzył, iż znowu mieszka w glinianej lepiance, gdzie można chlusnąć zimną herbatą na klepisko, gdzie nie trzeba uważać, by nie zniszczyć rzeźbionych ornamentów i gdzie pole sąsiaduje z domem.

Synowie Wanga żyli w nieustannem podnieceniu.

Najstarszy syn gryzł się tem, że za mało wydają, że ludzie w mieście nie dość ich szanują, to znów, że lada dzień zjawi się w pałacu jakiś prostak ze wsi, ktoś spośród ich starych znajomych i skompromituje ich ostatecznie. Młodszy syn złościł się, że pieniądze płyną, jak woda, zaś syn najmłodszy usiłował w pocie czoła odzyskać czas stracony podczas pobytu na wsi, przy boku ojca gospodarza.

Był jednak w domu ktoś, kto był zadowolony ze siebie i z życia. Synowi najstarszego syna nie śnił się żaden inny dom, pałac nie wydawał mu się ani za duży, ani za mały, gdyż był w jego pojęciu poprostu „domem“, w którym się mieszka z ojcem, matką i dziadkiem. Oprócz rodziców pełno w nim ludzi, których jedynem zajęciem jest dogadzanie małemu chłopcu.

On jeden działał kojąco na Wang Lunga. Dziadek przypominał sobie nieraz, jak to jego stary ojciec przed laty bawił się z dziećmi, zakładał chłopcu pasek i prowadził go na spacer po podwórzach. Małeństwo przyglądało się złotym rybkom w sadzawkach, czasami uszczknęło rozkwitły kwiat i wszędzie czuło się jak u siebie w domu. Były to jedyne chwile, które przynosiły Wang Lungowi wytchnienie i spokój.

Żona najstarszego syna spełniała posłusznie obowiązki: bez szemrania rodziła dzieci. Każde dziecko otrzymywało do towarzystwa małą niewolnicę. Toteż co roku w domu Wanga zwiększała się gromadka dzieci i niewolnic. Gdy ktoś powiedział:

— Będzie nowa gęba do wyżywienia w domu twego syna. — Wang odparł z uśmiechem: — Dobrze, dobrze — starczy ryżu dla wszystkich. Mamy szmat ziemi, zacnej ziemi...

Wang radował się również, gdy żona młodszego syna urodziła dziewczynkę. Powinna była urodzić dziewczynkę przez wzgląd na szwagierkę, której jako

żonie najstarszego z Wangów wypada mieć pierworodnego syna. Na przestrzeni pięciu lat przybyło w domu Wang Lunga czterech wnuków i trzy wnuczki. Wszystkie oficyny i podwórce napęłniły się gwarem i śmiechem.

Pięć lat, to mało w życiu dojrzałego człowieka, natomiast to bardzo wiele, gdy jest się dziadkiem, albo starcem. Wangowi w ciągu pięciu lat, przybyło siedmioro wnucząt, ale w domu ubył jeden człowiek, mianowicie sędziwy palacz opjum. Z czasem przestano myśleć o starym i jego żonie, pilnowano tylko, by mieli jadło i opjum na zawołanie.

Nastała piąta zima. Tak srogiej zimy nie pamiętano od lat trzydziestu. Po raz pierwszy za pamięci Wanga lód ściał wodę w fosie, okalającej miasto. Ludzie mogli wędrować po zamarzniętej powłoce. Z północo - wschodu wiał ostry, przenikliwy wiatr. Ani futro, ani kozia skóra nie chroniły ciała przed uderzeniami lodowatego wichru. W izbach domów rozpalono ogniska z węgla, a pomimo to para buchała z ust, ilekroć ktoś odetchnął.

Stryj Wanga i jego żona wylegiwali się całymi dniami w łózkach, podobni do wyschłych wiórów, gdyż opjum zżarło im ciało do kości. Stryj nie miał siły podnieść się i usiąść na łóżku, na domiar złego, pluł krwią. Widząc to Wang doszedł do wniosku, że już niewiele godzin pozostało mu do życia. Udał się więc do miasta i zakupił dwie trumny z mocnego, ale nie najdroższego drzewa, poczem kazał je wnieść do izby stryja. Chciał, by widok trumień dodał otuchy Stryjowi. Patrząc na nie można sobie uświadomić, że kości spoczną w wygodnem schowanku.

— Jesteś synem dla mnie — odezwał się stryj szeptem — lepszy jesteś od mego syna, co lata po świecie.

Stryjenka była silniejsza od męża, ale również sposobiła się na śmierć.

— Jeżeli się nie doczekam syna — powiedziała raz do Wanga — to obiecaj mi, że znajdziesz dla niego dobrą dziewczynę na żonę, tak, by mógł dać życie synom.

Wang Lung obiecał stryjence, że spełni jej prośbę.

Nikt się nie spostrzegł, kiedy umarł stary marzyciel. Gdy pewnego wieczoru usługująca im niewiasta weszła do izby, niosąc miskę z zupą, znalazła trupa.

Wang Lung pochował go w mroźny dzionek, podczas śnieżnej zawiei. Złożono trumnę do rodzinnego grobu, gdzie pozostało jeszcze wolne miejsce dla Wang Lunga.

Z nakazu Wanga cała rodzina przyoblekła się w żałobne stroje, obowiązując się nosić je przez cały rok. Uczyniono to nie dlatego, by dać wyraz żalowi po zgonie nielubianego stryja, ale dlatego, iż tak przystoi członkom znakomitego rodu, gdy umrze jeden z nich.

Wdowa sprowadziła się teraz do miasta i otrzymała pokój, w głębi ostatniego podwórca. Ku - Ku otrzymała nakaz wynalezienia niewolnicy, któraby służyła staruszce. Stryjenka odrazu zabrała się do palenia opium i podawnemu wylegiwała się na łóżku, obok którego stała nowiutka trumna. Ilekroć budziła się z błogich marzeń, spoglądała z zadowoleniem na trumnę i myślała z wdzięcznością o bratanku, który pamięta o jej pobrziebie.

Dziwił się nieraz Wang, że ongiś odczuwał lęk przed krzykliwą, tłustą kobietą, która spoczywa teraz na łóżku wychudła, żółta i oniemiała, niemal równie żółta i pomarszczona, jak starsza pani z wielkiego rodu Hwangów.

ROZDZIAŁ XXXI.

W ciągu długiego życia Wang Lung nieraz słyszał opowiadania o wojnie, nigdy jednak nie zetknął się z nią. Raz tylko znalazł się bliżej frontu, gdy w dobie głodu przezimował w mieście, na południu Chin. Lecz już od najdawniejszych czasów obijało mu się o uszy, że tu i ówdzie toczy się wojna. Ludzie mówili:

— „W tym roku biją się na zachodzie“ — albo — „Wojna wybuchła na wschodzie i na północy - wschodzie“.

W pojęciu Wang Lunga wojna była czymś takim, jak ziemia, niebo i jak woda; skąd się brała, tego nie wiedział, wiedział tylko, że istnieje. Czasami słyszał, jak ludzie mówili: — „idziemy na wojnę“. Mawiali to wówczas, gdy im dokuczał głód. Woleli być żołnierzami, aniżeli żebrakami. Inni nie potrafili usiedzieć spokojnie w domu, jak na przykład syn stryja, zawsze jednak wojna toczyła się gdzieś bardzo daleko, w nieznanych stronach. Nagle — niby huragan, którego nikt się nie spodziewał — wojna nadleciała w rodzinne strony Wang Lunga.

Dowiedział się o tem od drugiego syna, który powrócił w południe ze zbożowego rynku do domu i rzekł do ojca:

— Ziarno poszło w cenę, bo na południu toczy się wojna i zbliża się do nas z dniem każdym. Trzeba będzie chować ziarno i sprzedawać je dopiero wtedy, gdy osiągnie lepszą cenę. Przekona się ojciec, że będzie ciągle szło w górę, dopóki nie zjawi się armja, której będzie je można drogo sprzedać.

Wang Lung słuchał w milczeniu, a potem odrzekł:

— Chciałbym wreszcie zobaczyć zbliska wojnę. Słyszę o niej od najmłodszych lat, a nie wiem, jak wygląda.

Przypomniął sobie, jak to raz przeląkł się żołnierzy, którzy wylapywali spokojnych przechodniów. Teraz nie bał się już, że mimo jego woli zaciągną go do wojska. Był przecież stary i bogaty. Odczuwał jedynie ciekawość.

— Rób, jak chcesz — dodał jeszcze. — Sam rozporządzasz wszystkim.

Po dawnemu bawił się z dziećmi, wysypiał się i jadł, a czasami zaglądał do niemowcy, która prześadywała w odległym kącie podwórza.

Nadeszło lato. Pewnego dnia zjawiła się w mieście, niby chmura szarańczy, horda ludzi. Wnuk Wanga stał u bramy ze służącym i przyglądał się ruchowi ulicznemu, a gdy ujrzał mężczyzn odzianych w zielone kaftany, podbiegł do dziadka, krzycząc:

— Popatrz, kto tu idzie, dziaduniu!

Wang Lung pośpieszył ku bramie i ujrzał tłum wypełniający ulicę. Od szarej, ruchomej masy padł cień na słońce i niebo. Żołnierze maszerowali ciężkim, miarowym krokiem. Wang przyjrzał się im uważnie i spostrzegł, że każdy z nich trzyma jakieś narzędzie ze sterczącym nożem. Twarze mieli dzikie i prostackie. Nawet najmłodsi wyglądali groźnie. Wang Lung przyciągnął do siebie dziecko i szepnął:

— Chodźmy stąd. Trzeba zamknąć bramę. To niedobrzy ludzie, moje serduszko. Nie trzeba na nich patrzeć.

Ktoś już jednak zauważył go i krzyknął wśląd za nim:

— Patrzcie no — bratanek mego starego ojca...

Na dźwięk znajomego głosu Wang podniósł głowę i ujrzał kuzyna. Ubrany był jak inni, ale twarz jego miała jeszcze dzikszы wyraz. Roześmiał się szorstko i wrzasnął:

— Tu się zatrzymamy chłopcy! To dom mego krewniaka. Chłop ma moc pieniędzy.

Zanim Wang Lung zdążył się poruszyć tłum

żołnierzy wtargnął wgląd podwórza, jak potok brudnej wody, wypełniając każdy kąt i każdy zakamarek. Jedni układali się na ziemi, czerpali dłońmi wodę z sadzawek i pili ją chciwymi ustami, inni wrzeszczeli, jak opętani, i pluli.

Przerażony Wang pobiegł z wnukiem do najstarszego syna. Syn siedział w pokoju i czytał. Na widok ojca powstał z krzesła, a widząc zmieszanie Wanga wyszedł na dwór, by sprawdzić, co się stało. Wang nie był w stanie wyrzec słowa, gdyż zadyszał się i nie mógł chwycić tchu.

Najstarszy syn na widok kuzyna stropił się. Przez chwilę nie wiedział czy ma wymyślać, czy też uprzejmie go powitać. Odwrócił się i, zerknąwszy na ojca, mruknął:

— Każdy z nich ma nóż...

A potem, opanowawszy gniew, rzekł grzecznie:

— Witaj, kuzynie, w naszym domu.

Kuzyn rozdziawił gębę w szyderczym uśmiechu i odparł:

— Przyprowadziłem ze sobą trochę gości...

— Witamy ich równie serdecznie, skoro są twoimi znajomymi — rzekł syn Wanga — przygotowuje się dla nich jedzenie, żeby mogli posilić się przed dalszą drogą.

Kuzyn znowu roześmiał się złośliwie.

— Och, niema pośpiechu. Pozostaniemy tutaj kilka dni, a może cały miesiąc, albo i rok, bo dostaliśmy rozkaz rozkwaterowania się w mieście. Będziemy czekać, aż nas wezmą na wojnę.

Wang Lung i jego syn nie potrafili już ukryć przerażenia, jednakże opanowali się, gdyż widok sterzących noży budził w nich trwogę. Nawet zmusili się do uśmiechu.

— Bardzo jesteśmy radzi... Bardzo...

Starszy syn wymknął się pod pozorem, że musi wydać rozkazy w kuchni. Pociągnął ojca za rękę i

obydwaj wpadli do wewnętrznego podworca, a starszy syn zatrzasnął drzwi. Popatrzyli po sobie, zakłopotani wielce, gdyż nie wiedzieli, co mają teraz począć.

Niebawem nadbiegł młodszy syn i zaczął dobijać się do drzwi, a kiedy go wpuścili, wyjąkał zdyszczanym głosem:

— Miasto pełne żołnierzy... W każdym domu są żołnierze... Przybiegłem tutaj, żeby was uprzedzić, że nie można odmawiać im gościny. Jeden z subjektów w sklepie, mój dobry znajomy... razem stoimy za ladą... poszedł do domu i zastał tam żołnierzy... Pełno ich było, nawet w izbie, w której leżała jego chora żona... Gdy krzyknął na nich to mu zaraz wepchnęli nóż w serce. Przebili go nawskroś, niby kawał słoniny... Nóż wyszedł drugą stroną... Tak... Tak... Musimy spełniać wszystkie ich zachcianki. Módlmy się, żeby wojna przeniosła się w inne strony...

Teraz wszyscy troje spoglądali po sobie z wyrazem przygnębienia, a każdy z nich miał na myśli swoje kobiety i bandę zgłodniałych mężczyzn. Starszy syn, przejęty troską o ukochaną żonę, rzekł:

— Trzeba będzie umieścić kobiety w ostatniej oficynie, pod strażą. Zamkniemy drzwi, zostawi się tylko tajemne przejście.

Tak też uczynili. Zabrali kobiety i dzieci do wewnętrznej oficyny, gdzie dotychczas mieszkała Lotos wraz z Ku-ku i służebnemi. Najstarszy syn, oraz Wang strzegli dniem i nocą drzwi, prowadzących do domu kobiet, pomagał im w tem i drugi syn, który skoro tylko miał chwilę czasu przybiegał z miasta do domu.

Na nieszczęście na czele oddziału stał kuzyn, którego nie można było prawnie się pozbyć. Nieraz zaczynał się dobijać do bramy i właził nieproszony do mieszkania, paradował z błyszczącym nożem w ręku. Wślad za nim snuł się najstarszy syn Wanga. Cho-

ciaż serce miał przepelnione goryczą, to jednak nie śmiał zwrócić uwagi kuzynowi, który oglądał wszystko z zaciekawieniem, wydając pochlebny sąd o spotkanych kobietach.

Gdy ujrzał żonę najstarszego syna Wanga zaśmiał się rubasznie i rzekł:

— Smaczny kasek masz w domu, kuzynku. Zaraz widać, że to miastowa dama. A jakie ma drobne nóżki... Daję słowo, jak pączki lotosu!

Na widok żony młodszego kuzyna, dodał:

— To się nazywa tęga, czerwona rzodkiew ze wsi. Albo raczej krwista sztuka mięsa...

Kobieta była tęga i grubokoścista, mimo to dość urodziwa. Podczas gdy żona najstarszego syna zasłaniała twarzyczkę rękawem, żona młodszego roześmiała się i odcięła się jowialnie:

— Niektórym mężczyznom smakuje i rzodkiew i krwiste mięso.

Kuzyn odrzekł szybko:

— Ja właśnie jestem taki — i zaraz sięgnął po jej rękę.

Najstarszy syn przeżywał męki, patrząc na zaloty mężczyzny i kobiety, która nie ma prawa mówić. Popatrzył na żonę, gdyż wstyd mu było za kuzyna i szwagierkę, wobec dobrze urodzonej niewiasty. Kuzyn dostrzegł to i zauważył złośliwie:

— Wolałbym jeść codziennie czerwone mięso, aniżeli zimną, mdłą rybę taką, jak tamta.

Żona najstarszego syna poczuła się dotknięta i zaraz opuściła pokój, udając się wgłąb mieszkania. Znowu zabrzmiał szyderczy śmiech kuzyna. W kącie siedziała Lotos i paliła wodną fajkę.

— Te paniusie z miasta trochę się zanadto krygują, prawda Starsza Damo? — zwrócił się do Lotos, a po chwili dodał: — Gdybym nawet nie wiedział, że mój kuzyn Wang Lung dorobił się majątku, to patrząc na tą kupę ciała, domyśliłbym się, że macie

poddostatkiem jada i to drogiego jada. Tylko żony bogatych ludzi tak wyglądają, jak wy.

Lotos uradowana była, że ją ktoś tytułuje Starszą Damą, tak, jak niewiasty, pochodzące ze znakomitych rodów. Zaśmiała się więc i stąciła popiół z fajki, poczem podała ją niewolnicy, a zwracając się do Ku-Ku, rzekła:

— Ten prostak jest wcale dowcipny.

Zerknęła przy tym na kuzyna zalotnie, chociaż oczów jej już nie można było porównywać do moreli. Kuzyn pochwycił jej wzrok i parsknął śmiechem.

— Patrzcie, jeszcze chciałaby mężczyzn uwodzić!

Najstarszy syn słuchał tego w milczeniu i ze zgrozą.

Gdy wreszcie kuzyn obejrzał wszystko, co go ciekawiło, udał się do mieszkania swej matki. Towarzyszył mu Wang Lung. Matka leżała na łóżku, pogrążona we śnie. Nie można się było jej dobudzić. Syn zastukał karabinem w podłogę i w oparciu łóżka. Wreszcie stara otworzyła oczy i popatrzyła nań mętłym wzrokiem.

— Syn twój przyszedł, a ty śpisz, matko! — zachnął się Wang.

Uniosła się nieco na łóżko i szepnęła:

— Mój syn... To mój syn...

Znowu przyglądała się mu przez dłuższą chwilę, ale w końcu jakby nie wiedząc, co ma czynić, sięgnęła po fajkę i podała mu ją, jakby to był jej najpiękniejszy upominek.

— Przygotuj dla niego świeżego opium — szepnęła do niewolnicy.

— Nie chcę odrzekł syn.

Wang Lung przeląkł się nagle, że kuzyn zapyta go prosto:

— Coś uczynił mojej matce, że się tak odmieni-

ła. Dlaczego tak spadła z ciała, czemu jest żółta i pomarszczona?

Chcąc ubiec kłopotliwe pytanie, dorzucił szybko:

— Chciałbym, żeby się nauczyła obywać mniej-szą ilością opium, bo idzie na to codziennie garść srebra, ale przez wzgląd na jej wiek nie chcemy jej drażnić.

Mówiąc to westchnął ciężko i spojrzał spodełba na kuzyna. Tamten milczał uparcie i patrzył na matkę, a gdy pograżyła się znowu we śnie wyszedł, stukając gośno kolbą, niby laską.

Wang Lung i jego bliscy znienawidzili kuzyna. Nikt spośród bandy żołnierskiej nie budził w nich takiej, jak on, niechęci i lęku, chociaż inni żołnierze również zachowywali się bezceremonialnie. Obrywali oni z drzew pęki kwiatów śliwy i migdałów, łamiąc gałązki; wielkimi buciarami miażdżyli delikatne rzeźby na chybotliwych sprzętach; zanieczyszczali wodę w sadzawkach, trując centkowane i złote rybki. Pełno tych zdechłych rybek pływało po wodzie, świecąc bielą, odwróconych do góry, brzuszków.

Kuzyn łąził po domu i zaczepiał znacząco niewolników, a Wang Lung i jego synowie zamieniali spojrzenia. Oczy mieli zapadnięte i pełne trwogi, gdyż spędzali bezsenne noce.

Ku-Ku, widząc to, rzekła raz Wangowi:

— Niema co, tylko trzeba będzie dać mu jaką niewolnicę do zabawy, bo gotów sięgnąć po cudzą kobietę.

Wang Lungowi spodobał się pomysł Ku-Ku. Uczepił się go rozpaczliwie, bowiem czuł, że dłużej nie zniesie obecności kuzyna w domu.

— Dobra myśl — pochwalił Ku-Ku i zaraz ją uprosił, by sama zapytała kuzyna, która niewolnica przypadła mu do gustu.

Ku-Ku wróciła niebawem.

— Powiada, że ma ochotę, na małą, bladą dziewczynkę, która sypia w nogach łoża naszej pani.

Mała, blada dziewczynka zwała się Kwiatem Gruszy, kupił ją Wang Lung w okresie głodu. Była wówczas wynędzniałem, zagłodzonem dzieckiem. wzbudzającym litość. Ponieważ zdrowie miała delikatne, więc jej nie obciążano pracą — pomagała Ku-Ku, spełniała mniej uciążliwe obowiązki przy Lotos, napełniała jej fajkę, podawała herbatę, a każdy czuł się w obowiązku okazywać jej czułość. Kuzyn ujrzał ją w chwili, gdy nalewała herbatę w pokoju Lotos.

Gdy się Kwiat Gruszy dowiedziała o zamiarach kuzyna, rozplakała się na głos i wypuściła z rąk czajnik z gorącą wodą. Rozległ się brzęk tłuczonej porcelany, herbata rozlała się na posadzcę, ale niewolnica nie widziała tego — padła do nóg Lotos i zaczęła tłuc głową o ziemię, jęcząc:

— O, moja dobra pani... Nie mnie... nie mnie... Boję się go... Boję się...

Lotos odparła gniewnie:

— To przecież tylko mężczyzna. Wszyscy oni są jednacy, gdy obcują z dziewczyną. Czego ty właściwie chcesz?

A zwracając się do Ku-Ku, dodała:

— Zabierz ją stąd i odprowadź do niego.

Dziewczątka załamało ręce i zaniosło się płaczem. Drobne jej ciało trzęsło się, ogarnięte śmiertelnym lękiem, żalosne oczy latały niespokojnie, jakby błagając zmiłowania.

Nikt nie śmiałby ująć się wobec Wang Lunga za dziewczynką i sprzeciwić się woli jego żony; nie zdobyłby się nato żaden z synów, ani z synowych. Ale najmłodszy syn patrzył na nią w milczeniu, spod nawisłych brwi, zaciskając splecione na piersiach ręce. Nie odzywał się jednak. Patrzyły też na nią o-niemiałe dzieci i niewolnice. W pokoju słychać było tylko przejmujący płacz przerażonej dziewczyny.

Wang Lung czuł się nieswojo. Nie chciał drażnić Lotos, lecz zbliżył się do płaczącej, gdyż serce miał czułe na ludzką niedolę. Niewolnica dostrzegła wyraz współczucia, na jego twarzy, więc podbiegła ku niemu i, objawszy go za nogi, zaczęła głośno łkać. Spojrzał na jej drobne, wstrząsane płaczem ramionka i nagle zjawiała mu się przed oczami barczysta, prostacka postać kuzyna. Poczuł obrzydzenie na myśl, że mała niewolnica stanie się jego własnością. Zwrócił się więc do Ku-Ku i rzekł łagodnie:

— Przecież to nie dobrze zmuszać taką młodą dziewczynę...

— Musi spełnić to, co jej kazano! — wrzasnęła Lotos. — Warjatka!... beczy o takie głupstwo... Przecież wcześniej czy później każda kobieta przechodzi przez to samo...

Ale Wang Lung był pełen wyrozumiałości.

— Zastanówmy się — przemówił znowu — może da się to jakoś inaczej urządzić. Jeśli chcesz, kupię ci inną niewolnicę, ale pozwól mi się zastanowić...

Lotos od dawna miała chętkę na zagraniczny zegar i rubinowy pierścień, więc zaraz zamilkła.

Korzystając z tego Wang rzekł do Ku-Ku:

— Idź do mojego kuzyna i powiedz mu, że dziewczyna ma nieuleczalną chorobę. Jeżeli pomimo to chce ją mieć, to ją odeślemy, ale jeżeli boi się zarazić, znajdziemy dla niego inną, zdrową dziewczynę...

Mówiąc to obrzucił wzrokiem niewolnice, stojące rzędem, one zaś jęły odwracać głowy, chichocząc głupkowato. Tylko jedna wysoka, tęga dziewczyna, mająca już około dwudziestki, rzekła, płoniąc się:

— Jabym tam chętnie popróbowwała, jak to smakuje. Tyle się o tem nasłuchiłam. Jeżeli on mnie zechce, a nie jest zanadto szpetny...

— No, to idź do niego! — krzyknął uradowany Wang.

A Ku-Ku dodała:

— Idź za mną. Jemu przecież chodzi tylko i to, żeby chwycić pierwszą z brzegu...

Mała niewolnica nie zwalniała uścisku, lecz przestała płakać i leżała spokojnie u stóp Wanga, przysłuchując się naradom. Lotos na znak niezadowolenia powstała i wyszła z pokoju. Wang Lung rozplótł rączyny dziewczątka i podniósł ją. Stała teraz przed nim chwiejna i bladziutka. Teraz dopiero zauważył, że miała delikatną, owalną twarzyczkę, i maleńkie blade usteczka.

— Trzymaj się zdala od swej pani przez parę dni — szepnął jej łagodnie — musisz przeczekać, dziecino, aż jej przejdzie gniew, a gdyby mój kuzyn tu zaglądał, to się chowaj przed nim, bo gotów znowu zapłonać chęcią zdobycia ciebie.

Podniosła oczy i spojrzała mu prosto w twarz, z wyrazem namiętnego oddania i zaraz oddaliła się, milcząca, jak cień.

* * *

Kuzyn przebywał w domu Wanga przez półtora miesiąca. Tęga, czerwona niewolnica była mu kochanką. Po jakimś czasie pochwaliła się, że jest w ciąży i spodziewa się syna.

Pewnego razu nadszedł rozkaz, powołujący żołnierzy na wojnę. Gromada żołnierska opuściła dom Wanga, pozostawiając po sobie nieopisany brud, mnóstwo śmieci i ślady zniszczenia. Kuzyn Wang Lunga zatknął nóż za pas, zarzucił karabin na ramię i rzekł kpiącym tonem:

— Na wypadek, gdybym nie wrócił, zostawiam wam moje drugie ja i wnuka dla mojej matki. Nie każdy mężczyzna może się tem pochwalić, że po pół-

toramiesięcznym pobycie pozostawia syna... To już przywilej żołnierza — gdy odejdzie, inni muszą pielęgnować owoce, co wyrosły z jego nasienia.

Parsknął śmiechem i wybiegł za bramę, wślad za żołnierzami.

ROZDZIAŁ XXXII.

Po odejściu zbrojnej bandy Wang Lung uradził z synami, że trzeba usunąć z domu wszelki ślad jej bytności. Wezwano więc znowu cieśli i murarzy. Służący sprząтали podwórze, stolarze naprawiali zniszczone ozdoby stołów, z sadzawek wylano brudną wodę i napełniono ją czystą wodą, a starszy syn kupił zapas centkowanych i złotych rybek i zasadził kwitnące drzewka. W niespełna rok, dom przybrał dawny wygląd, pokoje świeciły czystością, w podworcach kwitnęły wonne krzewy, a każdy z synów Wanga zajmował oddzielną oficynę.

Niewolnica, która nosiła w łonie syna żołnierza, otrzymała od Wanga polecenie doglądania wdowy po stryju i złożenia jej do trumny, skoro tylko umrze. Wang ucieszył się, gdy niewolnica urodziła córkę, bo nie mogła teraz zadzierać nosa i domagać się, by ją wprowadzono do rodziny. Urodziwszy córkę, pozostawała w dalszym ciągu zwykłą niewolnicą i matką niewolnicy, niczem więcej.

Pomimo to Wang Lung odnosił się do niej z jednakową uprzejmością, jak do wszystkich innych, a nawet oznajmił jej, że po śmierci jego stryjenki będzie mogła zamieszkać w jej mieszkaniu i sypiać na jej łóżku. Czy będzie o jeden pokój więcej czy mniej, w domu, składającym się z sześćdziesięciu pokoi — to przecież nie sprawi żadnej różnicy. Dał jej też trochę srebra.

— Zatrzymaj, o mój panie, to srebro — przemó-

wiła do niego niewolnica — zachowaj to dla mnie, na posag. A jeżeli ci to nie sprawi zbyt wiele zachodu, to wyswataj mnie z którym z gospodarzy, albo z ubogim, ale poczciwym człowiekiem. Będiesz miał, o panie zasługę, bo ja, zaznawszy raz uciech zmysłowych, nie potrafię już żyć bez mężczyzny.

Wang Lung obiecał jej bez wahania, ale nagle uderzyła go pewna myśl. Oto obiecuje niewolnicy, że jej wynajdzie ubogiego, lecz zanego męża, a przecież i on był kiedyś takim biednym poczciwcem, który zgłosił się do pałacu bogacza z prośbą, o wynalezienie mu żony. Przypomniła mu się O-lan. Duszę jego wypełnił smutek dawno minionych przeżyć. Wspominając O-lan nie odczuwał bólu, gdyż wydało mu się, że odszedł od niej gdzieś bardzo daleko...

Gdy umrze stryjenka, poszukam ci męża. Nie potrwa to długo.

Pewnego ranka niewolnica zjawiała się w mieszkaniu Wanga i rzekła:

— Zechciej odnowić obietnicę, o panie, bo staruszka umarła dziś o świcie, nie przebudziwszy się ze snu. Już ją ułożyłam w trumnice.

Wang jął rozmyślać, kogoby wyswatać z niewolnicą i nagle przyszedł mu na myśl parobek, który stał się mimowolnym sprawcą śmierci Czinga.

— Nie chciał przecież tego uczynić, a to niezły chłop. W tej chwili nie przypominam sobie nikogo lepszego.

Posłał więc po niego. Był to zawsze ten sam nieokrzesany prostak o sterczących zębach, ale zmężniał i nabrał wyglądu dojrzałego mężczyzny. Wang Lung zajął miejsce na fotelu, pod baldachimem w wielkiej sali i wezwał oboje, a gdy stanęli przed nim przemówił do nich wolno, a dobitnie, rozkoszując się smakiem każdego słowa:

— Oto kobieta, którą możesz sobie wziąć na

własność, jeżeli ci przypadnie do gustu. Nikt jej nie miał oprócz syna mego stryja.

Padobek z wdzięcznością przyjął ofiarowaną mu żonę, był bowiem zbyt biedny, aby sobie pozwolić na kupno dziewczycy, a dziewczyna była tęga i wesola.

Gdy Wang Lung zeszedł z podjum zdawało mu się, że nic mu już nie pozostaje do spełnienia w tem życiu, uczynił bowiem wszystko, co zamierzał uczynić, a nawet więcej, aniżeli marzył. Chwilami ogarniało go zdumienie, jak to się stało, że się spełniły wszystkie jego najtajniejsze pragnienia. Teraz dopiero będzie mógł wypocząć i wyspać się do syta w słońcu.

Niebawem skończy sześćdziesiąty piąty rok życia, posiada liczną rodzinę, otoczony jest wnukami, niby lasem bambusów. Najstarszy syn ma trzech synów, drugi syn ma ich dwóch, w najbliższych dniach odbędzie się wesele najmłodszego, a wtedy skończą się ostatecznie kłopoty Wanga i w duszy jego zagości spokój.

Ale spokój się nie zjawiał. Rzekłbyś, iż banda żołnierzy pozostawiła wszędzie, niby rój pszczół, ostre żądla, które odbierają spokój. Żona najstarszego syna, która dotychczas żyła we względnej zgodzie z żoną drugiego syna, zaczęła ją darzyć niezrozumiałą niechęcią. Wyrażało się to tysiącznemi sprzeczkami z najbliższych powodów, głównie jednak z winy dzieci, które razem się bawiły, a czasem dokuczały sobie, niby szczeniaki, obcujać z kotem. Co chwila któraś z matek musiała biec na ratunek i tłukła cudze dzieci, oszczędzając własne, które, oczywiście, miały rację i nie zasługiwały na karę. Nic dziwnego, że na takim gruncie pleniły się chwasty niechęci.

W dniu, w którym kuzyn ośmielił się ubliżyć żonie najstarszego syna Wang Lunga, zato, że pochodzi z miasta, a wyróżnił wieśniaczkę — stało coś niewybaczalnego. Żona najstarszego syna, mijając

szwagierkę, rzuciła pod adresem męża złośliwą uwagę:

— Ciężkie to doświadczenie mieć w rodzinie zachwałą, a źle wychowaną kobietę, która, gdy ją mężczyzna nazwie kawałkiem czerwonego mięsa śmieje mu się w twarz...

Szwagierka nie pozostała jej dłużną z odpowiedzią.

— Moja siostrunia jest zazdrosna, bo pewien mężczyzna nazwał ją zimną rybą...

Od tej pory przy każdym spotkaniu obrzucały się gniewnymi spojrzeniami, ale każda z nich zachowywała się inaczej. Starsza, chełpiąca się światowymi manjerami, tłumila złość i nie okazywała jej na zewnątrz, ograniczając się do ignorowania przyjaciółki, tylko czasami wołała głośno na dzieci, bawiące się poza domem:

— Trzymajcie się zdala od tych źle wychowanych dzieciaków.

— Mawiała to zwykle w obecności szwagierki, która stała na swoim podwórku i odcinała się złośliwie.

— Nie bawcie się ze żmijami, bo kasają...

Nienawiść, dzieląca obydwie niewiasty, wzrastała z dniem każdym, a na domiar złego i bracia byli sobie niechętni. Starszy syn Wanga drżał ze strachu, że on i jego rodzina zasłużą sobie na miano prostaków w oczach dobrze urodzonej miastowej damy, jaką była jego żona, młodszy, zaś drżał o majątek, trwoniony przez brata. Bał się, że zanim dojdzie do działów rodzinnych, majątek, uciulany przez ojca, rozplynie się w rękach starszego brata.

Starszy wstydził się, że nie on, jeno młodszy brat ma wgląd w interesy, wie, jaki jest dochód i rozchód pieniędzy, podczas, gdy on zmuszony jest o każdy grosz zwracać się do ojca, jak dziecko. Toteż nieprzy-

jaźń kiełkująca w duszach kobiet oplotła i mężów, a w domach ich zagościł niepokój.

Nie było to jedyną troską Wanga — miał on jeszcze pewne osobiste zmartwienie, związane z dniem, w którym ujął się za niewolnicą, należącą do Lotos. Od tego czasu mała niewolnica była w niełasce u Lotos. Najróżno wyczekiwała na nią pokorna i milcząca, napróżno wystawała przy jej boku przez cały dzień, napełniając jej fajkę, załatwiając drobne zlecenia, napróżno zrywała się w nocy i masowała ciało i nogi Lotos, która ciedpiała na bezsenność — nie nie mogło zadowolnić wymagającej pani.

Lotos była poprostu zazdrosna o dziewczuskę. Wyganiała ją z mieszkania ilekroć miał przyjść Wang Lung, a czasami czyniła wymówki Wangowi, że się przygląda małej. Spoczątku Wang widział w niej jedynie biedne, wystraszone dziecko, które budziło w nim takie samo uczucie litości, jak nieszczęśliwa niemowa, ale gdy Lotos zaczęła mu dokuczać spojrzął na niewolnicę innym wzrokiem i stwierdził, że jest istotnie prześliczna. Na widok bladej, jak kwiat gruszy twarzyczki, poczuł, jak mu się burzy i rozgrzewa wystygła krew w żyłach...

Roześmiał się i rzekł do Lotos:

— Cóż ty sobie myślisz? Odwiedzam cię najwyżej trzy razy do roku, a ty mnie ciągle uważasz za chutliwego młodzika.

Mówił to z przekonaniem, ale jednocześnie spojrzął zukosa na dziewczynę i odczuł dziwne wzruszenie.

Lotos była w innych sprawach nieuczoną kobietą, ale w sprawach miłosnych nikt nie miał większego od niej doświadczenia — wiedziała ona dobrze, że stadzy mężczyźni przeżywają drugą młodość... Przechwalała, jak się skończy znajomość z niewolnicą, więc ją postanowiła sprzedać do herbaciarni. Na razie jednak zaniechała tego projektu, gdyż Ku-Ku po-

ruszała się ospale i leniwie, a dziewczynka była zwa-
wa i знаła kaprysy swej pani. Zanim Lotos zdążyła
powiedzieć, o co jej chodzi, niewolnica już wiedziała
czego jej potrzeba, trudno więc byłoby rozstać się
z taką pojętną pomocnicą. Wszystko to zwiększało
jej niezadowolenie i rozdrażniało ją, toteż Wang za-
czął jej unikać, czekając, aż się uspokoi. Tymczasem
myśli jego biegły mimowoli do malej, bladej dziew-
czynki.

Później zjawiała się nowa troska. Najmłodszy
syn Wang Lunga odznaczał się taką pilnością i pra-
cowitością, że wszyscy przywykli widzieć w nim ucz-
nia, obarczonego książkami i spędzającego większą
część dnia z nauczycielem, który snuł się za nim, jak
wierny pies.

Tymczasem chłopiec, podczas pobytu żołnierzy,
nasłuchiwał się niejednej opowieści, o wojnie, o bi-
twach i o pogromach i tak się do tego zapalił, że
uprosił starego nauczyciela, by mu pożyczył dzieje
wojen w trzech królestwach i historję rozbójników,
co żyli nad jeziorem Swei. Czytając te książki puszc-
zał wodze marzeniom a pewnego dnia przyszedł do
ojca i odezwał się w te słowa:

— Wiem już, co zrobić. Chcę zostać żołnierzem.
Pójdę na wojnę.

Przeraził się Wang Lung, i pomyślał, że nic gor-
szego nie mogło go spotkać.

— Oszalałeś poprostu? Nigdy więc nie zaznam
spokoju z synami! Pamiętaj synu, że się nie robi
gwoździ z dobrego żelaza, ani żołnierzy z porządných
ludzi, a ty przecież jesteś moim najmłodszym, naj-
milszym synkiem... Przecież jabym oka nie zmrużył
w nocy, wiedząc, że wędrujesz gdzieś w obcych stro-
nach, jako żołnierz...

Ale chłopiec był widocznie zdecydowany, gdyż
spojrzał na ojca przeciągle, zmarszczył gęste brwi
i odrzekł krótko:

— Pójdę na wojnę.

Próbował więc Wang Lung udobruchać go.

— Pójdiesz do jakiej chcesz szkoły, na Południu, jeśli chcesz, to cię pošlę do zagranicznej szkoły pod warunkiem, że nie zostaniesz żołnierzem. Wielki to wstyd dla mnie, człowieka pochodzącego ze wsi — mieć syna żołnierza.

Chłopiec milczał uparcie.

— Powiedz staremu ojcu, dlaczego chcesz być żołnierzem? — zapytał go jeszcze łagodniejszym tonem.

Tym razem chłopiec odrzekł bez wahania:

— Szykuje się taka wojna, jakiej jeszcze nie było. Będzie rewolucja. Chodzi o wyzwolenie naszego kraju.

Oczy chłopca błyszczały gorączkowym blaskiem.

Wang Lung słuchał go ze zdumieniem. Żaden z synów nie sprawił mu takiej niespodzianki.

— Nie rozumiem, o co chodzi, — odezwał się wreszcie. — Kraj nasz jest wolny. Mam prawo wydzierżawiać moją ziemię komu mi się żywnie spodoba, ciągnę z niej zyski, srebro i ziarno, karmi nas i odziewa — jakiej to jeszcze wolności wam się zachciało?

Syn Wanga mruknął pod nosem:

— Ty, ojcze, nie możesz tego pojąć — jesteś za stary — nie rozumiesz niczego....

Patrząc na boleśnie skrzywioną twarz chłopca, pomyślał Wang:

Dałem mu wszystko. Pozwoliłem mu odejść ze wsi do miasta, chociaż nie mam innego syna, który mógłby być moim pomocnikiem na roli, kazałem go uczyć czytać i pisać, chociaż dwóch uczonych synów starczyłoby rodzinie...

Przyjrzał się uważniej chłopcu, który pomimo, że był szczupły i wiotki, sprawiał wrażenie dorosłego.

— A może mu się czegoś innego zachciewa — pomyślał jeszcze i dodał głośno:

— Wyswatamy cię niezadługo, synku.

Spod ściągniętych, gęstych brwi łysnęły gniewne oczy.

— W takim razie ucieknę z domu — odparł gniewnie — kobieta nie jest dla mnie wszystkim, jak dla mojego starszego brata.

Widząc, że się omylił, przerwał synowi i dodał pośpiesznie, jakby się tłumacząc:

— Nie... nie... Nie wyswatamy cię... Ot poprostu myślałem, że jeżeli ci się podoba która z niewolnic, to...

— Jestem inny, niż przeciętni młodzi ludzie — odparł dumnie, zakładając ręce na piersiach. — Marzę o sławie. A kobiety... kobiety są wszędzie.

I nagle, jakby sobie coś przypomniał przestał stroić godne miny i już zwykłym głosem dorzucił:

— Zresztą nie było chyba nigdzie takiej gromady szpetnych niewolnic, jak u nas. Gdybym miał ochotę... ale ja o tem nawet nie myślę... tobym już chyba wybrał tę małą, bladą dziewczynkę, która przesiaduje w środkowej oficynie. To jedyna ładna dziewczyna w naszym domu.

Wang domyślił się, że chłopiec mówi o Kwiecie Gruszy. Zazdrość smagnęła go biczem. Poczuł się nagle starym, starszym, aniżeli nim był w rzeczywistości, starcem ospałym i siwowłosym, który stoi w tej chwili w obliczu młodego chłopca. Zapomniał na chwilę, że jest jego ojcem, — wydało mu się, że dwóch mężczyzn jeden zgrzybiały, drugi w kwiecie wieku stanęli oko w oko przed sobą.

— Trzymaj się zdala od niewolnic! — uniósł się Wang. — Nie chcę, żebyście szli w ślady zepsutych paniczów. Jesteśmy porządnymi wieśniakami, postępowaliśmy zawsze przyzwoicie, nie chcę żadnych takich historyj w domu.

Chłopiec otworzył szeroko oczy, podniósł czarne brwi i wzruszył ramionami.

— Przecież ojciec sam o tem zaczął — odparł i wyszedł z pokoju.

Dziwne znużenie ogarnęło Wanga, gdy pozostał sam. Usiadł ciężko przy stole i mruknął pod nosem:

— Próżno szukam spokoju... Niema go w tym domu.

Wstrząsała nim złość z rozmaitych powodów, ale najistotniejszym powodem było to, że jego syn podniósł wzrok na małą, bladą dziewczynkę i stwierdził, że jest urodziwa.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Nie mógł jakoś Wang Lung uwolnić się od wspomnienia owej rozmowy. Ciągłe miał w pamięci słowa syna, odnoszące się do Kwiecia Gruszy. Zaczął teraz częściej się przyglądać dziewczynce, a myśl o niej wypełniała jego duszę i pobudzała go do marzeń. Nie zwierzył się jednak z tego nikomu.

Pewnej nocy, wczesnem latem, gdy każda noc ciężka jest od żaru i kwietnych woni, siedział Wang Lung na swoim podwórku, pod kwitnącem drzewem i wdychał nozdrzami upajający zapach. Czuł się dziwnie młodym i żarliwym. W żyłach jego płynęła gorąca żywa krew. Już w ciągu dnia czuł jej pulsowanie i dziwną ochotę do wyładowywania energii. O mały włos nie wyszedł w pole, bo mu się zachciało zzuć obuwie i stąpać bosem nogami po ziemi, ale wstydził się ludzi, którzy uważali go już dzisiaj nie za wieśniaka, jeno za zamożnego właściciela majątku.

Przechadzał się więc nerwowym krokiem po podworcach, unikając starannie podwórka Lotos, która siedziała w cieniu pykając fajkę. Lotos zarazby się domysliła, co oznacza taki niepokój, miała bo-

wiem dostatecznie przenikliwy wzrok, by spostrzec, co się święci. Chodził tedy samotnie, nie miał ochoty spotykać ani kłótliwych synowych, ani nawet wnu-ków, którzy przecież byli mu nieraz pociechą.

Dzień dłużył się nieskończenie, a krew kipiała w ciele Wanga, nie dając mu spokoju. Nie mógł zapomnieć słów najmłodszego syna. Miał go ciągle przed oczami, gdy tak stał przed nim smukły i wy-prężony ze ściągniętymi brwiami, pełen młodzieńczej powagi. Nie mógł też zapomnieć bladej dziewczynki.

— Zdaje się, że są w jednym wieku — myślał sobie — chłopiec musi mieć osiemnaście, a ona także ma nie wiele więcej...

I nagle przypomniał sobie, że on sam skończy niezapamiętało siedemdziesiąty rok życia. Wstyd mu było tej burzącej się w żyłach krwi, której nie mógł opanować.

— Dobrze byłoby oddać dziewczynkę mojemu chłopcu — rzekł sam do siebie i powtórzył to kilka razy, jakby chcąc sobie wrazić w pamięci to zdanie. Ale za każdym razem zdawało mu się, że wbija sobie nóż w ranę.

Dzień dłużył się nieskończenie. Trawił go dalej dziwny niepokój.

Gdy nadeszła noc w całym domu nie miał nikogo, komu mógłby zwierzyć się, jak przyjacielowi. A noc była duszna i parna, przepojona słodką wonią kwit-nących krzewów...

Gdy tak siedział w ciemnościach, pod drzewem, ktoś przeszedł mimo szybkim krokiem. Poznał dziewczynę zwaną Kwiatem Gruszy.

— Kwiecie Gruszy — zawołał głośno, chociaż zdawało mu się że mówi szeptem.

Zatrzymała się natychmiast i pochyliła głowę, nasłuchując.

Odezwał się znowu zdławionym głosem:

— Chodź do mnie...

Wślizgnęła się bojaźliwie przez uchylone drzwi podworca i stanęła przed nim. Nie widział jej wyraźnie, gdyż noc była ciemna, ale czuł wyraźnie jej obecność. Wyciągnął rękę i chwycił połę krótkiego kaftana.

— Dziecino — wybełkotał.

Urwał zaraz i zamilkł. Uświadomił sobie znowu, że jest starym człowiekiem i że nie przystoi mężczyźnie, który ma wnuki i wnuczki, w wieku małej niewolnicy, pożądać jej. Ona zaś czekała cierpliwie, aż ją ogarnął żar, bijący od niego, więc się osunęła na ziemię, niby zwiędły kwiatek i, objąwszy go za nogi, leżała tak w milczeniu. Wang wycedził wreszcie:

— Dziecko moje... Jestem stary, bardzo stary...

Z ciemności wypłynął jej głos słaby, jak oddech kwiatów.

— Lubię starych ludzi... Tacy są uprzejmi.

Pochylił się nad nią i szepnął czule:

— Taka mała dziewczynka, jak ty, powinna mieć wysokiego, prostego, jak sosna, chłopca... Taka mała, śliczna dziewczynka, jak ty...

A w duszy dodał: — Takiego chłopca, jak mój syn — lecz nie był w stanie wymówić tego głośno, gdyż obawiał się, że dziewczynka weźmie to na serjo, a onby tego nie zniósł.

— Młodzi ludzie nie są tkliwi — rzekła jeszcze — są okrutni i zuchwali...

Gdy tak słuchał dziecinnego głosiku, odzywającego się u jego stóp, wezbrała w sercu jego fala namiętności. Podniósł niewolnicę delikatnie i wprowadził do swego mieszkania.

Nie mógł się później nadziwić, że w tak późnym wieku nawiedziła go wielka miłość. Nigdy nie doznawał nic równie niezwykłego, jak teraz — bo chociaż kochał Kwiat Gruszy, nie rzucił się na nią brutalnie, jak to czynił ongiś z innemi kobietami. Trzymał ją w objęciach i wystarczała mu świadomość, że

tuli do opasłego, starego ciała lekkie, młode ciało. W ciągu dnia zadawalniał się jej widokiem, muśnięciem jej rozwiewającego się kaftana, a w nocy wystarczyło mu, że spoczywa obok niego. Dziwił się Wang Lung starczej miłości, która zadawalnia się małym, a czułość przekłada ponad zmysłowe rozkosze.

Ona zaś była zgoła pozbawiona pożądliwości, tuliła się do Wanga, jak do ojca. I on traktował ją raczej, jak dziecko, aniżeli, jak kobietę.

Cała sprawa wydała się dopiero po jakimś czasie. Wang Lung nie zwierzał się nikomu, był przecież panem w swoim domu. Ale chytre oczka Ku-Ku pierwsze wypatrzyły małą niewolnicę, wychodzącą o świcie z oficyny Wanga. Przyłapała ją i parsknęła śmiechem, a jastrzębie oczka błysnęły złowieszczo.

— Aha — starszy pan znowu zaczyna...

Usłyszał to Wang Lung, więc prędko narzucił szatę, przewiązał ją pasem i wyszedł z domu, uśmiechając się głupkowato, a chępliwie, i wybąkał:

— Mówiłem, żeby sobie znalazła młodego chłopca, a ona woli starego...

— A ja wszystko powtórzę mojej pani — rzekła Ku-Ku — ładna historia?...

— Nie wiem sam, jak to się stało — ciągnął dalej Wang — nie miałem zamiaru powiększać liczby moich kobiet, ale to się jakoś samo zrobiło. — A gdy Ku-Ku powtórzyła swoje:— „Pani się dowie o wszystkim“, — Wang Lung przestraszył się i zaczął molestować Ku-Ku:

— Powiedz jej jeśli chcesz, a jeżeli potrafisz ją udobruchać, to ci dam garść złota.

Wang wrócił do siebie i nie wychodził stamtąd, dopóki nie ujrzał powracającej Ku-Ku.

— No więc powiedziałam. Była zła, lecz przypomniałam jej, że ma oddawna ochotę na zagraniczny zegarek, który pan jej obiecał i że dostanie dwa rubinowe pierścionki i niewolnicę, na miejsce Kwie-

cia Gruszy, a Kwiecie Gruszy niepokaże się jej już nigdy. Pan starszy także przez dłuższy czas nie będzie jej odwiedzać i drażnić swoją obecnością.

Wang skwapliwie obiecał spełnić wszystkie żądania Lotos.

— Kup jej, co chce — zawołał uradowany, że nie będzie potrzebował zaglądać do Lotos.

Wstydził się tylko swoich synów, więc powtarzał w duchu:

— Czyż nie jestem panem we własnym domu? mogę chyba obcować z niewolnicą, którą kupiłem za własne pieniądze.

Pomimo to wstydził się bardzo, lecz chwilami czuł się dumny, iż nie przestał być mężczyzną, chociaż wszyscy uważają go za starca.

Synowie sami zgłosili się do ojca — jeden po drugim. Pierwszy zjawił się syn średni. Zaczął mówić o zbiorach i o suszy, ale Wanga nic już nie obchodziły takie sprawy, bo gdyby nawet plony były mniejsze, miał sporo srebra odłożonego z ubiegłego roku, a kupcy na rynku zbożowym winni mu byli moc pieniędzy. Drugi syn zbierał procenty od pożyczonych na lichwiarski procent pieniędzy. Cóż go obchodziło niebo, zwiastujące pogodę lub deszcze. Ale młodszy syn w dalszym ciągu zwierzał się ojcu ze swych trosk, twierdził, że będzie susza, a jednocześnie rozglądał się po pokojach. Wang Lung domyślił się że chce sprawdzić, czy to, co słyszał, jest prawdą, zawołał więc Kwiatu Gruszy, która ukryła się w jego sypialni.

— Przynieś, dzieciно, herbaty dla mnie i dla mego syna...

Wyszła z sąsiedniego pokoju z opuszczoną głową, a subtelna jej twarz powlekła się brzoskwiniowym rumieńcem. Młodszy syn patrzył na nią i oczom własnym nie wierzył. Powstrzymał się jednak od niedy-

skretnych uwag i dalej ciągnął swoje o roli, o służbie, o dzierżawcach.

Jednego należy zmienić w końcu roku — inny zaś pali opium i nazbyt opieszale zajmuje się zbior-
ką plonów. Wang Lung zapytał syna, jak się miewa-
ją jego dzieci, otrzymał na to odpowiedź, że przecho-
dzą teraz studniowy kaszel, ale, że nikt się nie oba-
wia o ich zdrowie, bo nastały ciepłe dni i choroba ma
przebieg lekki.

Gawędzili o tem i owem, popijając herbatę, po-
czem starszy syn poszedł sobie, napatrzywszy się do-
woli nałożnicy ojca.

Tego samego dnia pod wieczór odwiedził Wanga
syn najstarszy, wysoki, urodziwy i pewny siebie.
Wang Lung nie śmiał tym razem pokazać mu Kwiatu
Gruszy, czekał więc, paląc fajkę. Starszy syn siedział
sztywny i wyniosły, zadając ojcu konwencjonalne py-
tania, odnoszące się do jego zdrowia i majątku.
Wang odpowiadał szybko i spokojnie i powoli oswajał
się z widokiem syna. Zrozumiał nagle, że ten wielko-
lud dumny drży ze strachu przed swoją miastową
żoną i myśli tylko o tem, by nie wydać się jej prostak-
kiem, zaś Wang Lung posiada w sobie moc, którą mu
dała matka ziemia, lekceważył więc pozory i nie dbał
o zdanie syna.

— Chodź tutaj, dziecko — zawołał nagle — na-
lej znowu herbaty, dla drugiego syna.

Tym razem wyszła cicha i obojętna, a twarzycz-
ka jej była blada, jak żwiat gruszy. Poruszała się bez-
głośnie, nie podnosząc wzroku na gościa, a spełniw-
szy, co do niej należało, odeszła do sąsiedniego po-
koju. Obydwaj mężczyźni siedzieli przez chwilę w mil-
czeniu, a gdy wyszła z pokoju popatrzyli po sobie.
Wang dostrzegł w oczach syna podziw i zawiść. Wy-
pili w milczeniu herbatę i dopiero po dłuższym czasie
najstarszy syn przemówił chrapliwym, załamującym
się głosem:

— Nie chciałem wierzyć...

— Dlaczego nie wierzyłeś? — zapytał spokojnie Wang Lung. — To przecież mój własny dom.

Syn westchnął ciężko i odpowiedział, po namyśle:

— Ojciec jest bogaty i ma prawo robić, co mu się podoba. — A westchnawszy, znowu dodał: — Myślę, że żadnemu mężczyźnie nie wystarcza jedna kobieta. Przychodzi wkońcu taki dzień...

Urwał i spojrzał z nietajoną zawiścią na ojca. Wang zaśmiał się w duchu. Dobrze znał syna i wiedział, że nawet miastowa żona nie wystarczy mu na długo i, że wreszcie wylezie z niego prawdziwa natura.

Najstarszy syn wyszedł od Wanga, przejęty myślą, która mu nagle zaświtała w głowie, a Wang usiadł i zaczął pykać fajkę, rozmyślając z lubością o tem, że pomimo zgrzybiałego wieku, pofolgował swej zachciance.

Późną nocą przyszedł syn najmłodszy.

Wang Lung siedział przy stole, w migotliwym świetle czerwonych świec i palił fajkę. Kwiat Gruszy siedziała naprzeciwko niego, w milczeniu. Drobne rączki złożyła na podolku. Chwilami podnosiła wzrok na Wanga i patrzyła nań uparcie, jak dziecko, on zaś, widząc ją taką potulną i cichą, dumny był z siebie. I oto nagle na progu stanął najmłodszy syn. Wyłonił się niespodziewanie z mroków, zalegających podwo, rzec, niezauważony przez nikogo. Stał teraz, jakby gotując się do skoku, a Wangowi przypomniła się nagle pantera, którą ongi złapali wieśniacy i przynieśli do wsi. Zwierz był skrępowany powrozami, a jednak czaił się, jakby chciał rzucić się na oprawców.

Oczy chłopca błyszczały tak samo, jak oczy złowionej pantery. Na białem, gładkiem czole czerniały gęste, nie dziecinne brwi, ściągnięte gniewnie. Mil-

czał przez długą chwilę, wreszcie odezwał się niskim, dźwięcznym głosem:

— Zostanę żołnierzem. Odchodzę z domu... Chcę być żołnierzem...

Patrzył ojcu prosto w twarz, unikając wzroku dziewczynki, a Wang Lung, który nie bał się ani najstarszego syna, ani drugiego syna, przeląkł się najmłodszego chłopca, z którym dotychczas nie liczył się zgoła. Zaczął bąkać coś pod nosem i bełkotać, ale głos mu uwiązł w krtani. Patrzył więc niemym wzrokiem na syna, a syn powtarzał wkółko:

— Idę sobie... Teraz już pójdę napewno...

I nagle odwrócił się i obrzucił spojrzeniem dziewczynkę, która pod wpływem jego wzroku skuliła się i ukryła twarz w dłoniach. Młodzieniec wyskoczył przez otwarte drzwi na dwór, i zanurzył się w nieprzeniknioną czarność letniej nocy.

W domu zapanowała cisza.

Wang Lung dopiero po chwili zwrócił się do dziewczynki i rzekł głosem pokornym a pełnym smutku:

— Za stary jestem dla ciebie, moje serduszko. Wiem ja o tem dobrze. Starzec ze mnie, zgrzybiały starzec...

Ale dziewczyna oderwała ręce od twarzy i zawołała z przejęciem:

— Młodzi ludzie są okrutni... Wolę starych...

Gdy nadszedł świt syn Wanga wyruszył w świat, w niewiadomym kierunku.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Czasami jesień rozplomienia się żarem i udaje lato, zanim się przesili w zimę — podobnie rzecz się miała z uczuciem Wanga dla dziewczyny, zwanej Kwiatem Gruszy. Minęły upalne dni kończącej się jesieni, w sercu Wanga wygasł żar namiętności. Żywił on teraz dla Kwiatu Gruszy uczucie, pozbawione pożądliwości.

Postarzał nagle i odczuwał chłód, zwiastujący schyłek życia. Pomimo to pełen był tkliwości dla dziewczynki, radowała go jej obecność w mieszkaniu, tembardziej, że Kwiat Gruszy służyła mu z zaparciem się siebie, była mu wierna, ponad wiek opanowana i cierpliwa. Wang traktował ją zawsze jednako serdecznie, ale miłość jego ku niej była miłością ojca ku córce.

Kwiat Gruszy przez wzgląd na Wanga okazywała również życzliwość biednej niemowie. Widząc to Wang, zwierzył się przyjaciółce z pewnego planu, który sobie ongi ułożył. Nieraz rozmyślał on nad tem, co się stanie z biedną niemową po jego śmierci, gdy nie stanie jedynego człowieka, co o nią dba, „któremu zależy na tem, by żyła. Kupił więc w sklepie lekarza białego, trującego proszku i postanowił w przeddzień swej śmierci dać go nieszczęśliwej córce. Ale myśl o tem napełniała go zgrozą — bał się tej chwili bardziej, aniżeli własnej śmierci, toteż uspokoił się wielce, obcując z wierną, oddaną przyjaciółką. Zawezwał ją pewnego dnia do siebie i, rzekł:

— Jesteś jedyną osobą na świecie, której mogę powierzyć moją biedną córkę. Wiem dobrze, że gdy odejdę, nikt nie będzie troszczyć się o nią, nikt nie pomyśli o tem, by ją w swoim czasie nakarmić, wyprowadzić na słońce, ochronić przed deszczem i zimnem... Kto wie — może ją wyśła na ulicę i będzie się błąkać, ona, która tak była pieczołowicie chowana

przez matkę i ojca. W tym oto zawiniątku znajduje się coś, co jej pozwoli uciec przez bramę życia. Chciałbym, ażebyś zaraz po mojej śmierci wymieszała ten proszek z ryżem i dała jej do zjedzenia. W ten sposób pozwolisz jej odejść ze świata, razem ze mną. Będzie to dla mnie wielką pociechą...

Lecz Kwiat Gruszy wzdrygnęła się, patrząc na tajemnicze zawiniątko i odparła łagodnym głosem:

— Nie potrafiłabym zabić muchy, jakże więc mogłabym odebrać życie twojej córce? Nie, mój panie, tego nie uczynię, ale zabiorę do siebie biedną niemowę, i będę się nią opiekować zato, żeś był dobry dla mnie — lepszy, niż ktokolwiek na ziemi...

Wang Lung o mało się nie rozplakał, gdyż nikt w ciągu jego całego życia nie zapłacił mu tak sownie, za uczynione dobrodziejstwo. Serce jego wezbrało uczuciem miłości do szlachetnej przyjaciółki.

— Weź to jednakże, dziecino — przemówił wzruszonym głosem — nikomu nie ufam oprócz ciebie, przecież i ty musisz kiedyś umrzeć — chociaż wymawiam to słowo z trudem... Gdy ciebie nie stanie córka nie będzie miała nikogo życzliwego. Żony moich synów zbyt wiele mają kłopotu z własnymi dziećmi, no, i kłóć się ciągle ze sobą, a synowie nie mogą myśleć o babskich sprawach.

Pojmując znaczenie jego słów, Kwiat Gruszy zdecydowała się wziąć truciznę i nie oponowała już Wangowi, który się od razu uspokoił i nabrał pewności, iż mała niemowa ma los zabezpieczony.

Wang Lung zagłębił się w starość, niby ślimak w skorupę i unikał ludzi, obcując jedynie z córką niemową i Kwiatem Gruszy. Czasami ogarniał go niepokój — patrzył na przyjaciółkę i mruczał:

— To za spokojne życie dla ciebie, dziecinko.

Ale ona w takich razach odpowiadała, obrzucając go wdzięcznym spojrzeniem:

— Mam spokój i nie potrzebuję obawiać się nikogo.

Czasem znowuż skarżył się, że jest za stary na nią, że ma popiół w żyłach. I wtedy Kwiat Gruszy zapewniała go o swem oddaniu i wdzięczności:

— Jesteś, o panie, dobry dla mnie. Niczego więcej nie pragnę.

Pewnego razu, gdy powtórzyła swoje ulubione zdanie, Wang zapytał jej zaciekawiony:

— Powiedz mi, co ci się przytrafiło za lat dziecinnych, że się tak boisz mężczyzn?

W oczach dziewczynki pojawił się wyraz obłędnego lęku. Zasłoniła twarz rękami i szepnęła:

— Nienawidzę wszystkich mężczyzn, nawet mojego ojca, który mnie sprzedał. Słyszałam o nich tyle okropności. Nienawidzę ich, nienawidzę...

Zdziwiony Wang odpowiedział:

— Zdawało mi się, iż żyłaś sobie spokojnie w moim domu?

— Mam duszę pełną nienawiści i pogardy — odparła, unikając jego wzroku — nienawidzę ich wszystkich. Nienawidzę wszystkich młodych ludzi.

Nie chciała więcej mówić, ale to, co rzekła starczyło, by dać do myślenia Wangowi. Jął się zastanawiać czy to Lotos naopowiadała jej jakichś okropności ze swego życia, czy może który z chłopców napastował ją cichaczem....

Nie umiał jednak znaleźć odpowiedzi na dręczące go pytanie, i dał spokój rozmyślaniom, bo mu w tej chwili zależało przede wszystkim na spokoju. Pragnął tylko ciszy i towarzystwa dwóch najbliższych istot.

Spędzał teraz Wang Lung całe dzionki siedząc w fotelu, a starość obejmowała go w swe posiadanie, oplatając go coraz ciaśniejszym uściskiem. Drzemał przeważnie na słońcu, jak to czynił ongiś jego ojciec i powtarzał sobie od czasu do czasu, że dokonał ży-

wota i, że jest ze siebie zadowolony. Bardzo rzadko zaglądał do oficyny, zamieszkałej przez Lotos. Lotos nigdy nie wymieniała imienia dziewczynki, którą wziął do siebie, a witała go nader uprzejmie, jako że zadawalniała się już dzisiaj dobrem jedzeniem, winem i srebrem, które miała na zawołanie. Ku-Ku do-
trzymywała jej stale towarzystwa.

Obydwie niewiasty przesiadywały w sypialnym pokoju, już jak dwie równe sobie przyjaciółki, i gawędziły o tem i owem, wspominając dawne dzieje i przygody z mężczyznami. Czyniły sobie szeptem tajemne zwierzenia, racząc się w przerwach smakółkami, budząc się ze snu do nowych plotek, do jadła i picia.

Gdy Wang odwiedzał synów — a zdarzało mu się to bardzo rzadko — okazywali mu oni należny szacunek, kazali zaraz podawać herbatę, a Wang zazwyczaj prosił o pokazanie mu ostatniego wnuka. Pamięć go coraz częściej zawodziła, więc nieraz powtarzał jedno i to samo, po kilka razy.

— Ile to ja mam teraz wnuków? — zapytywał synów.

— Jedenastu chłopców i osiem dziewczynek — brzmiała odpowiedź.

A Wang chichocząc i, krztusząc się, dodawał:

— Po dwa na rok — prawda?

Siedział potem chwileczkę w mieszkaniu i przyglądał się gromadce wnuków, które cisnęły mu się do kolan. Wnukowie byli już dużymi chłopcami, a dziadek wpatrywał się w nich z uporem, jakby chciał odgadnąć, co się kryje w ich duszach i mru-
czał pod nosem:

— Ten jest podobny do pradziadka, a to znów, mały kupiec Liu, a tamten, to wykapany Wang Lung, gdy był młody.

I zapytywał ich kolejno:

— Chodzicie do szkoły?

— Tak dziadku, chodzimy — odpowiadali zgodnym chórem.

— Czy uczycie się z Czterech Ksiąg?

Wówczas wybuchali dźwięcznym śmiechem, w którym drżała złośliwa nuta i odpowiadali:

— Nie, dziadziu, nikt już dzisiaj nie uczy się z Czterech Ksiąg, od czasu Rewolucji.

Wang Lung dumiał przez chwilę, a potem dodawał:

— Słyszałem, słyszałem o rewolucji, a jakże... Ale miałem tyle do roboty, że nie mogłem się nią zajmować. Myślałem zawsze tylko o ziemi.

Chłopcy przyglądali mu się z kpiącym wyrazem. Wang wstawał wreszcie i odchodził, bo w gruncie rzeczy czuł się tylko gościem w domu synów. Z czasem przestał ich wogóle odwiedzać, jeno wzywał Ku-Ku i zasięgał u niej języka.

— Jakże tam zachowują się moje synowe? Czy się przestały sprzeczać?

Ku-Ku odpowiadała, splunawszy uprzednio na podłogę.

— Te dwie baby? Żyją ze sobą, jak koty, co tylko się spodełba sobie przyglądają. Najstarszy syn ma już dosyć ciągłych skarg żoninych, bo mu nad głową gdacze, że jest za wielka pani dla niego, albo znów opowiada, jak to było w domu jej ojca. Mówią nawet o tem, że panicz chce wziąć inną żonę. Odwiedza często herbaciarnie.

— Ach tak, — odrzekł tylko Wang.

Zanim jednak zastanowił się nad słowami Ku-Ku zapomniał o wszystkim i uprzytomnił sobie, że czas na herbatę, i że wiosenny wietrzyk wieje mu w plecy. Innym razem zapytał Ku-Ku, czy kto nie słyszał, gdzie przebywa najmłodszy syn. Ku-Ku odpowiedziała bez wahania, bo nie było sprawy, co do której nie miałaby dokładnych informacji.

— Nie pisuje wprawdzie listów, ale z południa

przychodzą rozmaici ludzie. Powiadają, że nasz panicz jest wielkim urzędnikiem, bardzo ważne rzeczy robi w tej tam rewolucji, ale co — nie wiem — może się zajmuje handlem...

I znowu Wang odpowiedział tylko westchnieniem.

Byłby może i zadumał się nad losem syna, ale wieczór zapadł, a wilgotne i przenikliwe powietrze doskwierało starym kościom. Myśl starca wędrowała dokąd chciała, wymykała się mu i nie chciała się zatrzymać na jednym przedmiocie. Stare ciało dopominało się coraz gwałtowniej, o jadło i gorącą herbatę. Nocą, gdy leżał zziębiony w łóżku, Kwiat Gruszy układała się obok niego i rozgrzewała go młodem ciałem.

Minęła jedna wiosna i druga, a Wang coraz obojętniej witał przyjście nowej wiosny. Nie wygasła jedynie jego miłość ku ziemi. Odszedł wprawdzie od ziemi, osiedlił się w mieście, dorobił się wielkiego majątku, ale korzeniami tkwił w roli i przypominał to sobie każdej wiosny. Chociaż nie mógłby już udźwignąć motyki, ani popchnąć pługa, odczuwał nieprzepartą chęć powrotu na wieś.

Wracał więc rok rocznie do wiejskiej lepianki, sypiał w prostym łóżku, w nędznej izdebce, w tem samem starem łóżku, w którym płodził dzieci z O-lan i, w którym O-lan umarła. Wstawał o świcie z pomocą służącego i wychodził w pole. Drżącemi ze starości rękami sięgał po kwitnące gałązki wierzby, czasem uszczknął pączek z brzoskwiniowego krzewu i bawił się nim przez cały dzień.

Pewnej wiosny, gdy się miało ku latu, wyruszył w pole, w stronę cmentarzyska, na którym pochował swoich najbliższych. Zatrzymał się przed mogiłą, wsparł się całym ciężarem na sękatym kiju i zaczął wspominać tych wszystkich, co spoczywają pod ziemią. Byli mu bliżsi, niż synowie, żyjący z nim w jed-

nym domu. Każdy z tych umarłych wydawał mu się bardziej znajomym, niż ktokolwiek z żyjących, z wyjątkiem niemowy i Kwiatu Gruszy. Cofnął się myślami wstecz i ujrzał ich wszystkich tak wyraźnie, jakby stali obok niego. Widział nawet swoją starszą córeczkę, o której słuch zaginął — widział jej uroczą twarzyczkę, ponsowe usteczka, cienkie, jak jedwabna nitka. Wydało mu się, że i ona jest jedną z tych, co spoczywają w mogile, I nagle wyrwało mu się:

— A teraz na mnie kolej...

Poszedł więc do grobu, przeznaczonego dla siebie. Obejrzał go uważnie i wybrał sobie miejsce poniżej ojca i stryja, obok Czinga, przy O-lan. Ogarnął wzrokiem szmat ziemi, która kiedyś będzie jego posłaniem i pomyślał, że przynajmniej po śmierci wróci na wieki w swoje strony.

— Będę musiał pomyśleć o trumnie — szepnął do siebie.

Myśl o trumnie uczepiła się go i w bolesny sposób przypomniawsza o sobie.

Powrócił więc do miasta, posłał po najstarszego syna i, rzekł:

— Mam ci coś do powiedzenia.

— Mów, ojciec. Słucham cię — odpowiedział syn.

Ale Wangowi dziwnie się zaczęły plątać myśli, zapomniał nagle, co miał rzec. W oczach jego zakręciły się łzy. Bo i jakże — tak długo myślał o tej ważnej sprawie, a ona tymczasem sama mu uciekła z pamięci. Zawołał Kwiat Gruszy i zapytał jej z niepokojem:

— Dziecino, czego to ja chciałem?

Kwiat Gruszy zapytała go łagodnie:

— Gdzie spędziłeś cały dzień, o panie?

— Byłem na wsi — odrzekł Wang Lung, wpatrując się w nią z uporem.

Zapytała go znowu: — W którym miejscu?

W tejże chwili wspomnienie grobu przemknęło przez mózg Wanga, więc krzyknął uradowany, śmiejąc się głośno:

— Już sobie przypomniałem. Synu mój, wybrałem dzisiaj miejsce w ziemi na mogiłę. Chcę spocząć niżej, niż mój ojciec, nad mogiłą twojej matki, obok Czinga i chciałbym ujrzeć trumnę, przeznaczoną dla siebie.

Syn Wanga czuł się w obowiązku gwałtownie zaprotestować.

— Nie wymawiaj tego słowa, ojcze. W każdym razie uczynię wszystko, co każesz.

Sprowadził więc tegoż dnia rzeźbioną trumnę z wonnego drzewa, które używane jest tylko do trumien, jako że mocniejsze jest od żelaza, a trwalsze od ludzkich kości. Wang Lung uradował się wielce na jej widok. Kazał wnieść trumnę do swego pokoju i przyglądał się jej z lubością.

— Wiecie co? — zawołał raz przejęty jakąś nową myślą: — Chciałbym przenieść trumnę do mojej lepianki, na wsi. Tam dokonam żywota.

Widząc, że nie da sobie tego wyperswadować, przenieśli synowie trumnę do wiejskiej chaty, a Wang Lung w towarzystwie Kwiatu Gruszy i małej niemowcy, oraz kilku sług powrócił na wieś, pożegnawszy na wieki miejski dom, który miał odtąd stanowić własność założonego przezeń rodu Wangów.

Minęła wiosna, minęło lato, nadeszły upalne dni kończącej się jesieni, Wang Lung wysiadywał na przyzbie, na miejscu ulubionem przez jego ojca. Nie myślał już teraz o niczem innem, jak tylko o jedzeniu, picciu, no, i o ziemi. Nie zastanawiał się już jednak, jakie mu zbiory przyniesie dobra ziemia, co należy zasiać, myślał tylko o niej samej. Czasami pochylał się i wygrzebywał trochę ziemi, trzymał ją

w rękę. Zdawało mu się, że trzyma w dłoni żywe stworzonko, sprawiało mu to niewypowiedzianą satysfakcję. Myślał o pięknej trumnie, czekającej na niego i o łaskawej ziemi, czekając nań również cierpliwie i wiernie.

Synowie okazywali mu należny szacunek, odwiedzali go codziennie, a w najgorszym razie co drugi dzień, przysyłali mu delikatne jedło, odpowiednie dla jego wieku, ale Wangowi najbardziej smakowała kasza, rozpuszczona w gorącej wodzie, którą jadł ryżką, na podobieństwo swego nieboszczyka ojca.

Jeżeli tylko synowie ociągali się z przyjazdem, skarżył się przyjaciółce i dziwował się, że mają tyle zajęć.

Kwiat Gruszy odpowiadała wówczas: -- Przecież to ludzie w sile wieku, mają mnóstwo spraw na głowie. Najstarszy syn został urzędnikiem miejskim, w gminie, zasiada wśród bogaczy, ożenił się drugi raz, a młodszy syn zakłada własne sklepy zbożowe w rynku.

Wang Lung przysłuchiwał się jej uważnie, ale nie bardzo rozumiał w czem rzecz i zapominał o wszystkim, skoro tylko patrzył na umiłowaną ziemię.

Jednakże pewnego dnia odzyskał na chwilę przytomność umysłu. Odwiedzili go właśnie obydwa synowie i przechadzali się naokoło domu. Wang snuł się za nimi, jak cień, zbliżył się do nich, gdy się zatrzymali, oni zaś nie dosłyszeli kroków ojca, ani uderzeń laski o miękki grunt. Wang usłyszał drugiego syna, mówiącego:

— Sprzeda się tamto pole i to także się sprzeda, a pieniędzmi podzielimy się po równej części. Jeżeli mi pożyczysz swój kapitał, to ci dam porządną procent, bo teraz mogę wysyłać ryż koleją prosto do portu, a ja...

Starzec usłyszał słowa: — „Sprzeda się pole“.

— Niedobrzy, synowie, darmozjady! krzyknął drżącym gosem. Sprzedać pole wam się zachciewa?— wyjąknął i zakrztusił się. Byłby upadł, gdyby nie to, że synowie go przy tem podtrzymali. Stary rozplakał się przytem, jak dziecko.

— Nie... nie... nie ma mowy o sprzedaży... Nigdy nie wyzbędziemy się ziemi — powtarzali z przejęciem.

— Koniec... To koniec, to upadek rodziny! — padały z ust Wanga strzępy zdań — gdy zaczął sprzedawać ziemię... Przecież myśmy wyszli z ziemi, musimy wrócić do niej... Jeżeli ją potraficie utrzymać, to będziecie mogli spokojnie żyć... Nikt wam ziemi nie odbierze...

Po wychudłych policzkach Wanga toczyły się łzy, zostawiając palące ślady. Pochylił się i, wzięwszy w garść szczyptę ziemi, powtórzył:

— Jeżeli sprzedacie ziemię, będzie to koniec... kres wszystkiego!...

Podtrzymywany przez synów ścisnął w garści ciepłą sypką ziemię.

— Uspokój się, ojciec... Pocieszali go i powtarzali wkółko. Nie obawiaj się... Nie sprzedamy ziemi!

Ale Wang nie zauważył, że mówiąc to zamieniali porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechnęli się do siebie.

K O N I E C.

